ZIEMKIEWICZ

CHAM NIEZBUNTOWANY



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Spis treści

ZIEMKIEWICZ

CHAM NIEZBUNTOWANY

RZECZ O POLSKIM MENTALU

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Polakom cholernie brak dziś poczucia godności.

Jesteśmy tu od tysiąca lat. Stworzyliśmy państwo, do którego ze wszystkich stron świata, z zachodu, wschodu i południa, ciągnęli ludzie jak do ziemi obiecanej. Państwa ościenne, zachwycone polską wolnością i płynącym z niej dostatkiem, włączały się ochoczo w zapoczątkowaną przez Polaków federację. Zatrzymaliśmy niemiecką ekspansję na wschód, pokonując państwo krzyżackie, jedno z najlepiej zorganizowanych i najbogatszych w ówczesnym świecie, a potem zatrzymaliśmy ekspansję islamu na zachód, ratując Europę przed pochodem cesarstwa osmańskiego. Jako pierwsi w Europie stworzyliśmy rozległą terytorialnie republikę, z parlamentem i obieralnym władcą, odpowiedzialnym przed prawem i obywatelami. Jako pierwsi wprowadziliśmy w swym państwie prawa obywatelskie i zasady tolerancji religijnej. Jako pierwsi wreszcie rozwinęliśmy prawną doktrynę wojny sprawiedliwej.

Straciwszy suwerenność – z przyczyn, których dziś nie chcemy rozumieć, ale zostaną one tu wyjaśnione – potrafiliśmy w warunkach niewoli i ciągłych insurekcji, wykrwawiających rodzący się dopiero dla nowoczesności naród, całkowicie się jako społeczeństwo przekształcić i zmodernizować, dzięki czemu Rzeczpospolita, która zeszła do grobu jako państwo kompletnie anachroniczne, bezwładne i pogrążone w chaosie, w sprzyjających okolicznościach międzynarodowych odrodziła się jako – tak! – jedno z najnowocześniejszych państw w Europie, od pierwszych chwil istnienia dające swym obywatelom prawa, jakie Zachód odkrył dopiero pół wieku później. Państwo zarazem tak organizacyjnie sprawne, że ledwie odzyskawszy byt, mając po straszliwych

zniszczeniach toczonej na naszych ziemiach wojny światowej tylko paręnaście miesięcy na zorganizowanie administracji i siły zbrojnej – zatrzymało pochód bolszewizmu na zachód kontynentu, po raz kolejny ratując Europę, a przy okazji cały świat przed podbojem przez najbardziej chyba zbrodniczą i nieludzką ideologię w dziejach.

Potem, podbici przez zmowę dwóch sąsiednich, bandyckich mocarstw, z cynicznym przyzwoleniem zdradzieckich aliantów z Zachodu, poddani przez dwie okupacje bezprzykładnej eksterminacji, hekatombie, jakiej nie doznał chyba żaden kraj od czasów zniszczenia przez Rzymian Kartaginy, zdołaliśmy nie tylko przetrwać i się odbudować, ale jeszcze po zaledwie półwieczu stanęliśmy kością w gardle sowieckiemu okupantowi, tak że zadławił się nami i naszą Solidarnością jak Smok Wawelski nasiarkowaną owieczką i zdechł w męczarniach.

A teraz byle łajza z Holandii czy Luksemburga pozwala sobie traktować nas jak małpy, które ledwo co zlazły z drzewa?! Stawiać nas do pionu, pouczać, wychowywać obietnicami szklanych paciorków i straszeniem „sankcjami”? Byle pętak z krajów, których okupacyjne rządy na wyprzódki kolaborowały z Hitlerem, wyłapując swoich żydowskich obywateli i dostarczając ich Niemcom własnym transportem wprost do pieca, mądrzy się, że Polacy „mogli zrobić więcej dla ratowania żydowskich współbraci”?!

I nasze tak zwane elity płaszczą się przed każdą taką łajzą z obrzydliwym służalstwem, prosząc, żeby Europa zechciała łaskawie jakoś przywołać do porządku tę polską hołotę, bo im się ona wyrwała spod kontroli i nie chce słuchać?

Jak to jest w ogóle, do kurwy nędzy, możliwe?!

Pytanie retoryczne. Znam, oczywiście, odpowiedź. Jesteśmy dziś – a w każdym razie byliśmy przez ostatnie trzydzieści lat – jak rozbitek, czy może lepiej rzec: jak zawodnik pływackiego maratonu, który wydostał się na brzeg ostatkiem sił, padł na piach i nie w głowie mu już nic innego, niż wreszcie odpocząć, posilić się, obkupić w supermarketach i jak inni używać wreszcie wytęsknionego dobrobytu. Bez oglądania się na cenę i odsetki kredytów, które przyjdzie kiedyś spłacać.

To zrozumiałe i trudno mieć pretensję, żeśmy tak spuścili z tonu, tak spokornieli, pozwolili sobie z Polaków zamienić się w bierne i uległe polactwo.

Ale ten stan trwa już za długo. Czas, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na leżenie i rekonwalescencję, mija, kończą się światowe koniunktury, zaczynają prawdziwe schody, coraz bardziej strome. Trzeba ruszyć tyłek, przypomnieć sobie, „czym tobie być, o czym tobie marzyć, śnić”.

O tym jest ta książka.

1. Wielka zmiana

Cały problem w tym, że Polacy co prawda odzyskali niepodległość – ale mimo że było to już trzydzieści lat temu, wciąż nie zdołali odzyskać dwóch innych rzeczy, które stracili byli kiedyś wraz z nią. Rzeczy dla zachowania niepodległości niezbędnych i ściśle ze sobą powiązanych. Pierwszą z nich jest poczucie własnej wartości. Drugą, bez której trudno o pierwszą – poczucie swojej wyjątkowości. Świadomość, że jesteśmy inni. Nie gorsi, nie zapóźnieni w rozwoju, tylko właśnie – inni.

Nie wiem, czy napisałem to wystarczająco wyraźnie, więc powtórzę: inni. Inni znaczy: odmienni. To dziś dla nas absolutnie podstawowa sprawa. Wyzwolić się z wpajanego nam przez dziesięciolecia przekonania, że jesteśmy jakąś niedorobioną, zacofaną wersją innych nacji. Nie: jesteśmy narodem, który odmienna historia, religia i relacje społeczne ukształtowały na inny sposób niż społeczeństwa Zachodu i Wschodu. Więc to, że mamy problemy z wieloma sprawami, z którymi inni sobie poradzili, nie znaczy wcale, że musimy ich bezmyślnie małpować. Nie tylko z tego praktycznego powodu, że rozwiązania i wzorce skopiowane skądinąd nie mogą dać u nas takich samych rezultatów jak tam – bo także i te zachodnie pasują nam, jak ujął towarzysz Stalin w odniesieniu do wschodnich, „jak krowie siodło”. Również dlatego, iż jest wiele takich spraw, w których z kolei to my poradziliśmy sobie wcześniej i lepiej, i to inni mogliby się uczyć od nas. A to najlepszy dowód, że w każdej kwestii potrafimy znaleźć własne rozwiązania.

Jak daliśmy sobie odebrać szacunek dla siebie samych – pokrótce

Dlaczego likwidowaniu politycznych skutków dwudziestowiecznej hekatomby Polaków – klęski wrześniowej, rzezi wojennych i eksterminacji, Teheranu, Jałty i półwiecza sowieckiej kolonizacji – nie towarzyszyło likwidowanie jej skutków psychologicznych? Czy też, jak by powiedziano dawniej, duchowych?

Z tego samego powodu, dla którego – jeden z wielu przykładów, ale największej wagi – po upadku realnego socjalizmu, ustroju opartego na masowej grabieży i skupieniu wszelkich dóbr w ręku państwa, nie dokonano najoczywistszej, narzucającej się reformy odwracającej zło tamtego systemu: reformy uwłaszczeniowej. Takiej, która zmieniłaby społeczeństwo parobków w społeczeństwo gospodarzy, uleczyłaby Polaków z pańszczyźnianej, socjalistycznej mentalności i nadała państwu zdrową, opartą na klasie średniej strukturę społeczną, bez której demokracja tak naprawdę nie jest możliwa, możliwe są tylko mniej lub bardziej regularne głosowania.

Ba! – nie tylko tego zaniechano, ale zrobiono coś wręcz przeciwnego: była „opozycja demokratyczna” w podzięce za to, że komuniści zechcieli pokojowo przekazać jej polityczne atrybuty władzy, pozwoliła im na przekształcenie się z partyjnej nomenklatury w oligarchię „neoliberalną” (czy raczej: neofeudalną) w drodze masowego szabru masy upadłościowej po „państwie ludowym”. Ba, „demokratyczna” część byłej opozycji nie tylko na to pozwoliła, ale wykorzystała wszystkie posiadane narzędzia oraz cały autorytet Solidarności, aby usankcjonować i ochronić porządek społeczny oparty na wyrosłych z tego szabru (czy raczej przeniesionych dzięki niemu z realnego socjalizmu) wpływach i fortunach. A że największym zagrożeniem dla niego okazała się druga część dawnej opozycji, ta „niepodległościowa”, z dnia na dzień nagle okazała się ona „oszalałymi lustratorami”, „chorymi z nienawiści”, „bohaterami ostatniej godziny” etc.

Tak zrodził się (czy raczej – odrodził się w nowej postaci) wyniszczający nasze państwo do dziś podział na próbujące się wzajemnie wyeliminować z życia publicznego polityczne plemiona. Nową Polskę budowano pod oczekiwania i potrzeby jej konkretnych „właścicieli”. W jednej ze swych książek, „Myślach nowoczesnego endeka”, nazwałem ich, nawiązując do sławnego terminu Milovana Dżilasa, „jeszcze nowszą klasą”. W operacji podzielenia się przez nomenklaturę władzą z „opozycją demokratyczną” priorytetem tej pierwszej było zachować swą uprzywilejowaną pozycję peerelowskiej elity. Priorytetem „oświeconej” części opozycji, która ubiła z komunistami magdalenkowy dil, było natomiast maksymalnie wytłumić i spowolnić emancypacyjne dążenia ogółu Polaków. Z różnych powodów liberalno-lewicowi dysydenci z czasów PRL uważali bowiem niższe warstwy społeczne za ciemną, prymitywną masę i panicznie bali się wzrostu ich wpływu na życie publiczne, zanim zostaną przez oświecone elity należycie uświadomione i wychowane. Dać Polakom demokrację, dywagował Adam Michnik, to jak posadzić Buszmena przy komputerze – te słowa, których po latach się wypierał, doskonale oddawały pogląd tak zwanych salonów. Opisałem ten obłędny strach „oświeconych” przed własnym społeczeństwem i płynącą z niego pogardę w książce „Michnikowszczyzna”, którą piętnaście lat po jej pierwszym wydaniu mogę z czystym sercem polecić jako najzwięźlejszy podręcznik do historii tak zwanej transformacji ustrojowej.

Nic tak nie łączy jak poczucie zagrożenia ze strony wspólnego wroga – zawarty na podstawie powyższych priorytetów konsensus Polski liberalnej, wymierzony przeciwko warstwom niższym, przetrwał aż ćwierć wieku, ustawiając pod siebie wszystkie instytucje i wszystkie narracje państwa. Ułatwiała to liberalno-lewicowym elitom bezradność warstw niższych, porażonych zjawiskiem pańszczyźnianego zobojętnienia, „polactwa”, jak nazwałem tę postniewolniczą mentalność w jeszcze innej ze swoich książek (zresztą ku oburzeniu ówczesnej politycznej prawicy, która, przyzwyczajona zastępować polityczne i socjologiczne analizy romantycznymi urojeniami, kierowała się wtedy przekonaniem, że

„to społeczeństwo żyło przez pół wieku w stanie zamrożonym i wciąż jest jak z Sienkiewicza”). Dopiero znaczny wzrost zamożności i kapitału społecznego w drugiej dekadzie XXI wieku doprowadził do stopniowego rozbudzenia aspiracji niższych warstw i emancypowania się ich spod wpływu postmagdalenkowej elity.

Przez cały ten czas pokiereszowane peerelem społeczeństwo traktowane było przez ową elitę jak w cytowanym przeze mnie często kawale: „Panie doktorze, moja żona dostała kompleksu niższości. Co robić, żeby go nie straciła?”. Publicyści umownej prawicy (umownej, bo pojęcie „prawica” oznaczało w Polsce każdego, kto kwestionował siły z Magdalenki, choćby był najbardziej zakutym socjalistą i etatystą) nazwali to „pedagogiką wstydu”. Opiniotwórcze salony wykorzystywały całe posiadane instrumentarium „dystrybucji szacunku” do utwierdzania polactwa w poczuciu cywilizacyjnego zapóźnienia.

Wpajano nam karykaturalną wizję polskiej historii, ośmieszano swojskość, obrzydzano patriotyzm i katolicyzm, tradycję, tresowano w odruchu bałwochwalczego podchwytywania i naśladowania każdej, choćby najgłupszej nowinki płynącej z Zachodu. Pierwotnie krąg liberalno-lewicowych intelektualistów czynił to w imię projektu stworzenia jakiejś polskości nowoczesnej, oświeconej i, cokolwiek by to miało znaczyć – „europejskiej”. Z czasem nic z tego nie zostało i cały przekaz elit poszedł w panświnizm w stylu Jerzego Urbana czy Janusza Palikota, napędzany emocją odrazy do polskości, odczuwanej jako uwięzienie w zacofaniu, religijnym zabobonie, obyczajowym zapóźnieniu i „patriarchalnej opresji”.

Długotrwały proces społeczny, którego opisywanie nie jest tutaj moją ambicją (zresztą sporo zawarte zostało w poprzednich, pisanych na bieżąco książkach), doprowadził w końcu do buntu przeciwko liberalno-lewicowej elicie, do odrzucenia jej autorytetów i dyskursu. Buntu wpisującego się zresztą w ogólniejszą, światową tendencję do wymawiania posłuchu „liberalistokracji” – jak pozwalam sobie nazywać „warstwę wyższą” ustroju zwanego liberalną demokracją i zdaniem jednego z jej hagiografów, z wolna

zapominanego już futurologa Francisa Fukuyamy, stanowiącego „koniec historii”, stan doskonały, którego poprawić się już nie da.

Politycznie skorzystał na tym buncie Jarosław Kaczyński.

Natomiast w sferze ducha, w tym, co będę w tej książce nazywał narodowym mentalem – powstała pustka.

„Było”, którego nie było

Obóz, który przejął władzę w przełomowym roku 2015, usiłuje zapełnić tę pustkę reanimowaniem romantycznych mitów. Nie jest to, niestety, żadna racjonalna polityka, tylko emocjonalne odruchy. Skoro michnikowszczyzna poniżała tradycję Armii Krajowej i Państwa Podziemnego, dla jej zakwestionowania i odreagowania rozbudowano kult tej beznadziejnej tragedii do rozmiarów momentu założycielskiego „czwartej RP”, tworząc absurdalne narracje, że „bez powstania nie byłoby Sierpnia”, i tym samym spychając na margines pamięci wielkie sukcesy Polaków w minionym stuleciu, czyli to właśnie, co nakazywałby umieścić w centrum historycznej narracji elementarny zdrowy rozsądek – jak uratowanie Polski i Europy przed bolszewizmem w roku 1920 i zainicjowanie destrukcji systemu sowieckiego w 1980.

Podobnie odruchowo, bez cienia refleksji odkurzono narrację międzywojennej propagandy o „ojcu Niepodległości” Józefie Piłsudskim, mniejsza o to, że opartą przez sanację na zwykłych kłamstwach i krzywdzącą prawdziwych bohaterów Niepodległości, represjonowanych potem czy nawet skrytobójczo mordowanych przez piłsudczyków – ale, przede wszystkim, nie mniej poniżającą Polaków i nie mniej tresującą ich w pedagogice wstydu jak odrzucana przez obóz patriotyczny narracja michnikowszczyzny.

Sanacyjna sitwa dla legitymizowania zamachu majowego i późniejszej dyktatury sfałszowała historię niepodległości Polski, przedstawiając krótkie rządy demokratyczne jako czas chaosu, bezkarnej, powszechnej korupcji i zdrady. Żywiołowa pogarda

herszta sanacji dla wszelkich próbujących go ograniczać praw i zasad, dla „konstytuty – prostytuty", „sejmowych zasrańców" etc. wymagała od jego akolitów i następców racjonalizującej narracji, a tej nie dało się sprokurować inaczej, niż wpisując Piłsudskiego w mit Cyncynata. Wywalczył niepodległość, a potem wycofał się w prywatność, do Sulejówka, i wcale nie chciał tego wszystkiego robić – wcale nie chciał obalać rządu, wprowadzać cenzury i masowej indoktrynacji, fałszować wyborów, nasyłać zbirów do łamania kości i skrytobójców, wtrącać oponentów, nawet tak dla Polski zasłużonych jak Wincenty Witos i Wojciech Korfanty, do więzień, obsadzać wszystkich stanowisk w państwie swoimi legionowymi trepami, a na koniec zbudować jedynego w dziejach polskiego obozu koncentracyjnego, w którym można było zamknąć i poddać męczarniom każdego bez żadnych sądów i wyroków, decyzją byle lokalnego urzędniczyny. Nie chciał, ale musiał.

A żeby musiał (w budowanym micie) musieć, Polacy musieli w tej opowieści zostać przedstawieni jako hałastra nieudaczników, organicznie niezdolnych nie tylko do odzyskania i obronienia niepodległości, ale i do jej zagospodarowania. Gdyby nie wszechmądry Wskrzesiciel Ojczyzny i Budowniczy Państwa Polskiego, Ojcowski Opiekun i Nauczyciel Polaków etc., etc., po prostu rozkradliby wszystko do imentu, pozagryzaliby się między sobą i zmarnowali podarowaną im przez geniusza z Zułowa wolność w ciągu kilku lat.

Nie miejsce tu, żeby unaoczniać Czytelnikowi, jak bardzo fałszywa to była narracja, jak bardzo krzywdząca dla pokolenia, które przed październikiem 1918 roku i po nim wykazało się fantastyczną organizacją, ofiarnością i polityczną mądrością, cnotami, których dziś, właśnie wskutek porażenia umysłów mentalem sanacyjnym, zupełnie sobie odmawiamy – zainteresowanym tymi sprawami polecam moje „Jakie piękne samobójstwo" i „Złowrogi cień Marszałka". Masowa eksterminacja narodu w latach trzydziestych i czterdziestych, okupacja sowiecka, stopniowo przechodząca w łagodniejszą formę protektoratu, utrata elit Niepodległej, wymordowanych, rozpędzonych po świecie i ostatecznie

zdeprawowanych przez PRL, która rozcieńczyła niedobitki w typowej elicie kolonialnej, jaką była partyjna nomenklatura i „inteligencja pracująca” – to wszystko nie dało szansy na zrewidowanie sanacyjnego mitu II RP. Przeciwnie, uwzniośliło go, immunizowało na krytykę i w chwili odzyskania suwerenności uczyniło tę fałszywą i szkodliwą wizję jedynym, narzucającym się wzorcem polskiej wolności i patriotyzmu.

Wizji „modernizacji przez kserokopiarkę”, wyznawanej przez obóz lewicowo-liberalny, pomagdalenkowy, który sam przypisuje sobie miano demokratycznego, obóz przeciwny, nazywany niezbyt celnie prawicowym, sam zaś określający się najchętniej mianem patriotycznego, nie umie więc skontrować wizją przeciwstawną.

Symbolem bezradności, bezprogramowości i intelektualnej jałowości środowisk liberalno-lewicowych stały się słowa wypowiedziane na jednej z pierwszych manifestacji Komitetu Obrony Demokracji przez Agnieszkę Holland: „walczymy o to, żeby znowu było tak, jak było”. Ten stan trwa niezmiennie od czasu podwójnego zwycięstwa wyborczego „sił patriotycznych” w roku 2015: „oświeceni”, wbrew fantastycznemu mniemaniu, jakie sami żywią o własnym intelektualnym potencjale, nie są w stanie niczego zanalizować, niczego zrozumieć i niczego Polakom zaproponować; potrafią się jedynie nie posiadać z oburzenia, dogadywać, straszyć, do czego to wszystko doprowadzi, i, przepraszam za jedynie adekwatne sformułowanie, pierdzieć na wargach na wszystkie deklarowane przez rządzących wartości.

Brak wizji alternatywnej dla wizji rządzących to dla państwa spory problem. Ale dużo większym problemem jest fakt, że wizja rządzących także ogranicza się do „żeby było, jak było”.

Nie jest to oczywiście to samo „było”. „Było” Platformy Obywatelskiej, schyłkowej „partii władzy bez władzy”, i jej lewicowych akolitów to „było” stosunkowo niedawne, z lat 1990–2015, konkretne – i dlatego zresztą jeszcze przez długi czas dla większości nieakceptowalne. To „było” państwa opierającego skromny dobrobyt i stabilizację na pieniądzach unijnych, podobnie jak czyniła to kilka dekad wcześniej PRL Gierka, „było” państwa

z dykty, pozorującego swe funkcje, a zarazem państwa drapieżcy, grabiącego na różne sposoby obywatelom ich zasoby i owoce pracy oraz pozwalającego uprzywilejowywanym elitom zamieniać je w mafijne latyfundia różnych politycznych, biznesowych i korporacyjnych sitw. Państwa z założenia tymczasowego, bo mającego się niebawem, w przekonaniu liberalno-lewicowych elit, roztopić w wielkiej, wspólnej Europie; więc z zasady nietworzącego żadnych wizji przyszłości, nieformułującego żadnych doktryn, bo to wszystko miało „zaimplantować" z europejskiej metropolii – metropolii będącej dla postkolonialnej elity III RP nową, wymarzoną ojczyzną, w której ona sama dostąpi zaszczytu roztopienia się w ponadnarodowej europejskiej liberalistokracji.

Natomiast „było", umownie mówiąc, pisowskie to wizja utraconego raju Polski niepodległej, która padła ofiarą zmowy Hitlera i Stalina, umęczonej i ukrzyżowanej, jakby z dopisywanego w przemówieniach „prawicowych" polityków trzeciego tomu Mickiewiczowskich „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego".

Niestety, „dobra zmiana" nie zdaje sobie sprawy, bo wymaga to intelektualnej pracy, której nie miał kto i kiedy dokonać, że ta arkadia, to „było", do którego odwołuje się intuicyjnie, w rzeczywistości nigdy nie istniało. Że to, co romantyczny patriotyzm bierze za odebraną nam przez wojnę i komunizm normalność, to tylko opowieść ku pokrzepieniu serc, stworzona przez poetów, dynamitardów i powstańców, przetworzona na koniec pod potrzeby oporu wobec brutalnego autorytaryzmu i skrajnie ufryzowana, upiększona w czasach narodowej smuty, by pomagała zachować wolę przetrwania.

Zupełnie jak w „Weselu" Wyspiańskiego. Gdy Poeta, porwany opowieścią zakutego w rycerską zbroję Zawiszy, zagląda zjawie pod przyłbicę – okazuje się, że nie ma tam niczego. W każdym razie żadnego „czym tobie być", które by się dało tak po prostu wziąć i zaimplementować we współczesności.

„Będzie”, którego nie będzie

Nie wszyscy jeszcze zauważyli, że gdzieś w okolicach roku 2015 dokonało się w Polsce coś znacznie bardziej brzemiennego w skutki niż zmiana władzy, niż nawet zakwestionowanie całej dotychczasowej, pomagdalenkowej hierarchii szacunku III RP i otwarcie drogi dla postulowanej „wymiany elit”. Otóż przede wszystkim – gdzieś w okolicach tej daty umarła w Polsce generalna, organizująca całe myślenie i debatę publiczną narracja. Czy zgoła – metanarracja. Super-ober-hiper odpowiedź, udzielana na wszelkie pojawiające się w pierwszym ćwierćwieczu niepodległości pytania przez wszelkie autorytety i siły polityczne od lewa do prawa. Na tyle łatwa do intuicyjnego uchwycenia, że rozgrzeszająca Polaków z braku wizji, przemyśleń, określania celów i wszelkich strategii.

Ta uniwersalna odpowiedź i nadwytyczna wszelkich działań była szalenie prosta i można ją streścić w kilku słowach: „ma być tak jak na Zachodzie”. Spory dotyczyły tylko tego, które konkretnie aspekty „zachodniości” należy implementować na początku, a do których „jeszcze nie dorośliśmy” – rzadziej tego, co jest w Zachodzie jego istotą, a co tylko powierzchowną modą. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Zachód to uniwersalny wzór, raj, do którego wystarczy się dostać, a tam już wszystko wiedzą, wszystko dawno temu wymyślili i na wszystko mają recepty.

A przede wszystkim – tam się żyje na bogato i beztrosko, więc za wierne implementowanie przysyłanych dyrektyw nagrodą będzie wytęskniona w czasach peerelowskiego biedowania konsumpcja. Kraj przetną szerokie autostrady, przy nich wyrosną piękne budowle, stadiony, akwaparki i hale widowiskowe – czarował w klipach wyborczych polityczny kalibabka Tusk, a jego partia obiecywała, że nie będzie, w przeciwieństwie do awanturnego Kaczyńskiego, ani zadzierać z Niemcami, ani drażnić Smoleńskiem Ruskich, z którymi Europa każe nam mieć prosto, i dzięki temu wyciągnie od Europy trzysta miliardów. A mając trzysta miliardów, nabuduje hipermarketów, w których będą trwały nieustające

promocje, pozwalające nabyć trzy w cenie dwóch i jeszcze z bonusem na następne zakupy.

Metanarracja zabiła jakiekolwiek strategiczne myślenie, snucie wizji, wszelkie debaty. Naszym celem stało się wejście do struktur zachodnich. A gdy już do nich weszliśmy – pozostanie w strukturach. Dostosowanie się do nich i jak najszersze otwarcie na wzorce państw struktury te tworzących.

Z głównych ulic polskich miast i miasteczek zniknęły warzywniaki i spożywcze, sklepiki z butami, tekstyliami, chemią gospodarczą – wszystko zepchnięte w zaułki i stopniowo likwidowane pod presją konkurencji wielkich marketów. Ich miejsce zajęły niezliczone kantorki bankowe, oferujące wszelkie możliwe formy kredytów pod każdy możliwy zastaw. I witryny z zaświadczającą status posiadacza elektroniką, szczególnie gadżetami do telefonów komórkowych. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych, u początków tego zachłyśnięcia, wylądowałem w USA, nie mogłem się nadziwić, że zacofani Amerykanie wciąż używają pagerów, przywołujących do telefonów stacjonarnych, a „komóry”, tam wciąż wielkie jak cegła, noszą tylko funkcjonariusze rządowi.

Nadwytyczna zaczęła się kruszyć po praktycznym zetknięciu z Zachodem – nie mitycznym Zachodem wyobrażanym sobie przez pokolenia wyrosłe w „prylu”, ale prawdziwym, codziennym, grzęznącym w kłopotach i idiotyzmach wcale nie ustępujących tym udokumentowanym w filmach Stanisława Barei.

Włączenie Polski do Unii Europejskiej dało skutek nieprzewidziany przez lewicowo-liberalny salon, który obdarzył ten projekt bezwarunkowym zachwytem i praktycznie nigdy – do momentu wydania tej książki w każdym razie – nie przyjął do wiadomości, że szerokie masy mogą nie być nim równie zachwycone jak on sam. W krótkim czasie każda polska rodzina, nawet z najmniejszego miasteczka, miała już kogoś w Anglii, Irlandii czy Niemczech – i, w przeciwieństwie do dawnych czasów, nie był to ktoś, kto pozostając „tam”, tracił kontakt z rodziną i mógł jej tylko przysyłać paczki. Dzięki telefonom, internetowym komunikatorom,

tanim liniom lotniczym „wyjechany” pozostawał w stałym kontakcie z rodziną i znajomymi. I opowiadał im, dajmy na to, że na jego londyńskim przedmieściu pojawił się „islamski patrol” i kobieta chodząca z odkrytą głową albo mężczyzna z piwem w ręku narażają się na ciężkie pobicie. Że kucharka, która przez omyłkę nałożyła muzułmańskiemu dziecku w szkole niewłaściwy posiłek, mimo iż nie podała mu tego nie-halal talerza, tylko natychmiast odłożyła na bok i nałożyła nowy, została za tę śmiertelną obrazę religii muzułmańskiej z punktu wyrzucona z pracy. Że zatrzymanie dziecka w domu w dniu, kiedy przedszkole odwiedzać mają zboczeni edukatorzy transwestyci, poskutkowało natychmiastową wizytą tajniaków i groźbą pozbawienia praw rodzicielskich...

„Ma być jak na Zachodzie” – co to teraz znaczy? Że polskie miasta mają płonąć jak francuskie, że Polki mają być gwałcone jak Szwedki, że mamy jak Niemcy bać się każdego wyjścia na ulicę, opanowaną przez kolorowe gangi z nożami i maczetami, że polski dziennikarz, który odważy się napisać szczerze to, co myśli bardzo wielu, ma być zaszczuwany i represjonowany jak Éric Zemmour? Że pielęgniarka, która na prośbę pacjenta obieca się za niego pomodlić, albo urzędniczka, która stwierdzi na Twitterze, że nie można być mężczyzną i kobietą jednocześnie, będą relegowane z pracy i skazywane, jak dzieje się to w kompletnie już oszalałej Wielkiej Brytanii?

Aż 70 procent ankietowanych Niemców przyznaje, że boi się publicznie wyrażać swój pogląd o tym, co dzieje się w państwie. Pracownicy naukowi protestują – słabo – przeciwko atmosferze zastraszenia i cenzurze ogarniającej uczelnie. Partia polityczna, która uzyskała w wolnych, demokratycznych wyborach poparcie 15 procent elektoratu, nie może działać, gdyż jest nie tylko odsunięta od jakichkolwiek stanowisk i funkcji w parlamencie, opluwana przez wszystkie media, poddane ścisłemu nadzorowi państwowego establishmentu, ale też, po raz pierwszy od lat trzydziestych, jej członkowie i sympatycy są regularnie atakowani i bici, wiece – rozbijane przemocą, a hotelarze czy restauratorzy, którzy zgodzą się udzielić jej sali, są zastraszani i prześladowani przez bojówkarzy,

działających z cichym przyzwoleniem władzy i policji. Tak ma być i u nas? W południowych krajach Unii Europejskiej do 40 procent ludzi przed trzydziestką nie ma pracy ani zdolności wzięcia kredytu, kupienia mieszkania – tak ma być i u nas?

Powiedzmy. A co dostaniemy w zamian? Dobrą ciocię, druha, uniwersalnego opiekuna, który w razie czego zajmie się nami, pomoże, nie da zginąć. Tak wierzono.

Za wcześnie jeszcze, by podsumowywać skutki szoku, jakim był triumfalny marsz przez świat chińskiego koronawirusa w pierwszej połowie roku 2020, ale co do jednego nikt nie miał od samego początku wątpliwości: Unia Europejska okazała się w tym momencie zupełnie bezużyteczna. Struktura, hojnie udzielająca w czasach dostatku dobrych rad, jak uporać się z problemami wydumanymi przez jej cokolwiek oderwane od prawdziwego życia elity, w chwili gdy pojawił się problem prawdziwy, po prostu jakby zniknęła. Niemcy, Włosi, Grecy, każdy został ze swoimi problemami sam, każdy usiłował je rozwiązać narzędziami państwa narodowego, w obrębie państwa narodowego i z narodowym egoizmem, wyrywając pozostałym maseczki ochronne, respiratory i inne nagle idące w cenę dobra. Wielkiej części naszych politycznych i opiniotwórczych elit nie wystarczyła lekcja „europejskiej solidarności", jaką były dwa kolejne Nord Streamy, które mogli Niemcy puścić stosunkowo tanio przez należące wszak do tej samej Unii kraje bałtyckie i Polskę, a woleli przepłacić cztero-, może nawet pięciokrotnie, by uzyskać narzędzie do energetycznego szantażu naszych krajów. Ale tego, co ujawnił koronawirus, ignorować się nie da.

Mityczny Zachód czy Europa pozostaje wciąż, owszem, miejscem, gdzie jest więcej pieniędzy, gdzie łatwiej się ustawić i jeśli unika się niebezpiecznych dzielnic i aktywności, łatwiej żyć. Ale nie jest już mitem, który imponuje. Nie jest już ową uniwersalną odpowiedzią i nadwytyczną. Kropla po kropli, wyjazd po wyjeździe, rozmowa po rozmowie zbierało się – aż czar prysł. A czar, kiedy raz pryśnie, to już nie wraca.

Droga ku Targowicy

Tak zwana klasa polityczna jeszcze tego nie zauważyła. Politycy i media obozu lewicowo-liberalnego wciąż tkwią głęboko w przekonaniu, że wystarczy Polaków postraszyć wyprowadzeniem z Europy czy choćby tylko obcięciem funduszy, a ci wygnają precz pisowców i z płaczem rzucą się na kolana, błagać pookrągłostołowe nomenklatury, by raczyły wrócić i osłonić nas przed prorokowanym gniewem unijnych komisji i trybunałów. Gdy to przekonanie zawiodło i straszenie wyrzuceniem nas z Unii nie zmieniło wyborczych preferencji, lewicowo-liberalna opozycja posunęła się na wybranej przed laty drodze dalej, przekraczając granicę, za którą niezgoda na kierunek rozwoju Polski zmieniła się w zdradę własnego państwa i narodu.

Myślę o uczynieniu przez opozycję osią jej politycznej idei i strategii uchwały trzech, wybranych arbitralnie przez prezes Małgorzatę Gersdorf, izb Sądu Najwyższego, której sensem było uznanie orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – we wszystkich dziedzinach, nie tylko tych wskazanych w podpisanych traktatach – za nadrzędne względem polskiej konstytucji i ustaw. Postulatem wyznawców starego porządku stało się de facto poddanie Polski kolonizacji. Ucywilizowanie „polskiego ciemnogrodu”, skoro ośmielił się zbuntować wobec miejscowej elity, poprzez objęcie protektoratem.

Trudno nawet mnie, uważnemu obserwatorowi polityki, stwierdzić, w którym momencie formacja lewicowo-liberalna straciła szansę zejścia z równi pochyłej. Po przegranych wyborach 2015 roku i utracie zarówno prezydentury, jak i parlamentu kolejną linią obrony starego porządku miał być Trybunał Konstytucyjny. Po jego utracie – już ostatnią – sądy powszechne. Te bowiem na mocy umowy Okrągłego Stołu stały się w III RP państwem w państwie.

Komuniści, zawierając z wybranymi przez siebie samych przedstawicielami „strony społecznej” (czyli z tak zwanym Komitetem Obywatelskim przy Przewodniczącym NSZZ

„Solidarność" Lechu Wałęsie – a Bogiem a prawdą, po prostu z nim samym) umowę o oddaniu władzy w zamian za pozostawienie im majątków i możliwości ich pomnażania w drodze wspomnianego już wyżej wielkiego szabru, jednak nie do końca partnerom dilu ufali. Dlatego sądownictwo uzyskało na wiele lat szczególne przywileje. Sędziowie odpowiadali tylko przed organami, które wybierali sami spośród siebie, i tylko te organy decydowały o przyjmowaniu do korporacji nowych sędziów oraz o awansach. Krajowa Rada Sądownictwa wskazywała prezesów sądów, ci wybierali Krajową Radę Sądownictwa, i to perpetuum mobile dawało sędziom praktyczną bezkarność nawet przy najbardziej bezprawnych działaniach i najbezczelniej niesprawiedliwym, czasem zgoła mafijnym orzekaniu. A dyrygowana przez Michnika propaganda osłaniała to wszystko, intensywnie wmawiając, że jakoby „wyroków sądu się nie komentuje".

Właśnie zawzięty opór korporacji sędziowskiej przed zmianą tego stanu rzeczy popchnął prawniczy establishment do rokoszu, którego istotą było odrzucenie konstytucji, zwłaszcza jej artykułów stanowiących, iż na terenie Polski jest ona najwyższym prawem, jak również potwierdzającego konsekwentnie tę zasadę orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego (z czasów, kiedy nie było w nim jeszcze żadnego rzekomego „dublera" z Prawa i Sprawiedliwości). Trzy izby SN orzekły, interpretując w mocno naciągany sposób odpowiedź TSUE na wcześniejsze pytanie prejudycjalne, że sądy polskie nie są polskie, ale „europejskie", sędziowie, choć znakiem ich funkcji są łańcuchy z godłem RP, nie są sędziami polskimi, ale „europejskimi", i w wypadku sprzeczności między prawem krajowym a wytycznymi przysłanymi z Unii Europejskiej mają kierować się tymi drugimi. Co ważne, orzeczenie to, które natychmiast stało się osią programu obozu „starego porządku" (po kilku latach szermowania hasłem „obrony konstytucji" i wypisywania tego słowa na sztandarach, koszulkach i szmatach nawlekanych na pomniki – samo w sobie było to niezłym popisem hipokryzji), poszło znacznie dalej nie tylko od uchwały TSUE, ale dalej, niż oczekiwał ktokolwiek w Brukseli.

Owszem, zarówno TSUE, jak też Komisja Europejska i Parlament Europejski od dawna starają się rozpychać w swoich kompetencjach ile tylko można ponad literę traktatów, kosztem rządów państw członkowskich – tych mniejszych i słabszych, oczywiście, bo tacy na przykład Niemcy dmuchać sobie w kaszę nie dają. Ideologiczną mantrą, powtarzaną podczas każdego kryzysu, uczyniono frazę, że na kłopoty Unii jedynym lekiem może być „pogłębienie integracji". Płynący z niej wprost postulat budowy na bazie dotychczasowej Unii europejskiego superpaństwa, „stanów zjednoczonych Europy" był wielokrotnie publicznie zgłaszany, z różną intensywnością – najdalej chyba poszedł lider niemieckich socjaldemokratów Martin Schulz, zapowiadając jego powstanie do roku 2025 i grożąc, że państwa, które się temu procesowi „pogłębionej integracji" nie poddadzą, zostaną „z Europy" wyrzucone. Ale niedługo potem został miażdżąco odrzucony przez niemieckich wyborców, możliwe, że właśnie dlatego.

Przekształcenie Europy w superpaństwo na wzór USA pozostaje więc wciąż luźną ideą, daleką od skonkretyzowania. A po kilku, powiedzmy, wierzgnięciach przeciwko „pogłębionej integracji", jak orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego Hiszpanii, który wprost odmówił wykonywania wyroków TSUE, czy jednoznaczne odrzucenie „nadrzędności prawa europejskiego nad krajowym" przez Niemcy, głoszący tę ideę eurokraci w swym rozpychaniu się ponad traktatowe kompetencje stali się pokorniejsi, czego dowodem była też odpowiedź TSUE na pytanie prejudycjalne polskiego Sądu Najwyższego w duchu: my, TSUE, nie mamy prawa wyrokować o legalności polskiej Izby Dyscyplinarnej, ale jako Sąd Najwyższy możecie to zrobić sami, co stanowiło dyskretną zachętę do złamania Konstytucji RP, rezerwującej to prawo dla Trybunału Konstytucyjnego; zachętę, z której Małgorzata Gersdorf i jej zbuntowani przeciwko Polsce sędziowie skwapliwie skorzystali. I w ten sposób, zanim jeszcze „stany zjednoczone Europy" powstały i zdołały na Polskę nacisnąć, jej zacietrzewiona opozycja sama z siebie wystąpiła z wiernopoddańczym adresem o gotowości

podporządkowania swojego kraju metropolii. „Przy Tobie, najjaśniejsza Unio, stoimy i stać chcemy...”

Nie przesadzam. Konstrukcja traktatów europejskich jest prosta: Unia to nie żadne superpaństwo, jak usiłuje wmówić Polakom obóz lewicowo-liberalny i postelita III RP, tylko organizacja międzynarodowa. W ramach tej organizacji państwa członkowskie, wciąż pozostające jej podmiotami, w określonych traktatami dziedzinach delegują na organa wspólnotowe swoje suwerenne kompetencje i zobowiązują się poddać ich wyrokom. Gdy więc na przykład TSUE orzeka o sposobie udzielania polskim przedsiębiorstwom subsydiów odpowiadających definicji „pomocy publicznej”, to podporządkowanie się takiemu wyrokowi, jako wynikające z umowy międzynarodowej ratyfikowanej przez Sejm RP, jest jak najbardziej z Konstytucją RP zgodne i nie narusza naszej suwerenności.

Jeśli jednak polscy politycy deklarują, że Polska pod ich rządami będzie podporządkowywać się także wyrokom dotyczącym dziedzin, w których nigdy się naszej suwerenności nie zrzekliśmy i nie scedowaliśmy tych kompetencji na organa UE żadną umową – na przykład dziedziny polskiego wymiaru sprawiedliwości – to logiczną konsekwencją tego jest całkowita utrata, na własne życzenie, niepodległości. Tak rozumiane bycie w Europie oznacza, że unijne organa mogą unieważnić każdą polską ustawę. Mogą nam nakazać uznawanie małżeństw jednopłciowych i homoadopcji, mogą nam zakazać hodowli zwierząt rzeźnych albo wydobycia węgla, używania w dokumentach i prawie rodzinnym określeń „ojciec” i „matka” albo jednym przepisem (na wzór osławionej „dyrektywy o pracownikach delegowanych”) pozbawić polskie przedsiębiorstwa konkurencyjności względem koncernów zachodnich.

Dodajmy, że z tym lizusowskim wiernopoddaństwem wobec eurokracji wyrwała się nasza „elita” akurat w momencie, gdy w kolejnych państwach europejskich coraz bardziej nasila się świadomość, że kosztująca europejskich podatników niewiarygodne sumy bizantyjska biurokracja i wpychające się w różne dziedziny życia, w które wpychać się żaden traktat prawa im nie daje, unijne

komisje, rady i trybunały w chwilach kryzysu okazują się zupełnie bezradne i niepotrzebne. Wtedy, czy to mowa o migrantach, czy o załamaniu giełd, czy epidemii, i tak każde państwo musi sobie radzić na własną rękę.

Dygresja o praworządności, „targowicy" i Targowicy

Europejskie państwo dla formacji Bronisława Geremka było marzeniem, szlachetnie naiwnym, o świecie bez granic, spojonym ideami wolności, równości i braterstwa. W działaniach formacji Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego to marzenie zdegenerowało się do rozpaczliwego sposobu odzyskania utraconych wpływów. Opcja odrzucająca niepodległość na rzecz nowej, europejskiej ojczyzny ze stolicą w Brukseli nie wynika z żadnej geopolitycznej czy historiozoficznej koncepcji, choć oczywiście próbuje takie pozory tworzyć. To tylko instynkt odzyskania utraconych latyfundiów – postelita, odtrącona przez wyborców, chce wrócić na dawne miejsca, tym razem w roli namiestników kolonizatora. Zważywszy na postkolonialny charakter elit III RP, o którym pisałem niezliczoną ilość razy, jest to dla niej naturalnym odruchem – cała ukształtowana została w przekonaniu, że tu jest dzicz, że cywilizację trzeba tu zaimportować, a rolą „oświeconych" jest właśnie tworzyć pas transmisyjny pomiędzy cywilizacją wyższą a tubylczą ciemnotą.

Popularne w dyskursie władzy porównanie polskich „brukselczyków" z konfederacją targowicką jest w tym kontekście w pełni uprawnione, acz, paradoksalnie, krzywdzące dla Targowicy. Uczyniona przez potomnych archetypem narodowej zdrady, była ona w istocie wykwitem przemijającej cywilizacji, nierozumiejącej procesu, który dokonał się w Rzeczypospolitej pomiędzy Collegium Nobilium a Sejmem Wielkim, ani będącej jego ukoronowaniem Konstytucji 3 maja.

Będę o tym pisał dalej, tu ograniczmy się tylko do faktu, że choć tam również wątek traconych przywilejów był istotnym motywem

działania, to taki Szczęsny Potocki, uważając się do końca życia za patriotę, nie był wcale hipokrytą. Miał, jakkolwiek szokująco to zabrzmi, nie mniejsze prawo myśleć o sobie w ten sposób niż Kościuszko. Tyle że wielki magnat był patriotą złotej wolności, niedostrzegającym, jak bardzo jest ona dla Rzeczypospolitej zgubna. Był także, w o wiele większym stopniu niż żebrzący dziś o obłożenie Polski unijnymi sankcjami europosłowie PO, PSL i Lewicy, obrońcą praworządności.

Formalnie rzecz biorąc, Konstytucja 3 maja była przecież zamachem stanu.

Formalnie rzecz biorąc, prawem Rzeczypospolitej Obojga Narodów pozostawała więc wciąż konstytucja wcześniejsza (nazywanie ustawy z 3 maja 1791 roku „pierwszą” polską konstytucją to jeden z wielu w naszej historiografii fałszów ku pokrzepieniu serc), zwana „prawami kardynalnymi”, która gwarantem całego porządku prawnego złotej wolności czyniła carycę Rosji. Zwrócenie się do Katarzyny II miało więc znacznie mocniejsze podstawy prawne niż dzisiejsze szukanie obrony przed „populistami” w TSUE i u Fransa Timmermansa.

Nawiasem mówiąc, to jeden z przykładów, że tak modne podczas opisywanego tu przesilenia pojęcie praworządności dla nas, Polaków, znaczy coś zupełnie innego niż dla krajów, które miały szczęście nigdy nie utracić wolności i ustanawiać prawa same dla siebie. U nas praworządność była albo sposobem utrzymywania nas w wiodącym do gnicia i zagłady państwa „imposybilizmie prawnym”, jak w przypadku wspomnianych praw kardynalnych, uświęcających liberum veto i tego typu urządzenia prawne, które narzuciła upadającej Rzeczypospolitej Obojga Narodów Rosja na sejmie nie przypadkiem zwanym przez historyków repninowskim – albo wręcz sposobem narzucenia rządów zaborczych, okupacyjnych. Wszystko, co dziś w naszej historii czcimy, było łamaniem praworządności, wszystko, co uważamy za opresję lub zdradę – jej przywracaniem.

Praworządna była Targowica i przywracający złotą wolność sejm grodzieński z 1793 roku, praworządny był zatwierdzony na tym

sejmie rozbiór kraju – niepraworządna była natomiast wzniecona przeciwko niemu insurekcja Kościuszki. Praworządne były decyzje kongresu wiedeńskiego, tworzące w 1815 roku, nawiasem mówiąc, też 3 maja, Królestwo Polskie, i władza nad nim cara Rosji, któremu praworządnie przekazali swoje prawa dynastyczne sascy Wettinowie, a niepraworządne było powstanie i detronizacja Mikołaja. I tak dalej, aż do czczonego dziś ponad rozsądek „bandyty z Bezdan”, z punktu widzenia praworządności będącego zwykłym terrorystą. A nawet jeszcze dalej, aż do „praworządnych” decyzji wielkiej trójki oddającej nas jako tak zwaną Polską Rzeczpospolitą Ludową pod okupację ZSSR.

Jeszcze jedna dygresja (osobista, ale krótka)

Przepraszam za tę dygresję, ale każe ona stale pamiętać, że prawo nie jest żadną wartością, jeśli – jak czynią to dziś, niekonsekwentnie zresztą i obłudnie, polskojęzyczni brukselczycy – sprowadzi się je tylko do literek i procedur, zapominając o tym, co Anglosasi nazywają „common law”, przez analogię do „common sense”, zdrowego rozsądku: o głębszym sensie wszystkich tych artykułów i paragrafów. Ujmując to łaciną, ponad lex, prawem spisanym, musi być ius – duch prawa. Duchem prawa polskiego jest i pozostanie, dopóki Polska istnieje, Niepodległość i Wolność, choćby nie wiem jakimi praworządnymi łamańcami uzasadniano, że „l’ordre règne à Varsovie”.

Nie ukrywam, że właśnie owo przekroczenie przez tylekroć zwalczaną moim piórem postnomenklaturową „elitę III RP” granicy narodowej zdrady, jaką jest postulat odrzucenia niepodległości Polski na rzecz przekształcenia nas li tylko w województwo w Unii Europejskiej, zmusiło mnie do przyśpieszenia pracy nad uściśleniem polskiego mentalu. Ale nie mniej wpłynęła na to także bezradność rządzących wobec tego aktu apostazji. I nie myślę tu o tym, że wobec dopuszczających się zdrady, podobnie jak wobec większości

targowiczan, nie wyciągnięto żadnych konsekwencji (przynajmniej do momentu posłania książki do druku), myślę tu o bezradności intelektualnej, niepozwalającej obozowi we własnym przekonaniu patriotycznemu na stwierdzenie, nawet na zauważenie, że sprawa naszej niepodległości dojrzewa do chwili prawdy i wyboru.

Jeśli bowiem wszystkich zawartych w powyższym rozdziale odwołań do moich wcześniejszych książek chce ktoś użyć do szyderstw i kpin (a nie mam wątpliwości, że tacy się znajdą), wyjaśniam, że w najmniejszym stopniu nie kieruje mną megalomania czy chęć powoływania się na siebie samego jak na autorytet. Bynajmniej, nikt lepiej ode mnie nie wie, w ilu sprawach się w ostatnich trzydziestu latach myliłem, ile razy, towarzysząc wydarzeniom na bieżąco bądź opierając się na niepełnych danych i niedoskonałych opracowaniach, oceniłem tego czy owego albo to czy tamto niesprawiedliwie. Ciągłą obecność moich starych książek na rynku usprawiedliwia tylko fakt (poza oczywiście istniejącym na nie wciąż popytem czytelniczym), że nigdy nie podawałem w nich niczego na wiarę, nigdy nie pisałem kazań ani objawień i zawsze miałem na celu przede wszystkim zachęcenie Czytelnika do samodzielnego przemyślenia poruszanych spraw oraz, poprzez przedstawienie maksymalnie rzeczowych i zdroworozsądkowych argumentów, do dyskusji.

Chcę jednak w tym wstępie mocno zaznaczyć, że książka, którą Państwu przedstawiam, rodziła się znacznie, znacznie dłużej, niż była pisana. Jest ona, nie zawaham się tak tego ująć, skutkiem mojego wieloletniego, praktycznie od pierwszych pisarskich prób, „chorowania na Polskę”, stałego zastanawiania się nad nią. Z drugiej strony jest ona także skutkiem bardzo konkretnego impulsu, który kazał mi zostawić na razie inne projekty i potraktować zebranie w jednym miejscu przemyśleń nad polskim mentalem jako sprawę szczególnie pilną.

Jedno, co warto

Cóż bowiem w odpowiedzi na działania „magnackiej opozycji”, pragnącej odzyskać utracone latyfundia dzięki eurocarycy, czynią politycy i media PiS?

Otóż politycy i media PiS wciąż za wskazane uważają zapewniać o nie mniejszym euroentuzjazmie po swojej stronie i wciąż za wystarczające uważają zapewnianie wyborców, że skierują wspólnotę europejską w stronę jakiejś „Europy Narodów”, czy też „Europy Ojczyzn”, które to hasła w konfrontacji z realnie zachodzącą ewolucją Unii brzmią coraz bardziej abstrakcyjnie, jeśli nie absurdalnie.

Nie ma już wspólnej Europy Roberta Schumana, którego proces beatyfikacyjny ugrzązł gdzieś w watykańskich biurkach – jest Europa komunisty Altiera Spinellego, gardząca dziedzictwem chrześcijańskim i fetująca rocznicę urodzin Karola Marksa. Oficjalna dewiza Unii „zjednoczeni w różnorodności” stała się żałosnym anachronizmem, bo od dawna, a co najmniej od traktatu lizbońskiego, cały wysiłek Unii idzie właśnie w jej unifikowanie pod każdym względem i w każdej dziedzinie. Opowiadanie sobie, że jesteśmy za Unią, tylko nie taką, jaka jest, ale za jakąś inną, taką, jaką byśmy chcieli, żeby była, i nieprzyjmowanie do wiadomości, że ona taka nie jest i być nie chce – to polityka bezmyślna.

Skądinąd, niestety – nasza polska specjalność.

Prawda, mamy też na polskiej scenie politycznej zadeklarowanych eurosceptyków. Tyle że ci, przyzwyczajeni do marginalizacji w jałowych protestach, pozostają na poziomie ogólnikowego odrzucenia całego projektu, bez poważnego zastanowienia się, kiedy i przede wszystkim jak się z niego ewentualnie wymiksować. Pryncypialny sprzeciw to oczywiście zawsze więcej niż nic. Ale, prawdę mówiąc, niewiele więcej.

A wszyscy wymienieni pozostają pod wrażeniem sondaży, w których – przy standardowych pytaniach: „czy jesteś zadowolony, że twój kraj jest w UE?”, „czy chciałbyś, żeby UE opuścił?” – Polacy wydają się najbardziej euroentuzjastycznym ze wszystkich europejskich społeczeństw.

Wyniki badań często jednak zależą od sposobu, w jaki sformułuje się pytanie. Krótko po brytyjskich wyborach parlamentarnych w 2019 roku, wygranych przez zwolenników brexitu, unijny urząd statystyczny Eurostat zrobił to nieco inaczej niż zwykle: „czy uważasz, że przyszłość twojego kraju będzie lepsza w Unii Europejskiej, czy poza nią?”. Ta prosta zmiana pokazała, że większość Polaków nie podziela wcale dogmatu liberalnej lewicy o tym, że Unia będzie istnieć zawsze i jedynym kierunkiem jej ewolucji jest stapianie się wszystkich państw członkowskich w jedno superpaństwo i jeden „europejski” naród. Aż 47 procent ankietowanych uznało, że w przyszłości lepiej byłoby dla Polski pozostawać poza Unią Europejską niż w niej, a przeciwne zdanie wyraziło 45 procent. Był to najbardziej „uniosceptyczny” wynik w badaniu, które objęło wszystkie kraje członkowskie.

Sprzeczność? Bynajmniej. Na teraz większość Polaków widzi w członkostwie więcej korzyści niż strat – ale też większość rozumie już, że Unia nie jest wcale, jak nam wmawiały naiwne bądź nieuczciwe elity, dobrą ciocią, która chce nas obdarować i ubogacić, niczego nie żądając w zamian. Że coraz bardziej bierze w niej górę pogarda dla krajów takich jak nasz, wyrażana frazesami o „wyższej kulturze demokratycznej” Zachodu, że obowiązuje w niej zasada „co wolno wojewodzie” i nikt nie będzie upominał Francji za regularne pogromy „żółtych kamizelek” ani Niemiec czy Hiszpanii za otwarte odrzucenie uroszczeń TSUE do nadrzędności jego orzeczeń nad prawem krajowym – natomiast z Polski robi się unijnego chłopca do bicia. Trudno nie podejrzewać, że te próby urządzenia nam naszego państwa po swojemu wynikają nie tylko z chęci okazania cywilizacyjnej wyższości, ale też z zamiaru zwykłego obrabowania nas z naszych zasobów i owoców pracy.

Mówiąc krótko – zwykły Polak już wyczuł, że prędzej czy później lepiej będzie się z tej Unii zabierać, przynajmniej jeżeli ogólny kierunek, w którym ona zmierza, nie ulegnie zasadniczej zmianie.

I w tym owi zwykli Polacy okazują się, ze swoim chłopskim zdrowym rozsądkiem, bardziej racjonalni od swoich przywódców. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz. Utkwił mi w pamięci

fragment wspomnień Stanisława Swianiewicza, ocalonego z Katynia, opisującego mocarstwowy obłęd elit II RP, zbudowany na przekonaniu, że jesteśmy militarnie silniejsi od Niemiec i że Sowiety są w stanie agonii, rozpadu, a poza tym zupełnie nieagresywne, bo „Rosja ma dość swoich ziem i więcej nie potrzebuje”. Myślę konkretnie o fragmencie, gdy kierowca, prosty człowiek, mówił wizytującym nadgraniczne tereny oficjelom, że bolszewicy szykują się do kolejnej wojny, szykują się do ataku na Polskę i że tu, przy granicy, wszyscy to wiedzą – a ci śmiali się lekceważąco.

Od trzydziestu lat cała wizja przyszłości Polski opierała się na „dołączeniu do Zachodu”. Jedni ciągnęli bardziej do Europy, drudzy bardziej do Ameryki, jedni pouczali, że nie wolno przy tym stawiać żadnych warunków, bo jesteśmy „brzydką panną bez posagu”, inni – żeśmy sroce spod ogona nie wypadli i będą nas musieli uszanować (choć gdy przychodziło co do czego, kończyło się to żałośnie – jak w przypadku rejterady śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego na unijnym szczycie, gdzie klepnięto traktat lizboński). Ale generalnie tkwimy od tych trzydziestu lat w głębokim poczuciu, że jesteśmy jako kraj światowym nieudacznikiem. Dla jednych – ofiarą historii, którą powinno się dla rekompensaty cierpień i z wdzięczności za wzięcie ich na siebie traktować w światowej polityce jako państwo szczególnej troski, dla innych – budzącym odrazę „zadufanym w sobie dziwadłem na peryferiach Europy” (Jarosław Kurski, wieczny p.o. naczelnego „Gazety Wyborczej”). Tak czy owak – my tu nic nie wymyślimy, do niczego się nie nadajemy, poza naśladowaniem innych względnie przyjmowaniem ich pomocy.

Owszem, Polak może być świetnym piłkarzem, ale kiedy gra w niemieckiej drużynie według wskazań niemieckiego trenera; owszem, możemy dokonywać wynalazków, nawet takich jak grafen, ale i tak patenty i technologie przejmą światowe koncerny; możemy wydawać znakomitych menadżerów, naukowców etc., ale nie będą oni pracować w polskich firmach ani na polskich uczelniach. Dopóki nie mamy poczucia własnej wartości, dopóki nie wiemy, na czym polega nasza odmienność i wyjątkowość, inaczej być nie może.

A, jako się rzekło, odzyskanie poczucia własnej wartości i wyjątkowości skutecznie nam uniemożliwiono, tak jak uniemożliwiono powszechne uwłaszczenia na kradzionym przez pół wieku przez socjalizm majątku narodowym.

W sumie przez cały ten czas dobrze nam z tym było: nie kombinować, nie wychylać się i naśladować. Ale teraz okazuje się, że już nie ma kogo naśladować, bo zachodnie wzorce w coraz bardziej oczywisty sposób się kompromitują. Chcemy czy nie – będziemy musieli wreszcie stać się sobą.

A skoro tak, najpierw warto się zastanowić: sobą – to znaczy kim?

2. Koniec końca historii

Proces integracji europejskiej, odkąd unijni ideolodzy zdradzili Schumana dla Spinellego, objął nie tylko ujednolicanie systemów prawnych, podatkowych czy struktur administracyjnych. Nie wyczerpuje go nawet próba narzucenia wszystkim Europejczykom, z poziomu nieodpowiadającej przed nikim poza sobą samą europejskiej centrali, tego, co w poszczególnych państwach uniemożliwiła czy bardzo utrudniła demokracja: ustroju idealnego, wypracowanego przez oświecone elity w duchu Marksowego „filozofowie, zamiast opisywać świat, muszą go zmieniać", przezwyciężającego definitywnie takie obciążenia przeszłości jak nacjonalizm, rasizm, wyzysk człowieka przez człowieka i nietolerancja.

Częścią integracji stało się także dążenie do ujednolicenia historii.

Jak we wszystkich innych dziedzinach integracji, i w tej nie poszło jednak tak, jak pójść miało. Tu i ówdzie wynegocjowano jakieś wspólne dla sąsiadujących krajów szkolne podręczniki historii, ale bodaj nigdzie ostatecznie ich nie wprowadzono. Dlaczego, łatwo podobno zrozumieć, zwiedzając oficjalne centrum unijnej polityki historycznej – wywalony w Brukseli za skromne pięćdziesiąt parę milionów euro Dom Historii Europejskiej. Opowieść o Europie, jaka wyłania się z długo, ciężko i kosztownie rodzonej ekspozycji, poraża stopniem infantylizacji, zanurzenia wszystkiego w politpoprawnym bełkocie i zinstrumentalizowania przeszłości pod potrzeby utopii „narodu europejskiego".

W tej ujednoliconej, trudno nie powiedzieć wręcz: zglajchszaltowanej wersji dziejów Europy wszystkie przeszłe zdarzenia poukładano i podretuszowano tak, by wiodły ku

logicznemu, koniecznemu ukoronowaniu: stworzeniu jednolitego państwa europejskiego pod zarządem nowej, lewicowo-liberalnej, ponadnarodowej warstwy wyższej, wspomnianej już liberalistokracji. A zdarzenia, które do tego nie pasowały – czyli większość – albo pominięto, albo bezczelnie sfałszowano.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to tylko śmieszne, jak przysłowiowe już normy krzywizny banana i inne wykwity radosnej twórczości unijnych urzędników. Ale dla nas ta narracja jest bardzo poniżająca i wbrew pozorom groteski – bardzo groźna. Tym groźniejsza, że jest ochoczo podchwytywana przez postkolonialną elitę III RP, dla której wprasowywanie historii Polski w historię zachodniej części kontynentu jest swoistą nobilitacją, włączeniem nas, dzikusów, choćby w roli zacofanych peryferii, w krwiobieg prawdziwej cywilizacji, do której elita owa tak usilnie aspiruje.

Unijna oficjalna narracja eurohistorii (nie trzeba się fatygować do Brukseli, muzeum można poznać także wirtualnie) zbudowana jest na prostym schemacie: było źle, potem lepiej, jest nieźle, a idzie ku dobremu. „Źle" i „dobrze" zdefiniowane jest oczywiście według zasad panującej ideologii. Było źle, gdy panował religijny, chrześcijański zabobon, z którego brały się patriarchalizm i klerykalizm, kolonializm, kapitalizm i wyzysk, prześladowanie kobiet i mniejszości seksualnych, a w końcu nacjonalizm z jego najwyższą, najbardziej skrajną odmianą – faszyzmem. Słowem – panowała w Europie nietolerancja. Doprowadziło to do licznych prześladowań i wojen, ukoronowanych arcyzbrodnią Shoah. W reakcji na te nieszczęścia przyszło jednak i stopniowo nabrało sił oświecenie, niesione przez intelektualistów i działaczy społecznych. Zrodzone z ich starań siły postępu w wielowiekowej dialektycznej walce z siłami reakcji ostatecznie zwyciężyły, jakkolwiek zwycięstwo ich wciąż nie jest jeszcze pełne, wymaga pogłębiania i stałej czujności wobec zagrożenia „populizmem", podkopującym pozycję światłych elit i przez to prowadzącym do odradzania się nietolerancji, nacjonalizmów etc.

Tako uczy nie tylko Dom Historii Europejskiej. Także dowolny wstępniak czy program telewizyjny, naukowe wykłady i sesje,

słowem, cała tworzona i kontrolowana przez europejską liberalistokrację, jak to nazywał jej ojciec założyciel, „nadbudowa”. Jedni w tę ideologię uwierzyli bądź zobaczyli w niej zysk i oddali się jej całym sercem, inni poszli z nią na zderzenie i zostali wypchnięci z głównego nurtu debaty publicznej, ośmieszeni bądź wręcz zniszczeni jako „faszyści”, większość, mało o „nadbudowę” dbając, przyjęła ją z dobrodziejstwem inwentarza europejskiej wspólnoty w kolejnych jej formach organizacyjnych, widząc w Unii przede wszystkim, jak to nazwał jeden z teoretyków, „supermarket Europa”. Organizację dystrybuującą dobrobyt, prawa i inne ogólnie pożądane dobra.

Supermarket w czasach Dreyfusa

Dopóki ten „supermarket Europa” funkcjonował zgodnie z oczekiwaniami, dając zachodnim społeczeństwom pół wieku pokoju i niesłychanego wzrostu zamożności oraz poczucia bezpieczeństwa, ideologiczna narracja warstwy rządzącej i jej narzucanie mało komu przeszkadzały. Dopiero gdy zadowolenie z zaopatrzenia, cen i poziomu obsługi spadło, zaczęto tę narrację kwestionować i szukać odmiennych.

Nawiasem mówiąc, proszę Państwa o zakarbowanie sobie w umyśle tej prawidłowości. Dopóki supermarket – dlatego cytowane porównanie wydaje mi się bardzo celne – ma na półkach wszystko, czego klienci oczekują, mało kogo obchodzi, czy praca jest w nim dobrze, czy źle zorganizowana i czy aby nie panuje tam chaos i marnotrawstwo. Ale kiedy zaczynają się kłopoty, nikt nie będzie skłonny dla jego ratowania do poświęceń.

Ponieważ Europejczycy szukają rady na swoje problemy głównie wśród tego, co europejska liberalistokracja uznała za definitywnie i nieodwołalnie wyrzucone na śmietnik historii, ta ostatnia popadła w stan przemieszanych frustracji, histerii i dekadencji. Daje to, nawiasem mówiąc, objawy niezwykle podobne do tego, jak

zachowywała się dawna rodowa arystokracja Starego Kontynentu u schyłku swej potęgi, kiedy to jej oraz porządkowi świata uznawanemu przez nią za ostateczny i jedyny możliwy (Fukuyama złudzenia końca historii naprawdę nie wymyślił) zaczęły wypowiadać posłuszeństwo społeczeństwa przeorane rewolucją przemysłową i różnymi „izmami”.

Coś z nastroju tamtego schyłku, poprzedniego fin de siècle’u przedziera się zresztą do świadomości, czy przynajmniej nastroju chwili, w której próbuję uporządkować dla moich Czytelników myślowy zamęt początku wieku XXI. Symboliczna i znacząca wydaje mi się skłonność do przywoływania przez liberalną postelitę zdarzenia, które stało się momentem założycielskim jej niegdysiejszej potęgi i tej Europy, która właśnie na naszych oczach przepoczwarza się w coś zupełnie innego: sprawy Dreyfusa.

Wracała do niej między innymi Anna Applebaum w bardzo charakterystycznym dla myślenia liberalistokratów artykule dla miesięcznika „The Atlantic”, po którym otrzymała odręczny list z gratulacjami od byłego prezydenta USA Baracka Obamy i z tą rekomendacją tekst ten ukazał się w magazynie „Gazety Wyborczej” (poświęciłem mu obszerną polemikę pt. „Bzdury, które zachwyciły Obamę” – oba teksty polecam Czytelnikowi, który chciałby ewentualnie wgłębić się w problem przemijania liberalistokracji i stosowanych przez nią strategii wyparcia rzeczywistości, bo tutaj nie będzie na to zbyt wiele miejsca). Dwa lata później zaś triumfował w kinach poświęcony właśnie Alfredowi Dreyfusowi – a raczej jego obrońcy Georges’owi Picquartowi – film Romana Polańskiego „Oficer i szpieg”. Ciekawe jest nie tyle to, że dostrzeżono podobieństwo tamtej sprawy do czasów dzisiejszych, ale to, że dostrzegający je zupełnie nie rozumieją, na czym to podobieństwo polega.

Wszyscy sprawę znają, ale na wszelki wypadek przypomnę: rzecz miała miejsce w ostatnim dziesięcioleciu wieku XIX we Francji, wciąż przeżywającej upokorzenie haniebną klęską w wojnie z Prusami i skutkami tej klęski – wymuszoną zgodą na zjednoczenie

Niemiec i koniecznością wypłacenia im wielomilionowej kontrybucji. Kształtował się już nowy układ sił w Europie, który dwie dekady później miał rzucić państwa i narody do samobójczej rzezi wojny światowej, i narastały sprzeczności interesów oraz emocje, które do tej rzezi ostatecznie doprowadziły. W takiej to atmosferze wywiad francuski przechwycił raport działającego w armii Republiki szpiega, przekazującego śmiertelnym wrogom jej strategiczne sekrety. O autorstwo szpiegowskiego donosu oskarżono kapitana artylerii Alfreda Dreyfusa, pośpiesznie go skazano, zdegradowano i wysłano do kolonii karnej w Gujanie, skąd mało kto powracał.

Szybko jednak wyszło na jaw, że dowody przeciwko Dreyfusowi zostały nieudolnie sfałszowane. I tu się zaczęła prawdziwa afera, bo próbę podważenia nieomylności sądu wojskowego, który skazał Dreyfusa, generalicja zaczęła zakrzykiwać, ogłaszając ją zdradą państwa, atakiem na najwyższe wartości i częścią wymierzonego we Francję spisku. Po czym zaczęła brnąć w ukręcanie sprawie łba tak fanatycznie, brutalnie i grubo, że z każdym miesiącem jej nieuczciwość stawała się coraz bardziej oczywista. Francja podzieliła się na dwa wzajemnie się nienawidzące obozy, jeden, umownie mówiąc, prawicowy, patriotyczny, wprzęgający w kłamstwo Boga, Ojczyznę, Honor i wszystkie najświętsze wartości – i drugi, liberalny, wszystkie te wartości odrzucający albo wręcz ich nienawidzący, mający jednak w tej akurat sprawie rozstrzygający atut: niewątpliwą niewinność swego męczennika.

Każdego, kto zapoznaje się dziś ze źródłami z epoki, uderza poziom emocji, jakie towarzyszyły tej sprawie, i siła, z jaką cała oficjalna Francja, cała jej elita, z mocnymi wyrazami wsparcia i solidarności analogicznych elit europejskich, odmawiała przyjęcia do wiadomości oczywistych dowodów, że Dreyfus został wrobiony przez swych dowódców. Francja „prawicowa”, zamiast w merytorycznym sporze przyjąć do wiadomości fakty, rozpętała ogromną nagonkę na Żydów, tworząc bezprecedensowe wizje ich demonicznego spisku przeciwko zachodniej cywilizacji i agregując histeryczną nienawiść wobec Żydów do poziomu, do którego nie

doskoczył już potem nikt poza narodowosocjalistycznymi Niemcami – z chuligańskimi bijatykami na ulicach i fizycznymi zamachami na „dreyfusistów” włącznie. Zajadłość antydreyfusowskich emocji szła tak daleko, że nawet kiedy już wszystko było jasne, bezpośredni sprawca sfabrykowania dowodów przeciwko Dreyfusowi przyznał się i popełnił samobójstwo, ujawniono tożsamość prawdziwego szpiega i publicznie znany był fakt jego przyznania się do winy – sąd, kierując się „honorem armii”, nie zdobył się na uznanie skazania Dreyfusa za niesłuszne, a jedynie „zwolnił go z odbywania kary”. Na pełną rehabilitację musiał nieszczęsny kapitan czekać jeszcze pięć lat.

Nie wiem, jak to odbierają inni, ale ja miałem silne skojarzenie z podobnie intensywnym wybuchem wzajemnej nienawiści między Polakami od Tuska a Polakami od Kaczyńskiego po tragedii w Smoleńsku, kiedy ci pierwsi starali się jak najszybciej zadeptać żałobę, wbrew wszelkim faktom, logice i w pogardzie dla elementarnej przyzwoitości wmawiając sobie i wszystkim wokół, że ofiary tej tragedii same sobie były winne i zasłużyły na swój los, a drudzy kreowali je na „poległych w Smoleńsku” świętych męczenników, podnosząc wypadek lotniczy do rangi „drugiego Katynia”.

Nie o to skojarzenie, trafne czy nie, chodzi mi jednak w tej dygresji. Istotą sprawy Dreyfusa, wbrew legendzie, jaką zbudowały liberalno-lewicowe salony, nie był wcale antysemityzm. Owszem, fakt, że Dreyfus był przechrzczonym Żydem, na dodatek z Lotaryngii, czynił z niego bardzo wygodnego dla generałów i ministra wojny kozła ofiarnego. Ale dopóki nie potrzebowali oni takiego kozła, nikomu żydostwo Dreyfusa ani wielu innych oficerów nie przeszkadzało (zresztą nawet w szczycie antysemickiej propagandy nie próbowano w armii żadnych czystek w rodzaju tych, jakie w okolicach roku 1968 przeprowadzono w Ludowym Wojsku Polskim, czyli siłach zbrojnych PRL). Skupiając się na podłości antysemitów, nie wyjaśnia też w żaden sposób liberalna narracja, dlaczego to właśnie u schyłku wieku umowna prawica przystąpiła do antysemickiej ofensywy, a nie, dajmy na to, po aferze

panamskiej albo po którymś z głośnych krachów giełdowych, gdy przypisanie winy knowaniom Żydów i rozprawienie się z nimi byłoby dużo łatwiejsze niż na bazie chwiejnych oskarżeń przeciwko Dreyfusowi.

Patrząc od strony prześladowców Dreyfusa i inicjatorów mającej zdyskredytować jego obrońców żydofobicznej histerii, cała sprawa była rozpaczliwą improwizacją. I w najmniejszym stopniu nie szło w niej o Żydów, liberałów, anarchistów ani innych odwiecznych wrogów. Szło o rzeczywistego autora przechwyconego szpiegowskiego memoriału, prawdziwego szpiega, którego za wszelką cenę należało ochronić, i z tego właśnie powodu zwalono winę na Bogu ducha winnego Żyda.

To zaś, że trzeba go było ochronić za cenę każdej możliwej podłości, nie wynikało wbrew pozorom z układów personalnych. Nic nie wiadomo o tym, aby miał on jakieś szczególne znajomości, protektorów, wydaje się nawet, że nie był w kręgach wojskowych szczególnie lubiany. Ranga całej sprawy, która przeorała Francję i Europę, wynika jednak właśnie z tego, że Dreyfusa chciano zniszczyć nie dla banalnej ochrony umoczonego kumpla, ale w imię Najwyższej Racji: ochrony chwiejącego się w posadach Ładu. Porządku, na którym trzymała się cywilizacja i którego załamanie oznaczałoby dla elit Europy XIX wieku katastrofę, niosącą światu najgorsze skutki. Która to katastrofa zresztą nastąpiła i rzeczywiście przyniosła Europie, a zwłaszcza jej elitom straszne skutki. Tylko że stało się to w dużym stopniu z ich własnej winy.

Prawdziwym szpiegiem, za którego winy skazano Dreyfusa, był bowiem niejaki Charles Marie Ferdinand Walsin Esterhazy. Jak można się domyślić po samym nazwisku – najczystszej błękitnej krwi. Syn generała, potomek rozgałęzionego arystokratycznego rodu, spokrewnionego i spowinowaconego ze wszystkimi największymi klanami i dynastiami. Nie można było przyznać, że zdrajcą mógł być ktoś taki. Tym bardziej że gdyby przyznano, rozbezczelnieni pismacy i pozostająca pod ich wpływem „opinia publiczna” – nowi, pogardzani, ale coraz groźniejsi uczestnicy życia publicznego – nie zadowoliliby się oficjalnymi komunikatami, ale

zaczęliby drążyć: jak to możliwe, że ktoś taki, tak wysoko postawiony, tak dobrze urodzony i wychowany w tak znakomitym domu, dopuścił się tak odrażającej zbrodni?

To nieuchronnie musiałoby doprowadzić do ujawnienia tajemnicy jeszcze straszniejszej: dopuścił się jej, bo niemiecki wywiad wykorzystał fakt, iż hrabia Esterhazy był nałogowym alkoholikiem, wiecznie pogrążonym w długach hazardzistą, a na dodatek – rzecz zupełnie już horrendalna – pederastą.

Może Państwo mi nie uwierzą, ale były czasy, kiedy zasada „noblesse oblige”, „szlachectwo zobowiązuje”, była traktowana najzupełniej poważnie. Cały porządek świata opierał się na wierze, że ludzie zajmujący szczyty społecznej hierarchii nie cieszą się swymi przywilejami bezpodstawnie, ale zasługują na nie, ponieważ są mądrzejsi, bardziej moralni, pod każdym względem lepiej przygotowani, by przewodzić społeczeństwu i stanowić wzór do naśladowania. W swych pałacach, eleganckich gabinetach i na dworach pełnią nieustającą służbę, opiekując się warstwami niższymi.

Wiara taka była niezbędna do funkcjonowania tradycyjnego porządku – porządku patriarchalnego (we właściwym, niepokręconym przez dzisiejszy feminizm sensie tego słowa). Gdyby okazało się, że taki arystokrata i wysoki oficer jak Esterhazy może w istocie być zwykłym degeneratem, niepotępionym za to i nieodrzuconym przez swoje sfery – do czegóż by to doprowadziło?! Nawiasem mówiąc, to zdanie często pada w zabawnym brytyjskim sitcomie „Pan wzywał, milordzie?”, który w lekkiej formie doskonale pokazuje upadek tamtego świata i systemu wartości, choć umieszczony jest w czasach nieco późniejszych.

Francuscy generałowie nie byli jedynymi, którzy poddali się instynktowi każącemu im wściekle iść w zaparte w imię ochrony panującego porządku. Niewiele później podobny problem mieli też obrońcy cesarstwa Austro-Węgier, gdy odkryli, że jeden z najważniejszych oficerów wywiadu, pułkownik Alfred Redl, jest szpiegiem rosyjskim, zwerbowanym, podobnie jak Esterhazy, za sprawą karcianych długów i upodobania do chłopców. Mimo iż

działo się to w czasie, gdy Dreyfus został już uniewinniony, odznaczony i ponownie przyjęty do armii, a nawet zdążył sam ją opuścić, cesarsko-królewscy oficerowie okazali się odporni na nauki płynące z głośnej w całej Europie sprawy. Sprzyjał im fakt, że w przeciwieństwie do Esterhazyego Redl zgodził się strzelić sobie w łeb, co pozwoliło utrzymać sprawę w sekrecie. Skutkiem utrzymania jej w sekrecie było jednak zupełne przejście do porządku dziennego nad faktem, że wszystkie sekrety austro-węgierskiej armii, włącznie ze szczegółowymi planami przyszłej wojny, są doskonale znane Rosjanom. W efekcie cesarstwo poniosło w roku 1914 i 1915 tak wielkie klęski, że jego armia praktycznie przestała istnieć, zastąpiona przez szwejkowską cywilbandę, naprędce skleconą ze służb tyłowych i zdemoralizowanego klęską świeżego rekruta.

Czyli, podobnie jak we Francji, utajnianie prawdy, która mogła zagrozić porządkowi państwa, okazało się dla tego państwa dużo bardziej zgubne, niż mogłyby być skutki jej ujawnienia.

Bolek po raz pierwszy

Mamy i my rodzimy, prawie współczesny przykład bardzo podobny – wypieranie przez miejscową, nadwiślańską odmianę liberalistokracji prawdy o agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy. Sławomir Cenckiewicz, który pierwszy dodał dwa do dwóch i przedstawił oczywiste, choć wtedy jeszcze tylko pośrednie dowody, że „najbardziej zasłużony z Polaków” w latach 1970–1974 donosił na kolegów ze stoczni jako TW Bolek, miał może więcej szczęścia niż Emil Zola, który za sławny artykuł „Oskarżam”, zawierający czystą prawdę, dostał rok więzienia (a są i tacy, którzy twierdzą, że jego śmierć również nie była przypadkowa). Ale jaka była furia i nienawiść, która spadła na niego ze strony establishmentu III RP, pamiętać może tylko ten, kto na bieżąco obcował z ówczesną telewizją. Analizie archiwów dokonanej przez Cenckiewicza

towarzyszyło udokumentowanie przez Piotra Gontarczyka działań Wałęsy już jako prezydenta, kiedy to niszczył on wszelkie ślady swojej przeszłości, wykorzystując do tego nielegalnie służby specjalne państwa, co samo w sobie było wystarczającym dowodem winy. Ich publikacja nie spotkała się z żadną merytoryczną krytyką – jedynie z głośnym „jak można!”, lawiną obelg, szykanami, śledztwami prokuratorskimi i napuszonymi mowami o tym, jak wielki i wspaniały jest Wałęsa, a jak mali i podli jacyś „nienawistnicy” ośmielający się go opluwać. Innego z biografów Wałęsy, Pawła Zyzaka, na pewien czas wyszczuto z Polski, grożono „zweryfikowaniem” jego stopnia naukowego. W obronie Wałęsy pisano listy otwarte, apelowano, urządzano demonstracje.

A przecież wszyscy uczestnicy tych działań doskonale wiedzieli, że Cenckiewicz, Gontarczyk i Zyzak napisali prawdę. Do kapowania na kolegów Wałęsa był zmuszony przyznać się jeszcze przed rokiem 1980 w gronie Wolnych Związków Zawodowych, a pierwszym politykiem, który wyciągnął to przeciwko niemu, był nie kto inny, tylko Jacek Kuroń, domagający się we wrześniu 1980 roku usunięcia Wałęsy z kierownictwa rodzącej się Solidarności. Było to w środowisku dawnej opozycji wszystkim wiadome. Miotając gromy na demaskatorów, jednocześnie liderzy kampanii „w obronie Wałęsy” nie ukrywali nawet, że „coś tam owszem, kiedy był młody” i że nie chodzi o fakty, tylko o to, iż nie każdy ma prawo o tych faktach wiedzieć i je oceniać. Gdy wyszło na jaw, że jeden z „autorytetów moralnych” lewicowo-liberalnego salonu Günter Grass służył za młodu w SS, i Wałęsa odważył się mieć w tej sprawie inne od jedynie słusznego zdanie, Adam Michnik publicznie zrugał go, że nie powinien pisarza krytykować, bo sam ma w młodości hańbiący epizod. Czytały to setki tysięcy ludzi, bo „Gazeta Wyborcza” miała jeszcze wtedy wielki nakład, i nikt nie zapytał, o jaki epizod chodzi, bo wszyscy wiedzieli – wiedząc zarazem, że niczego haniebnego w przeszłości Wałęsy nie było i nie ma. I nawet ta sama Agora, która najgoręcej kibicowała zmyślającemu coraz to nowe samousprawiedliwienia Wałęsie i tworzącym jego zakłamaną legendę artystom, wydała książkę o prałacie Henryku Jankowskim,

w której osoba TW Bolka wskazana jest jednoznacznie, po sławnym nazwisku.

Czym różniła się zajadłość takiego Édouarda Drumonta, czołowego lidera opinii francuskich elit schyłku wieku XIX, gdy gromił spiski „przebiegłych Żydów” stojących za Dreyfusem, wiedząc o jego niewinności – od prominentnej bywalczyni salonów III RP Moniki Olejnik, która piszącym prawdę o Wałęsie historykom ubliżała, że są „gorsi od faszystów”, choć wcześniej to właśnie u niej w programie sam Wałęsa się wysypał, że był tym Bolkiem, oczywiście obudowując to kolejnymi z nieprzebranego repertuaru swych kłamliwych samousprawiedliwień? Tylko czasem i miejscem.

Przyczyna podłości była ta sama: strach przed naruszeniem mitu sankcjonującego hierarchię społeczną. Jeśli arystokrata najczystszej krwi jest degeneratem, zdrajcą, pederastą, pijakiem i hazardzistą, a jeszcze inni arystokraci, generalicja, cała elita Republiki bronią go, zamiast potępić, to znaczy, że ustrój przegnił do cna i trzeba go zmienić – że ci wszyscy wywrotowcy, socjaliści, anarchiści, którymi codziennie straszy oficjalny dyskurs, mają rację. Jeśli sam Wałęsa, wykreowany na cały świat na największego bohatera Solidarności, Sierpnia ’80 i bezkrwawej rewolucji, był kapusiem, trzymanym przez komunistów na teczkowym haku – to cała III RP okazuje się jednym wielkim pozorem, skutkiem umowy zawartej przez bezpiekę ze swoim własnym agentem, jednym wielkim oszustwem, i rację mają „oszołomy”, „pisowcy” i faszyści, którzy tak właśnie od dawna twierdzą.

„Do czego by to doprowadziło!”

Świat liberalistokracji

Gdyby hrabia Esterhazy dopuścił się swoich świństw o wiek wcześniej, gdy tradycyjny, oparty na hierarchii urodzenia porządek trzymał się jeszcze mocno, nic by go przed zasłużoną karą nie uchroniło. Ale gdy ten porządek się chwiał, tracił legitymizację,

podkopywany codziennie przez nową klasę, burżuazję, przez wymuszoną rosnącą siłą tej klasy demokrację i stworzone przez nią masowe media – instynkt rozpaczy arystokracji z urodzenia nakazywał pójście w zaparte, co oczywiście finalnie skończyło się totalną kompromitacją wartości starego porządku. A dziś? Obiecany „koniec historii" okazał się fikcją, porządek świata jest podkopywany, odrzucany przez wyborców, kwestionowany przez „populistów", którzy coraz częściej wygrywają, wiara, na której wszystko to się trzymało, wygasa – instynkt rozpaczy arystokracji z wykształcenia jest taki sam, takie samo jest wypieranie rzeczywistości i inne reakcje.

Wobec takich emocji prawda musi ustąpić, liczą się tylko narracje. I tu skończmy dygresję o Dreyfusie (przekonam jeszcze Państwa, mam nadzieję, że istotną dla całości naszych rozważań). Oto mamy szczególną, polską odmianę europejskiej liberalistokracji, powstałą z postkolonialnej, nomenklaturowej elity PRL, przetworzonej w jeszcze nowszą klasę – nazw używałem w swojej publicystyce wielu, usiłujących ją opisać jak najtrafniej, bo najczęściej używane w bieżącej politycznej przepychance słowo „elity" niczego nie wyjaśnia i nie opisuje, a nawet wprowadza w błąd, sugerując, że chodzi o warstwę „tych lepszych", gdy w istocie chodzi o warstwę „tych, którzy zarządzają" różnymi dziedzinami życia publicznego.

Żeby długo się nie rozwodzić, za cechę główną, konstytutywną liberalistokracji zarówno w Europie i USA, jak też u nas uważam jej najgłębsze przeświadczenie, że tylko ludzie wywodzący się z tej warstwy, uważani w niej za swoich, jako „oświeceni" (w III RP wyrażano to eufemistycznie: „ludzie na pewnym poziomie"), mają prawo do pełnienia elitarnych funkcji, do wspomnianego przed chwilą zarządzania życiem publicznym. Są nie tylko oświeceni, „enlightened", ale także – nieprzetłumaczalne słowo, oznaczające „posiadających tytuł" (w sensie: uprawnienie) – „entitled".

Ów „tytuł" do przewodzenia reszcie, na który kładzie nacisk angielskie słowo, wynikać miał z przewagi nie tylko intelektualnej, ale także moralnej. Na pewnych przykładach można to było dobrze obserwować już w czasach wcześniejszych, gdy jeszcze poczucie

„końca historii” miało się jak najlepiej – takim przykładem była choćby kara śmierci. Mimo że w niemal wszystkich demokratycznych krajach zdecydowana większość społeczeństwa opowiadała się za jej stosowaniem, to elity, choć głosiły pochwałę rządów większości, jak zwykle wiedziały lepiej niż większość. I nie tylko likwidowały ten najskuteczniejszy instrument prewencji w swoich krajach, ale nawet, w przypadku wspólnoty europejskiej, uczyniły z likwidowania kary śmierci przedmiot swoistego eksportu moralności, uzależniając od abolicji nawiązywanie z różnymi krajami stosunków handlowych i politycznych.

Podobnie jak dla dawnej arystokracji rodowej, świat dzieli się dla liberalistokratów na ludzi z towarzystwa i ludzi drugiego sortu. „Entitled” są tylko ci pierwsi. Mogą najwyżej na kogoś spoza towarzystwa ten swój „tytuł” scedować – w czasach dawniejszych też zdarzało się warstwom wyższym tolerować wybranego parweniusza, mógł on nawet stać się dla elit towarzyską atrakcją, jak Nikodem Dyzma z bezlitosnej przedwojennej satyry Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. W III RP pełnili taką rolę autoryzowani przez salony niektórzy robotniczy działacze Solidarności, którzy poddali się czarowi elity, przyjęli obowiązujące w niej zasady i dostąpili awansu.

Jednak to, żeby istotne stanowisko, a już zwłaszcza – realną władzę przejęli ludzie, którzy do towarzystwa nie należą, są przez nie jednoznacznie odrzucani albo zgoła skłóceni z nim, po prostu nie może mieć miejsca. Jest to dla warstwy rządzącej liberalną demokracją naruszeniem porządku, nie tylko politycznego, ustrojowego, ale też stojącego ponad nimi porządku moralnego. Demokracja polega na tym, że większość wybiera władzę oświeconą, mądrą, „na pewnym poziomie”. Jeśli głosująca większość taką władzę odrzuca na rzecz nieoświeconej i nieposiadającej tytułu do rządzenia, to już nie jest demokracja, tylko „populizm”. A co najmniej jest to „demokracja nieliberalna”, czyli właściwie rodzaj „autorytaryzmu”, „faszyzmu” – które to słowa w dyskursie salonów dawno już zostały oderwane od konkretnego znaczenia i są po prostu obelgami miotanymi na tych spoza towarzystwa.

Szok współczesności

To nie jest z mojej strony żadna publicystyczna przesada, koloryzowanie – każdy, kto przyjrzy się uważnie reakcjom zasiedziałych elit na sukcesy Jarosława Kaczyńskiego w Polsce, Donalda Trumpa w Ameryce czy Matteo Salviniego we Włoszech, musi przyznać, że reakcje te mają charakter szoku i że przyczyną tego szoku jest właśnie naruszenie jedynie możliwego porządku świata. Wściekłość, obelgi, otwarte wymawianie posłuszeństwa zasadom demokracji, szczególnie groteskowe w sytuacji, gdy właśnie demokracja jest bożkiem i fetyszem z najwyżej trzymanych sztandarów „sił demokratycznych", ze skłonnością do stabilizowania się w cyklu maniakalno-depresyjnym, z naprzemiennymi fazami: „PiS się boi, jest skończony, ich już nie ma, zaraz wyjdą na ulicę miliony i oni będą z okien skakać" oraz „musimy przegrać, bo jesteśmy dla tej hołoty za dobrzy, zbyt szlachetni, próbujemy mówić do nich językiem wartości i mądrości, a oni chcą tylko przeżerać 500 plus i słuchać disco polo".

Poczucie kastowej wyższości, wręcz, mówiąc językiem psychologii, „urojenie wyższościowe" lewicowo-liberalnej elity, czyni ją niezdolną do realistycznej oceny zdarzeń, zdiagnozowania sytuacji – a tym bardziej do rozwiązywania problemów. Wszelka próba diagnozy, pod groźą apriorycznego odrzucenia przez lepsze towarzystwo, musi bowiem przede wszystkim utwierdzać diagnozujących w przekonaniu o swojej wyższości nad niewdzięcznym społeczeństwem i nad tymi, którzy odebrali im „rząd dusz". A co najmniej być z tym poczuciem niesprzeczna.

I tak na przykład horrendalne, niewyobrażalne naruszenie moralnego porządku świata, jakim dla liberalistokracji amerykańskiej było wyborcze zwycięstwo Trumpa, mimo jednoznacznego ogłoszenia go przez salony „rasistą", „faszystą", „agentem Putina" etc., nie doczekało się diagnozy ze zdroworozsądkowego punktu widzenia najoczywistszej – że dotychczasowe elity straciły posłuch, bo skompromitowały się były

w oczach wyborców, na przykład tym, że doprowadziły do krachu finansowego.

Liczne autorytety „warstwy wyższej", profesorowie, nobliści i inni przedstawiciele elit zachęcali do inwestowania w nieruchomości i kredyty subprime, zaręczając całą swą gravitas, że to bezpieczne i zyskowne. Rządzący zbudowali za pieniądze podatników i objęli rządową ochroną fundusze inwestycyjne Fannie Mae i Freddie Mac, które jeśli nie spowodowały krachu, to spotęgowały go do rozmiarów wielkiej katastrofy, pochłaniającej oszczędności życia wielu zwykłych, słabo i średnio sytuowanych rodzin. A kiedy już się zawaliło, te same liberalno-demokratyczne oświecone elity wymyśliły taką metodę wychodzenia z kryzysu, że podczas gdy prości obywatele stracili wszystko, banki, i tak już upasione do obrzydliwości, w nagrodę za swą nieokiełzaną chciwość dostały ze środków publicznych rekompensaty, za które zarządy i prezesi wypłacili sobie dodatkowe nagrody.

Mędrcy z amerykańskich elit, chorych z frustracji i nienawiści do Trumpa, nie biorą w ogóle pod uwagę, żeby mogło to mieć cokolwiek wspólnego z wielką obsuwą. Zupełnie nie przychodzi im do głowy, że wbrew głoszonym demokratycznym hasłom w swoim poczuciu wyższości oderwali się kompletnie od wyborców, czego konkretnym amerykańskim przejawem było wmuszenie Partii Demokratycznej przez jej polityczno-medialny establishment najbardziej niewybieralnej kandydatki, jaką można było sobie wyobrazić, bodaj czy nie jedynej, która musiała przegrać z każdym. A już pomyśleć, że ogłuszani wrzaskiem autorytetów i terroryzowani publicznym linczowaniem „negacjonistów" wyborcy po prostu nie chcą ponosić niebagatelnych kosztów walki z globalnym ociepleniem, którego nie odczuwają, nie wierzą w nie i uważają za jaśniepańską fanaberię (słusznie zresztą), albo że mają dość dławienia ich wolności narzucaną przez elity polityczną poprawnością – to w ogóle mowy nie ma. To wszystko przecież wytłumaczyły masom autorytety, więc jak mogłaby ciemnota się im nie podporządkowywać?

Autorytety na krawędzi załamania nerwowego

Autorytety – to bodaj najważniejsze pojęcie dla liberalistokracji, która sama jest zbiorowym autorytetem i polega na swojej sile imponowania. Niebezpodstawnie, bo kiedyś rzeczywiście imponowała; dopóki firmowany przez nią „supermarket” dostarczał oczekiwanych dóbr, aspirujące do awansu warstwy niższe słuchały jej, naśladowały, podchwytywały płynące z góry mądrości i wskazania. Ale teraz przestały. I jedynym dopuszczalnym na salonach wyjaśnieniem tej sytuacji jest stwierdzenie, że to z masami coś się porobiło nie tak.

Wiedzie to do diagnoz prostych jak cios cepem – i nie ma tu różnicy, czy szukamy ich w odpowiedziach celebrytek w serwisie Pudelek, czy w wykładzie laureatki literackiego Nobla, czy w niezmiernie uczonych wywodach, które zachwyciły Baracka Obamę, zawsze są takie same. Ludzie przestali nas słuchać, bo opętali ich „populiści”. Bo ktoś tam wpuścił do netu kłamstwo, jakoby Obama urodził się w Afryce i żeby w ogóle móc kandydować, sfałszował swoją metrykę urodzenia. Bo Putin mu pomógł, bo Cambridge Analytica sprofilowała wyborców (gdyby sprofilowała ich w służbie oświeconych, byłoby to jeszcze jednym dowodem ich wyższości i panowania nad Postępem, ale tak – czysty populizm i zbrodnia!), bo to, śmo i owo, wszystko, byle nie to, co naprawdę. Opętali masy, bo kłamali, podczas gdy my mówiliśmy prawdę, bo oni zniżali się do ich poziomu, gdy my próbowaliśmy je podźwignąć i stawialiśmy intelektualne wymagania... i tak dalej w tym guście.

I nie ma najmniejszej różnicy pomiędzy oburzonym narzekaniem starych liberalnych hrabin na salonach amerykańskich, zachodnioeuropejskich czy polskich poza tym szczegółem, że tu furię nienawiści budzi Trump, ówdzie brexiterzy albo AfD, a u nas akurat Kaczyński i Rydzyk.

„Z niczego nic wynika” – jak powiedział był Szekspirowski król Lear. Pomińmy już, że to głębokie przekonanie o własnej intelektualnej klasie żywią sfery sparaliżowane zwykłymi

pseudonaukowymi bredniami w rodzaju genderu i zachwycające się udrapowanymi w patos banałami na poziomie powieści Paula Coelha. Z takiej „analizy" sytuacji nie może wyniknąć nic poza jałową nienawiścią (jakiś De Niro krzyknie publicznie, w wypełnionej elitarnym towarzystwem sali: „Fuck Trump!", towarzystwo klaszcze frenetycznie, nie posiadając się ze szczęścia, a autorytety w studiu licytują się, który bardziej okaże potępienie dla kwestionujących ich wyższość „faszystów") oraz przejmującą bezradnością wobec postępów „demokracji nieliberalnej" czy „odradzania się nacjonalizmu". Wezwaniami, by przeciwko tym strasznym rzeczom „nie być obojętnym", „zwierać szeregi", „mobilizować" – oczywiście, przez jeszcze częstsze i głośniejsze wystąpienia „autorytetów". Głównie zresztą, Bóg jeden wie dlaczego, podstarzałych aktorów – przywołany przed chwilą Robert De Niro pokazuje, że to nie tylko polska specyfika. Ale po co to zwieranie, do czego mobilizacja, którędy droga, żeby „znowu było tak, jak było"? „Trup, baronowo! grób, baronowo!" – jak to był ujął poeta.

W tej bezradności akurat polskie przegrane – by użyć historycznego określenia, „wysadzone z siodła" – elity wydają się znacznie szczęśliwsze od zachodnich. One bowiem mają jeszcze nadzieję, o którą tamtym trudno. Salonom amerykańskim czy zachodnioeuropejskim nijak bowiem liczyć na to, że z pomocą przyjdzie im Zachód. A nasze zawiesiły na takiej pomocy wszystkie oczekiwania.

Po części wynika to z długiej tradycji kolaboracji lewicy w Polsce. Owszem, była tu także lewica niepodległościowa, w typie frakcji Polskiej Partii Socjalistycznej Piłsudskiego, tylko że ona akurat była mało lewicowa – Piłsudski w swoich czasach „ukradł lewicę" prawdziwym lewicowcom (analogicznie jak w III RP Jarosław Kaczyński „ukradł prawicę"), sam nawet nie bardzo ukrywał, że hasła sprawiedliwości społecznej traktuje instrumentalnie, jako sposób pozyskania dla sprawy niepodległości mas. Ale ta obecna lewica polska (czy raczej należałoby rzec: lewica w Polsce) wywodzi się z innego nurtu, tego, który świadom swej słabości, liczy zawsze na „cywilizującą" interwencję z zewnątrz. Charakterystycznym

streszczeniem tej postawy był list zauroczonego stalinizmem filozofa Tadeusza Krońskiego do Czesława Miłosza z zapowiedzią, że „my sowieckimi kolbami nauczymy Polaków myśleć racjonalnie”. Jeśli w miejsce kolb sowieckich podstawić unijne dyrektywy wsparte groźbą „powiązania funduszy z praworządnością” – nic się w myśleniu postępowych elit niegdyś PRL, a dziś III RP nie zmieniło. Ciekawy przyczynek, gdyby chciał ktoś wracać do wyklętej dziś na Zachodzie kolonialnej teorii „misji białego człowieka”, tu afirmowanej nie z pozycji białych konkwistadorów, ale stęsknionych za deszczem szklanych paciorków murzyńskich kacyków.

Po części to zawieszenie wszystkich nadziei na Europie jest kolejnym przejawem dzielonej z liberalistokracją zachodnią totalnej bezradności. Po pięciu latach rządów PiS i zdobyciu przez tych znienawidzonych „populistów” solidnej większości także w kolejnych wyborach do pookrągłostołowych „wyższych sfer” zaczęło powoli docierać, że już Polakom nie imponują, że straciły posłuch, i nic tutaj nie zmieni bodaj pięćdziesiąty z kolei wywiad z Agnieszką Holland, Krystyną Jandą, Danielem Olbrychskim, ani nawet z samym Normanem Daviesem, wyrażającymi swe zaniepokojenie „odradzaniem się nacjonalizmu” i tolerowaniem przez rząd PiS „jawnych przejawów faszyzmu”. Ale wciąż nie mieści się w jaśnie oświeconych łepetynach, że Polakom mogłaby przestać imponować Europa. Stąd właśnie wspominane już skupienie całej aktywności opozycji na straszeniu, że „wyprowadzają nas z Unii”, że „Europa nas wyrzuci”, że jeśli wyborcy nie restytuują poprzedniego układu, to stracimy „fundusze” – no i na inspirowaniu oraz nagłaśnianiu przejawów niezadowolenia ze strony europejskiej metropolii, rozmaitych potępień, rezolucji i pogróżek, aż do otwartych apeli o rzucenie „państwa PiS” na kolana i zmuszenie go do restytuowania władzy „oświeconych”.

Po części wreszcie – jest to dowartościowywanie się. Od dawna, jeszcze od czasów, gdy nawiązując do oświeceniowej „wojny fraka z kontuszem”, publicystycznie dzieliłem polską scenę polityczną na Familię i Konfederację, wyższościowe urojenia tej pierwszej przypisywałem kompleksowi postkolonialnemu, skutkującemu tym,

co zmarły niedawno Roger Scruton nazwał „oikofobią”, irracjonalną niechęcią do swojskości i przedkładaniem nad nią wszystkiego, co obce. Ale komentarze miejscowych „autorytetów” po brexicie, na czele z komentarzem Agnieszki Holland, która w lewicowej angielskiej gazecie kazała się Brytyjczykom wstydzić, że zagłosowali pod dyktando populistów i wybrali sobie na premiera „niechlujnego narcyza”, wskazują, że przez ostatnie lata pomagdalenkowa warstwa „oświeconych” III RP poczuła się częścią ponadnarodowej, kosmopolitycznej warstwy wyższej i jako taka czuje się uprawniona gardzić nie tylko swoimi nieucywilizowanymi rodakami, ale także „hołotą” z krajów, które u zarania transformacji uznawane były tutaj za wyższą cywilizację po całości.

Dzieje i nadzieje zunifikowane

Dla odzyskania przez Polaków poczucia własnej wyjątkowości i odkrycia w niej powodów do dumy ważne jest odnotowanie tej sytuacji. Nie dość, że liberalno-lewicowe elity, żyjąc w świecie wyższościowych urojeń, nie są w stanie wywiązać się ze swych elementarnych obowiązków. Nie dość, że są zwyczajnie głupie, indolentne, niczego nie chcą i nie potrafią zrozumieć, wyżywają się jedynie w upierdliwym narzekaniu, krytykowaniu wszystkiego za wszystko i odreagowywaniu swojej frustracji głupimi złośliwościami.

Do tego wszystkiego pragnienie bycia częścią liberalistokracji europejskiej czyni miejscową warstwę zarządzającą szczególnie chętną do włączania się w proces budowania „wspólnej europejskiej historii”. Czyli, mówiąc konkretnie, wprasowywania polskiej historii w historię krajów Europy Zachodniej. A to się pod dyktando Domu Historii Europejskiej odbywa według prostego schematu: wszystkie haniebne zakręty historii Niemiec, Francji, Anglii muszą znaleźć swoje równie haniebne odpowiedniki w historii Polski.

Oni mieli wojny religijne, budowali imperia kolonialne, zniewalali mieszkańców innych krajów i wyzyskiwali ich, byli antysemitami, szowinistami, kolaborowali z Hitlerem? My nie możemy być od tych zaszłości wolni. Miejscowa liberalistokracja stanie na głowie, by na użytek Europy znaleźć takie elementy historii Polski, które można uznać za analogiczne wobec ich historycznych przewin, a następnie przedstawić je w taki sposób, aby wytworzyć symetrię pomiędzy jednymi a drugimi, równoznaczność. Następnie zaś będzie ze wszech sił bić się w piersi – nie swoje, oczywiście, tylko tych „gorszych” Polaków – powtarzając argument budowniczych nowej, jednolitej świadomości europejskiej: tam, na Zachodzie, oni już się ze wszystkich owych grzechów religianctwa, kolonializmu i rasizmu wyspowiadali, odcięli się od nich i odpokutowali – a tu, w zacofanej, katolicko-nacjonalistycznej Polsce, wciąż są tacy, którzy tego odmawiają! Nie dostąpią oni zaszczytu wyrównania statusu z Zachodem, dopóki nie dokonają rytualnego samoupokorzenia.

W praktyce tworzenie wspólnej historii dla mających w istocie zupełnie inne historie Zachodu i Wschodu oznacza więc żądanie, byśmy kajali się i pokutowali za niepopełnione, cudze winy.

3. Implementowanie pamięci

Przykładem pozwalającym najlepiej pokazać istotę sprawy jest presja, z jaką próbuje się narzucić Polakom promowaną na Zachodzie postawę wobec LGBT – w tym dyskursie rozumianego nie jako ideologia i ruch polityczny, wykorzystujące homo- i transseksualistów analogicznie, jak komunizm wykorzystywał robotników, a feminizm kobiety, ale jako „ludzi”, co samo w sobie jest propagandową manipulacją. Presja ta nasila się regularnie w okolicach dorocznej Parady Równości, organizowanej w Warszawie przez miejscowe delegatury tego „nowego proletariatu”. Musi zresztą być bardzo natężona, by parada nie skończyła się spektakularną klapą.

Ku zmartwieniu bowiem krajowej i europejskiej liberalistokracji ruch LGBT pozostaje w Polsce pomimo futrowania ogromnymi dotacjami i grantami bardzo rachityczny. Jego eventy, przy całej medialnej promocji i patronacie „autorytetów”, rzadko ściągają więcej niż kilkaset osób, a łatwo też zauważyć, że i tę skromną frekwencję wyrabiają głównie działacze rozmaitych ruchów antyprawicowych. A przecież jednym z aksjomatów doktryny jest twierdzenie, że homo, bi i trans stanowią 10 procent społeczeństwa. Wynikałoby więc z tego, że społeczną bazę ruchu powinno w Polsce stanowić, lekko licząc, trzy miliony obywateli.

Oczywiście, te 10 procent to kompletna bzdura, wyciągnięta z metodologicznego błędu Kinseya, który swoją statystykę oparł na niereprezentatywnej dla ogółu społeczeństwa próbce ochotników, ignorując przy tym fakt, że ludzie zgłaszający się do uprawiania za pieniądze seksu na oczach innych osób nawet przy usprawiedliwieniu takiego zachowania postępem nauki musieli być

nieco przesunięci względem średniej. W rzetelnych statystykach (najrzetelniejsze wydają się te prowadzone od lat przez Uniwersytet Chicagowski) odsetek seksualnych odmieńców kryjących się pod tak modnym dziś akronimem to 1–2 procent, do czego można ewentualnie dodać jakąś część z kolejnych 2–3 procent „szarej strefy”, czyli osób z jednorazowymi doświadczeniami tego rodzaju. Nawet z rzetelnego obliczenia wynika jednak, że postulaty LGBT mogłyby liczyć na wsparcie kilkuset tysięcy Polaków. Tymczasem, najłaskawiej nawet szacując, aktywnych uczestników ruchów LGBT, włącznie z bratnim ruchem feministycznym, jest w Polsce nie więcej niż kilka setek.

Tęczowa tresura

Żeby jakoś rozmnożyć warszawską paradę ponad tych kilka setek i ponad w porywach do kilku tysięcy zwolenników lewicowo-liberalnej opozycji dołączających do każdego „protestu przeciwko rządom katolickiej prawicy”, w promowanie manifestacji włączyły się ambasady wszystkich zachodnich przedstawicielstw dyplomatycznych. Rzecz, swoją drogą, bezprecedensowa, bo parada stawia radykalne postulaty z dziedziny naszej wewnętrznej polityki, w którą żadne ambasady z zasady mieszać się nie powinny, a zarazem pokazująca jaskrawo, że pod osłoną dyplomatycznych frazesów o szacunku i partnerstwie lewicowo-liberalne elity rządzące Zachodem widzą w nas, zgodnie zresztą z zachętą tutejszych salonów, ciemną dzicz, której pouczanie i cywilizowanie jest ich oczywistym prawem, ba – wręcz obowiązkiem.

Zapewne w narzucaniu krnąbrnej, „zacofanej” Polsce rewolucji LGBT ważniejsze od wsparcia ambasad, a więc poniekąd zachodnich rządów, jest wsparcie międzynarodowych korporacji. Nie tylko dlatego, że pracownicy Coca-Coli, Google’a, Facebooka, McDonald’s, firm odzieżowych i innych licznie wypełnili pochód (oczywiście, jak na peerelowskich pierwszych majach, nie mieli takiego obowiązku,

ale wiedzą przecież, że są punktowani w kadrach także za „tolerancję” i nieobecność na paradzie mogłaby przyczynić się do znalezienia za pewien czas na biurku kartonu, w który trzeba w ciągu kwadransa spakować wszystkie rzeczy). Wsparcie korporacji to przede wszystkim rozdawanie na paradzie swoich produktów, różnych promocyjnych napojów w tęczowych puszkach, koszulek i innego badziewia, sponsorowanie poczęstunków, grajków i wszystkiego, co ma polityczną manifestację ruchu LGBT zmienić w radosny festyn i przyciągnąć nań jak najliczniejszą publiczność, zwłaszcza tę młodą. Prawdopodobnie temu właśnie należy zawdzięczać, że na warszawskiej paradzie stawiło się całe dwadzieścia tysięcy ludzi. Jak na półtoramilionowe miasto i całą flotę autokarów dowożących zainteresowanych z prowincji oraz delegacje z tak zwanych bratnich krajów, żadne mecyje, ale przy odpowiednim kadrowaniu obciachu nie było.

Wielkie korporacje zostawmy sobie jednak na inną okazję, przy sprawie LGBT zatrzymajmy się na akcji ambasad. Pomijając już, jak niesłychane w świecie dyplomacji jest takie zaangażowanie i jak w sumie groteskowe (nie przypominam sobie, by w czasach komuny dzielni dyplomaci brytyjscy, amerykańscy, o Francuzach nie wspominając, pojawiali się demonstracyjnie na manifestacjach domagających się szanowania nad Wisłą podstawowych praw człowieka i obywatela), dla rządzącego PiS szczególnie niemiłym zaskoczeniem były tęczowe flagi na budynku warszawskiej ambasady USA. Histeryczna nienawiść do Trumpa liberalnych elit i mediów amerykańskich przez podobieństwo do antypisowskiej narracji mediów ITI czy RASP wydawała się polskiej centroprawicy gwarancją, że w kwestiach światopoglądowych ma w nim niezłomnego sojusznika. Tymczasem – nic podobnego, także z tej strony dostaliśmy kopa, nic nie słabszego, a może nawet mocniejszego niż od państw rządzonych przez progresistów.

To drobna, ale warta refleksji lekcja.

W istocie wywieszenie tęczowych flag na ambasadach służyło oczywiście amerykańskiej polityce wewnętrznej. Nie wnikając w jej meandry, szkoda, że nie skorzystaliśmy z okazji, by zwrócić uwagę,

że wydarzenie upamiętniane na całym świecie „paradami gejowskiej dumy” (tylko u nas środowiska LGBT sięgają na razie po hasło „równości” w ramach, jak nazwał to Paweł Rabiej, „etapowania” swej rewolucji) nie ma odpowiednika w polskiej historii i, co więcej, mieć go nie mogło.

Rocznica, której nie mamy

Ogólnoświatowe wymachiwanie przez kraje Zachodu tęczową flagą upamiętniać ma rozruchy po nalocie policji na nowojorski klub Stonewall Inn – w mitologii rewolucji LGBT pełniące analogiczną funkcję jak w mitologii bolszewickiej wystrzał z „Aurory”. Dziś gejowski klub, który rozpędziła wtedy policja, jest siedzibą muzeum i ma status „pomnika narodowego”, a rocznicę bijatyk wszczętych przez homo i ich akolitów w obronie prawa do kultywowania swych seksualnych upodobań uczyniono czasem światowej kampanii „na rzecz depenalizacji homoseksualizmu”.

(Co prawda niewiele sensu ma prowadzenie tej kampanii w Polsce, gdzie przecież homoseksualizm nie jest karany. Jest karany na przykład u innego sojusznika Waszyngtonu, w Arabii Saudyjskiej, więc jeśli już, powinni Amerykanie obwieszać się na tęczowo w Rijadzie. Ale tam akurat na swojej ambasadzie tęczowych banerów nie wywieszają ani nie podejmują żadnych innych rocznicowych działań, nie będę wyjaśniał, z jakich powodów, pozostawiając to Państwa domyślności).

Pewnym zgrzytem jest też, że data, dla Zachodu upamiętniająca walki bohaterskich gejów z nowojorską policją, dla nas jest rocznicą wydarzenia nieco poważniejszego – poznańskiego Czerwca ’56.

Może więc polski ruch homo powinien sobie znaleźć inny symboliczny Pałac Zimowy, inną rocznicę?

Ba, w tym właśnie sęk: nie ma takiej rocznicy. To znaczy nie było w Polsce żadnego zdarzenia, które by się na nią nadało. Homoseksualizm bowiem nigdy nie był w Polsce uznawany za

przestępstwo. W USA za stosunki w obrębie własnej płci można było trafić do kryminału jeszcze do roku 2003. W Niemczech ostatni skazany za seks wyszedł z pudła po roku 2000. W Wielkiej Brytanii ostatni wyrok za homoseksualizm zapadł w roku 1972, ale na formalne zniesienie przepisów, na podstawie których go wydano, musieli bojownicy spod znaku Stonewall Club czekać jeszcze kilkanaście lat. I taka mniej więcej jest średnia zachodnioeuropejska, od penalizacji homoseksualizmu zaczęto tam odchodzić na przełomie lat 70. i 80.

Te przepisy nie wzięły się znikąd. W surowej, przeważnie protestanckiej mentalności tych krajów, kształtowanej przez bezprzykładnie okrutne i zawzięte wojny religijne, przez purytanizm jednych i poczucie zagrożenia purytanizmem drugich, wreszcie przez swoiste rozejmowe „nie mów, nie pytaj”, jakim był wzorzec wiktoriański, homoseksualizm urastał do rangi występku nader groźnego. A przez to traktowany był jako rzecz wyjątkowo wstrętna, podważająca społeczny ład, ściągająca na kraj gniew Boży.

Dlaczego Zachód dostał na punkcie homoseksualistów aż takiego, z przeproszeniem, pierdolca, trwającego do dziś – tyle tylko, że dziś prawem przestawienia wajchy ze skrajności w skrajność przybrało to formę przeciwną, równie zajadłego stawiania byle dziwadła z gołym tyłkiem i wetkniętymi weń strusimi piórami na piedestale i uniżonego korzenia się przed każdą płynącą z jego ust głupotą?

Do końca Państwu tego nie wyjaśnię. Kto chciałby zgłębić mechanizmy tego rodzaju szaleństw, temu polecam „Wiek markiza de Sade” Jerzego Łojka, a konkretnie: passus o tym, z jakim obłędem Francja Ludwików skupiała się na zwalczaniu stosunku analnego. Seksualna perwersja urosła do rangi zbrodni, grożącej Bóg jeden wie jak straszliwymi skutkami dla monarchii i całego społecznego ładu. Oczywiście skutkowało to tym, że każdy libertyn za punkt honoru, akt humanistycznej samorealizacji i odwagi w walce ze starym porządkiem uznawał wpychanie się właśnie nie tam, gdzie Pan Bóg przykazał. Mimo iż wiązało się z tym poważne ryzyko, na fali walki z ową sodomską zbrodnią ustanowiono bowiem nader surowe prawa, na mocy których za samo zaproponowanie jej takiej

perwersji byle dziewka mogła każdego wsadzić na długie lata do więzienia. A że ówczesne procedury sądowe nie dawały oskarżonemu żadnej możliwości obronienia się przed straszliwym zarzutem, choćby był zupełnie wyssany z palca – mogła wsadzić do pudła każdego (co się zresztą zdarzyło samemu de Sade’owi – nie żeby było kogo żałować).

Nie jest to, nawiasem mówiąc, jedyny przykład, że Zachód zawsze miał z seksem jakiś problem i skłonny był do rozmaitych obłędów na jego punkcie, ale kto ciekaw innych, niech sobie sam poszuka, choćby we wspomnianej pracy Łojka – ta książka jest o czym innym.

Tak czy owak, państwo polskie, począwszy od naszego pierwszego kodeksu karnego, nie penalizowało homoseksualizmu nigdy. Nasz kodeks był jeśli nie pierwszym, to jednym z pierwszych w Europie, który kary za to nie brał w ogóle pod uwagę. Zachód o tym oczywiście nie wie, bo niby od kogo? Nam samym po dekadach starań elit, by masy przypadkiem nie wyleczyły się z kompleksu niższości, trudno uwierzyć. Stereotyp, pracowicie budowany przez lata i głęboko wbity większości rodaków w głowy, uczy przecież, że jesteśmy zacofani, więc skoro przodujący Zachód tak niedawno sobie z problemem homofobii poradził, to ciemna, katolicka Polska...

Tymczasem „ciemna” Polska nie ma sobie z czym radzić, bo nigdy w ogóle tego problemu nie miała. Rzecz nie tylko w tym, że nigdy żadnemu Polakowi do głowy nie przyszło, by za „samcołóstwo” wsadzać do paki, na co ktoś może odpowiedzieć, że przez szmat swojej historii Polacy nie mieli własnego państwa, żyli pod prawem narzucanym przez zaborców, więc nie mają znowu z czego być dumni. Otóż nie. Nie można też znaleźć w naszej historii żadnych spektakularnych przypadków prześladowania homoseksualistów przez społeczeństwo, w rodzaju pokazowego procesu Oscara Wilde’a w Wielkiej Brytanii, afery Filipa Eulenburga w kajzerowskich Niemczech czy osadzenia w belgijskim więzieniu Paula Verlaine’a za miłosne listy do Arthura Rimbauda. Po prostu – nic takiego nigdy nie miało u nas miejsca. Byliśmy na to zbyt normalni.

Tolerancyjni z natury

Tak więc, niestety, nasza historia nie dała homoseksualistom okazji do zorganizowania się przeciwko prześladowaniom, bo ich u nas nie prześladowano. I właśnie stąd rachityczność ruchu, próbującego bezmyślnie przenosić do Polski wzorce z krajów miotających się od ściany do ściany. Powyższe zdanie nie jest, jak może ktoś sądzi, ironią, ale niemal dosłownym cytatem z książeczki Roberta Biedronia „Tęczowy elementarz", w której fakt, że polskie środowisko homoseksualne nie mogło się jak zachodnie zorganizować i umocnić przeciwko prześladowaniom, bo nie było prześladowane, budzi jego słabo skrywane ubolewanie.

Polska specyfika. Zapisana już w pierwszej znanej historykom relacji o Polsce autorstwa niejakiego Ibrahima Ibn Jakuba, kupca z Tortosy (najprawdopodobniej handlarza niewolników), który oprócz często cytowanych danych o organizacji państwa Mieszka I oraz jego drużyny zapisał też wyrazy zdziwienia, że jego poddani potrafią podchodzić do seksu z niespotykanym gdzie indziej zdrowym rozsądkiem. „Kobiety ich, kiedy wyjdą za mąż, nie popełniają cudzołóstwa; ale panna, kiedy pokocha jakiego mężczyznę, udaje się do niego i zaspokaja u niego swoją żądzę. A kiedy małżonek poślubi dziewczynę i znajdzie ją dziewicą, mówi do niej: »gdyby było w tobie coś dobrego, byliby cię pożądali mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogoś, kto by wziął twoje dziewictwo«". W innym miejscu dziwuje się pobożny – zapewne – Żyd, że Słowianki przy mężczyznach zachowują się tak swobodnie, jak w innych krajach czynią tylko nierządnice, choć bynajmniej nimi nie są.

„Pedek", jak mawiał Witold Gombrowicz, sam zresztą trochę w tę, a trochę we w tę, i bynajmniej z tego powodu nie atakowany, był u nas postacią raczej śmieszną, w skrajnych wypadkach pogardzaną, ale nigdy nie traktowaną z tą zajadłą surowością, do jakiej zdolni są tylko pozbawieni dobrodziejstwa spowiedzi protestanci. „No, żeby panie się nie dowiedziały" – kwituje jeden z bohaterów

„Ferdydurke”, prowincjonalny szlagon, rzecz istotna, wiadomość, że „twój przyjaciel pede... pede... zabiera się do Walka”, nie omieszkując dodać, że sam książę Seweryn „także lubił sobie od czasu do czasu!”. Ikonicznym homoseksualistą PRL był zabawny i sympatyczny pan Czesio z popularnego telewizyjnego „Kabareciku” ze swoim charakterystycznym miękkim „mam grać?”. Mam zresztą teorię, że kariera polityczna wspomnianego Roberta Biedronia powiodła się właśnie dzięki wpisaniu się przez niego, być może nieświadomie, w tę popularną postać.

Mam taki zwyczaj, że argumentując swoje tezy, sięgam najchętniej po świadectwa ludzi z umownej przeciwnej strony publicznego sporu – żeby jasne było dla każdego, że mówimy o konkretach, a nie sympatiach. Sięgnijmy więc po badania Macieja Gduli, lewicowca z przekonań i z urodzenia, między innymi publicysty „Krytyki Politycznej”, bliskiego doradcy i współpracownika wspomnianego Roberta Biedronia, a także posła z listy jego partii. Ale przede wszystkim – naukowca, socjologa, któremu ideologia nie nakłada na oczy klapek uniemożliwiających dostrzeżenie rzeczywistości. Zdolność w obozie „demokracji liberalnej” dość rzadka, jak się już o tym pisało – co prawda w praktyce niewiele zmieniająca, bo badania Gduli, które mogłyby uświadamiać liberalistokratom, jak bardzo ich wyższościowe urojenia mijają się z rzeczywistością, są przez nich ignorowane z tą samą milczącą pasją, z jaką u Homera mieszkańcy Troi ignorowali przepowiednie biednej Kasandry.

Na portalu „Krytyki Politycznej” opowiadał Gdula o swoich badaniach nad tą częścią polskiego społeczeństwa, którą nazywa „klasą ludową”:

„Przyglądając się kwestii stosunku klasy ludowej do homoseksualności, możemy się zdziwić. Gdy podczas badań nad praktykami kulturowymi klasy ludowej pytaliśmy o to, co ludzie sądzą o dwóch mężczyznach w związku mieszkających razem, zadziwiająco często słyszeliśmy, że nie jest to problem. Nasi rozmówcy stwierdzali, że »nie mają nic do tych ludzi«, »jak jest im dobrze, to niech sobie żyją«, »w każdym trzeba widzieć człowieka niezależnie od wyglądu, ubioru czy religii«. [...] Jedno jest natomiast

pewne: niechęć do osób homoseksualnych nie jest w klasie ludowej dominującym wzorcem.

Wypowiedzi aprobujące homoseksualność ugruntowane są w czymś, co nazwaliśmy kiedyś z Przemkiem Sadurą konserwatywną tolerancją. Polega ona na uznaniu, że nie wszyscy muszą postępować w ten sam sposób. Nawet jeśli samemu nie chce się realizować pewnych praktyk, akceptuje się je jednak u innych, zwłaszcza osób z innych środowisk i klas społecznych. Można powiedzieć, że dla klasy ludowej zdroworozsądkowym hasłem jest »żyj i daj żyć innym«".

W innym wywiadzie wspomina Maciej Gdula, że myślenie klasy ludowej cechuje oprócz „konserwatywnej tolerancji" także „chłopski zdrowy rozum", który „bardzo by się przydał" współczesnej demokracji, samą zaś „konserwatywną tolerancję" definiuje jako „taką, której nie narzuca się innym". Bardzo trafne wskazanie, co jest zasadniczą cechą tolerancji w wydaniu demokracji liberalnej – właśnie to, że w przeciwieństwie do tej polskiej, tradycyjnej, jest ona narzucana. A narzucana tolerancja to nie żadna tolerancja, tylko indoktrynacja.

To, co Maciej Gdula nazywa tolerancją „konserwatywną" i w czym widzi – słusznie – przejaw polskiej tradycji kultywowania zdrowego rozsądku, jest w istocie tolerancją po prostu, tolerancją bezprzymiotnikową. Liberalno-demokratyczne salony Zachodu i małpujące je elitki tutejsze nie mają bowiem o tolerancji, we właściwym sensie tego słowa, zielonego pojęcia. Mylą ją, może z cynicznego wyrachowania, a może z autentycznej głupoty, z akceptacją, i to narzucaną jako obowiązek, a niekiedy wręcz z tak zwaną idolatrią. Tolerancja, jedna z „cnót praktycznych", jak je nazywał ojciec Józef Bocheński, to godzenie się z rzeczami, których właśnie nie akceptujemy, nie popieramy i nie uznajemy za dobre tak długo, jak długo nie stanowią dla nas i dla naszego świata bezpośredniego zagrożenia. Wiemy, że coś jest złe, nie podoba nam się to, ale przyznajemy innym prawo do błędu w imię wzajemnego pokoju. Dajemy żyć innym po swojemu, dopóki oni dają nam żyć po naszemu.

I taki jest właśnie problem z ideologią i praktyką politycznego homoseksualizmu, których symbolem stały się wielokrotnie już tu przywoływane cztery litery oraz okaleczona, sześciokolorowa tęcza (jak uświadomił mi pewien pobożny Żyd, ruch LGBT z biblijnego znaku przymierza z Bogiem wywabił akurat tę barwę, która symbolizowała w tej umowie poddanie się bożym rygorom seksualności). Celem tego ruchu jest właśnie nie pozwolić nam żyć po naszemu. Tęczowi ideolodzy nie chcą naszej tolerancji, wyrażającej się powstrzymywaniem od potępiania tego, co dorośli ludzie robią w swoich prywatnych mieszkaniach. Nie chodzi im też o to, żebyśmy przestali na myśl o ich odmienności uśmiechać się porozumiewawczo i chichotać ze zniewieściałości pana Czesia. Oni chcą nas zmusić, żebyśmy się nimi zachwycali, bili im brawo, żebyśmy paradowali wraz z nimi, owijali się sześciokolorowymi banerami, nie śmieli im zabraniać wychowywać naszych dzieci i żebyśmy stanowczo potępili wszystkie dokumenty naszej wiary, na czele z Biblią, które praktyki homoseksualne krytykują.

O naturze tej ideologii, jak się już rzekło, będącej kolejną inkarnacją tego samego bakcyla, który wywoływał epidemie bolszewizmu, nazizmu czy maoistowskiej rewolucji kulturalnej, pisałem wielokrotnie gdzie indziej, tu ograniczę się do powtórzenia, że ideologia i ruch LGBT byłyby równie obrzydliwe, gdyby w ogóle nie odwoływały się do homoseksualizmu, a promowały, dajmy na to, heteroseksualnych swingersów – na ich to cześć urządzając swe burdelowe parady, w ich imieniu żądając totalnej demolki w prawie cywilnym i rodzinnym, zrównania prawnego statusu poliamorycznych wielokątów z małżeństwami i przyznania im w imię „równości” prawa do wychowywania dzieci. Sprawa nie w homoseksualizmie, który jest tylko kolejnym pretekstem do niszczenia starego świata, by otworzyć drogę „postępowi”, ale w pomyśle, ze wszech miar szkodliwym i do szpiku podłym, żeby seksualność uczynić kategorią polityczną, według niej określać

i definiować człowieka, i w oparciu o nią wytyczać nowy front „walki klasowej”.

Analogicznie, tak jak za komunizm najwyższą cenę zapłacili robotnicy, a feminizm najwięcej szkód wyrządza kobietom, tak i ideologia LGBT samym homoseksualistom przynosi więcej strat niż korzyści. Trudno mi sobie wyobrazić, jaki bym był, gdyby to mnie dotknął Pan seksualną odmiennością, sądzę jednak, że zależałoby mi wtedy na dotarciu do rodaków i współobywateli z takim przekazem, że poza tą odmiennością jestem równie normalny jak oni, że mogę być równie dobrym pracownikiem, szefem, naukowcem i w niczym nikomu nie zagrażam.

Sądzę, że tak mniej więcej myśli każdy normalny homoseksualista i gdyby ruch LGBT rzeczywiście realizował interesy tych, których jakoby reprezentuje, jego parady musiałyby wyglądać zupełnie inaczej. Jaki jest bowiem ich przekaz? Widać to przecież gołym okiem: wiodącym przesłaniem ruchu LGBT w jego importowanej z Zachodu postaci jest prowokowanie i znieważanie „normalsów”. „Uaaa, jesteśmy obrzydliwe cioty, wypindrzone i poprzebierane, i takich właśnie macie nas podziwiać! P***my wasze poczucie dobrego smaku, wasze wartości, waszą religię, przyzwyczajenia, rodziny i was samych! I morda w kubeł, bo teraz my jesteśmy górą, i my wam narzucimy nasze porządki, i niech no ktokolwiek tu podskoczy, to go zaraz zgnoimy!”

Odwrotnie, niż nakazywałby rozsądek, zinstytucjonalizowanemu LGBT chodzi o to, by z homoseksualisty zrobić w oczach społeczeństwa potwora i sprowokować niechęć do niego. Nie dyskryminacja homoseksualistów jest w Polsce problemem ruchu LGBT, tylko właśnie jej brak, owa polska „konserwatywna tolerancja”. Zawodowi perwersi starają się ją zniszczyć – za pomocą najgrubszych, świętokradczych prowokacji, atakowania Matki Boskiej Częstochowskiej, papieża, wszystkiego, co budzi emocje. A za ich plecami kilkadziesiąt ościennych ambasad, liczne redakcje, majętne Sorosowe fundacje i w ogóle „policje tajne, widne i dwupłciowe” czekają z utęsknieniem, by móc wreszcie na cały świat narobić krzyku, że gdzieś w ciemnej pisowskiej Polsce jakiś

człowiek LGBT został znieważony, popchnięty, wyśmiany albo – hurra! – popełnił samobójstwo, choćby przyczyny tego samobójstwa nie miały nic wspólnego z żadnymi prześladowaniami i w ogóle jego orientacją seksualną.

Wytresowani na tęczowo

Na Zachodzie ruch LGBT odniósł sukces, bo postprotestanckie i postwiktoriańskie społeczeństwa mają wobec swoich mniejszości seksualnych kompleks winy. Najbardziej nawet konserwatywny prezydent USA nie będzie się przeciwstawiał strojeniu amerykańskich ambasad w gejowską pseudotęczę z tego samego powodu, dla którego nie uzna za stosowne przeciwstawić się jakimkolwiek żądaniom społeczności czarnych, a bardziej jeszcze – Indian, dziś politpoprawnie przezwanych „rdzennymi Amerykanami". Ani Żydów. Bo wobec wszystkich nich ma powody do wstydu. Bo rzeczywiście „rdzennych Amerykanów" kiedyś tam wytępiono, Murzynów kupowano i używano jako niewolników, Żydów dyskryminowano, a homoseksualizm karano, jakby był nie wiedzieć jak straszną zbrodnią.

A nie ma lepszej metody leczenia swoich kompleksów niż przerzucanie ich na innych. No patrzcie, ile zrobiliśmy już tutaj, w centrach zachodniej cywilizacji, żeby naszym gejom wynagrodzić wiekowe prześladowania. A wy, Polacy, wciąż zrobiliście za mało. Weźcie się do spełniania ich postulatów gorliwiej, do jasnej cholery, sześćdziesiąt pięć ambasad wam tak każe!

Dlaczego godzimy się pokornie na to strofowanie, dlaczego nie potrafimy odpowiedzieć po prostu: walcie się, to wy mieliście w swojej historii poważne problemy z seksualizmem, zarówno hetero, jak i homo. To skutkiem tych problemów jest idiotyczne ideolo kolejnych bękartów Marksa, ich polityczna ofensywa i ci groteskowi przebierańcy na waszych ulicach. Nam nic do tego, nasi obywatele takich postulatów nie zgłaszają. Gdyby nie grube miliony

pompowane w eksport do Polski tęczowej rewolucji, sama z siebie w życiu by się tu ona nie zaczęła, bo w przeciwieństwie do waszych krajów nie ma społecznej emocji, z której by miała wyrastać.

No, dlaczego nie umiemy tak odpowiedzieć?

Bo daliśmy się ogłupić i stłamsić wprasowywaniem naszej historii w historię tych, którzy zrządzeniem losu, a trochę i swoim własnym – podpuszczeniem nas do wzięcia na siebie ataku Hitlera i zostawieniem bez pomocy, a potem sprzedaniem w Jałcie Stalinowi w ramach zapłaty za trwałe porzucenie tegoż Hitlera i przejście do obozu aliantów – wyprzedzili nas w tworzeniu bogactwa i w rozwoju technologicznym na tyle, że dziś traktują nas jak w czasach swojej kolonialnej świetności Murzynów, Indian czy Hindusów.

Rzeczpospolita babska

Zacząłem od sprawy mniejszości seksualnych, ale przejawów podobnie bezczelnego poczynania sobie z nami jest wiele. Przykład kolejny – tak zwane prawa kobiet.

Oficjalny urząd statystyczny Unii Europejskiej, zwany w skrócie Eurostatem, jest chyba źródłem, które nawet najbardziej uprzedzony do moich wywodów zwolennik lewicy uznać musi za wiarygodne. Odwołajmy się więc do jego danych. Jakie dane uznajecie, nieszczęsne lemingi, lewacy i lewaczki, za najlepiej odzwierciedlające sytuację kobiet w społeczeństwie? Patrzę w wasze święte księgi i widzę: zatrudnienie kobiet.

No cóż, wskaźnik zatrudnienia kobiet jest w Polsce podobny jak średnia unijna – pracuje niewiele mniej kobiet niż mężczyzn, mniej niż w Skandynawii, więcej niż na południu kontynentu. Słyszę, że nie sama praca ma znaczenie, ale to, czy jest równo wynagradzana. Jest to kryterium nieco demagogiczne, bo wiadomo – kiedy zachoruje dziecko, matka zwalnia się z pracy, żeby się nim opiekować, a ojciec bierze nadgodziny, żeby zarobić na lekarza,

należałoby więc liczyć zarobki w proporcji do czasu faktycznie spędzonego na pracy. Nie wiem, szczerze mówiąc, jak to oblicza Eurostat, ale i tak wypadamy w tych obliczeniach nieźle, rozbieżność między zarobkami kobiety i mężczyzny na analogicznym stanowisku lokuje nas w piątce państw unijnych, gdzie jest ona najmniejsza – 8,8 procent, średnia UE – 14,8, Niemcy – 20,9, Wielka Brytania – 19,9, Francja – 15,5 (dane za rok 2018).

A może wyznacznikiem praw kobiet jest ich pozycja w biznesie? Tu też lokujemy się wysoko ponad średnią unijną – tam kobiet jest w biznesie jedna trzecia, w Polsce prawie połowa. Przy czym prawie połowa – 47 procent – jest ich także na stanowiskach menadżerskich (w takich Niemczech to 30 procent, a w Luksemburgu zaledwie 15 procent). Nieco gorzej jest z udziałem kobiet w zarządach, tu lokujemy się w okolicach europejskiej średniej, choć, wydaje się, raczej nie dlatego, że ktoś zabrania, tylko że Polki zdają się mniej nastawione na karierę – w badaniu CBOS z 2011 roku aż 71 procent pań odpowiedziało, że odrzuciłoby ofertę awansu zawodowego, jeśli oznaczałby on drastyczne zmniejszenie czasu poświęcanego rodzinie. Za to na łeb bijemy wszystkie kraje liczbą kobiet przedsiębiorców, czyli prowadzących własne firmy.

Powiadacie: przemoc domowa. Tutaj, podobnie jak w przypadku „prześladowań LGBT", uruchamiany jest natychmiast stereotyp: Polska jest katolicka, jak katolicka, to ciemna, a jak ciemna, to kobiety bija się tutaj rutynowo. Jedna z ideologów feminizmu w Polsce, profesor Magdalena Środa, posunęła się nawet do twierdzenia, że nakaz stosowania fizycznej i seksualnej przemocy wobec kobiet, jeśli nie jest nawet dosłownie zawarty w przykazaniach, to w każdym razie wynika wprost z religii katolickiej i jest od niej nieodłączny.

Zajrzyjmy do raportu Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Głupia sprawa, Polska okazuje się już nie „jednym z krajów" w największym stopniu wolnym od przemocy domowej wobec kobiet, ale – tym właśnie, gdzie do takich aktów dochodzi najrzadziej. Tylko 19 procent badanych Polek, co jest odsetkiem najmniejszym w Europie, zetknęło się z przypadkami przemocy

(w badaniu uwzględniono nie tylko te, które bezpośrednio padły ofiarą, ale również deklaracje, że znają kogoś, komu się to przydarzyło). Średnia europejska to 33 procent. Również histerie naszych postępowców, jakoby w Polsce panowała „kultura gwałtu”, czyli społeczne przyzwolenie na przemoc seksualną, są równie oderwane od rzeczywistości jak alarmy o rzekomym „piekle kobiet” w polskich rodzinach. Według ostatnich dostępnych danych Eurostatu (za rok 2017) w Polsce gwałt zdarza się 1,89 razy na 100 tysięcy mieszkańców. To też jeden z najniższych współczynników w Europie – a właściwie najniższy, bo policyjne statystyki z teoretycznie wyprzedzających nas krajów byłej Jugosławii można kwestionować. W Niemczech odnośny współczynnik to 10,07, we Francji – 25,17, w Szwecji – trzymajcie się! – 69,71. A w przodującej w niechlubnej statystyce Wielkiej Brytanii – trzymajcie się jeszcze mocniej – 92,8.

Pozostawiam Państwu, gdyby ktoś miał na to ochotę, policzenie w wolnej chwili, ile razy bezpieczniejsza jest we własnym domu i w ciemnym zaułku Polka od Niemki, Francuzki czy Szwedki. Ale ze statystyk wynika jeszcze coś – niskie odsetki przestępstw idą w Polsce w parze z najwyższym w Europie procentem „zgłaszalności” tego typu wypadków. Jeśli już do pobicia przez męża czy gwałtu w Polsce dojdzie, to sprawca ma kilkakrotnie mniejszą niż w krajach lubujących się w „wychowywaniu” i „cywilizowaniu” nas możliwość uchylenia się od odpowiedzialności dlatego, że zastrachana ofiara będzie to wolała zachować w tajemnicy. Zadaje to kłam tłumaczeniom działaczy lewicy, którzy jeśli ktoś ich czasem skonfrontuje z twardymi danymi, bronią się twierdzeniem, że niekorzystne dla Zachodu statystyki wynikają z niezwykłego wyczulenia tamtejszych przodujących społeczeństw na krzywdę kobiet, podczas gdy u nas ich bicie i gwałcenie uchodzi za tak oczywiste, że same kobiety, dopóki nie zostaną należycie, po europejsku uświadomione, nie chcą się skarżyć.

Mało tego wszystkiego – przodują w statystykach przemocy wobec kobiet te właśnie kraje, które najusilniej wdrażają od lat „perspektywę gender” i wynikające wprost z niej dokumenty,

w rodzaju osławionej konwencji antyprzemocowej, którą z uporem godnym lepszej sprawy usiłują narzucić Polsce organa unijne. W liczbie kobiet pracujących, przedsiębiorczych, zarządzających biznesem najbardziej zaś dołują te kraje, które wciskają nam swoje parytety i inne akcje afirmatywne. Sytuacja, jak gdyby uczniowie jadący na dwójach i trójach uparli się pouczać tego, który może nie ma samych celujących, ale z tych akurat przedmiotów, w których jest pouczany, dostaje mocne piątki. Bo ci z dwójami i trójami pochodzą z bogatszych domów i nie mieści się w głowie ani im, ani pouczanemu, że bogatsi mogą nie być lepsi pod każdym względem.

Uznano po prostu, że skoro Polska, świeżo wyzwolona z sowieckiego więzienia narodów, ma mniejszy PKB, niższą stopę życiową, mniej wydajne technologie i gorszą organizację pracy, skoro brak jej kapitału, to i społecznie musi być zacofana. A jedno nie miało z drugim nic wspólnego.

Jak już wspomniałem, zanim za sprawą zmowy najpierw Hitlera ze Stalinem, a potem Stalina z Rooseveltem i Churchillem poddani zostaliśmy eksterminacji spychającej nas na próg przetrwania, zbudowaliśmy państwo nowocześniejsze niż potęgi Zachodu. Przynajmniej jeśli mierzyć to kryteriami, które dziś sam Zachód nam narzuca: stosunkiem do mniejszości, do kobiet czy „sprawiedliwością społeczną” (do tej ostatniej mam stosunek uważny Czytelnik wie jaki, ale powtarzam – jeśli to mierzyć owymi narzucanymi nam kryteriami).

Nietrudno zrozumieć, dlaczego równouprawnienie kobiet w Polsce zaszło generalnie dalej niż w krajach, gdzie jeszcze w latach sześćdziesiątych kobieta nie mogła podjąć pieniędzy z banku, jeśli nie przyszła w towarzystwie męża albo syna, a na jej zawodowe ambicje patrzono jak na jakąś chorą fanaberię, gdzie z trudem dobijały się one udziału w życiu politycznym i uznania za godne pełni praw obywatelskich, jeśli się nie wie, że Polki pełnię tych praw otrzymały wraz z powstaniem Niepodległej, w roku 1918.

Legenda głosi, że było to wyrazem uznania Naczelnika Państwa dla wkładu w odzyskanie niepodległości licznych Polek, działaczek i bojowniczek, takich jak jego wieloletnia kochanka, a w końcu

druga żona Aleksandra Szczerbińska – która zresztą miała go ponoć do wydania stosownych dekretów namówić. Podejrzewam, że to bajka. Dla ówczesnych Polaków równouprawnienie kobiet było rzeczą oczywistą, i to już od dawna. W warunkach zaborów, popowstańczych zsyłek i konfiskat, konieczności przenoszenia się przez całe rodziny wysadzonej z siodła szlachty do miast, szukania nowych źródeł utrzymania, często pod nieobecność poległego, uwięzionego albo zesłanego mężczyzny, Polki po prostu zmuszone były się emancypować. I podołały temu, bo już w wiekach poprzednich ukształtował się u nas, szczególnie na poddanych najcięższym doświadczeniom Kresach, typ kobiety silnej, przedsiębiorczej i zaradnej, zupełnie odmienny niż na Zachodzie. To też była część polskiej odmienności, o której Zachód nie chce wiedzieć, a nasze pożal się Boże salony, wbrew wartościom, które na pokaz deklarują, nie śmieją o niej opowiadać.

Nacjonalizm, czyli nie wiadomo co

Najbardziej dla mnie oburzającym przejawem tej kolonialnej buty krajów zachodnich, z jaką czynią one z nas gorszą, zapóźnioną w rozwoju i rozpaczliwie potrzebującą ich dyrektyw wersję siebie samych, jest propagandowe utożsamianie polskiego ruchu narodowego z niemieckim nazizmem i jego zachodnioeuropejskimi kolaborantami. Wyłącznie na tej podstawie, że zarówno o Hitlerze, jak i Dmowskim można powiedzieć „nacjonalista”.

Nacjonalizm, obok socjalizmu, był tym nurtem umysłowym, który stworzył nowoczesność. Wiosna Ludów, którą na podstawie bardzo powierzchownych przesłanek lewica przypisała sobie i której w dialektycznym opisie dziejów jako starcia sił postępu i reakcji nadała pozory ruchu przygotowującego „ludowe” wystąpienia socjalistyczne, zaczęła się od zakwestionowania przez „ludy” władzy cesarzy i królów, ale skończyła na prześladowaniu słabszych

„ludów” przez silniejsze. Wystarczyło niewiele miesięcy, by okazało się, że „ludy” otworzyły w ten sposób puszkę Pandory.

Autorytet monarchów, pomazańców Bożych, nie patrzył na pochodzenie poddanego, liczyła się wierność państwu i domowi panującemu. Ale ten autorytet, gdy już został zniszczony – to bezpowrotnie. Rządy demokratyczne musiały wspierać się emocją wspólnego wroga, reprezentować jakiś egoizm – albo klasowy, albo narodowy. Ideolodzy, działacze, aktywiści – także musieli się chwytać jednej lub drugiej z tych dróg. Tworzyć wizje nowego społeczeństwa i nowego świata albo w oparciu o więź wspólnego języka, historii i cywilizacji, albo w oparciu o zbiorowe interesy grup najsilniejszych i dominujących. Tak narodził się współczesny świat i mimo całej gadaniny ostatniego półwiecza nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Ale można to było robić, i robiono to, na wiele sposobów. Każdy naród wytworzył w tamtych czasach swój nacjonalizm – i każdy z nich był inny. Często przypominam, i proszę wybaczyć, że powtórzę jeszcze raz, bo może nie do wszystkich to jeszcze dotarło: pojęcie „nacjonalizm”, używane dziś jako stygmatyzująca obelga, stosowana wobec wszelkich form kultywowania narodowej wspólnoty, od szlachetnego patriotyzmu po najbardziej wynaturzone szowinizmy, jest w istocie słowem nic nieznaczącym. Równie nic nieznaczącym jak „muzyka ludowa”. Słyszymy „muzyka ludowa” – i nie wiemy, o jakiej muzyce mowa. Może chodzić równie dobrze o swojskiego obertasa, jak i o muzykę andyjską, hinduską, afrykańską, japońską, celtycką... Każda ma swoje harmonie, chromatykę, używa specyficznych instrumentów, nic ich nie łączy poza tym, że się gra i śpiewa, no i że to nie filharmonia, opera ani koncert rockowy. Muzyka ludowa? Powiedz, o muzykę jakiego konkretnie ludu ci chodzi, to porozmawiamy.

Był nacjonalizm francuski, mało sympatyczny (to z francuszczyzny właśnie, od nazwiska bohatera popularnej ongiś, a dziś na śmierć zapomnianej komedii, wzięło się słowo „szowinizm”), był nacjonalizm włoski, urzekający dziewiętnastowieczną publiczność romantycznym mitem Giuseppe

Garibaldiego, a licznych polityków wizją powtórzenia sukcesu rozrastającego się stopniowo Piemontu, był pełen wyniosłej, chłodnej wzgardy nacjonalizm brytyjski, pełen kupieckiego sprytu i praktycyzmu nacjonalizm amerykański, był agresywny, butny i jak się miało okazać, dążący ku formom najbardziej zbrodniczym nacjonalizm niemiecki. Wszystkie mniej lub bardziej oparte na przeświadczeniu, że przed tworzącymi je narodami stoi szczególna cywilizacyjna misja, wszystkie zapatrzone w teorie Karola Darwina, usadzonego, zresztą wbrew jego własnej woli, na tronie, z którego oświecenie zrzuciło Boga, i wszystkie czerpiące z tegoż Darwina przekonanie, że wspólnoty spojone jedną mową i kulturą muszą się twardo upominać o swoje, bo słabość nie ma na tym świecie racji bytu.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Z natury rzeczy inną naukę czerpały z Darwina narody, które czuły swoją potęgę, wyższość, zaświadczoną ewolucyjnym sukcesem – a inną te, które prześladowano, nękano, pozbawiano elementarnych praw. Te pierwsze im bardziej nabierały poczucia narodowej odrębności, tym bardziej utwierdzały się w przekonaniu, że mają nie tylko prawo, ale i obowiązek swoje jedynie słuszne, sprawdzone wzorce narzucać innym. Jak zresztą przyzna każdy, kto doczytał do tego miejsca, choćby na tym miał lekturę zakończyć, to także, wbrew wszystkim zalewającym nas z Zachodu postępowym bełkotom, zostało im do dziś.

Nacjonalizmy narodów odradzających się w zniewoleniu – jak nasz właśnie – szły natomiast w zupełnie inną stronę. Jak to dokładnie w naszym przypadku wyglądało, opiszę dalej. W każdym razie nic bardziej bezprawnego i podłego niż ta butna postawa: no, my mieliśmy Hitlera i Mussoliniego, i Degrelle’a, i Lavala, i nasze dywizje Waffen SS, ale przecież i wy mieliście swoją „skrajną prawicę”. Ale my się już od swojej odcięliśmy, a u was podobno jest rondo Dmowskiego i Marsz Niepodległości. My promujemy „prawa kobiet”, zwłaszcza „prawa reprodukcyjne”, i wszyscy ochoczo, na czele z premierami i ministrami, dołączamy do parad

przebierańców z gołymi zadkami – a wy nie, więc pewnie nadal wsadzacie ich do więzień i palicie na stosach.

Anatomie draństwa

Ta niesłychana bezczelność w budowaniu fałszywych i całkowicie bezpodstawnych symetrii swoje korzenie ma oczywiście tutaj, w postkolonialnych elitach, ogarniętych obrzydzeniem do własnego pochodzenia, własnej tradycji, tym, co w jednej ze swych książek określiłem mianem „syndromu kolonialnego sierżanta", a co Roger Scruton nazwał uczenie „oikofobią". I to oni, z tym swoim obrzydliwym brakiem jakiejkolwiek godności, nie ustają w wymyślaniu na użytek Zachodu „dowodów", że ta Polska to dzicz, nad którą jedynie oni sprawują jaką taką kuratelę i zachodnie elity muszą ich w tym intensywnie wspierać.

Jakaś feministka zmyśliła całkowicie z palca wyssane liczby kobiet rzekomo doświadczających bliżej nieokreślonych opresji w domu i w pracy i to te zmyślone liczby, nie rzetelne statystyki, krążą po światowych mediach. Jakiś zawodowy perwers poprzykręcał do nazw miejscowości wykonane przez siebie tabliczki „Strefa wolna od LGBT", rozesłał to po świecie i cała Europa pokazuje sobie jego fotki jako dowód, że w ciemnej, prześladującej seksualnych odmieńców Polsce wyznaczono im jakieś no-go zone. Popełnił samobójstwo nastolatek i choć szybko się wyjaśniło, że wbrew dezinformacji tęczowych jaczejek ani chłopiec nie miał nic wspólnego z homoseksualizmem, ani nikt go nie prześladował, polskie media i politycy przy każdej okazji powtarzają, że „atmosfera nienawiści" wytworzona w Polsce wokół osób LGBT powoduje „masowe samobójstwa nastolatków" – a zachodni korespondenci cytują to z lubością, zwłaszcza w krajach, gdzie pomimo hołubienia na wszelkie sposoby gejów (a może właśnie dlatego) takie samobójstwa zdarzają się naprawdę, i to na tyle często, aby odnotowywano je w urzędowych statystykach.

Niejaki Pankowski, cwaniak, który wyczuwszy koniunkturę na demaskowanie polskiego „faszyzmu”, jeździ po świecie, opowiadając, jak straszny szaleje w Polsce antysemityzm, na dowód tego pokazuje na dorocznej konferencji o antysemityzmie Uniwersytetu Telawiwskiego kupione na warszawskiej starówce figurki i obrazki przedstawiające Żyda w chałacie trzymającego pieniążek. I, podobnie jak pseudohistorycy snujący bajdy z mchu i paproci o polskiej odpowiedzialności za Holokaust, ma za to suto płacone w krajach, gdzie co prawda Żydzi boją się pokazać na ulicach i gdzie owymi ulicami przeciągają pochody neonazistów – ale, fakt faktem, aż tak straszne prześladowania jak sprzedawanie rzekomo przynoszących powodzenie finansowe żartobliwych wizerunków Żyda z pieniążkiem miejsca nie mają.

Szczytem nikczemności było – przez manipulację pojęciami prawicy i skrajnej prawicy oraz stawianie znaku równości między patriotyzmem a faszyzmem – wyprodukowanie fake newsa o Marszu Niepodległości, jednej z najpiękniejszych oddolnych inicjatyw ostatnich lat, która przyciągnęła i zaktywizowała wokół patriotycznych haseł rzeszę młodych Polaków, jako o „sześćdziesięciu tysiącach neonazistów maszerujących przez Warszawę”. Cóż za fantastyczny fake dla krajów, w których, jak we współczesnych Niemczech czy Francji, rocznie notuje się około półtora tysiąca (!) aktów antysemickiej agresji, w których synagogi i inne żydowskie instytucje muszą być całodobowo chronione jak Fort Knox, a bloger, który wyszedł na ulicę przebrany za Żyda, w jarmułce i z pejsami, został pobity już po piętnastu minutach przechadzki, i to w dzielnicy uchodzącej za jedną z najspokojniejszych w Berlinie.

Podczas niesławnego Forum Holokaustu w izraelskim instytucie Jad Waszem, zorganizowanego przez niejakiego Mosze Kantora, totumfackiego Kremla, pokazano, oprócz kompromitujących ten instytut jako placówkę historyczną mapek mających zilustrować przebieg drugiej wojny światowej, a prezentujących śmieszne brednie, także film o „odradzaniu się nazizmu” w Europie. A na filmie naziści w Niemczech, naziści w Wielkiej Brytanii, Belgii

i gdzie tam jeszcze, wszędzie ze swastykami, pruskimi czarnymi krzyżami, względnie przypominającymi celownik „celtykami” – a między tym wszystkim nasz Marsz Niepodległości. Z morzem biało-czerwonych sztandarów, białymi orłami i widocznym banerem „Młodzież Wszechpolska”. Pełen komplet faszystowskich symboli, nie wierzycie, spytajcie samych Polaków – tych z „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka” i „Krytyki Politycznej”, oczywiście.

Można by długo wyliczać bulwersujące przykłady, ale niech nam poszczególne drzewa nie przysłaniają lasu. Wszystko to jest właśnie efektem wprasowywania polskiej historii w narzucony strychulec „wspólnej historii europejskiej”.

Proces dzielenia się z Europą Środkową wstydliwymi zaszłościami Europy Zachodniej posunięty został już do takiego absurdu, że aby uwspólnić winy Polski, cierpiącej ponad sto lat zaborów i pół wieku sowieckiej okupacji, z kolonialnymi mocarstwami, które eksploatowały bezprawnie bogactwa połowy świata, i żeby móc wraz z innymi ofiarami „patriarchalnej supremacji białych mężczyzn”, którym i my winni jesteśmy jakoby zadośćuczynienie, wcisnąć nam obok homoseksualistów, kobiet i Żydów jeszcze afrykańskich czy azjatyckich „uchodźców”, zaczęto nam przypisywać także i tę przewinę – kolonializm.

Tak, po rozliczaniu nas z innych niepopełnionych grzechów przyszedł czas i na „polski kolonializm”. Na jakiej podstawie? Jest książka. Jaka książka, spytacie, jakiż historyk mógł się pod czymś równie horrendalnym podpisać?!

Żaden. Mówimy o powieści. Ale co z tego, że to tylko powieść (zaraz pewnie zostanie na jej podstawie nakręcony film, wtedy dowody będą już dwa, zwłaszcza jeśli i on dostanie jakąś nagrodę) – ważne, że napisana przez noblistkę!

4. Pięćset lat przed Unią Europejską

Jest popyt, musi się pojawić podaż. Oskarżenie, o którym mowa była przed chwilą, pojawiło się na długo przed szokującą noblowską laudacją dla Olgi Tokarczuk, w której szwedzki promotor zachwalał przed całym światem jej zasługi w demaskowaniu „polskiego kolonializmu”, rozwodząc się przy tym nad odwagą pisarki, która w imię tej „prawdy” nie cofnęła się nawet w obliczu zagrożenia życia. (Wiem, że to brzmi jak „Muppet Show”, ale tak właśnie w Akademii Szwedzkiej naszą noblistkę promowano, proszę sprawdzić).

Pierwszych mędrków, którzy wyczuli koniunkturę na demaskowanie „polskiego kolonializmu”, dało się zauważyć na łamach chłoszczących Polaków „pedagogiką wstydu” pism już w latach dziewięćdziesiątych. Głównie polegało to na rzucaniu, w duchu „czas wreszcie powiedzieć prawdę”, „czas obalić i ten stereotyp”, ogólnikowych stwierdzeń, że „przecież Polska też miała swoje kolonie” i przez wieki je eksploatowała – Ukrainę, Białoruś, Litwę, słowem, to, co nasza tradycja nazwała Kresami.

Podobnie jak w innych kanonicznych „memach” Michnikowej „pedagogiki wstydu”, w rodzaju „przyzwyczailiśmy się o sobie myśleć jako o ofiarach, ale byliśmy przecież także narodem sprawców” czy „w czasie wojny Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców”, obywało się bez formułowania tez konkretnych, nie mówiąc już o przedstawianiu dowodów. Teza o „polskim kolonializmie” została włączona do zestawu obiegowych poglądów budowanej przez „oświeconych” beneficjentów nowej polskiej

tożsamości, czy raczej – tożsamości polskojęzycznego Europejczyka. Odcinającego się od, jak ujmowali to sami inżynierowie dusz, „endeckiego” bagażu patriotycznych i niepodległościowych mitów, od rzekomej narodowej megalomanii, „świadomego”, że polska historia bynajmniej nie jest lepsza od innych, przeciwnie, jest historią zacofania, ciemnoty, nieudacznictwa, czymś, czego odrzucenie jest niezbędne, abyśmy mogli dociągnąć do cywilizowanego świata.

Nie zajęła jednak w tym zestawie „jedynie słusznych” tożsamościowych liczmanów poczesnego miejsca. Ot, od czasu do czasu, mimochodem, jak coś oczywistego „dla każdego człowieka na pewnym poziomie”, wzmiankowana była w różnych felietonach, dyskusjach czy na marginesie profesorskich pouczeń. Taki sposób upowszechniania pewnych idei, stopniowego oswajania z nimi i wprowadzania ich w publiczny krwiobieg, niejako po odrobinie, bez prowokowania głośnych polemik, bardzo chętnie stosowany przez dyktatorów debaty publicznej lat dziewięćdziesiątych, w teorii wojny psychologicznej nazywa się intoksykacją.

Intoksykacja zadziałała, czego dowodem mogło być na przykład zachowanie Grzegorza Schetyny, wówczas jeszcze znaczącego polityka partii rządzącej, przewodniczącego sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Podczas kryzysu ukraińskiego użył on – niestety, na forum międzynarodowym – argumentu, że rozmawiać o Ukrainie bez udziału Polski to tak, jakby o Algierii rozmawiać, nie pytając o zdanie Francuzów.

Niestety, podobnie jak rozsiewane po prasie, a z czasem i po książkach aluzje do mniemanej identyczności polskiej obecności w Drohobyczu czy Baranowiczach z obecnością Anglików albo Francuzów w Chartumie czy Dakarze, jego głupia wypowiedź nie spotkała się z żadną oficjalną polemiką.

Urojony kolonializm

Budowanie mitu „polskiego kolonializmu” skutkowało też, co jest wyjątkowo smutne, sekowaniem środowisk kresowych. Zamiast w szczególny sposób kultywować tradycję tych utraconych ziem, które wydały wiele kluczowych dla naszej historii idei i postaci, pamięć o nich uznano w III RP za coś wstydliwego, a tych, którzy ją kultywują – za coś analogicznego jak niemieckie „ziomkostwa”. Za ludzi jeśli nie wręcz groźnych dla budowanego europejskiego ładu i powszechnego pojednania, to co najmniej zupełnie w nim niepotrzebnych, którzy oby jak najszybciej z tą swoją pamięcią wymarli. Przełożyło się to zresztą także na generalnie haniebny stosunek kolejnych rządów III RP i jej środowisk opiniotwórczych do pamięci o polskich ofiarach rzezi wołyńskiej czy zbrodni w Ponarach.

Co charakterystyczne dla liberalistokratycznej obłudy, te same środowiska, które polską obecność na Kresach starały się otoczyć odium jakiejś niestosowności, wstydliwości, historycznego nadużycia, zachłystywały się pochwałami dla różnorodności i wielokulturowości. Ale wielokulturowość jest dla nich ideałem i wzorem tylko wtedy, gdy, jak wszystko, co jedynie słuszne, przychodzi z europejskiej centrali i realizuje się w otwartości na Afrykanów lub Arabów. Ta, którą przerobiliśmy w naszej własnej historii, żadnym wzorcem niczego być nie może. Może być co najwyżej pałką do okładania znienawidzonego „prawdziwego Polaka” w doraźnych polemikach, na zasadzie: „prawdziwa Polska, dawna, to była multi-kulti, tacy, co dzisiaj mówią »Polska dla Polaków«, to nawet nie wiedzą, że nie są żadnymi Polakami”. Ale to, oczywiście, w kompletnym oderwaniu od historycznego konkretu i z brakiem jakiejkolwiek chęci zgłębiania, na czym wielokulturowość dawnej Rzeczypospolitej polegała, skąd się wzięła i, przede wszystkim, jakie przyniosła skutki.

Pisząc, że z owymi niby to gdzieś na marginesie, ale stale ponawianymi wzmiankami, że „przecież” myśmy też kolonizowali i wyzyskiwali, nie polemizowano, skromnie pominąłem swoje własne publikacje. Na tyle, na ile mogłem, nie ciesząc się do pewnego momentu dostępem do masowych mediów, nie mając za

sobą żadnych autorytetów poza swoim własnym (nie żeby mnie to jakoś bolało, mówię tylko o możliwościach technicznych, utrudniających dotarcie z argumentem do bombardowanych wrednym przekazem ludzi), próbowałem przebić ten dmuchany przez michnikową postinteligencję balon jednym prostym pytaniem.

Powtórzę je tutaj: pokażcie mi choćby jeden jedyny ród wywodzący się z miejscowych kacyków czy wodzów z Afryki, Ameryki Południowej albo Indii, jakichś książąt Nagombo czy Qutipuitizliliputli, który w dziejach dowolnej z kolonialnych potęg odegrałby rolę porównywalną jak w dziejach polskich Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Chodkiewiczowie czy Ostrogscy. Którego przedstawiciele piastowaliby najwyższe brytyjskie, francuskie albo hiszpańskie urzędy, prowadzili do boju jako naczelni wodzowie wojska imperium, doradzali królom, zrzucali ich z tronu i sami na tronie zasiadali. No – śmiało. Jedno jedyne nazwisko!

Nie ma takiego, prawda? Dlatego jedyną odpowiedzią na moje proste pytanie ze strony fałszerzy historii wrabiających nas w „polski kolonializm” może być udawanie, że tego pytania nie ma. Co do pewnego momentu było łatwe, bo nikt „niesłuszny” nie miał wstępu do masowych mediów, by tam „niesłuszne” pytanie zadać. A i teraz, choć sytuacja w mediach się zmieniła, nadal jest łatwe, bo wystarczy zrobić pogardliwą minę i wycedzić, że takich „pisowskich” mediów, gdzie się podobne pytania zadaje, to „człowiek na pewnym poziomie” nie słucha, nie ogląda i nie czyta.

Imperium swobód

A właśnie odpowiedź na powyższe pytanie, a raczej jej brak, pokazuje jasno, czym różniła się nasza historia, z przełomowymi wydarzeniami takimi jak unia polsko-litewska czy inkorporacja Inflant, od podbojów kolonialnych. Polacy nie wjechali na Litwę, Ukrainę czy do Inflant z miażdżącą technologiczną przewagą, jak

Hiszpanie do Ameryki, nie zgnietli wszelkiej myśli o oporze ogniem kanonierek, jak Anglicy w Indiach, nie wyłudzali podpisów pod „umowami” o zrzeczeniu się i przekazaniu władzy nad swym krajem od niepiśmiennych i niezdolnych pojąć sensu wyłudzonego od nich znaczka kacyków, jak czynili to agenci króla Leopolda II budujący Wolne Państwo Kongo. Połączenie Polski z Litwą, w skład której wchodziły wtedy ziemie dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, było sfederowaniem dwóch państw w miarę równorzędnych, które wcześniej wielokrotnie ścierały się zbrojnie ze zmiennym szczęściem.

Nie, Polacy zbudowali swoje „imperium” – tylko w cudzysłowie można w ogóle użyć takiego określenia – w sposób zupełnie odmienny, przez akty takie jak unia w Krewie, w której możne rody polskie przyjęły do swych herbów możnowładców litewskich, czy jak zaakceptowanie przez Zygmunta Augusta i polsko-litewski sejm (co ważne, w imieniu równie Korony, jak i Litwy) prośby wielkiego mistrza Gottharda Kettlera o przyłączenie Inflant do jagiellońskiej federacji jako jej trzeciego członu.

Nie znajduję innego historycznego przykładu państwa, które rozrosłoby się terytorialnie w taki właśnie sposób – nie przez podboje, tylko przez federację. Do którego rzekome „kolonie” same przychodziłyby z ofertą przystąpienia do unii, postrzegając to jako drogę do poprawienia swojego stanu bezpieczeństwa, powiększenia swojej wolności i, jasna sprawa, poprawy poziomu życia.

Czy któryś z intoksykatorów, wrzucających mimochodem, jakby odwoływali się do czegoś oczywistego, przemądrzałe grepsy z gatunku „no nie udawajmy świętych, przecież my też mieliśmy i wyzyskiwaliśmy kolonie”, może się bardziej zagłębić w szczegóły i na przykład przypomnieć imiona konkwistadorów, którzy dla nas owe kolonie podbili? Albo choćby tylko wyliczyć wojny agresywne prowadzone przez Polskę, powiedzmy, od czasu podboju Pomorza przez Bolesława Krzywoustego... No dobrze, niech będzie nawet: od przyłączenia do Polski Rusi Halickiej – na mocy decyzji jej prawowitego władcy, ale przyznajmy, że w zbrojnym sporze z innymi chętnymi – przez Kazimierza Wielkiego? Jakie to oręźne

wyprawy, pod czyim dowództwem rozszerzyły granice Rzeczypospolitej po Smoleńsk, Dźwinę i Dniepr? Jakie ekspedycje karne pacyfikowały opór podbijanych i przyłączanych do polskiej Korony prowincji?

Żadne. Wojska polskie walczyły tylko w obronie. Często w obronie tych, którzy się pod opiekę Rzeczypospolitej chronili przed agresywnymi sąsiadami. Przyznajmy też uczciwie: nie dość często, pacyfizm szlachty, o którym wiele pisze w swych pracach Paweł Jasienica, był bez wątpienia jedną z przyczyn naszego upadku. A gdyby nie takie zaniechania jak na przykład pozostawienie przez Zygmunta Starego bez odpowiedzi prośby o ratowanie Nowogrodu Wielkiego, właśnie dlatego, że szlachta słyszeć nie chciała o ruszeniu się poza granice, nie byłoby w ogóle postmongolskiej Rosji carów moskiewskich i cała historia potoczyłaby się o niebo lepiej.

I nie tylko w tym rzecz, w jaki sposób Rzeczpospolita została zbudowana i jak rozszerzyła swe granice. Jeszcze ważniejsze jest to, w jaki sposób potem we wspólnym państwie jej rzekome kolonie funkcjonowały.

Otóż – zmuszony jestem po raz sam już nie wiem który powtórzyć oczywistą oczywistość (ale niewykluczone, że Czytelnik jeszcze się z nią nie zetknął, bo z przyczyny, o której za chwilę, przebija się ona do powszechnej świadomości niezwykle powoli) – państwo, które nazwaliśmy Rzecząpospolitą Obojga Narodòw, choć w istocie było państwem trzech narodów dużych (Polaków, Litwinów i Rusinów) oraz dużej liczby mniejszych (Żydów, Niemców, Tatarów, Ormian i wielu innych, nawet tak egzotycznych jak Czerkiesi i Persowie), to nie było nic innego, tylko pierwsza próba stworzenia unii europejskiej, którą podjęliśmy pięćset lat przed Schumanem i Europejską Wspólnotą Węgla i Stali.

Tak.

Królestwo Polskie, osiągnąwszy wielką potęgę i dobrobyt, który przyciągał do niego innych, poszło drogą bez precedensu w całej historii powszechnej. Po części decyzją rządzących elit, po części wskutek przypadków, takich jak wygaśnięcie kolejnych dynastii, najpierw piastowskiej, a potem jagiellońskiej, zaczęło się

przekształcać w organizm państwowy, którego spoiwem miały być nie dom panujący, bo król był wybieralny, i nie żaden, mądrze mówiąc, etnos, bo było ich, jako się rzekło, wiele mniejszych i większych, ani nie religia, bo i tych była w tym państwie mnogość – ale prawa obywatelskie.

Nie ma znaczenia dla oceny wyjątkowości tego państwa fakt, że prawa te w pełni przysługiwały tylko szlachcie, czym niekiedy próbuje się niezwykłość tego polskiego eksperymentu dyskredytować. Z dobrodziejstw demokracji ateńskiej czy prawa rzymskiego także korzystała tylko niewielka część mieszkańców i w żaden sposób nie zmieniło to ich znaczenia w historii. Zresztą zasadniczą cechą Rzeczypospolitej Obojga Narodów było też, że do warstwy szlacheckiej bez trudu przyjmowano warstwy wyższe kolejnych przyłączających się do sarmackiej unii terytoriów i grup ludności.

Siła słabości

Rzeczpospolita Obojga Narodów nie była, jakkolwiek dziwne się to wyda Czytelnikowi po tym wszystkim, co przez całe życie słyszał i czytał, państwem polskim. Nie w takim rozumieniu, jakiego „państwowość polska" nabrała w marzeniach, staraniach, a w końcu w sukcesie pokoleń porozbiorowych. Etnos polski, czy raczej „prepolski", dominował jeszcze za Kazimierza Wielkiego, jeszcze gdy podejmowano przełomową dla biegu historii decyzję o wydaniu nastoletniej księżniczki Jadwigi za podstarzałego litewskiego księcia Jogaiłę. Ale już wtedy było to państwo polskie tylko w sensie łączącego wszystkich jego mieszkańców domu panującego, jak to nazywano, „przyrodzonych panów polskich".

Trzeba by tu cofnąć się do samych początków i właściwie na nowo opowiedzieć sobie własną historię od czasu, kiedy klan Piastów, z wzorców współczesnych najbliższy rodzinom mafijnym, rozszerzył swą władzę na tereny dzisiejszej Wielkopolski,

Małopolski i Pomorza i ugruntował ją, przyjmując chrzest. Bo ta historia, poza kilkoma chwalebnymi wyjątkami, wciąż jest opowiadana zupełnie niewłaściwie, po staremu, a więc w sposób, który w świecie dzisiejszym utrudnia, zamiast ułatwiać jej zrozumienie.

Oczywiście, nie ja ją na nowo opowiem, a już na pewno nie tutaj. Ale mogę pokrótce wskazać, na czym polegają błędy dotychczasowej narracji. Otóż wciąż, jak w podręcznikach peerelu, powtarzających w tym punkcie podręczniki przedwojenne, jest to opowieść skupiona przede wszystkim na polityce i służących jej realizacji kampaniach zbrojnych, z uwypukleniem tego wszystkiego, co buduje wizję tysiącletniego opierania się niemieckiemu Drang nach Osten (mojemu pokoleniu tak mocno wbito do głów, iż znaczy to „parcie na wschód”, że rówieśnikom wyjaśniać nie muszę, ale młodszym Czytelnikom być może). Uwaga polskich historyków ogranicza się od lat niemal wyłączne do państwa jako takiego i wszystkiego, co budowało jego siłę. Królują w tej opowieści pierwsi Piastowie, zwłaszcza Chrobry, ale zainteresowanie wyczerpuje się na Krzywoustym, jego bitwach i oblężeniach. Potem jest wstydliwie przewijane rozbicie, uznawane za czas upadku, i Łokietek, który odbudowuje centralną władzę, oraz jego syn Kazimierz, który doprowadza ją do dawnej siły.

Tymczasem dla następnych wieków, śmiem twierdzić, większe znaczenie miał właśnie ów czas rzekomego upadku niż otoczone legendą słupy graniczne wbijane przez Chrobrego dalej, niżby nakazywał rozsądek, niż łupy rabowane przez jego drużynę i niż zawziętość, z jaką Krzywousty stawiał się niemieckiemu cesarzowi.

Silna władza centralna, powiedzmy sobie otwarcie, nie jest i nie była polską specjalnością – gdyby była, nie bardzo byśmy się dziś różnili od Niemców albo Czechów. Ale właśnie z tej słabości, a nie z takich jednorazowych demonstracji siły jak wbijanie w dno Łaby jakichś słupów czy szczerbienie miecza na kijowskiej Złotej Bramie, wzięła się polska potęga, która potem przyciągała do unii z nami innych.

Czas rozbicia dzielnicowego, mający tak złą sławę u naszych dziejopisów, to czas, gdy dzika, agresywna monarchia uzbrojonych zbójów, których fortuna opierała się na rabunku oraz wyłapywaniu i masowym sprzedawaniu w niewolę sąsiadów (nie jest przypadkiem, że w językach zachodnich słowo „niewolnik", „slave", „Sklave", „esclave" etc., wywodzi się z tego samego źródłosłowu co „Słowianin"), przerodziła się w cywilizowane, rozwinięte państwo.

To nie za Chrobrego ani za Szczodrego, ani Krzywoustego, tylko za czasów słabych i lekceważonych przez potomnych książąt, ledwie panujących każdy nad swoim z pokolenia na pokolenie coraz mniejszym księstewkiem, zaczęły do Polski przyjeżdżać z Zachodu masy osadników, karczujących lasy, zakładających uprawy, sady, stawy i ogrody. To z ich fundacji namnożyło się zakonów, krzewiących wśród osadników nowoczesne „know-how". Dzielnicowe książątka, nie mogąc marzyć o łupiestwach porównywalnych z dokonaniami pradziadków, musiały szukać zysków w ściąganiu zasadźców, Żydów chcących znaleźć schronienie przed uciskiem doznawanym w innych krajach, w udzielaniu przywilejów na żupy i mennice, zasiedlaniu i zagospodarowywaniu pustkowi i tak dalej.

Sukces tej polityki był oczywiście skutkiem bardzo wielu czynników, przeludnienia Zachodu, pustoszących go prywatnych wojen i tak dalej. Trochę trudno nam dziś sobie wyobrazić, że były takie czasy, gdy z Francji, Niemiec i Włoch... czy raczej, należałoby powiedzieć, z różnych Pikardii, Szwabii czy Lombardii osiedleńcy ściągali do Polski, a nie odwrotnie. I mało, że ściągali, ale w szybkim czasie stawali się tutejszymi, przyjmowali polski obyczaj i mowę. Przecież nie z obawy przed jakimiś represjami – przypadek Władysława Łokietka, który by oczyścić Kraków z buntowników, kazał ściąć każdego, kto nie umie poprawnie wymówić słów „soczewica, młyn, miele", był raczej odosobniony. Mając elementarną wiedzę o XIII i XIV wieku na Zachodzie kontynentu, łatwo się domyślić, że mieszkańcy tamtejszych okolic nie uważali przeprowadzki do Polski za degradację.

Jest znakomity, aczkolwiek, niestety, niewypromowany tak, jak na to zasługiwał, film dokumentalny o konflikcie polsko-krzyżackim, zrobiony stosunkowo niedawno przez Polaków dla producenta niemieckiego („Habit i zbroja”, reżyseria: Paweł Pitera, scenariusz: Jan Wróbel). Film niby o innych sprawach, niż tu piszę, ale fantastycznie chwytający to właśnie, co w naszym opisie dziejów jest zupełnie lekceważone. U nas konflikt z Krzyżakami to tylko konfrontacja militarna, wygrana dzięki determinacji rycerzy i wodzów, przy czym jakoś tak to dziwnie się nam opowiada, że o wszystkim zadecydowało zwycięstwo pod Grunwaldem, choć zarazem nikt nie zaprzecza, że zupełnie nie zostało ono wykorzystane i na sukces trzeba było jeszcze czekać wiele dziesięciolecі. Skąd zatem ten sukces? Z czekania?

Pitera z Wróblem pokazują bardzo dobrze, na czym polegała siła ówczesnej Polski. Wcale nie na sile i sprawności centralnej władzy i państwa, zdolnościach mobilizacyjnych, wyszkoleniu i męstwie armii. Pod tym względem akurat nie dorastaliśmy zakonowi, z jego wiekowym doświadczeniem wyniesionym jeszcze z krucjat, do pięt; a Litwini i Rusini, którzy, umówmy się, mimo dobrych chęci i pod Grunwaldem, i w kolejnych kampaniach niespecjalnie się przydali, odpadali z konkurencji tym bardziej. Gdyby o wyniku rywalizacji rozstrzygać miała fetyszyzowana przez naszą historiografię siła państwa, Niemcy zachowaliby do dziś nie tylko Pomorze i Mazowsze, ale pewnie by nas zaorali aż po Kraków.

Ale Polska była wówczas tym królestwem, które przyciągało z siłą nie mniejszą niż w naszych czasach Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Dlaczego? Dokładnie z tego samego powodu: bo tutaj była wolność! Wolność, niskie podatki, mało biurokracji. I tolerancja religijna. Niemiecki kupiec wolał być, jeśli pojawiała się taka możliwość, poddanym króla polskiego, o czym zaświadczają cytowane we wspomnianym filmie konkretne przypadki i dokumenty.

Najbardziej zaś woleliby być poddanymi króla polskiego mieszkańcy samego państwa zakonnego, choć żaden z nich prawdopodobnie nie miał w żyłach ani kropli polskiej krwi i testu

„soczewica-młyn-miele” żywy by nie przeszedł. Państwo Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie było właśnie tak doskonale zorganizowane i tak świetnie zarządzane, że po prostu nie dało się w nim wytrzymać. Dlatego poddani rycerzy-mnichów, nielicho ryzykując, założyli konspiracyjny Związek Jaszczurczy, latami zrzucając się na polskie zwycięstwo.

A ponieważ już wtedy istniało coś takiego – choć jeszcze przez parę kolejnych wieków miało pozostać nieodkryte – jak krzywa Laffera, to król polski z niskich podatków od tych wszystkich, którzy się pod jego skrzydła garnęli, mógł sobie pozwolić na tak niezwykłe kampanie jak na przykład „wojna głodowa”, wygrana bez jednej bitwy, po prostu przez wyczerpanie przeciwnika, który ze swoich wysokich i bardzo sprawnie zbieranych podatków mimo funkcjonującej z pruską sumiennością administracji dotrzymać nam kroku nie był w stanie.

O zwycięstwie w rywalizacji z zakonem nie zadecydował Grunwald ani wojskowy sojusz z Litwinami. Myśmy po prostu tych Krzyżaków zazbroili na śmierć, mniej więcej tak, jak w czasach nam współczesnych Ronald Reagan doprowadził do bankructwa i zagłady sowieckie „imperium zła”. Ktoś pamięta, w jaki sposób przeszedł w polskie ręce Malbork, którego niezdobyte fortyfikacje nie pozwoliły Jagielle wyciągnąć praktycznie żadnych konkretnych korzyści z wielkiego zwycięstwa pod Grunwaldem i hołubionego przez Długosza sukcesu Koronowa? Nie, nasi dzielni woje nie wdarli się tam po przyłożonych do murów drabinach ani przez wybitą w nich dziurę. Po prostu wielki mistrz nie miał już czym zapłacić stanowiącym załogę stolicy włoskim kondotierom, więc zmuszony był puścić im fortecę w zastaw. Dowiedziawszy się o tym, mieszczanie pruscy zebrali szybko potrzebną kwotę, wykupili Malbork od Włochów i przekazali go polskiemu królowi. Z całym szacunkiem dla naszych rycerzy – to dopiero było epokowe, historyczne zwycięstwo!

Polskość większa niż Polska

Dawna Polska swoją potęgę zawdzięczała nie podbojom, nie podporządkowywaniu sobie i eksploatowaniu innych ludów, ale dzieleniu się z nimi swoją wolnością, prawami obywatelskimi, przywilejami szlacheckimi. Siłą rzeczy – warstwy wyższe krajów, które znalazły się w federacji, nie mówiąc już o indywidualnych imigrantach, starały się jak najszybciej spolonizować. Nie dlatego, że tego wymagano – jeśli ktoś chciał się trzymać z boku, we własnym gronie, jak Żydzi czy Ormianie, proszę bardzo, obowiązywała zasada „żyj i daj żyć innym”, czy raczej „oddaj Rzeczypospolitej, co się jej od ciebie należy, i rób, co chcesz”. Ale kogo pociągała kariera, awans społeczny, kto chciał być szanowany bardziej od swoich rodziców, ten upatrywał drogę do sukcesu właśnie w przyjęciu polskiego języka i obyczaju.

Szlachta litewska na przykład podkreślała swą odrębność na różne sposoby, wyprowadzając swoje genealogie nie od żadnych Sarmatów, ale wprost od Cezarów i innych sławnych Rzymian – ale kiedy, jak barwnie opisywał w swych pamiętnikach Albrycht Stanisław Radziwiłł, jego krewniacy popili sobie i zacietrzewili się w sporze z Opalińskim do tego stopnia, że natarli na samego króla Jana Kazimierza i jego świtę, krzycząc, że za „kontempta” doznawane przez naród litewski od Polaków „przyjdzie czas, że Polacy do drzwi nie trafią, przez okna ich wyrzucać będziemy” – to przecież krzyczeli to po polsku, bo niby po jakiemu innemu?

W elitach Unii Europejskiej panuje dziś krzątanina, by stworzyć nową, wspólną europejską tożsamość – temu właśnie służyć ma owo fatalne dla nas i upokarzające unifikowanie przeszłości, programy studenckich wymian i wiele innych zabiegów. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów analogiczny proces dokonał się sam z siebie. Polacy, Rusini, Litwini stali się „Sarmatami”. Nie myśleli o sobie w ten sposób, pojęcie sarmatyzmu powstało później – co zresztą zabawne, pierwotnie jako określenie pogardliwe i obelżywe, zanim

Rzewuski, Mickiewicz i Sienkiewicz nauczyli swoich współczesnych i potomnych rozmiłowania w sarmackim micie.

Różnica między owym mitem a rzeczywistą mentalnością czasów Rzeczypospolitej zasadza się na tym, że mit tworzony był już dla Polaków, i to Polaków cierpiących niewolę. Naturalną więc koleją rzeczy sarmatyzm się spolonizował. Tymczasem pierwotnie nie był on bardziej polski niż litewski czy rusiński, nie był nawet, mimo spolonizowania całej wielonarodowej elity, tak do końca polskojęzyczny, bo za swoją oficjalną, uczoną mowę uważali wszak Sarmaci łacinę, albo przynajmniej polsko-łaciński wolapik, przez językoznawców zwany makaronizowaniem. Sarmatyzm był wspólną tożsamością państwa wolnych ludzi, widzących w sobie dziedziców republikańskiego Rzymu i jego obywatelskich cnót. Utożsamienie Sarmaty z Polakiem przyszło dopiero po upadku „imperium pełnego swobód", a Bogiem a prawdą dopiero w wieku XIX, wieku nacjonalizmów, wskutek tej samej fali, która odrodziła polskość na Śląsku czy Mazurach, ale jednocześnie odebrała polskojęzycznym Litwinom i Rusinom (za jakich uważali się na przykład Piłsudski, Miłosz czy Mackiewicz) polskie Kresy na rzecz emancypujących się nieoczekiwanie Żmudzinów i ruskich „chachłów".

Pamiętam, jak poeta i eseista Jarosław Marek Rymkiewicz, jeden z dinozaurów chylącej się ku upadkowi klasy inteligenckiej, w mowie wygłoszonej na okoliczność nagrody Strażnik Pamięci zastanawiał się, dlaczego jest poetą polskim i na czym w ogóle bycie Polakiem polega. „Nie ma we mnie ani kropli polskiej krwi, jestem trochę Niemcem, trochę Litwinem, trochę Francuzem, trochę Tatarem, może też Rosjaninem, ale tego nie wiem na pewno" – mówił arcypolski poeta uważany przez liberalno-lewicowe salony za „nacjonalistę" i „barda prawicy". „Trochę jestem luterański, trochę kalwiński, trochę prawosławny, ale i owszem, także katolicki, i, co wynika z mojej tatarskości, trochę mahometański". Polskość, mówił dalej, nie jest biologiczna ani genetyczna, nie bierze się z krwi ani pochodzenia. „Polskość to straszna siła duchowa", i „nie my ją wybieramy, tylko ona nas wybiera".

Tylko poeci potrafią tak powiedzieć – pięknie, celnie, tylko nie wiadomo właściwie, co to znaczy.

Spróbuję wyjaśnić to po swojemu. Ta „straszna siła duchowa”, jaką jest nowożytna polskość, zrodziła się jako stop, konglomerat mentalu Polaków z czasów piastowskich z mentalem narodów włączających się w budowę naszej prawspólnoty europejskiej. Stop możliwy dzięki usilnemu, wspólnemu dla wszystkich pragnieniu życia w takim właśnie państwie, ojczyźnie praw obywatelskich, szlacheckiej równości, samostanowienia, nietykalności osobistej, tolerancji religijnej i obyczajowej. W tym, że przynależność do elity zapoczątkowanej przez Polskę i Litwę unii była tak atrakcyjna, że ruski albo inflancki szlachcic, nie mówiąc o możnowładcy, niemiecki kupiec czy pruski rzemieślnik rozpuszczali się w niej bez cienia żalu za swojskością, której w ogóle w tamtych czasach jakoś szczególnie nie ceniono, nie było nic dziwnego, kiedy Rzeczpospolita była potęgą. Zdumiewające jest to, że ta „straszna duchowa siła” nie zanikła wcale po tym, jak sarmackie państwo zgniło i upadło. Że nie wydała z siebie pięknego ostatniego tchnienia, łabędziego śpiewu, by ostatecznie zniknąć – jak spodziewał się Henryk Rzewuski, ale odrodziła się w legendzie Legionów i Księstwa Warszawskiego, w powstaniach, a ostatecznie w odzyskanej i obronionej Niepodległej.

Najwidoczniej ta siła płynęła nie z materialnej przewagi, nie z przynależności do elity wielkiego państwa – bo tak uformowana polskość nie wytrzymałaby klęski i bez żalu przerodziłaby się w wierność zaborczym domom panującym i kariery w ich państwach, w podobny sposób, jak stało się to z niemieckimi poddanymi cara Rosji. Ta siła płynęła ze świadomości dziedziczenia rodzaju skarbu, który nawet w czasie społecznego upadku nie stracił wartości, ba, może właśnie w okresie rozbiorów jeszcze bardziej jej nabrał. Tym skarbem była wolność, dążenie do niej i niezgoda na to, by brak wolności, nawet przedłużający się przez pokolenia, uznać za stan naturalny.

Można powiedzieć, że siła polskości wzięła się stąd, że pożywiła się ona nie tylko Polakami, ale i pozostałymi narodami

Rzeczypospolitej, których elity z czasem wchłonęła. Z dzisiejszego punktu widzenia sprawia to takie wrażenie, jakby Polska je podbiła i ograbiła z najlepszych sił ludzkich, ale to straszliwe strywializowanie tego, co się w istocie w ubiegłych wiekach działo. Nieszczęściem Litwy i Rusi nie było samo w sobie wtopienie się ich elity w polskojęzyczną, ale wieloetniczną wspólnotę, tylko fakt, że ten proces stapiania się narodów został brutalnie przerwany. Rozerwało to mniejsze narody Rzeczypospolitej na spolonizowany dwór i zatrzymane w awansie, tkwiące w swojskości warstwy niższe, które z czasem, w wieku nacjonalizmów, znalazły swoją drogę awansu i poszły nią w inną stronę niż Polska.

Nie zrozumiemy odrębności własnych dziejów i wynikłej z niej odmienności naszego narodowego mentalu od innych, zarówno tych ze wschodu, jak i tych z zachodu, jeśli nie ogarniemy unikalności tego procesu. Nie wytłumaczymy za cholerę innym, jak to możliwe, że największy polski poeta swój największy narodowy poemat zaczął słowami „Litwo, ojczyzno moja”, że największy polski, a właściwie polsko-amerykański wódz i bohater wojenny był wedle pojęć dzisiejszych Białorusinem, największy polski uczony prawdopodobnie lepiej i częściej mówił po niemiecku niż (jeśli w ogóle potrafił) po polsku, podobnie zresztą jak największy rzeźbiarz czy uwieczniony w naszym hymnie narodowym najsławniejszy generał.

Ludzie głupi albo skrajnie nam nieżyczliwi oskarżali nas na tej podstawie, że kradniemy bohaterów innym nacjom, że sami z siebie właściwie byliśmy nikim, ciemnym chłopstwem, bo wszystkiego, co wielkie, albo przynajmniej większości, dokonywali jak nie Litwin czy Rusin, to Niemiec albo Żyd. Ale to zwykłe kłamstwo – przecież wszyscy oni czuli się Polakami, i byli Polakami nie mniej niż nasz arcypolski współczesny poeta, wedle własnej deklaracji niemający w żyłach ani kropli polskiej krwi. Czuli się nimi, bo wyrośli w kulturze wolności i to z nią się identyfikowali, a nie z etnosem.

Nic za darmo, niestety

Dlaczego mamy kłopot z ogarnięciem tej sytuacji? Bo tkwimy w rozumieniu historii ukształtowanym przez poprzednie pokolenia, odreagowujące własną współczesność. Mówiąc najkrócej, w historiografii z czasów największego rozkwitu państw narodowych, skodyfikowanej przez Polskę sanacyjną i, z niewielkimi tylko zmianami frazeologii, Polskę peerelowską. To swoisty paradoks, niby od trzydziestu lat słyszymy, że „narody to przeżytek", że „myślenie w kategorii państw narodowych to mentalne zatrzaśnięcie się w wieku XIX", postępowa kandydatka na prezydenta potrafi publicznie łajać kandydata „reakcyjnego" za to, że „on nie myśli o świecie, nie myśli o Europie, on myśli tylko o Polsce", uznając za rzecz oczywistą, że takie myślenie to w ogóle jakieś horrendum, obciach i średniowiecze, a jednocześnie ci sami właśnie, którzy nam takie frazesy serwują, nie potrafią na polską historię spojrzeć inaczej niż z perspektywy „nacjonalistycznej".

To jeszcze jeden z niezliczonych dowodów intelektualnej niepełnosprawności postinteligenckich salonów III RP. Ich przedstawiciele, dokładnie tak jak „straszni mieszczanie" wyszydzeni przez Juliana Tuwima w sławnym wierszu za to, że „widzą wszystko osobno", potrafią chwalić wielokulturowość dawnej Rzeczypospolitej, dostrzegając podobieństwo do ideału postulowanego przez eurokrację – ale jednocześnie nie są w stanie wyjść z jednonarodowej, sanacyjno-peerelowskiej narracji co do jej dysfunkcji i przyczyn upadku. Ani nawet dostrzec tu sprzeczności.

Innymi słowy: Rzeczpospolita Obojga Narodów była dla historyka pisującego w „Gazecie Wyborczej" czy „Polityce" wspaniała, bo była różnorodna i tolerancyjna, czego (wtręt niezbędny, inaczej nie byłoby po co o historii rozmawiać) dzisiejsi „pisowcy" i „faszyści" nie potrafią strawić w swej głupocie i ograniczeniu. A dlaczego ta wspaniała, wielokulturowa Rzeczpospolita upadła (usłysz tu, drogi Czytelniku, szczęk przełącznika zmieniającego wspomnianemu historykowi narrację)? Bo, niestety, nie była zarządzana tak

sprawnie jak absolutystyczne państwa ościenne, tylko pogrążona w bałaganie. Zgubiły ją złota wolność, liberum veto, niezdolność ściągnięcia podatków, wyegzekwowania praw, słabość administracji... A skąd się one wzięły? No jak to – to są przecież nasze „wady narodowe”!

Uważają Państwo – zalety dawnej Rzeczypospolitej były zaletami „wielokulturowymi”, płynącymi z tolerancji, otwarcia na różnorodność i tak dalej. Natomiast jej wady były naszymi wadami „narodowymi”. Nie „multikulturowymi”, tylko „narodowymi”, choć o samych narodach nikt jeszcze w czasach największych calamitatis regnum nie słyszał i nie miał słyszeć przez następne wieki. Zawsze to samo konstytutywne dla polskojęzycznej liberalistokracji założenie: co dobre, to nie my, my tylko to, co złe.

W istocie, anarchia i stopniowe gnicie państwa sarmackiego nie były skutkiem żadnych narodowych przywar któregokolwiek ze współtworzących go narodów, żadnych czynników subiektywnych, ani nawet niewątpliwych błędów, jakie popełniali królowie i szlacheccy przywódcy. Niekorzystne dziejowe okoliczności (na czele z ochłodzeniem klimatu, które podcięło ekonomiczne podstawy republiki – małe gospodarstwa, budujące niezależność sarmackiej klasy średniej, wchłonięte zostały przez magnackie latyfundia, ich byli właściciele stali się dzierżawcami, a tym samym szlachecki „demos” zamienił się w polityczną klientelę) miały na pewno wpływ na to, że państwo nie znalazło w sobie sił, by się w porę zreformować i dostosować do zachodzących w świecie zmian. Ale nie były przyczyną choroby, która ojczyznę wolności zmieniła w trzy wieki po Jagielle w rozpadającą się ruinę.

Ta choroba była ceną, którą przyszło zapłacić za niepowtarzalność konstrukcji wzniesionej na fundamencie praw obywatelskich. Była, niestety, nieuniknionym skutkiem specyfiki naszego państwa. Jego różnorodności, tolerancji i wzajemnego poszanowania odmienności – wszystkiego tego, co zachodnia współczesność gloryfikuje jako „wielokulturowość”.

Skutkiem – tego właśnie dowodzi nasza historia – dla państwa wielokulturowego nieuchronnym. Powtórzę wielkimi literami:

NIEUCHRONNYM.

Diabelska alternatywa

Sławne liberum veto, które – z pewną przesadą – wskazywane jest jako przyczyna upadku i rozbiorów, nie było przecież ani nie jest jakimś polskim historycznym fenomenem. To standardowa procedura, stosowana przy pokojowym łączeniu różnorodnych organizmów czy grup wokół jednego celu. Dziś stosowane jest w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, w organach Unii Europejskiej, w licznych przypadkach, gdy chce się zachować i uszanować różnorodne interesy. Niczego lepszego, niestety, nie wymyślono. Zasada veta, podobnie jak jej szczególna odmiana, jaką była możliwość odrzucenia uchwał sejmu krajowego przez lokalne sejmiki, jeśli ich delegaci przekroczyli swoje instrukcje, była nieuniknionym kosztem rozwijania się państwa bez przemocy, przez federację.

Z kolei uczynienie praworządności podstawą całego układu zrobiło z niej wartość tak szanowaną, że aż przerodziła się ona w truciznę „imposybilizmu”. Czy ktoś sądzi, że nasi przodkowie byli tak głupi, by nie rozumieć, że jeśli przez czterdzieści lat każdy kolejny sejm jest zrywany, to musi się to skończyć źle? I tak ślepi, że nie widzieli, iż za tym zrywaniem sejmów stoją ościenne państwa, krok po kroku wykorzystujące słabość naszej sarmackiej ojczyzny do podporządkowania jej sobie?

Mędrkowie źródeł z epoki pewnie nie czytają, a z nich tymczasem wyziera, tym bardziej, im bliżej katastrofy, tragiczny dylemat. Jedyne środki zaradzenia złu, jakie można wymyślić, wiodą do zanegowania ideowych i prawnych podstaw Rzeczypospolitej, jej republikańskich pryncypiów – do absolutum dominium. Nie można zabronić posłowi zerwania sejmu, bo to gwarancja uszanowania przez Rzeczpospolitą jego wyborców. Jeśli to prawo mu odbierzemy, to tak, jakbyśmy uznali, że obywatele stanowiący z jakiegokolwiek

powodu mniejszość są gorsi, że nie trzeba ich przekonywać i zabiegać o ich zgodę, można im coś po prostu narzucić, jak w krajach absolutum dominium. A wtedy musimy uznać, że cała nasza cywilizacja nie ma sensu (oczywiście, streszczam to słowami, jakich wtedy nie używano).

Jeśliby Rzeczpospolita przełamała te opory, to pewnie by się uratowała od upadku, ale – w takim właśnie wariancie historii, który nasi przodkowie odrzucili – już nie jako wspólny dom różnych narodowości i kultur, tylko jako ich kolonizator. Zamiast Rzeczypospolitej Obojga Narodów mielibyśmy to, co i tak chcemy w niej dziś widzieć, choć nie ma to historycznego pokrycia: państwo polskie wchłaniające i wynaradawiające słabszych uczestników federacji. Tego nasi przodkowie nie chcieli, nie wyobrażali sobie. Nawet pod grozą kolejnych klęsk, których ostatnie dwa stulecia trwania Rzeczypospolitej im nie szczędziły.

Oczywiście, późniejsi historycy nie mieli wątpliwości: tak właśnie trzeba było, trzeba było zanegować, odrzucić złotą wolność, wolną elekcję, liberum veto i wszystkie inne instytucje osłabiające władzę i państwo, i trzeba było wziąć mieszkańców Rzeczypospolitej za mordy, jak byli za nie trzymani Rosjanie, Prusacy czy Francuzi, bo tylko trzymanie obywateli za mordy czyni państwo rządnym i silnym.

Ale tym historykom było łatwo, bo oni pisali już z perspektywy państwa narodowego i tak patrzyli na przeszłość. W swoim subiektywnym przekonaniu nie postulowali zamordystycznego reżimu, tylko odpowiedzialne kierowanie się świadomością interesu narodowego. Tego, że pierwsze przesłanki przekształcania się „ludów” w narody, nie mówiąc już o formułowaniu narodowych interesów, pojawiły się pół wieku po ostatnim rozbiorze, więc rozliczanie Sarmatów z braku dbałości o nie cokolwiek pozbawione jest sensu, dziewiętnastowieczni dziejopisowie raczyli nie zauważyć. Późniejsi zresztą też.

W Rzeczypospolitej Obojga Narodów myślano jednak inaczej i dlatego z tej diabelskiej alternatywy, mówiącej, że aby Rzeczpospolitą uratować, trzeba ją zniszczyć, jej obywatele nie

umieli znaleźć wyjścia – aż w końcu znaleźli je za nich Katarzyna II ze Starym Frycem.

Słabość siły

Diabelska alternatywa, przed jaką stała mniej więcej od wieku XVII nasza niepowtarzalna republika praw człowieka, w dzisiejszych czasach rodzi myśli politycznie niepoprawne. Tak politycznie niepoprawne, że wszyscy boją się zauważyć rzeczy oczywiste, nawet kiedy się o nie potykają. Wolą już powtarzać zdarte banały o rzekomych „polskich wadach narodowych", o naszej „anarchii", szlacheckim warcholstwie, ciemnocie i tak dalej, podając za wzór pruski dryl i ruski zamordyzm.

Nasza historia uczy bowiem, że państwo multi-kulti, z niezbędną dla niego tolerancją, równością i szacunkiem dla mniejszości, sprawdza się, gdy wszystko idzie doskonale, jest wzrost, dobrobyt i w ogóle. Dopóty tak, każdy pan spod Dyneburga czy Zwiahla chętnie chciał być polskim szlachcicem i mieć te same prawa, co inni. Ale gdy zaczęły się problemy – to dlaczego on miał ponosić te same koszty, co koroniarze? Wtedy wzbierało w nim poczucie „moja chata z kraja" i bez wahania sięgał po owe bezpieczniki, prawa, które mu niegdyś dano, by mógł korzystać z dobrodziejstw wspólnoty na równi ze wszystkimi.

Rzeczpospolita nie zdobyła się nigdy na to, by w tej sytuacji kogokolwiek do posłuchu i solidarności przymusić. Wątpliwe, czy w ogóle mogła. Sąsiedzi mogli, bo wierność dynastii, a z czasem narodowej wspólności, była siłą umożliwiającą państwu sięganie po przemoc wobec jednostek czy mniejszości niechcących się podporządkować dobrowolnie. Natomiast ideologia sarmacka absolutum dominium stanowczo odrzucała. Tolerancja i różnorodność były spoiwem wystarczającym, by jednoczyć w czerpaniu korzyści, ale za słabym, by skłaniać do wspólnego inwestowania i ponoszenia kosztów.

Przypomina to coś komuś? No właśnie... Właśnie dlatego rodzimi piewcy różnorodności dawnej Rzeczypospolitej nie potrafią dostrzec związku między ową tak dla nich piękną ideą a upadkiem, Zachód zaś woli w ogóle tej historii nie znać i myśleć, że tak jak Ukraińcy, Litwini czy Czesi wyłoniliśmy się jako naród ze środkowoeuropejskiej prazupy jakieś sto lat temu. Historyczna prawda i wniosek, jaki z niej nieodparcie płynie, są zbyt brutalne: skoro nie udało się wtedy, nie uda się i teraz. Unia budowana wokół związku francusko-niemieckiego, z grubsza tak samo jak ta budowana przed wiekami wokół związku Polski z Litwą, świetnie się zapowiadała w czasach prosperity. Ale wystarczy jakiekolwiek zagrożenie – załamanie gospodarcze, kryzys migracyjny, epidemia nowej odmiany grypy, by z dnia na dzień pojawiały się zagrażające całej konstrukcji rysy.

Nasza historia – gdyby Zachód miał ikrę, jak w czasach swej świetności, studiowałby ją dziś ze szczególną uwagą, ale woli chować głowę w piasek – uczy, że takiego państwa czy związku państw, opartego nie na jednym etnosie, tylko na idei tolerancji, różnorodności i praworządności, zbudować się w sposób trwały nie da. Nawet jeśli, tak jak w naszym przypadku, czyli w Polsce jagiellońskiego złotego wieku, punkt startu takiej konstrukcji stanowią niezmierzone bogactwa, siła i potęga oraz kulturowo-ustrojowy wzorzec tak atrakcyjny, że elity inkorporowanych krajów – ale tylko elity – same z siebie, bez potrzeby wywierania na nie żadnego nacisku, odrzucają łatwo swą odrębność i czują się obywatelami państwa federacyjnego, a nie Litwinami czy Rusinami. Przychodzi moment, kiedy trzeba się zdecydować: albo się nasze drogi rozchodzą, jak drogi Europy kontynentalnej i Wielkiej Brytanii, albo najsilniejszy przejmuje ster i z pomocą „zeuropiałych” elit lokalnych stopniowo pacyfikuje peryferie; czyli dawna wspólnota zaczyna mieć dla swoich uczestników różne „prędkości”. Ale wtedy wszystkie wspólnotowe zaklęcia są już tylko obłudną propagandą, a spod pozorów dobrowolnej unii coraz wyraźniej wyziera zamordyzm cynicznej, dbającej tylko o maksymalizowanie swoich zysków oligarchii.

Czego jeszcze uczy nasza historia, a co równie silnie odpycha liberalistokratyczne elity od przyjęcia jej do wiadomości, to że multikulturowość i tak nieuchronnie wiedzie do monokulturowości, tylko że przez nieszczęścia i klęski. Gdy oparta na różnorodności Rzeczpospolita zawaliła się pod ciężarem niemożności, ratunkiem było wzięcie jej historii w siebie, po wymyśleniu jej na nowo przez wspomnianych już Rzewuskiego, Mickiewicza i Sienkiewicza, przez Polskę narodową. Wcielenie znienawidzonej przez elity III RP figury Polaka katolika w dawną Sarmację w postaciach Kmiciców czy Wołodyjowskich było jedynym sposobem zmobilizowania sił do odzyskania bytu.

A narody, które z Polakami tę dawną Rzeczpospolitą stworzyły i straciły w niej swoje elity, bo te się dobrowolnie spolszczyły, odrosły raz jeszcze z plebejskiego podglebia – jako zupełnie nowe i się do wspólnej historii niepoczuwające, traktujące ją, podobnie jak i historycy zachodni, jako polską kolonizację i okupację. Proszę zerknąć w podręczniki czy bodaj tylko foldery turystyczne na Ukrainie czy Litwie.

Czy eksperyment multikulturowej Rzeczypospolitej praw człowieka i tolerancji mógł się potoczyć inaczej? Mógł, ale zostawmy to sobie, albo innym autorom, na inną książkę. Na tę tutaj wystarczy nam świadomość, że nie ma w tym eksperymencie i jego żałosnym końcu niczego, czego mielibyśmy się wstydzić. Niczego, co by dzisiejszej postkolonialno-liberalistokratycznej elicie III RP, widzącej – jak pokazały jej boje o „praworządność” – swoją prawdziwą stolicę w Brukseli, a nie w Warszawie, dawało prawo do wyszydzania sarmackiego dziedzictwa, chłostania rzekomej polskiej anarchii, ciemnoty i warcholstwa.

Nędza szyderców

Nie chcę rozwodzić się po raz kolejny nad tym, o czym napisałem już dziesiątki felietonów czy bieżących polemik, ale łatwo zauważyć, że

w dyskursie wspomnianych polskojęzycznych „Europejczyków” Sarmacja, jak wszystko, co charakterystycznie polskie, jest przedmiotem nieustannego obśmiewania.

Bodaj żaden spektakl teatralny nie zdobył sobie w III RP takiego rozgłosu i uznania jak na swój sposób założycielska dla lewicowo-liberalnej postelity inscenizacja „Opisu obyczajów” księdza Jędrzeja Kitowicza w reżyserii Mikołaja Grabowskiego z roku 1990. Muszę przyznać, że swego czasu obejrzenie tego przeraźliwie rzadkiego i niezwykle okadzanego przez salony szitu było dla mnie, młodego pisarza literatury popularnej, jednym z silniejszych przeżyć wiodących stopniowo do wniosku, że panująca w pookrągłostołowej Polsce hierarchia szacunku jest kompletnie odwrócona, a jej opiniotwórcze elity to bezmyślne i odrażające stado.

Barwny, kąśliwy i – czego inscenizator w swej salonowej tępocie nie raczył w ogóle zauważyć – ironiczny tekst z epoki podany został jako dwugodzinna beka i błazenada. Aktorzy, poprzebierani jak na maskaradę, podawali wspomnienia Kitowicza, skacząc, kręcąc tyłkami i pajacując na wszelkie sposoby, modulowanymi po jajcarsku głosami, a wszystko to w burzy oklasków, że oto pokazano – cytuję za oficjalnym programem – „zbiorowy Polaków portret własny, taki sam w czasach saskich i obecnie: partykularyzm, pieniactwo, skłonność do zbiorowych egzaltacji, obżarstwo, opilstwo...”.

Przedstawienie miało wiele naśladownictw i wyznaczyło model pokazywania przez artystów III RP historii, na swój sposób ukoronowany dwadzieścia lat późniejszą „Trylogią” Jana Klaty. Z góry, ze „sztuki wysokiej” wzorce poniżania własnej historii i odcinania się od niej pod pozorem odważnego „rozprawiania się z narodowymi wadami” zeszły niżej, aż na sam dół, czego symbolem stały się wyliniałe husarskie skrzydła, bodaj najczęściej pojawiający się rekwizyt w różnych uwłaczających współczynnikowi IQ widza kabaretach. Wszystko to w ramach obfitego nurtu „pseudomodernistycznej” twórczości, wartej osobnego omówienia (zresztą pokrótce to zrobiłem w eseju o literaturze III RP jako „pseudomodernizmie”, można go znaleźć w zbiorze „Uwarzałem

że”), która bez względu, czy skupia się na teraźniejszości, czy na snuciu czarnych wizji przyszłości, czy na wyszydzaniu Polaków współczesnych, sprowadza się do jednego prostego przekazu: Polaczki, zobaczcie, jacy jesteście ciemni, durni, wstrętni, wstydźcie się, wyrzekajcie tego swojego zacofania i stawajcie się prawdziwymi Europejczykami.

Otóż, powiedzmy to stanowczo: upadek Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie świadczy o tym, że dawni Polacy byli głupimi warchołami. Nie byli w każdym razie bardziej głupi i bardziej warcholscy niż twórcy Unii Europejskiej, przywódcy europejskich mocarstw i eurokraci ostatnich dziesięcioleci. Może co najwyżej byli naiwni w swojej wierze w Rzeczpospolitą i republikańskie ideały, z wolnością na czele. Ale jeśli to grzech, to szkoda, że tak w dziejach rzadki.

5. Niewolnicy w ojczyźnie wolności

Czytelnik odniósł być może wrażenie, że aby odkłamać czarną legendę, budowaną przez rodzimych i zagranicznych treserów aplikujących nam od lat „pedagogikę wstydu", chcę tutaj wystawić polskiej historii laurkę i zaprezentować ją w wersji cukierkowo słodkiej, wedle Sienkiewiczowskiej zasady „ku pokrzepieniu serc".

Nic podobnego. W najmniejszym stopniu nie jestem skłonny, by naszą historię idealizować – kto czytał „Jakie piękne samobójstwo" i „Złowrogi cień Marszałka", może zaświadczyć. Zresztą pisać książkę tylko dla polemiki z ową czarną legendą, a już zwłaszcza dla tworzenia białej kontrlegendy, po prostu nie byłoby warto.

Polska odmienność nie oznacza, że nie było w naszej historii hańb; niekiedy, jeśli w ogóle można takie porównania czynić, nie mniejszych niż w dziejach innych nacji. Oznacza tylko tyle, że także one były odmienne. Stwierdziłem w poprzednich rozdziałach fakt, że jeśli przyjąć, jak każe dzisiejsza zachodnia poprawność polityczna, iż miarą ucywilizowania jest stosunek danego społeczeństwa do kobiet, homoseksualistów i Żydów (o nich też będzie, cierpliwości) oraz innych mniejszości – to Polska jest ucywilizowana znacznie bardziej i od znacznie dawniejszych czasów niż kraje, które po roku 1989 uznały się za uprawnione, by nas „cywilizować". Tyle.

Nie znaczy to, że nie mamy problemu z historycznymi zaszłościami, które musimy odrzucić i przezwyciężyć, bo bez tego nie wywikłamy się z obecnych problemów. To znaczy tylko, że ten problem jest zupełnie inny.

Ponieważ Polska nie rozrastała się terytorialnie przez podbój, ale przez kolejne unie, mówiąc współczesnym językiem – „umowy stowarzyszeniowe", pogarda, która w krajach kolonialnych kierowana była ku ludom podbijanym, Murzynom, Arabom i innym kolorowym, u nas poszła niejako do wewnątrz. Skierowana została przeciw wewnętrznym niewolnikom, mimo iż na wielkiej części obszaru państwa mówili oni z grubsza tym samym językiem i chodzili do tych samych kościołów. Czyli po prostu przeciwko własnym warstwom niższym.

Niestety – dawna Rzeczpospolita opierała się, z każdym stuleciem coraz bardziej, na niesprawiedliwości, wyzysku i pozbawianiu elementarnych praw rzeszy niewolników. Samo w sobie nie wyróżniało jej to spośród innych cywilizacji. Każda miała swoich helotów, swoich Murzynów i pariasów. To, co dla nas jest specyficzne, to że wskutek szczególnej struktury społecznej państwa sarmackiego, rozbiorów i ponadstuletniej walki o niepodległość wiekowe niewolnictwo jakby „przyschło", pozostało ukryte, zamiast być rozliczonym, i emocje z nim związane, nie znalazłszy rozładowania, buzują w nas do dziś.

Przegapione zbrodnie

Cokolwiek o tej paskudnej stronie naszej przeszłości wiemy, to tylko dzięki tym nielicznym przedstawicielom sarmackiego stanu, których los „kmiotka" i „łyka" przyprawiał o wyrzuty sumienia.

„Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpółnago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe. [...]

Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. [...] *Chłop* – ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrutu [nawet nie domyślajcie się, co to ten „śrut"], a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem – woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemię wyniesione

szałasze: słońce tam nie ma przystępu – są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który [...] ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu. Obok niego śpi mała a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielęciem stoi i świnia z prosiętami leży...

[...] Oto rozkosz tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który was żywi! Oto stan rolnika w Polszcze! [...]

Tu, kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić!”

To Stanisław Staszic.

„Stu gąb i stu języków – i to jeszcze mało – potrzeba by na słuszne chłopskich opresyi wyrażenie” – to z kolei wcześniejszy o ponad stulecie Krzysztof Opaliński. „Bóg Polski za nico nie karze więcej jak za poddanych srogą opresyją i gorzej niż niewolą, jakoby chłop nie był bliźnim nie tylko twoim, ale i człowiekiem. Serce się lęka [...] wspomniawszy na tę niewolę, która cięższa niż pogańska!”

Można by tu długo cytować, czy to sławne „Przestrogi dla Polski” pierwszego, czy satyrę „Na ciężary i opresją chłopską w Polszcze” drugiego, albo sięgać po inne jeszcze utwory, bo autorzy nie ograniczali się do retoryki. Pisali bardzo konkretnie o pracy ponad siły, biciu, torturach, strachu, nieustannym poniżeniu. Opaliński, wcześniejszy, wiele miejsca poświęca rabowaniu przez szlachtę XVII wieku resztek majątków tych chłopów, którym coś jeszcze zostało z dostatków poprzednich stuleci – rabunkowi czasem prowadzonemu w majestacie prawa, pod rozmaitymi pozorami, a czasem i nawet bez tych pozorów, po prostu brutalnej przemocy, na fali zdziczenia wywołanego kolejnymi wojnami i bezkarności wskutek postępującej dominacji szlachty nad innymi grupami społecznymi.

Nie ma tych świadectw wiele, ale obraz, jaki się z nich wyłania, nawet tych rozdzielonych wieloma dziesięcioleciami, jest spójny – codzienne życie chłopa gdzieś tak od wieku XVII przypominało stalinowski łagier. Z tą różnicą, że z gułagu najbardziej odporne

i sprawne jednostki mogły w końcu wyjść, a chłopi się w tym piekle rodzili i umierali, wielu bez świadomości, że można w ogóle żyć inaczej.

Podobnie jednak, jak to bywa z wielonarodową i religijną tolerancją I Rzeczypospolitej, oczywisty fakt, że w dawnej Polsce istniał „konflikt klasowy” (niestety, za sprawą uniwersyteckich sierot po Marksie pojęcie „klas społecznych” się przyjęło, więc i ja muszę go tu używać mimo przykrego zapachu, jaki za sobą ciągnie), traktowany jest instrumentalnie. W krzątaninie służącej wprasowaniu historii polskiej w strychulec „wspólnej historii europejskiej” bywa zupełnie pomijany, gdy nie pasuje do przyjętych założeń – choć jednocześnie przywoływany, gdy pasuje.

Pasuje, gdy glajchszalciarze europejskiej historii potrzebują pretekstu do unieważniania polskiej historycznej odmienności. Unia w Krewie czy Lublinie, konfederacja warszawska, nihil novi sine communi consensu i neminem captivabimus nisi iure victum – phi, przecież to dotyczyło tylko szlachty, zaledwie 10 procent społeczeństwa! A cała reszta, w domyśle, żyła w ciemnocie i zabobonie, dopóki nie przyszła PRL i Unia Europejska. Żeby pomniejszyć znaczenie polskiej demokracji w czasach, gdy na Zachodzie kwitły zamordyzm i polityczna przemoc, dodaje się jej przecież nawet przymiotnik: „demokracja szlachecka”. A wiadomo, że demokracja z przymiotnikiem to jak „demokracja socjalistyczna” – już nie to samo.

Z drugiej strony przyrównywanie, na naszą niekorzyść, pokory, z jaką znosił swą niedolę polski „cham”, do gilotyn i plebejskich powstań, które tak wielką rolę odegrały w dziejach Zachodu, pozwala wyprzeć winy wobec niego i ułatwia dalsze, mimo zmiany całego świata, zachowywanie go w pogardzie. Proszę, tam, na Zachodzie, były i bunty chłopskie, i miejskie rewolty, i gilotyny, i różne inne „żerminale”. A co u nas?

U nas była w sumie tylko rzeź galicyjska, dokonana co prawda rękami polskich chłopów, ale tak właściwie to przecież nie nasza, bo urządzona przez zaborcę. No i koliszczyzna, a przed nią bunty kozackie. Ale te opisywane są z perspektywy dzisiejszej, niesłusznie,

jako irredenta narodowa, a nie klasowa. Fakt, że warstwy niższe sfederowanych ludów Rzeczypospolitej polonizowały się znacznie wolniej niż ich elity, i tylko do pewnego momentu, służy do budowania fałszywej optyki „kolonializmu” i snucia ahistorycznych teorii w rodzaju modnego wśród glajchszalciarzy „Trójkąta Ukraińskiego” Daniela Beauvois – sugerujących, że to Polacy przyszli na ziemie dzisiejszej Ukrainy i jako panowie uczynili z Ukraińców niewolników. Tymczasem, jako się już rzekło, to Rusini panowie stali się polskojęzycznymi Sarmatami, ze wszystkimi tego konsekwencjami, do których należał również z każdym dziesięcioleciem coraz bardziej nieludzki stosunek do poddanych, taki sam jak na Litwie czy w etnicznej Polsce. Poczucie narodowej odrębności u tych ostatnich i ich przemiana z Rusinów w Ukraińców przyszły dopiero w czasach panowania rosyjskiego.

Tak czy owak, brak w naszych dziejach „wojen chłopskich” czy „Komuny Paryskiej” jest traktowany jako asumpt do stwierdzenia, że skoro u nas chłopstwo czy robotnicy nigdy właściwie się porządnie nie zbuntowali, to i widać napięcia między niższymi a wyższymi warstwami nie miały dla naszego współczesnego kształtu wielkiego znaczenia i nie ma co się nad ich długofalowym skutkiem zastanawiać.

Polskie czarnuchy

W istocie jest dokładnie odwrotnie: to właśnie brak u nas w dawniejszych czasach kryzysów porównywalnych z zachodnimi sprawił, że w Polsce klasowa nienawiść wywiera do dziś nieporównanie większy wpływ na narodowy mental niż gdziekolwiek na Zachodzie. Jakoś nieodparcie przypomina mi ta sytuacja dawne, odziedziczone jeszcze po czasach pogańskich wierzenie, że dopóki zbrodnia nie zostanie należycie rozliczona i pomszczona, jej ofiara wyłazi z grobu jako wąpierz i nie daje potomnym spokoju.

Polskie klasy niższe nigdy nie nauczyły klas wyższych, że trzeba je szanować. Lekcje udzielone elitom zachodnim przez ichni „motłoch” i „hołotę” były brutalne, ale właśnie dzięki temu okazały się skuteczne. Oczywiście, i tam zapewne nie brak dziś w sferach uprzywilejowanych osobników szczerze gardzących biedotą, ale tam nie wypada się z taką pogardą obnosić. Żeby – jak u nas dzieje się to nagminnie – profesorowie, politycy i celebryci zdobywali poklask „towarzystwa”, odmawiając warstwom niższym, jako ciemnemu plebsowi, prawa do korzystania ze swych praw obywatelskich i wyborczych wedle własnego rozumu, a nie pod dyktando „oświeconych” elit, odmawiając im w ogóle prawa do zabierania głosu, wręcz używając argumentu, że coś jest złe, bo się takowym „starszym, słabo wykształconym i z mniejszych ośrodków” podoba – to jest nie do pomyślenia.

Odwrotnie niż na Zachodzie, wolności i prawa, jakie dała swym obywatelom Rzeczpospolita Obojga Narodów, nie spłynęły z czasem do warstw niższych. Szlachecka demokracja i wolność nie rozszerzyły swojej społecznej podstawy. Pod koniec jej istnienia szło w tym kierunku, ale zabrakło czasu – po Sejmie Wielkim z jego czarną procesją, po kościuszkowskich kosynierach i walecznych mieszczanach Kilińskiego nad Rzecząpospolitą zapadło wieko trumny.

Proces dziejowy poszedł u nas nawet od pewnego momentu w przeciwną stronę – sama obdarzona równymi prawami warstwa szlachecka w miarę trwania tej naszej niezwykłej preunii europejskiej po przeciwnej niż dziś stronie kontynentu zatracała swój egalitaryzm. O ile w czasach Zygmunta Augusta dumne powiedzenie „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie” miało pełne pokrycie w rzeczywistości, to dwieście lat później już żadnego, równość stanu rycerskiego stała się kompletną fikcją.

U schyłku Rzeczypospolitej szlacheckiemu szaraczkowi do wojewody czy starosty było równie daleko, jak do niego samego prostemu łyczkowi czy chłopu. I podobnie jak jego samego ów mieszczanin czy „cham” musiał podejmować pod kolana i tytułować jaśnie panem, gdy on sunął mu po imieniu – tak ów szlachecki

chudopachołek witał magnata uściśnięciem kolan i uniżenie zwracał się do niego per „jaśnie oświecony”, gdy ten mówił mu „waszeć” albo „acan”.

Nawet w teorii podzielił się stan szlachecki na trzy stany sejmujące – rycerstwo, senatorów i króla. Zakazano wprawdzie, dla podtrzymania fikcji równości, dziedzicznych tytułów na wzór zachodni – hrabiów, markizów etc., uszanowano jedynie tytuły książęce Wielkiego Księstwa Litewskiego sprzed unii – ale zarazem namnożono „urzędów”, które w większości były fikcją i nie służyły niczemu poza wywyższaniem ponad szlachecką równość szlachciców równiejszych. Owe „urzędy” zaś, niby to pochodzące z wyboru lub królewskiej nominacji, stały się z czasem prawem kaduka właśnie tytułami dziedzicznymi, co wykpiwał Franciszek Zabłocki w głośnym „Fircyku w zalotach”, którego bohater „ma tytuł starościca już od trzech pokoleń” (starościca, a więc syna starosty, jeśli nie wyłapał ktoś ironii).

Wspominam o tym, bo rozwarstwienie szlachty pozwoliło kolejnym pokoleniom przymykać oczy na dramat rodzimych niewolników, utrzymywanych w pańszczyźnie mniej więcej do połowy wieku XIX (zależnie od zaboru). Wobec kompletnego wdeptania chłopstwa w błoto konfliktem odwzorowywanym w narodowym mentalu stał się konflikt szlacheckiego dworu ze szlacheckim zaściankiem, szlachty posesjonatów ze szlachecką biedotą, zmuszoną przez okrutny los do własnoręcznego obrabiania roli. Tak mamy w narodowym arcypoemacie „Panu Tadeuszu”, gdzie przynajmniej jakieś chłopstwo w ogóle istnieje i nawet ostatecznie zostaje w ramach pozytywnego przykładu obdarowane przez Tadeusza i Zosię wolnością. Ale już w późniejszym „Nad Niemnem” rolę klasy niższej odgrywają zubożali Bohatyrowicze, a kmiota nie ma w powieściowym świecie w ogóle, być może dlatego, że na tych terenach dawnej Rzeczypospolitej nie mówił on po polsku – i trudno mu się dziwić, że w przeciwieństwie do panów nie czuł powodu, aby się tego uczyć.

Jedyne, co łączyło szlacheckiego chudopachołka z wielmożą i co dawało poczucie wspólnoty, to jednaka pogarda dla nieszlachcica.

Bo „chłopi pochodzą od Chama, Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema – a więc panujem jako starsi nad obiema”.

Cham chama chamem

Można jeszcze dodać, że im bardziej chudopachołek stawał się chudy i odstawał od pańskiego poziomu, co znakomicie przyśpieszył proces zaborów, kiedy to biedniejsze 90 procent szlachty zostało przez nowych władców kraju uznane za taki sam plebs jak i „nieurodzeni” – tym większej potrzebował pogardy, by zrekompensować sobie frustrację i podtrzymać poczucie przynależności do warstwy wyższej.

I, z grubsza biorąc – tak to w Polsce wygląda do dziś, choć oczywiście kryteria szlachectwa zasadniczo się zmieniły.

Te wszystkie napięcia, które na Zachodzie znalazły rozładowanie i przygasły do tego stopnia, że elity żyjące z nich musiały znaleźć i podstawić w miejsce prześladowanych „warstw niższych” nowe grupy społeczne – kobiety, mniejszości seksualne etc. – u nas pozostają żywe i generują realne społeczne skutki.

Najlepsze dowody to takie, które leżą na wierzchu, wszyscy je widzą i do tego stopnia im się opatrzyły, że ich w ogóle nie zauważają. Takim dowodem dziwności naszej sytuacji jest słowo „cham” – najpopularniejsze wyzwisko, jakim raczą się Polacy wszelkich stanów i kondycji społecznej przy wszystkich możliwych okazjach.

Ktoś zauważył, że to tak, jakby w Ameryce do dziś używano obelgi „nigger”, „czarnuch” – ale to porównanie stanie się zasadne dopiero przy założeniu, że mówimy o jakiejś wyobrażonej Ameryce, w której historyczna zaraza wybiła niemal do cna białe elity i którą zaludniają dziś prawie wyłącznie potomkowie czarnych niewolników. Niektórzy pożenieni z jakimiś ostatnimi białymi kobietami, niektórzy wskutek wielopokoleniowych krzyżówek o ton jaśniejsi, ale generalnie – prawie sami czarni, od góry do dołu. I oni

właśnie okładają się obelgą „ty czarnuchu”, im który czarniejszy, z tym większą pasją.

„Chamstwem” nazywa przewodniczący Komitetu Obrony Demokracji zwolenników Kaczyńskiego, o „stawianie chama na piedestale” oskarża Prawo i Sprawiedliwość jeden, drugi i siedemnasty znany aktor, reżyser czy celebryta, mianem „wdzierania się chamstwa do pałacu” określa tak zwaną dobrą zmianę były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego – ale i w odwrotną stronę latają obelgi „cham”, „chamy”, „chamstwo” równie często. Wcześniej, zanim w roli totemu pogardy dla „chamstwa” obsadzono PiS, tym bezgranicznie pogardzanym przez elity „chamem” był śp. Andrzej Lepper, ale i on, z poklaskiem swoich zwolenników, odgryzał się, łojąc od „chamów” na przykład Leszka Balcerowicza. Chronologicznie pierwszy „cham” III RP Lech Wałęsa (wiem, od tak dawna jest we wspólnej pogardzie dla „chamów” z PiS zblatowany z salonem, że młodszym trudno uwierzyć, iż u zarania, w tak zwanej wojnie na górze, to on był dla salonów tym, kim dziś Kaczyński – ale niech mi uwierzą, że tak właśnie było) pieklił się na Aleksandra Kwaśniewskiego, który sprytną prowokacją w telewizji odebrał mu władzę, że to „inteligentny cham”.

Połączenie obelgi „cham” z przymiotnikiem „inteligentny” to jednak autorski pomysł byłej legendy Solidarności. Najczęściej przymiotnikiem wzmacniającym obelgę jest „zbuntowany”. „Cham” to dno, ale „cham zbuntowany” to już sam muł pod dnem, coś najgorszego. Nie dość, że cham, to jeszcze taki, który nie chce podporządkować się powszechnemu przekonaniu, że jako taki winien milczeć, słuchać i nie pyskować.

Szok awansu

Gdyby zanalizować, jak właściwie wywijający tą obelgą na prawo i lewo Polacy ją rozumieją, najczęstsza odpowiedź brzmiałaby zapewne, że cham to wieśniak, względnie ktoś ze wsi się

wywodzący. Niektórzy zapewne uznaliby, że cham to mniej więcej to samo, co prostak.

Najrzadziej, idę o zakład, padałaby odpowiedź, którą ja osobiście uważałbym za jedyną sensowną, określającą pewną rzeczywistą przywarę, konkretny typ ludzki – że cham to człowiek nastawiony wyłącznie na brutalne zapewnienie sobie korzyści, pozbawiony empatii, bezwzględny dla słabszych, a zarazem tchórzliwy wobec silniejszych („pogłaszcz chama, to cię kopnie, kopnij chama, to cię pogłaszczą" – mówiła moja babcia od strony mamy; nie wiem, czy była to mądrość z autopsji, od jej „pańskich" przodków, czy tylko zasłyszana).

W malutkim traktaciku o chamstwie, jako o realnie dającym się opisać zespole cech, a nie etykiecie kategoryzującej pogardę, zauważalnym w biurach, polityce, korporacjach i tak zwanych usługach dla ludności, pisałem, że cham to jakby człowiek pierwotny, który pomiędzy ludzi kulturalnych przeniesiony został wprost z dżungli (albo z Reymontowskich Lipiec) i nadal posługuje się obowiązującymi tam prymitywnymi regułami przetrwania. Była to sytuacja szczególnie częsta w tak zwanym realnym socjalizmie, przy władzy celowo i świadomie opierającej się na świeżym awansie społecznym, i to takim, który zawdzięczało się właśnie jej. Mało tego, próbującej ten awans propagandowo dowartościować, co zresztą w sumie mocno chama we własnych oczach zawstydziło – kult „prostego ludu" głoszony przez PRL, zwłaszcza gomułkowski, stopił się bowiem w narodowym mentalu z pamięcią szczujących do „rżnięcia panów" zeszłowiecznych zaborców.

Ale w tej książce w ogóle nie będziemy się zajmować tym realnym chamstwem i realnymi chamami, tylko pogardą dla „chamstwa" i „chama" jako szczególną cechą społeczeństwa, które w historycznych katastrofach regularnie traciło elity, tak że dziś składa się niemal wyłącznie z ludzi ze społecznego awansu, z potomków tych właśnie „chamów", którzy tak usilnie okazując, że chamami gardzą, dają rozpaczliwe znaki gotowości bycia kimś innym, niż są – choć nie wiedzą, kim by właściwie być chcieli.

Bardzo niepowtarzalna, specyficzna sytuacja.

Jeśli nie wierzycie w tę specyfikę, prosta piłka – przełóżcie słowo „cham” na angielski albo na jakiś inny język zachodni. Nie, nie chodzi mi o to, jak w zachodnich językach jest „wieśniak”, „prostak” czy „brutal”. Znajdźcie mi słowo zachodnie, które oddawać będzie te same pokłady znaczeń, jakie niesie ze sobą soczyste polskie „cham zbuntowany”, „chamówa” czy „schamienie”, nie wspominając o wszelkich pokrewnych określeniach w rodzaju „słomy w butach”.

Powiem od razu, że choćbyście zatrudnili najlepszego lingwistę – nie da się. Podobnie jak „chałtura” czy „kombinować”, słowo „cham” i wszystkie jego pochodne są na inne języki zwyczajnie nieprzekładalne, bo nie istnieje w nich to, co lingwistyka nazywa desygnatem. Nie ma tam niczego, czym można by objaśnić cały ten splot nierozliczonej pogardy, okrucieństwa, nadziei i zazdrości, a wreszcie tego potencjału buntu w „chamstwie” tkwiącego – nigdy niespełnionego, ale samym istnieniem potęgującego pogardę dla „chama”, niechęć i nienawiść wobec niego.

Co poszło nie tak?

Coś w naszej historii, tak świetnie przed wiekami rozpoczętej, nagle się popierdzieliło – a potem to popierdzielenie potęgowało się z pokolenia na pokolenie, dodatkowo komplikując naszą i tak skomplikowaną sytuację.

Trzeba rozbić to na kilka szczegółowych pytań, każde warte osobnej książki.

Najprościej wyjaśnić, jak to się stało, że ojczyzna wolności, do której w wiekach średnich ciągnęli osadnicy z innych krajów, kilka wieków później stała się krajem otwarcie tolerowanego niewolnictwa, nasilonej pogardy i przemocy wobec warstw niższych oraz ich straszliwej nędzy. Sarmackie społeczeństwo zdziczało przez trzy wieki tak bardzo, że konieczność wzięcia pod opiekę polskiego ludu, prześladowanego przez zdegenerowaną, wyzutą z elementarnych ludzkich przymiotów szlachtę, stała się jednym

z argumentów sprawców rozbiorów – argumentem cynicznym i obłudnym, ale niestety, skutecznym w oczach oświeceniowego Zachodu, który od dawna już z prymitywnej pańszczyzny przerzucił się na bardziej wyrafinowane, fiskalne sposoby wyzysku, co pozwalało mu czuć nad „zacofanymi” Polakami podobną wyższość jak dziś.

Jako się rzekło – wszystko szło dobrze, póki głównym zajęciem Rzeczypospolitej było dzielenie dobrobytu. Ale już wtedy pojawiły się pierwsze symptomy nierównowagi. W paradoksalny sposób, im bardziej rodziło się poczucie obywatelskości wśród szlachty, tym bardziej egoistycznie traktowała ona Rzeczpospolitą jako swoją wyłączną własność. W efekcie unia bardziej cywilizacyjnie rozwiniętej Polski z Litwą i Rusią, która w warstwach wyższych oznaczała podniesienie statusu szlachty polskiej do tego, jakim cieszyła się szlachta Korony Polskiej – w sferach niższych, odwrotnie, obniżyła pozycję poddanych Polaków do poziomu „nieurodzonych” Rusinów czy Żmudzinów.

Przywilejom udzielanym przez kolejnych królów szlachcie nie towarzyszyły analogiczne nadania, które zabezpieczałyby inne grupy społeczne. Nie trzeba było długo czekać na skutki. W początkach wieku XVI zlikwidowane zostały chłopskie samorządy, którymi wcześniej cieszyła się wieś w Koronie, a momentem przełomowym wydaje się konstytucja sejmowa z roku 1518, odbierająca „nieurodzonym” prawo odwoływania się do sądów królewskich. Chłop i „łyk” zostali zdani na łaskę i niełaskę nobilów.

Przez jeszcze prawie stulecie warstwom niższym to nie przeszkadzało, bo i tak żyły w niesłychanym, jak na ówczesną Europę, dobrobycie. Polski chłop w wieku XVI był w porównaniu z chłopem z terenów dzisiejszych Niemiec krezusem, podobnie przeciętny mieszczanin. Prawa obywatelskie i wpływ na politykę państwa zwyczajnie nie były im potrzebne. Kiedy zaczęły być potrzebne, było już za późno, aby je sobie wywalczyć.

Problemy generowane przez „unijną” strukturę państwa objawiły się w momencie kryzysu gospodarczego. Punktem zwrotnym naszej

historii, praprzyczyną i początkiem nieszczęść Rzeczypospolitej było, jak już wspominałem, siedemnastowieczne ochłodzenie klimatu. Gwałtowne zmniejszenie plonów doprowadziło drobną i średnią szlachtę do materialnego upadku i uzależnienia od bogaczy. Zniszczyło to społeczne podstawy republikanizmu i sprowadziło go do pozorów, podczas gdy faktyczne rządy nad państwem objęli skłóceni ze sobą magnaci. Przechwycili oni narzędzia prawne stworzone po to, by zapewnić federacyjnemu państwu harmonię i równowagę, i tym samym narzędzia owe stały się przekleństwem Sarmacji. Szlachecki demos z czasów ruchu egzekucyjnego stał się szlachecką klientelą, niemającą niczego prócz praw obywatelskich, a więc sprzedającą magnatom, u których zmuszona była „klamkować", właśnie te swoje prawa.

Na to nałożyła się tępota ostatniego Jagiellona, który zmarnował potencjał ruchu egzekucyjnego i nie uregulował kwestii następstwa, seria wyczerpujących państwo wojen, rokoszy, konfederacji wojskowych, ciągnącego za nimi głodu i epidemii... A wreszcie, wobec ujawnionej przez nową sytuację niedoskonałości procedury elekcji viritim, jej nieodporności na manipulacje ze strony spotężniałych możnowładców – głęboki kryzys przy każdorazowej konieczności wyłonienia nowego władcy. A do tego dołożył się jeszcze kryzys gospodarczy w całej Europie, czyniący polski eksport coraz mniej opłacalnym.

Jest takie malownicze porównanie: jeśli wrzucisz żabę do wrzątku, ucieknie, ale jeśli włożysz ją do chłodnej wody i będziesz tę wodę podgrzewać powoli, stopniowo, to żaba nawet nie zauważy, jak zostanie ugotowana. Tak właśnie postępował proces utraty dobrobytu przez warstwy wyższe i wolności przez warstwy niższe. Sprzedaż zboża, jedyny poza łupieniem wrogów na wojnie sposób zarobkowania, jaki przystawał do godności rycerza, szlachcica, dawała coraz mniej intraty (bo też, pożal się Boże, co to był za handel – zabieganie o uczciwe ceny, targowanie się do tej godności nie przystawało i polska szlachta słynęła z tego, że sprzedawała zboże zagranicznym pośrednikom przez całe dziesięciolecia wciąż po tej samej, ustalonej jeszcze przez poprzednie pokolenia cenie,

oddając im szerokim gestem wszystkie zyski). Do ograniczania wydatków stan rycerski również był całkowicie nieskłonny. Jedyną przestrzeń do ratowania się znajdował w intensyfikowaniu wyzysku „nieurodzonych” i narzucaniu im coraz to większych obciążeń w naturze.

I rok po roku szedł w tę stronę coraz bardziej. Nie dlatego, żeby Sarmaci byli wobec swych poddanych bardziej krwiożerczy i bezwzględni albo bardziej poczuwali się do wyższości nad nimi niż reszta Europy. Po prostu dlatego, że mogli się posunąć dużo dalej, praktycznie aż do biologicznej destrukcji warstw niższych.

Śpiący plebej

W innych krajach stopniowe wzmaganie wyzysku dochodziło w pewnym momencie do granicy, poza którą następował wybuch – wściekłe, niekontrolowane rzucenie się na gnębicieli z widłami, kłonicami, czymkolwiek. Oczywiście przysyłane w obronie panów wojsko czy żandarmeria przeważnie sobie z takimi wybuchami radziły, ale proces dokręcania śruby był przez to wstrzymywany. W Polsce – nie, choć przecież chłop polski też był do przemocy zdolny, jak dowiodła ruchawka galicyjska. Potrafił od czasu do czasu panów palić i zarzynać, gwałcić jaśnie panienki i dopuszczać się wszelkich okrucieństw. Ale nie sam z siebie, ktoś musiał go do tego popchnąć i zachęcić. Dopiero wtedy tłumiona pokoleniami furia znajdowała dzikie ujście.

Nie będę oryginalny, odpowiedź dawno już została udzielona. Bunt wymaga prowodyrów. Jak w starej balladzie Wojciecha Młynarskiego – jakiegoś „faceta z innej wsi”, który rzuci hasło „ludzie, wy wójta się nie bójta”. Wiedzieli o tym już Spartanie, którzy regularnie, rok w rok, wyrzynali z przykładnym okrucieństwem wszystkie jakkolwiek wybijające się jednostki wśród swoich helotów, przez długie lata zabezpieczając się w ten okrutny, ale skuteczny sposób przed rewolucją.

Dawna Rzeczpospolita osiągnęła ten sam efekt w sposób odwrotny – nie przez surowość, ale właśnie przez administracyjny bezwład. Nie potrafiła ochronić warstw niższych przed przemocą i samowolą feudalnych panów, ale też nie była w stanie dopomóc tym drugim w egzekwowaniu ich praw wobec poddanych, w szczególności w łapaniu zbiegów. Poddany brutalnej karze chłop albo się dawał złamać i potem już pozostawał potulny, albo – jeśli ulepiony został ze szlachetniejszej gliny, tej, z której Pan robi inspiratorów i przywódców wszelkiego rodzaju rebelii – brał nogi za pas i próbował szczęścia na gościńcu. Mógł zejść na drogę przestępstwa – wykrywalność i skuteczność wymierzania sprawiedliwości też nie stały wysoko – mógł zaczepić się w służbie jakiegoś wielkiego pana, dołączyć do wojska (za każdą armią postępowały wtedy znacznie liczniejsze od samych wojskowych tłumy czeladzi i wszelkiej hołoty, żyjące ze świadczenia im różnych usług, jak również z rabowania pobojowisk), mógł wreszcie uciec na kolonizowane stopniowo Dzikie Pola, gdzie każdą parę rąk do pracy witano nader chętnie, niewiele pytając i nie sprawdzając dokumentów, tym bardziej że ich przecież w tamtych czasach nie było. A jeśli trafił się szczególnie śmiały i zręczny, mógł dołączyć do Kozaków.

Najsprytniejszym i wcale w Rzeczypospolitej nie trudnym sposobem wydostania się z opresji było wciśnięcie się w szeregi szlachty. Imć Walerian Nekanda Trepka, rozwścieczony masowością przenikania bezczelnych chamów do stanu rycerskiego, napisał był przecież całe dzieło, sławną „Liber chamorum”, wyliczając, kto, gdzie i jakim sposobem uzurpował sobie nienależne prawa, udając szlachcica. Charakterystyczne jest nie tyle, że biogramów owych bezczelnych chamów zebrał tak wiele, ale że prawie nie zachowały się ślady, by ich w jakiejś znaczniejszej liczbie po takich demaskacjach karano. W dokumentach sądowych skazania pojawiają się bardzo rzadko i przeważnie, można się domyślić, zdemaskowanego chama jedynie wypędzano, uznając, że kompromitacja i niesława są karą wystarczającą i nie ma się co fatygować ani pakować w koszta, by tę karę „multiplikować”. Można

się domyślić, że niejeden wypędzony jechał w drugi koniec kraju i zaczynał maskaradę od nowa, tylko nauczony doświadczeniem, mądrzej.

Powszechnie znana psychologiczna prawidłowość pozwala się też domyślać, że taki pseudoszlachcic był jeszcze bardziej nieskłonny do okazywania jakiejkolwiek litości swym wczorajszym plebejskim współtowarzyszom niedoli. Dobrze, jeśli nie stawał się panem jeszcze okrutniejszym niż ci naprawdę „urodzeni” – obrońcy gnębieni plebeje na pewno nie mieli co się po nim spodziewać.

„Jak starsi mówili, którzy pańszczyznę odrabiali i zapamiętali, to nie trzeba większej kary na ludzi, jak była pańszczyzna, że człowiek gorzej wtedy był traktowany niż teraz to bydlę, które jest uparte. Bili w polu i w domu za lada bagatelę tak, że tego, co od starszych ludzi słyszałem, opisać nawet nie można i jest to wprost nie do uwierzenia, jak się nad ludem pastwili. [...] I nie było się do kogo użalić i rekursu od tego, bo takie było prawo zwyczajowe i właścicielem wszystkiego był dziedzic, do niego należała ziemia, woda, nawet wiatr, bo np. młyny, poruszane wiatrem (wiatraki), mógł tylko właściciel dworu budować”. To już wiek XIX, słowa z jednej z najciekawszych książek, jakie przeczytałem w życiu – prawie nieznanych dziś „Pamiętników włościanina” Jana Słomki (podtytuł „Od pańszczyzny do dni dzisiejszych”), fantastycznego zapisu, jak przebiegała postulowana przez ojców założycieli endecji „polityzacja mas”, ich przekształcanie się z ciemnej, niewolniczej masy w polski Naród. Ale akurat nie to świadectwo, rzucone w książce niejako mimochodem, decyduje o jej wartości – o tym, jak bezwzględne i okrutne reguły panowały na polskiej wsi nawet w czasach nowożytnych, znaleźć można informacje w różnych źródłach.

Wedle Jana Słomki „przy ostatku pańszczyzny” w jego rodzinnym Dzikowie były 42 domy, w tym 12 kmieci i 23 zagrodników. Kmiecie mieli po 18 morgów gruntu i odrabiali pańszczyznę po 6 dni w tygodniu własnymi zaprzęgami, zagrodnicy mieli po 6 morgów i odrabiali po 3 dni pańszczyzny pieszo. Pozostali byli komornikami, czyli nie mieli nic i utrzymywali się z pracy u kmieci, ci bowiem –

jak łatwo zauważyć, zwłaszcza pamiętając, że religijny zakaz pracy w niedzielę traktowany był w dawnych czasach poważnie – pracować na swoim w ogóle nie mieli kiedy, bo, nie trzeba chyba dodawać, powinności „na pańskim” szły przed wszelkimi innymi zajęciami i za niestawienie się do pracy groziły natychmiastowe kary, włącznie z odebraniem przez pana morgów.

Raz jeszcze podkreślmy: mówimy o połowie wieku XIX i o ordynacji Tarnowskich, słynących z liberalnego stosunku do poddanych, fundowania szpitali, dobroczynności – sam Słomka wydobył się z analfabetyzmu i zacofania dzięki filantropii pani hrabiny, która sfinansowała szkołę elementarną dla wiejskich dzieci. Jak wyglądać musiało to w czasach Rzeczypospolitej, niedającej „chamowi” żadnej ochrony nawet najbardziej elementarnych praw – szkoda gadać, wszelkie „Chaty wuja Toma” wymiękają. Moje pokolenie było tymi opowieściami karmione bardzo intensywnie, co nas, przyznaję, na problem „krzywdy chłopskiej”, bez pomiłuj eksploatowany w peerelowskich czytankach szkolnych, mocno znieczuliło. Ale to, że przewiny polskiej szlachty przeciwko polskiemu ludowi były akurat bardzo na rękę polityce historycznej realnego socjalizmu, nie zmienia w żadnym stopniu faktów, których akurat propaganda PRL zmyślać nie musiała.

Co jednak najważniejsze: polski chłop, i szerzej, polski plebejusz, bo dokładnie to samo dotyczy biedoty miejskiej i różnego rodzaju „ludzi luźnych”, przez długie lata coraz mocniej wdeptywany w ziemię, nie tylko nigdy (prawie) się przeciwko temu nie zbuntował fizycznie, ale nawet nie rozwinął w sobie ducha buntu.

Ta ostatnia okoliczność jest w ogóle kluczowa dla naszej historii i współczesności, dla właściwego ich opowiedzenia i zrozumienia. Problem nie tylko w tym, że w polskich dziejach nie było wojen chłopskich, rewolucji ani buntów, a jeśli były, to, jak w przypadku rebelii Aleksandra Kostki-Napierskiego czy wspomnianej już rzezi galicyjskiej, stali za tym jacyś „inni szatani”. Jeszcze gorsze jest to, że polska kultura nigdy nie stworzyła postaci porównywalnej z dobrym wojakiem Szwejkiem – plebejusza, który w imię swego chłopskiego rozumu umiałby wyśmiać albo w inny sposób odrzucić swoich

rycerzy, hrabiów i hofratów, z ich honorem, ojczyzną i najjaśniejszym panem na czele. Ba, nie stworzyła nigdy najmniejszej nawet koniunktury na taką postać, a kiedy się jakieś próby wyszydzenia „jaśnie panów” pojawiały, to, podobnie jak w polityce, były owocem kolaboracji i lizusostwa wobec okupanta, budziły więc odrazę i niechęć.

Szczególnie ostro widać to w historii peerelu. Od swych początków, a z największą intensywnością w czasach Gomułki, próbował on na odbudowaniu tradycji plebejskiej zbudować polskość nową, „ludową”, wychować nowego Polaka jako dziedzica i zarazem mściciela pokoleń pańszczyźnianych, stanowczo odrzucającego sarmackie dziedzictwo ich prześladowców. Afirmowaniu „ludowości” i „robociarskiej” dziarskości, potępianiu pańszczyźnianej krzywdy poprzednich pokoleń ludu, celebrowaniu pozytywistycznych nowelek czy społecznych rewindykacji Stefana Żeromskiego poświęcano wiele miejsca w programach szkolnych, kontrolowanej przez partię kulturze i mediach. Ludowość kojarzona z krzepą, zdrowiem i siłą panoszyła się w retoryce. „Powiem prosto, po robociarsku...” – zaczynali przemówienia nie tylko pozujący na proletariuszy partyjni aparatczycy, ale i poeci (tu akurat cytat z wystąpienia na zjeździe literatów przedwojennego lidera poetyckiej awangardy Juliana Przybosia, który w czasach stalinowskich za awangardowość i „formalizm” właściwie powinien zostać zgnojony, jak malarz Władysław Strzemiński, skądinąd zresztą jego przyjaciel. Ale na swoje szczęście był autentycznym chłopskim dzieckiem, i to z rodziny bardzo biednej, i to okazało się ważniejsze).

I całe to czterdziestoletnie dowartościowywanie ludu skończyło się, jak pamiętamy, jego buntem, zinstytucjonalizowanym w ruchu Solidarności („tak długo wmawiali robotnikom, że to oni tu rządzą, aż ci w końcu uwierzyli” – podsumował sierpniowy strajk Jan Pietrzak). Nie było w tym buncie nic z chłopskiej rabacji, nic z tak usilnie postulowanego przez realny socjalizm poczucia wyższości „ludowego Polaka” nad „sanacyjnymi dziedzicami”, żadnego śladu

wieloletniego przekierowywania polskiej dumy z Kościuszki i księcia Poniatowskiego na Małego Franka i Huberta Sierszę.

Dokładnie przeciwnie. Choć socjologicznie robotniczy i plebejski, kulturowo był to bunt i ruch w każdym szczególe nawiązujący do wzorców romantyczno-sarmackich.

Amnestia dla Michałka

Andrzej Mencwel – przypadkiem wywodzący się z tych samych okolic, co przywoływany już wójt Jan Słomka – opowiedział gdzieś czy napisał cytowaną potem przez innych anegdotę o swoim ojcu, który w początkach minionego wieku jako młody dziedzic, przejęty misją niesienia w lud kaganka oświaty, czytywał fornalom w majątku rodziców „Trylogię” Sienkiewicza. Cała gromada schodziła się na to czytanie jak na główną atrakcję dnia, słuchając w zachwycie rozdział po rozdziale opowieści o wyczarowanym przez pana Sienkiewicza utraconym polskim raju i o jego herosach.

I, co stanowi clou tej opowieści, wszyscy owi fornale utożsamiali się z owymi herosami, o których im czytał jaśnie panicz. Z panem Kmicicem, panem Wołodyjowskim i panem Skrzetuskim, a niewiasty zapewne z panienkami Kurcewiczówną i Billewiczówną – a nie z „kudłatym Żmudzinem”, powtarzającym od czasu do czasu „padłas”, albo z „chamami”, których raczenie się na weselu nazbyt w jego przekonaniu dobrym trunkiem tak zirytowało pana Zagłobę, że retorycznie pytał, jak może być dobrze w Rzeczypospolitej, skoro „chamy taki miód piją”.

Pogardę swych bohaterów wobec „chamów” bierze zresztą Sienkiewicz w nawias stylizacji, sam, zgodnie z modą swych czasów, nie stroni od peanów na cześć dzielności i wierności dla króla, a więc i Rzeczypospolitej, prostych górali czy dragonów. Kmicicowi przydaje „wiernego Sorokę”, Wołodyjowskiemu „srogiego Luśnię” czy innych przedstawicieli „niskiego stanu” i w ogóle każe swym rycerzom cenić „ten rodzaj ludzi, bo słuchał ślepo i wszelkie trudy

bez szemrania znosił”. Ba, w „Potopie” nie tylko wielokrotnie podkreśla ojcowską miłość żywioną przez króla Imci do prostego ludu, ale też daje wyidealizowany wzorzec społecznego awansu – nad którym warto się chwilę zatrzymać.

Ponieważ czasy, gdy „Trylogię” każdy znał na pamięć i ludzie porozumiewali się fragmentami jej potoczystych dialogów, dawno minęły, czuję się w obowiązku krótko przypomnieć. Niejaki Michałko, księży parobek, przedziera się do polskiej chorągwi z informacją, że na jego plebanii w oddziale szwedzkiej tylnej straży nocuje sam Karol Gustaw. Wyprosiwszy w nagrodę za tę przysługę „siablę”, bierze udział w natarciu nie tylko jako przewodnik, ale i równoprawny żołnierz, zdobywa szwedzką chorągiew, odnosi rany i mdlejąc z nich, słyszy jeszcze, jak sam Stefan Czarniecki, obiecując mu uwolnienie z poddaństwa, zwraca się do szlachetnie urodzonych towarzyszy: „Ja w tym, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy! – Godzien tego! godzien! – zakrzyknęła szlachta”.

Powiedzą może Państwo, że zbyt często daję przykłady z literatury, która przecież nie oddaje historii, tylko autorskie imaginacje. Ale literatura, a już zwłaszcza dotyczy to trzech sarmackich powieści Sienkiewicza – właściwie bardziej niż „powieść” pasowałby tu Tolkienowski termin „mitopeja” – była w Polsce wieków XIX i początku XX czymś znacznie więcej. Była namiastką państwowej edukacji i polityki kulturalnej, źródłem wzorców, podstawą budującej się nowoczesnej tożsamości. Z pozoru prosta opowiastka, zapożyczona narracyjnie u Waltera Scotta i Aleksandra Dumasa, a wizją sarmackiego świata u wypędzonego z polskiej świadomości Henryka Rzewuskiego – w istocie wpływem na czytelników sięgająca poziomów Homera czy Szekspira. To właśnie miał na myśli, nawiasem mówiąc, Gombrowicz, pisząc z zachwytem o Sienkiewiczu: „pierwszorzędny pisarz drugorzędny!” – co półinteligenci cmokający z zachwytu na wspomnianych w poprzednim rozdziale teatralnych inscenizacjach uwielbiają cytować, ni w kij nie rozumiejąc i tylko skrzecząc jak papugi:

„drugorzędny, drugorzędny, a to ci nasz Gombro tego idola polskiego ciemnogrodu ugryzł!”.

Możemy więc śmiało omówić odmienność polskiego chamskiego awansu właśnie na przykładzie owego Sienkiewiczowskiego Michałka (który, nawiasem mówiąc, miał swój historyczny pierwowzór, tak niepodobny do literackiego, jak niepodobny był do powieściowego rzeczywisty pułkownik Jerzy Wołodyjowski; Wołodyjowski powalczył, ile miało sens, skapitulował, a zginął wskutek przypadkowego wybuchu prochowni, gdy wyprowadzał swych żołnierzy – prawdziwy zaś Michałko, zanim zdezerterował do Czarnieckiego i wywalczył sobie nobilitację, był szwedzkim rajtarem).

Odmienność polskiego awansu społecznego doprawdy jest tak fundamentalna, a zarazem dająca skutki tak dla każdego Polaka oczywiste, że całe pokolenia specjalistów od polskiej duszy i polskiego społeczeństwa, nie mówiąc o przywódcach politycznych, nie są w stanie jej dostrzec, nawet gdy się o nią potykają – ba, nawet gdy dostaną od niej w zęby. Z podobnego powodu, dla którego przez całe stulecia ludzie nie zauważali powietrza, którym oddychają.

Otóż wszystkie właściwie społeczeństwa, a już na pewno te zachodnie, w których wzorzec próbuje się nas wprasować, rozwijały się przez konflikt klas, czy warstw, niższych i wyższych. Bogaci przeciwko biednym, plebejusze kontra szlachetnie urodzeni, uprzywilejowani versus wyzyskiwani – w robotę szły dyby, pejcze, noże i gilotyny, wybuchały rabacje i rewolucje, lała się krew. Awans tych z dołu odbywać się mógł tylko w jeden sposób: po trupach stojących im na drodze arystokratów, burżujów czy innych krwiopijców.

U nas zaś awans klas niższych dokonał się przez kooptację.

Rozumieją Państwo, czują tę różnicę?

Najpierw w Sarmacji „cham” i „łyk” byli po prostu zbyt słabi, żeby się skutecznie zbuntować. Buntem najsprytniejszych była ucieczka albo mimikra, wtapianie się w szlachtę – a pozostali, straciwszy potencjalnych przywódców, mogli się najwyżej upijać z rozpaczy, nabijając tym dodatkowo kabzę panu i jego arendarzowi

(cierpliwości, już mówiłem). Myśl, że należałoby poprawić los warstw najniższych, jeśli się pojawiała, to nie wskutek plebejskich powstań – rodziła się wśród szlacheckich reformatorów, pod wpływem rozchodzących się po Europie nowych idei. Często zresztą z motywacją zdroworozsądkową: chłop oczynszowany będzie bardziej wydajny od pańszczyźnianego, a przykłady zachodnich rewolucji każą zrobić coś zawczasu, by podobnych zdarzeń u nas uniknąć.

Są jednak takie wydarzenia w dziejach narodów, które decydują o całym ich losie, warunkują narodowy mental na wiele pokoleń i właściwie ustawiają całą ich późniejszą historię. Dla Rosji na przykład był to podbój tatarski i nieludzkie okrucieństwa, z jakimi wiązała się rozpoczęta wówczas okupacja. Dla Niemców – eksterminacja przez Krzyżaków Prusów, przekształcenie ich terrorem w Prusaków, a potem pokojowy podbój przez Prusy zachodnich krain byłego cesarstwa. Dla Stanów Zjednoczonych – wojna domowa, zwana secesyjną.

Dla nas są to oczywiście rozbiory. Utrata wskutek podboju przez koalicję trzech sąsiadujących mocarstw własnego państwa właśnie w chwili, gdy zbankrutowany, nieudany projekt federacyjny przesilał się ku państwu narodowemu i gdy Rzeczpospolita znajdowała w sobie dość sił, żeby się zmodernizować i spróbować poszerzenia społecznej podstawy republiki – zmieniła w naszych dziejach wszystko.

Także drogę społecznego awansu.

Antagonizm wewnętrzny osłabł, najważniejszą społeczną emocją na następne stulecie stał się antagonizm między Polakami, pragnącymi odzyskać wolność, a zaborcami, którzy ją zabierali. Dzięki tej walce o wolność warstwa rycerska, na Zachodzie odsyłana stopniowo na margines historii, mogła wciąż zachowywać rolę dominującą, przyjmując tylko nowe wcielenia.

Także dlatego, że teraz już, gdy przestała awansu „ludu” potrzebować do uzasadnienia swych przywilejów, złożenie warstwom niższym oferty „uznamy was za równych” stało się nieskończenie łatwiejsze.

Konkretnie, oferta ta przybrała taką właśnie formę, w jakiej przeniknęła do powieści Sienkiewicza. Uznamy was za równych sobie, jeśli okażecie się tego godni – równi nam duchem. Przestaniesz, chamie, być chamem, jeśli będziesz walczył razem z nami o Polskę – jak wsławiony pod Racławicami kosynier Bartosz, uszlachcony za okazane męstwo jako Głowacki.

Tę ofertę złożyło ludowi najpierw samo ogarnięte patriotyczną gorączką rycerstwo – ta część dawnej szlachty, która poszła za Sejmem Czteroletnim, wieńczącą go Konstytucją, za naczelnikiem Kościuszką i generałem Dąbrowskim. Z militarnego punktu widzenia polskie Legiony we Włoszech były nic nieznaczącym epizodem, nawet jeśli rozszerzyć je na cały polski udział w epopei napoleońskiej, która bez naszych wiarusów przebiegłaby mniej więcej tak samo; może tylko kampania w Hiszpanii bez piorunującego sukcesu pod Somosierrą byłaby jeszcze bardziej dla Bonapartego uciążliwa. Natomiast duch legionowy, z całym jego naciskiem na równość i braterstwo, poszanowaniem dla praw prostych żołnierzy i dbałością o ich obywatelską edukację, uczynił z tego epizodu moment założycielski przyszłego narodu, symbolicznie przekształcając demokrację i wolność szlachecką w demokrację i wolność powszechną – na razie postulowaną, ale będącą dla kolejnych pokoleń wartością godną, by dla niej żyć i umierać.

Wspomniana oferta wobec warstw niższych, że za okazane cnoty każdy może zostać „uszlachcony”, stała się podstawą etosu warstwy społecznej, która ze szlachty wyrosła, zanegowała ją i ostatecznie w roli warstwy przywódczej narodu zastąpiła: inteligencji. Nie był to łatwy proces, przez cały wiek XIX między dawnym przywództwem, arystokratyczno-ziemiańskim, skarykaturowanym w Mickiewiczowskim „salonie warszawskim” jako ci „w głębi”, a nowym, inteligenckim, usadzonym w owym salonie bliżej drzwi, nieźle iskrzyło. Ówczesna literatura pełna jest filipik przeciwko ciemnemu, egoistycznemu szlachciurze, który ślepy na dobro ojczyzny, zamiast chłopów wyciągać z cywilizacyjnego upadku, gania ich do pańszczyzny, bierze w dyby i chłoszcze, jak

w opowiadaniu Żeromskiego „O żołnierzu tułaczu”. Pełna jest też sympatii dla ludu, wiary w jego siłę, która pozyskana dla ojczyzny, pozwoli skruszyć kajdany narodowej niewoli – wiary przechodzącej z czasem w uwielbienie aż zatracające cechy zdrowego rozsądku, w chłopomanię i kult robotnika jako istoty już nie tylko zasługującej na równe prawa, ale zgoła lepszej, godnej być dla zdegenerowanych i pełnych słabości warstw wyższych wzorcem cnót. Ale – co właśnie stanowi clou – tych cnót, które tradycyjnie kojarzono z rycerstwem.

Bo w tej miłości do ludu tkwił haczyk: żeby dostąpić symbolicznego dokooptowania do szlachty, musisz się stać jak szlachcic. Jak my. Naśladować nas i upodabniać się. Z wdzięcznością, że pozwalamy ci na równi z nami ginąć za ojczyznę i dostawać za to Virtuti Militari.

Nie możesz, jak wspomniany tu wzorzec zwycięskiej plebejskości czeski Szwejk, nas oceniać, a już zwłaszcza oceniać nas negatywnie, przymierzać do naszych pańskich nawyków i manier swoich chamskich, cwaniackich kryteriów, wytykać jaśnie pańskich wariactw, braku rozsądku, szaleństw, ogólnie mówiąc – braku cnót praktycznych.

Szwejk oswojony

Sam fakt, że cały proces społecznego rozwoju poszedł inaczej – powtórzę, nie przez konflikt klas niższych z wyższymi, ale przez kooptację, symboliczne „uszlachcanie” niższych przez wyższe – to dopiero początek. Przyjrzą się Państwo, z łaski swojej, logicznym konsekwencjom tej sytuacji.

Po pierwsze, normalny proces walki dołu z górą został unieważniony pojawieniem się trzeciego czynnika – zaborcy. Moskala, Niemca – Prusaka albo Niemca austriackiego (we współczesnej polskiej pamięci łagodniejszego, bo zapadły w nią czasy schyłkowego Franza Josepha i daleko posuniętej galicyjskiej autonomii, ale pierwotnie ten ostatni nie był ani odrobinę bardziej

sympatyczny od pozostałych). Z czasem to ten trzeci, obcy – urzędnik, przedstawiciel narzuconej władzy, wyduszającej podatki i inne powinności wobec zaborczego państwa – zastąpił rodzimego dziedzica w roli wroga.

Po drugie, szlachta, której triumf i panowanie nad wrogiem wewnętrznym, poddanym, były w Rzeczypospolitej stuprocentowe i bezdyskusyjne, została przez tegoż samego zaborcę mocno obita. Na dzień dobry odmówił on we wszystkich trzech zaborach respektowania „urodzenia" tych, u których nie szło ono w parze z majątkiem – co od razu większość dotychczasowych „panów braci" zdeklasowało. Pozostali też tracili majątki, rok po roku i dekadę po dekadzie – przeważnie dlatego, że zwyczajnie nie umieli sobie poradzić z gospodarowaniem w nowoczesnych warunkach i zmienić rozrzutnych nawyków z dawniejszych czasów; w stosunkowo nielicznych, ale najbardziej chwalebnych i przez to najczęściej przywoływanych wypadkach wskutek konfiskat za powstania czy inne „niebłagonadiożnosti".

Nie można im było jednak odebrać „kapitału społecznego". Zubożali szlachcice przenosili się do miast, posyłali dzieci do szkół, chwytali się posad urzędniczych i wolnych zawodów. Zepchnięci zaborczymi ukazami pomiędzy niższe warstwy społeczne, siłą tegoż niematerialnego kapitału stawali się ich liderami.

Naturalnym instynktem pokrzywdzonej szlachty było odzyskać utraconą wolność. Naturalnym wyrachowaniem – posłać do walki o nią masy. Przez cały wiek XIX przewija się na różne sposoby wyrażana myśl, że trzeba rewolucję socjalną połączyć z powstaniem narodowym. Uświadomić, wychować lud w tym poczuciu, że stary szlachcic, pańszczyźniany, który był może jego wrogiem i krzywdzicielem, odrzucony został i wyparty przez szlachcica nowego – inteligenta. A ten inteligent za swoją misję uznał wydobycie plebejusza z zacofania, podniesienie go do swojego poziomu, otrzepanie z błota i, oczywiście, wręczenie mu symbolicznej karabeli... No dobrze, pozostańmy przy kosie. Jesteś teraz Polakiem, idź, walcz z nami o Polskę – jak Bartosz Głowacki,

którego pomniki porosły w wieku XIX Galicję, a obrazki i broszury rozprzestrzeniły się po innych zaborach.

Wyrachowanie wcale nie wyklucza autentycznej miłości. Inteligencki etos ukształtowało nieudawane poczucie winy wobec ludu, świadomość niesprawiedliwości jego losu i własnego wywyższenia, rodzące potrzebę odkupienia – służby, a właściwie Służby. To ona właśnie stanowiła fundament inteligenckości, który u peerelowskiej inteligencji pracującej z czasem zupełnie zanikł, a po Okrągłym Stole, w miarę jej przepoczwarzania się w miejscową odmianę liberalistokracji, został otwarcie i stanowczo zanegowany.

Wszystko bardzo pięknie, gdyby nie ten wspomniany już haczyk: służąc ludowi choćby z największą miłością, wychowała go postszlachecka inteligencja według swoich wyobrażeń. W krajach Zachodu awans, wywalczony przez warstwy niższe samodzielnie, oznaczał zmuszenie warstw wyższych do przyjęcia do wiadomości cnót plebejskich. Przedsiębiorczości, sprytu, zdrowego rozsądku, wyrachowania nawet. W Polsce awans z łaski, dopuszczenia warstw wyższych oznaczał wyrzeczenie się tych samych wartości i przyjęcie wzorców pańskich.

Szwejk miał do dyspozycji w swojej ojczyźnie – kraju zdominowanym przez podobnych doń plebejów, bo jego szlachta albo wyginęła, albo się wynarodowiła – broń potężną, masowego rażenia: chłopski zdrowy rozsądek. Gdy śmiał się w głos z oficerów i hrabin, opowiadających mu farmazony, jak to słodko i pięknie jest umierać za najjaśniejszego pana – to równie jak on miłujące zdrowy rozsądek chóry jego pobratymców, w swoim gronie nazywające najjaśniejszego „starym Prochazką” albo zgoła „naszą starą dupą”, chichotały razem z nim tym głośniej, im mniej im mogli ichni arystokraci zrobić.

A w Polsce takiego Szwejka, który by wyśmiał posyłanie go z kosą na armaty Moskali czy inne równie wariackie posunięcia służące temu, żeby po jaśniepańsku dać się chwalebnie ukatrupić i wypatroszyć, niczego nie osiągając, być nie mogło. Nie mówię, że nie było takich tendencji – jakże, insurekcyjni jakobini, „o cześć wam, panowie magnaci” i tego rodzaju klimaty. Ale sprawa była

prosta jak cios cepem: jeśli nie korzystasz z drogi wskazanej przez inteligenta, nie chcesz go naśladować i spełniać jego oczekiwań, pozostaniesz chamem. Chamem pogardzanym, znienawidzonym i obrzydliwym – chamem, co najgorsze można sobie wyobrazić, zbuntowanym, i to podwójnie zbuntowanym, nie tylko przeciw swojej chamskiej kondycji, ale i przeciw wychowawczym wysiłkom lepiej urodzonych łaskawców!

Mówiąc krótko – nasz awans społeczny dokonał się w taki sposób, że warstwy niższe zostały wytresowane we wstydzie za to, kim są i jakie są, w wypieraniu się siebie samych i usilnym małpowaniu panów. Panowie się zmienili, odruch pozostał. Wiek XIX stworzył podwaliny pod dzisiejsze społeczeństwo „chamów" okładających się nawzajem obelgą „ty chamie" i dających się wodzić za nos każdemu, kto umiejętnie się do ich chamskich kompleksów i frustracji odwoła. Zdolnych być wszystkim, tylko nie samymi sobą, bo ze sobą nie idzie wytrzymać człowiekowi, który sam siebie nienawidzi i wyleczyć jego ból może tylko złudzenie, że jest zupełnie kim innym.

Inteligencki paternalizm był jednym z warunków tej społecznej odmienności. Pierwszym – ale oczywiście nie jedynym.

Trzeci element

Awans pokojowy, przez kooptację, a nie rewolucję, nie był więc bezwarunkowy. Trzeba było wyrzec się chłopskiej duszy z jej chłopskim zdrowym rozumem i zacząć myśleć po pańsku.

Ta oferta została przyjęta i awans społeczny, przekształcenie się ludu w naród, gdzie indziej znaczone krwią własnych panów, u nas poszło pod ich kierunkiem – kosy, jeśli przekuwano na sztorc, to przeciwko wspólnemu wrogowi. No chyba że, jak w czasie galicyjskiej rabacji czy w polskojęzycznych jednostkach służących w 1920 roku po stronie bolszewików, cham wybierał kolaborację z owym wrogiem przeciwko panom. Ale wtedy szedł do piekła

narodowej zdrady. Więc takich przypadków było naprawdę niewiele.

Dlaczego tak? Dlaczego taki na przykład Jan Słomka, choć pańszczyznę jeszcze na własne oczy w dzieciństwie oglądał, choć słuchał opowieści starszych, „jak się nad ludem pastwili” i traktowali „gorzej jak to bydlę”, z czasem stał się aktywnym działaczem społecznym, nieprzejednanym wrogiem tych, co głosili, że „tylko panowie mogą chcieć Polski, żeby na nich ludzie robili, jak za pańszczyzny”?

„Dopiero wtedy, jak zacząłem czytać książki i gazety, poczułem się Polakiem i uważam, że inni włościanie w ten sam mniej więcej sposób dochodzili do poznania swej narodowości” – odpowiedział na to on sam. Siła przekazu pańskich książek i gazet okazała się mocniejsza, bardziej atrakcyjna niż doświadczone od konkretnych panów przez poprzednie pokolenia krzywdy.

Istota sprawy w tym, iż pomimo wszystkich tych krzywd, takich, że „gorszej kary na ludzi nie trzeba”, by raz jeszcze sięgnąć po niezrównaną pamiętnikarską frazę wójta Dzikowa, pan, szlachcic nieodmiennie chłopu imponował. Pozostawał niedoścignionym wzorcem, marzeniem. Bardziej, niż się na nim odegrać, chciał mu cham dorównać, stać się nim.

Krzywdy kojarzył raczej z pośrednikami, którymi pan się do gnębienia chłopów posługiwał, sam pozostając dzięki temu w ich oczach istotą na swój sposób nieskalaną, odległą, a więc łatwiejszą do szanowania.

Wśród tych zaś pośredników, bezpośrednich krwiopijców i krzywdzicieli rolę szczególną i – znów powtórzę tę frazę, z której wynikła cała niniejsza praca – odmienną niż w jakimkolwiek innym kraju, niemającą nigdzie indziej precedensu ani analogii odgrywał Żyd.

6. Żydowski raj i żydowskie piekło

Chłopska niedola, jak los spartańskich helotów, czarnych Afrykanów i dzieje innych społeczności, które przegrały historię i zostały wdeptane w błoto, prawie nie zostawiła bezpośrednich świadectw. Najsprytniejsi i najbardziej energiczni, których bunt wyraził się w ucieczce, wkręceniu w warstwy wyższe czy jakkolwiek inaczej osiągniętym indywidualnym sukcesie, z oczywistych względów ani zamierzali spisywać memuarów – prędzej dorabiali sobie zmyślone życiorysy i zmyśloną historię przodków, by zatrzeć za sobą ślady. Ci, których złamano, z reguły nigdy nie nauczyli się pisać i nie mieli do pisania głowy. Ci zaś, którzy zapisywali historię, losów chama nie uważali za bardziej godne uwagi niż innego rodzaju żywego inwentarza.

Zachowane do dziś pamiętniki chłopskie można policzyć na palcach jednej ręki, wszystkie pochodzą z wieku XIX bądź XX i wszystkie są zapisem ówczesnego przebudzenia narodowego. Nieliczne próby spisania chłopskiej historii, takie jak prace Jakuba Bojki – niesłusznie zapomnianego działacza z galicyjskiego kręgu Witosa, którego zresztą zdradził, decydując się na kolaborację z sanacją – były wobec braku źródeł i pisania pod konkretne polityczne potrzeby bardziej próbą dobudowania mitologii do poczucia, że „chłop w sobie ma coś z Piasta” i „potęgą jest”, niż rzeczywistym zapisem chłopskiej pamięci, jeśli zresztą do czasu, gdy zaczęły owe dzieła powstawać, coś z tej pamięci jeszcze pozostało. Swoją drogą, losy tych nielicznych dzieł – incydentalne wydania, żałośnie małe nakłady, brak szerszego zainteresowania

komentatorów – pokazały, że zarówno Polska przedwojenna, jak i powojenna, nie mówiąc już o współczesnej, miały „wiochę” i „chamstwo” w równie głębokiej pogardzie.

Istnieli oczywiście i istnieją ludzie fascynujący się tym dziedzictwem, tak jak istnieją zapaleńcy nagrywający obertasy i rekonstruujący inne przejawy wymarłej już ludowej kultury – ale mówimy o ogólnym nastawieniu. Słyszał ktoś z Państwa bodaj raz w życiu oberka w radiu? Ja znam tylko jedną audycję, w której było to możliwe. Wiecie, kto ją prowadzi w niszowej stacji? Niejaki Mamadou Diouf, zasiedziały w Polsce i zakochany w polskim folku czarnoskóry Senegalczyk.

A zna ktoś z Państwa jakieś nowe, ciekawe prace historyczne poświęcone chłopskim tematom?

A wiedzą Państwo, tak dla kontrastu, jakim zainteresowaniem cieszą się usługi heraldyków oferujących pomoc w wyszukaniu szlachetnie urodzonych przodków? Jaka jest sprzedaż wszystkiego, co odwołuje się do pamięci dworków, ziemiaństwa? Już nie mówię, bo ta koniunktura nakręcana jest pewnie raczej przez granty niż autentyczny popyt, ile powstaje książek rozbierających na czworo dzieje rozmaitych mniejszości, a często wręcz je zmyślających – czasami w sposób kuriozalny, na przykład robiących homoseksualistów z bohaterów Szarych Szeregów, króla Władysława Warneńczyka albo z poczciwej Marii Konopnickiej, matki ośmiorga dzieci.

W społeczeństwie w 90 procentach wywodzącym się z chłopstwa tematy chłopskie są po prostu „obciachem”. Nikt tego nie chce znać. Woli się, jak ci fornale z opowieści profesora Mencwela, uważać za spadkobiercę Kmiciców i Wołodyjowskich niż anonimowych kmiotów.

Niepoprawne pamiętniki

Przywoływane już wspomnienia wójta Słomki, nigdy niewznowione w PRL, a po roku 1990 wydane tylko w niskonakładowej jubileuszowej edycji tarnobrzeskiego samorządu, nie są jedynym przykładem. Weźmy inne, jeszcze bardziej unikalne świadectwo o wymazanej z polskiej pamięci chłopskiej przeszłości, pamiętnik Kazimierza Deczyńskiego. Autor, któremu zmarło się w roku 1838 w Paryżu krótko przed czterdziestką, chłopem był właściwie tylko z pochodzenia – udało mu się wykształcić na tyle, że został nauczycielem w parafialnej szkółce w rodzinnej Brodni, potem walczył w powstaniu listopadowym, dosłużył się najniższego stopnia oficerskiego i wraz z innymi popowstaniowymi rozbitkami zmuszony został do emigracji (do dziś zwanej w polskiej historiografii wielką). Wtedy właśnie spisał swoje życiowe doświadczenia, nie szczędząc gorzkich słów.

Rękopis porucznika Deczyńskiego musiał po emigracji krążyć, zachowały się bowiem rozmaite wyrazy oburzenia, że śmiał tak źle opisać cierpiącą niewolę ojczyznę, zamiast ją sławić i idealizować jak narodowy wieszcz i inni poeci. Ale wydobył go z zapomnienia i wydał drukiem dopiero w 1907 roku profesor Marceli Handelsman, badający emigracyjne szpargały historyk – skądinąd zasłużony i gorący patriota polski żydowskiego pochodzenia. Trudno powiedzieć, czy zrobił tym dziełu przysługę, bo „Żywot chłopa polskiego na początku XIX stulecia", jak rzecz zatytułował, wpadł w ten sposób w ręce komunistycznego działacza i literata Leona Kruczkowskiego (szef Związku Literatów Polskich w czasach najgorszego stalinizmu – można sobie wyobrazić, co za typek), który przerobił je na swoją debiutancką powieść „Kordian i cham". W peerelu katowano tą powieścią kilka pokoleń uczniów, używając jej do zohydzania pamięci o „pańskiej", „sanacyjnej" Polsce, co jak już wspominałem, dało efekt odwrotny do zamierzonego – „krzywda chłopska w zacofanej szlacheckiej Polsce" odruchowo została przez nas umieszczona w sferach darzonych podobnym poważaniem, co „nieśmiertelna myśl Lenina".

Ale już na przykład pamiętniki Galicjanki Katarzyny Balalowej, fantastyczne źródło wiedzy o zasługach dla polskości tamtejszych

księży i działaczy społecznych, pozostają do dziś w rękopisie i cokolwiek o nich wiadomo, to tylko dzięki cytatom w specjalistycznych pracach historyków, którzy zapoznali się z manuskryptem w czytelni.

Na dobrą sprawę dopiero konkurs na chłopskie pamiętniki ogłoszony przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w roku 1935 – co też było pójściem za ciosem po tym, jak za ciekawe uznano owoce podobnego konkursu na pamiętniki robotników – dał szerszy materiał do szkicowania obrazu zapomnianego świata. Ale kilkadziesiąt prac, zebranych w dwóch podsumowujących konkurs tomach, to już zapis dwudziestolecia międzywojennego i wspomnień o ostatnich latach zaborów. To, co było wcześniej – przepadło, jak kultura Etrusków, z której pozostało trochę do dziś nieodcyfrowanych inskrypcji i rozmaite skorupy.

To, co ocalono – pozostaje wstydliwie ukrywane i dzisiaj, bo niestety, całe partie tekstu są politycznie niepoprawne. Jako że, co zrozumie każdy, kto zada sobie górniczy trud wydobycia tych pamiętników spod ziemi i zapoznania się z nimi, nie da się opisać chłopskiej udręki bez wspominania o roli, jaką odgrywali w niej Żydzi. A to przecież dzisiaj temat tabu.

Gorsi od jurzystów

Trzeba, jak archeolodzy składający skorupy, posiłkować się tropami pomocniczymi – tym, co przeziera z pamiętników ziemian, niekiedy wielkich, jak Kajetan Koźmian, niekiedy zbankrutowanych, jak poniekąd kontynuujący zapiski tego pierwszego Henryk Wiercieński, który może właśnie z powodu swojej deklasacji poświęcił życiu i mentalności współczesnej sobie wsi ponadprzeciętną dozę uwagi. To bardzo charakterystyczne, że jedna z nielicznych współczesnych książek próbujących rekonstruować chłopskie dzieje (myślę o „Życiorysach pokornych” Wojciecha Wieczorka) poza analizowaniem gromadzonych z benedyktyńską

starannością urzędowych rejestrów, inwentarzy, obliczeń należnej pańszczyzny i archiwów parafialnych bazować może tylko na zapiskach zdeklasowanego ziemianina.

Ale najciekawiej się robi, gdy znajdzie się – wracam do skojarzenia z archeologią, z wydobywaniem ciekawej wiedzy spod ziemi – jakiś z pozoru nic nieznaczący strzępek wiedzy, wzmiankę, która skojarzona z wiedzą skądinąd potrafi nagle powiedzieć więcej, niż sam autor kiedykolwiek sądził.

Oto jedna z takich wzmianek. Z niezbyt pamiętanego dzieła niezbyt cenionego autora – Jacka Hiacynta Jezierskiego, świadka rozbiorów, wielokrotnego posła i uczestnika różnych konfederacji, czasem tych postrzeganych dziś jako patriotyczne, ale częściej tych uznanych przez potomnych za zdradę. A także autora licznych broszur i polemik, tyleż naiwnych politycznie, co godnych szacunku za promowanie idei gospodarczych. Przede wszystkim zaś dających ciekawemu czytelnikowi wgląd, jak inne było od dzisiejszego myślenie ludzi ówczesnych, jak bardzo uwięzione w pułapce niereformowalności systemu, który gwarantując umiłowaną ponad wszelkie inne wartości wolność, gwarantował zarazem wolnym ludziom nieuchronną zagładę.

Niejako na marginesie wszystkich swych publicystycznych bojów rzuca pan kasztelan – w broszurze pod charakterystycznym tytułem „Wszyscy błądzą” z roku 1790 – przygarść złośliwości pod adresem rodzącej się właśnie kasty prawniczej: „jurzystów tak wysoko wyuczonych, że choć ręki do cudzej kieszeni nie włożą, a wszystkie pieniądze wybiera”. Mniejsza, o co tam się imć Jezierski akurat do „jurzystów” przyczepił i jak oceniać zastosowaną przezeń logikę, że skoro w dawnych, dobrych czasach przodkowie radzili sobie bez prawników, a teraz się ich namnożyło, to na pewno oni są właśnie przyczyną spadających współcześnie na ojczyznę nieszczęść. Nie to jest w tym wypadku ciekawe co, ale jak.

Otóż chcąc obrazowo unaocznić czytelnikom, jakim złem są jurzyści, powiada pan Jezierski – streszczam tu jego wywody własnymi słowy – że są oni dla szlachty takimi samymi pijawkami i gnębią ją tak samo, „jak Żydzi męczą chłopów”.

Ktokolwiek choć otarł się o publicystykę, wie, że gdy buduje się retoryczne porównanie, to sięga się po „oczywistą oczywistość”, coś absolutnie bezspornego, poza dyskusją. Jeśli imć Jezierski, chcąc przekonać swych czytelników, że prawnicy są krwiopijcami i wyzyskiwaczami, sięga po taką właśnie figurę stylistyczną, porównując krzywdy zadawane przez nich szlachcie z tym, co robią Żydzi chłopom – to trudno o lepszy dowód, po pierwsze, szczególnej roli, jaką ta mniejszość odegrała w nieszczęściu „wewnętrznych niewolników” Rzeczypospolitej, a po drugie, tego, że było to częścią powszechnej świadomości ówczesnego społeczeństwa. Jeśli zapisków na ten temat zachowało się niewiele, to tylko dlatego, że zapisujących odnotowywanie tej „oczywistej oczywistości” z różnych względów mało interesowało.

Oczywiście, nie miałbym śmiałości wyciągać daleko idących wniosków z jednej publicystycznej wzmianki na marginesie panakasztelańskich bojów z „jurzystami”. To tylko wisienka na torcie. Równie dobrze mógłbym ze współczesnych Jezierskiemu przywołać samego, cytowanego już, Stanisława Staszica: „Żydzi są pijawkami rolnika. Z nich żaden nie przykłada się do powiększania urodzajów krajowych [...]. Wszyscy tylko z innych stanów pracowitych żyją [...]. We wszystkich feudalnych rządach [...] się między panem i między poddanymi Żydzi pośrednikami czynili. Było to dogodne i ze sprawiedliwością szlachcica stosowne narzędzie do jego łakomstwa, które religia wstrzymywała od zdzierstw oczywistych: czego pan swoim poddanym bez odrazy sumienia wydrzeć nie mógł, to im przez oszukanie żydowskie ze spokojnością tegoż sumienia wydzierał”.

A może współcześni się mylili? Może zapytać któregoś z zajmujących się tą historią specjalistów, najlepiej któregoś z tych, którzy sami mieli żydowskie korzenie? O, dajmy na to: „Żyd od szlachty przejął ocenę chłopa jako »chama« i mieszczanina jako »łyka«. Żyd polski gospodarczo – nawet kulturalnie – był najściślej związany ze szlachtą. Funkcje gospodarcze, jakie Żyd wykonywał, były w ogromnym stopniu pochodną całego systemu gospodarki szlacheckiej” (czytaj: wyciskania z „chama” ostatniego tchnienia).

Proszę bardzo, nie wierzycie niezbyt przenikliwemu w swych sądach kasztelanowi Jezierskiemu albo nadmiernie może surowemu Staszicowi, to wierzcie Aleksandrowi Hertzowi. I przy okazji Jerzemu Giedroyciowi, który jego „Żydów w kulturze polskiej" opublikował, na długo zanim możliwe stało się wydanie krajowe.

Przemilczany trójkąt

Bez świadomości tego, o czym wzmiankował Jezierski, na co miotał gromy Staszic i co udokumentował Hertz oraz wielu innych historyków – roli pośredników w wyzysku „nieurodzonych" niewolników, jaką w specyficznym ustroju Rzeczypospolitej odgrywali przez wieki Żydzi – wszelka dyskusja na temat „polskiego antysemityzmu" i w ogóle stosunków polsko-żydowskich będzie tylko przerzucaniem się propagandowymi frazesami i ich odbijaniem.

Wspomniane wcześniej obciążanie nas przez zachodnich mędrków winą za krzywdy mniejszości seksualnych czy opresjonowanie kobiet to bowiem, jak zapewne każdy Czytelnik dawno zauważył, przysłowiowy pikuś przy całym potężnym propagandowym przemyśle pracującym od lat nad dorobieniem Polakom gęby najgorszych antysemitów wszech czasów.

O przyczynach, dla których tak się dzieje – dalej, na razie wystarczy stwierdzić fakt, że mamy w tych atakach do czynienia z najczystszym rasizmem, którego Żydzi, w bez mała osiemdziesiąt lat po Holokauście korzystający ze szczególnego statusu, w najmniejszym stopniu nie skrywają i się nie wstydzą. Zarówno żydowscy politycy – by przywołać haniebne uwagi izraelskiego ministra spraw zagranicznych Israela Kaca – jak i liderzy opinii, wśród których popis dała Barbara Engelking, objaśniając światu w sławnej wypowiedzi, że śmierć dla Żydów jest tragedią metafizyczną, podczas gdy u Polaków śmierć to tylko biologia.

Gdyby dyskurs atakujących Polaków fałszerzy historii w typie Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego czy Jacka Leociaka streścić do jednego zdania, sprowadza się on do stwierdzenia, że dla Polaka Żyd jest „odwiecznym wrogiem” (to akurat określenie mniej prominentnej w tym towarzystwie Aliny Całej) – bo tak. Właściwie nawet nie trzeba tego tłumaczyć, po prostu każdy Polak to antysemita (z nielicznymi wyjątkami tych Polaków, którzy w ramach zabiegów o awans na „Europejczyków” pokornie zgadzają się z tezą, że każdy Polak to antysemita, i sami ją głoszą) – ale jeśli naprawdę trzeba wyjaśniać, to wyjaśnienie jest w tym dyskursie proste. Polak to antysemita, bo Polak to katolik, a katolicyzm to antysemityzm. Za cały dowód wystarczy fakt, że postępowy Zachód dawno już tak właśnie orzekł, wyzwalając się z sideł chrześcijańskiego zabobonu, a zacofana Polska, jak wiadomo, ciągle w tym zabobonie tkwi.

W ten sposób żydowska nienawiść do Polaków wpisuje się z pełną zgodnością w dyskurs zachodniej lewicy, mimo że generalnie zachodnia lewica jest zdecydowanie antysemicka, oskarża Izrael o ludobójstwo na Palestyńczykach i uważając to państwo za wykwit amerykańskiego imperializmu, trzyma przeciwko niemu z Arabami.

Obrońcy Polski z kręgów postinteligenckich salonów podnoszą w odpowiedzi argument, że przez wiele wieków nigdzie Żydom nie było tak dobrze jak w Polsce, i wyliczają wszelkie przejawy tego, o ile lepiej ich traktowano w Rzeczypospolitej niż w krajach absolutum dominium. Przypominają, że to sami Żydzi nazwali nasz kraj „paradisus iudaeorum”, że sami stworzyli legendę o rabinach, którym podczas prześladowań cudownie zesłał Jehowa na rozstajnych drogach wskazówkę, by uciekali do kraju nad Wisłą i Niemnem, że żydowska nazwa Polski „Polin” znaczy „tu odpoczniesz” i tak dalej. Gdy w odpowiedzi na to agresorzy zamykają im usta oberargumentem „Jedwabne” (też za moment), wyjaśniają, że to była wina nacjonalistów – i w tej nienawiści do „polskiego nacjonalizmu”, łatwo i chętnie utożsamianego z polskim patriotyzmem, spotykają się w zgodzie zarówno z żydowskimi rasistami, jak i z europejskimi lewakami.

Jedni, drudzy ani trzeci nie chcą słyszeć rzeczy najoczywistszej, dyktowanej nie tylko przez wiedzę historyczną, ale i elementarny zdrowy rozsądek. Żydów na przestrzeni wieków spotykały w Polsce zarówno dobrodziejstwa, jak i prześladowania, spotykali się i z życzliwością, i z tolerancją, i z nietolerancją, i z agresją. Przy czym zarówno ci Polacy, którzy Żydom sprzyjali, jak i ci, którzy ich nienawidzili, byli równie dobrymi katolikami, wyznającymi tę samą Ewangelię, w której Żydzi ukrzyżowali Chrystusa – więc od czego jak od czego, ale od katolicyzmu można się od razu w tej dyskusji odstosunkować.

W antypolskim dyskursie jednak – co właśnie warunkuje jego rasistowski charakter – najbardziej charakterystyczne jest to, że krytycy „polskiego antysemityzmu” jak ognia unikają jakiegokolwiek uwzględnienia historycznego i społecznego konkretu. Nic nie jest z tego sporu wypierane bardziej usilnie niż oczywista zarówno z punktu widzenia historycznej wiedzy, jak i zdrowego rozsądku konstatacja, że wrogość wobec Żydów (jak zresztą i życzliwość dla nich) w Polsce miała określone socjologiczne i historyczne przyczyny i uwarunkowania. I że bez zbadania tych uwarunkowań, bez odnoszenia się do nich w ogóle nie ma sensu o sprawie rozmawiać, bo wszelka rozmowa bez ich uwzględnienia będzie albo czczą, głupią paplaniną, albo czarnym pijarem.

Z owych uwarunkowań zaś najbardziej podstawowe jest to, że z założenia fałszywe będą wszelkie generalizacje oparte na schemacie „stosunków między Polakami a Żydami”. Dlatego że o ile można mówić o istnieniu jednej „strony żydowskiej” tych stosunków, nawet jeśli w różnych okresach ulegała ona mniejszemu lub większemu zróżnicowaniu – to nie ma w tych rachunkach krzywd jednej „strony polskiej”. Tak się właśnie przełożyła na tę konkretną sprawę dziwność naszej ścieżki społecznego awansu, że zamiast o stosunkach polsko-żydowskich mówić trzeba o stosunkach w trójkącie: szlachcic – chłop/mieszczanin – Żyd.

Dwór – chałupa – arenda. Inaczej w ogóle niczego się nie zrozumie.

Żyd w szlacheckim raju

Kardynał Giovanni Francesco Commendone, tytularny biskup Zanty, przybył do polsko-litewskiej Rzeczypospolitej jako oficjalny przedstawiciel papieża w roku 1563. Od razu mu się u nas nie spodobało, wielką część swojej aktywności poświęcił staraniom o poddanie Polski po przewidywanej bezdzietnej śmierci króla Zygmunta Augusta wpływom Habsburgów, przekraczając granicę pomiędzy uczciwym lobbingiem a agenturą wpływu czy zgoła zwykłym szpiegostwem. Nie zjednało mu to w kraju sympatii i prawdopodobnie dlatego wystarano się u papieża o wysłanie nuncjusza wprost do Rzeszy Niemieckiej, do której bez wątpienia bardziej pasował. Prawdopodobnie tam spisał swoje doświadczenia z barbarzyńskiego, jak uważał, kraju w memuarach wydanych kilka wieków później w szerszym zbiorze „Pamiętników o dawnej Polsce".

Na jego generalnie niskie mniemanie o kraju niewyobrażalnej dla Europejczyków wolności, przez niego uważanej za dzikość i chaos, miała też wpływ obserwacja dotycząca Żydów:

„Spotyka się mnóstwo Żydów, którzy nie są tu w pogardzie, jak to się dzieje gdzie indziej. Nie żyją w poniżeniu i nie muszą wykonywać zawodów nikczemnych. Posiadają ziemię, zajmują się handlem, studiują medycynę i astronomię. Mają wielkie bogactwa i nie tylko są zaliczani do ludzi honoru, lecz czasem nad owymi panują. Nie noszą żadnego znaku wyróżniającego i wolno im nawet mieć przy sobie broń" – zanotował don Giovanni.

Aż nuda przypominać, że w rodzinnych Włoszech kardynała, jak i w innych krajach europejskich, Żyd zmuszony był siedzieć w getcie, a jeśli z niego z jakiegoś powodu musiał wyjść, to w rzucającej się z daleka w oczy spiczastej czapie i opończy oznakowanej żółtymi łatami lub innym charakterystycznym emblematem. Nie mówię już o Hiszpanii, gdzie Żydów palono na stosach, jeśli się nie ochrzcili, a jeśli się ochrzcili, też ich palono, pod pozorem, że zrobili to nieszczerze – ta monarchia miała własne specyficzne problemy. Ale niewiele lepiej było i we Francji (tam Żyd przechodzący dla

ratowania życia na chrześcijaństwo musiał oddać cały swój majątek, bo wiadomo, że jako Żyd nie dorobił się uczciwie), i w Anglii, i w Niemczech. Wszędzie na Zachodzie Żydzi byli nie tylko celem regularnych zamieszek i pogromów – te zdarzały się czasem i u nas, z tą różnicą, że u nas motłoch był za takie przypływy „pobożności", skorelowane z rabunkami, surowo karany. Byli przede wszystkim ludźmi drugiej kategorii, systemowo wyjętymi spod prawa i mogącymi jako tako żyć tylko dzięki kaprysom władców i wspomnianemu już zamknięciu w gettach.

„Piękna legenda nie oznacza, że Żydzi na ziemiach polskich korzystali z jakichś szczególnych przywilejów" – zauważa profesor Andrzej Fabianowski w szkicu „Żydzi na ziemiach polskich". No nie wiem. Wydaje się, iż przywilejem Żydów na tle ówczesnego Zachodu było właśnie to, że generalnie uznawano ich za takich samych poddanych najpierw królów polskich, a potem Rzeczypospolitej jak wszyscy pozostali.

Oczywiście, jak każdy z pomniejszych tworzących ją narodów, mieli prawo żyć osobno, z czego korzystali bardziej od innych. Poddani byli swojemu własnemu waadowi, żydowskiemu sejmowi, ze swoją administracją i rabinackim sądownictwem, sami uchwalali i sami ściągali swoje podatki, z których określoną część mieli obowiązek oddać skarbowi państwa (właśnie niewywiązywanie się z tego obowiązku, a nie żadne inne kwestie, było formalną przyczyną likwidacji żydowskiego samorządu przez sejm konwokacyjny w 1764 roku, zresztą pod naciskiem Rosji, w ramach przygotowywania ziem Rzeczypospolitej do inkorporacji – na tamtym etapie caryca zamierzała jeszcze przejąć je w całości, bez dzielenia się z Prusami i Austrią). I, zależnie od konkretnego terytorium, miasta czy regionu, cieszyli się rozmaitymi zbiorowymi przywilejami dotyczącymi handlu, rzemiosła i tak zwanej arendy, czyli dzierżawy zarówno monopoli gospodarczych, jak i funkcji administracyjnych, szczególnie podatkowych.

Żeby nie brnąć w zbędne szczegóły, ograniczę się do przypomnienia, że na mocy tak zwanego trzeciego Statutu litewskiego (wbrew nazwie stosowanego w funkcji kodeksu

cywilnego również w Koronie) każdy Żyd, który przyjmował chrzest, nabywał automatycznie prawa szlacheckie.

Czują to Państwo? Sam ten jeden przepis, funkcjonujący w Rzeczypospolitej aż do końca jej istnienia, pokazuje cały kosmos różnicy pomiędzy Rzecząpospolitą a krajami absolutum dominium. Wystarczało Żydowi zmienić wyznanie – i stawał się szlachcicem, ze wszystkimi związanymi z tym prawami politycznymi, nietykalnością osobistą i otwartą drogą do piastowania urzędów. Porównajmy to z traktowaniem Żydów w Hiszpanii, z której zresztą w znacznej liczbie właśnie do Polski uciekli, czy we Francji, ze wspomnianym już odbieraniem tam neofitom całego „żydowskiego" majątku.

Myślą Państwo, że mając tak szeroko otwartą drogę kariery, Żydzi w Rzeczypospolitej chętnie z niej korzystali? Wcale nie. Do momentu pojawienia się na Wołyniu, już niedługo przed rozbiorem, sekty Jakuba Franka można przypadki konwersji liczyć na palcach. Owszem, zdarzało się, że Żyda wręcz proszono o przyjęcie nobilitacji, a ten wolał trwać w wierze ojców – jak Michał Ezofowicz, nadzorujący z ramienia waadu pobór podatków od Żydów w całym Wielkim Księstwie Litewskim. Uparł się, więc co zrobiono? Nobilitowano go i tak. Żyd został szlachcicem, bynajmniej swego żydostwa nie porzucając – nikt nie protestował, nikt go nie bojkotował, świat się nie zawalił, w ogóle, wydaje się, mało kto przywiązywał do jego obrzezania wagę.

Nie wiadomo, czy sam Michał Ezofowicz miał poczucie straty w związku z tym, że jego rodzony brat Abraham, który aż tak bogobojny nie był i w tym samym czasie się wychrzcił, został z punktu starostą mińskim, a niedługo potem podskarbim litewskim.

W owym czasie, w okolicach roku Pańskiego 1525, to były naprawdę ważne i liczące się urzędy.

Jak rozumieć fakt, że mając tak szeroko otwarte możliwości wchodzenia do szlacheckich elit Rzeczypospolitej, Żydzi praktycznie z nich nie korzystali – bo paru Ezofowiczów statystycznie da się przecież pominąć? Naturalnie zgodzimy się, że to bardzo dobrze świadczy o pobożności samych Żydów, odpornych na pokusę odstępstwa od pierwszego przykazania nawet dla takich zaszczytów

jak starosta czy podskarbi. Ale też dobitnie świadczy to o tym, jak dobrze było w tej Rzeczypospolitej Żydowi być Żydem, skoro praktycznie nie czuł potrzeby zmiany swojego statusu na jeszcze korzystniejszy.

Czy ktoś się dziwi, że pobożny padewczyk don Giovanni Francesco Commendone, widząc taką judejską Sodomę i Gomorę, zapragnął za wszelką cenę poddać ją co prędzej zwierzchnictwu prawowiernych Habsburgów?

Znowu dygresja: o Franku i asymilacji

Skorośmy wspomnieli o sekcie Jakuba Franka, rozsławionej ostatnio przez Olgę Tokarczuk – charakterystyczna rzecz, że jedyny w dziejach Rzeczypospolitej bunt przeciwko tak wysokiemu ustrojowemu umocowaniu Żydów, jakim były choćby wyżej wspomniany Statut litewski czy żydowski Sejm Czterech Ziemstw (bo tak tłumaczy się Waad Arba Aracot), wyszedł bynajmniej nie ze strony Polaków, Litwinów, Rusinów czy innej ze współtworzących Rzeczpospolitą nacji „szlacheckich", ale ze strony samych Żydów. Właśnie od owego Jakuba Franka, który w pewnym momencie dostarczył tym nacjom niezłego dreszczu, że oto zbliża się koniec świata.

Chodziło o przepowiednię – koniec świata wedle rozpowszechnionego wówczas wierzenia, wywiedzionego z Apokalipsy, miał być poprzedzony masowym nawracaniem się Żydów na chrześcijaństwo (ślady tej wiary, długo się utrzymującej, znajdziemy, nawiasem mówiąc, w pełnej przechrztów ostatniej części „Nie-Boskiej komedii" Krasińskiego). Przez kilka wcześniejszych wieków takie nawrócenia zdarzały się incydentalnie. Aż tu nagle gruchnęła wieść, że na Kresach liczba zgłaszających się do ochrzczenia Żydów idzie w tysiące. Ponieważ szło to w parze z innymi „znakami na niebie i ziemi", niektórzy zaczęli z tego powodu wpadać w panikę.

Może zresztą słusznie – koniec świata rzeczywiście był blisko, z tym że nie świata całego, ale, jak to z końcami świata zwykle jest, świata, do którego wszyscy przywykli. Po pierwsze, niebawem już zawalić się miała cała Rzeczpospolita, która od tak dawna sypała się, gniła i tkwiła w chaosie, aż wszyscy uwierzyli, że ten wyjątkowy kraj, który stoi „nierządem” oraz „szczególną Bożą opieką”, dzięki tej ostatniej przetrwa wszystko (nasze dzisiejsze „jakoś to będzie” znikąd się nie wzięło). Po drugie, zanim się zawaliła, doszło do straszliwej w skutkach koliszczyzny, buntu chłopskiego, podobnie zresztą jak rabacje Napierskiego czy Szeli inspirowanego z zewnątrz, w tym wypadku przez Rosję, która w morzu zbuntowanego chłopstwa utopiła kresową konfederację barską. Koliszczyzna zaś, podobnie jak wcześniej bunt Chmielnickiego, choć była przede wszystkim powstaniem przeciwko „polskim panom”, najokrutniej obeszła się właśnie z Żydami, gotując im na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej piekło, jakie porównać można tylko z dwudziestowiecznym Holokaustem. Znienawidzonego szlachcica bowiem dopaść było dużo trudniej niż jego żydowskiego pomagiera – ten schemat proszę zapamiętać, bo będzie się powtarzać. Żydzi byli pod ręką, łatwiejsi do eksterminowania, bo bezbronni.

Kim był sprawca owego masowego (niektórzy obliczają, że obejmującego w szczytowym momencie do dwudziestu tysięcy osób) exodusu starozakonnych do katolickich kościołów i chrzcielnic? Powiedzmy od razu, że – jeśli oczywiście mówimy o Franku historycznym, a nie powieściowym – typkiem mało sympatycznym, jak każdy tego rodzaju guru, żyjącym z naiwności ludzi, których opętał i wciągnął do swojej sekty. Jak inni tego rodzaju spryciarze, fundował za wyciągniętą od nich kasę życie na wysokiej, godnej mesjasza stopie sobie i haremikowi dwunastu „duchowych sióstr” – i tak dalej.

Mało wykształcony (umiejętnie zresztą uczynił to swoją siłą, przedstawiając się jako „prostak”, którego wybrał do głoszenia swojej prawdy sam Bóg, co w narodzie tak wysoko sobie ceniącym mądrość i wykształcenie okazało się nieoczekiwanie skuteczne), ale

bardzo sprytny, wędrując za handlem po Bałkanach, zetknął się tam z nauczaniem niejakiego Sabataja Cwi. Ów Cwi pokolenie wcześniej ogłosił się oczekiwanym przez swój naród mesjaszem i zrobił na tym sporą popularkę, po czym umarł, zapowiadając, że niebawem urodzi się powtórnie. Ponieważ jednak się nie urodził, a w każdym razie nie w sposób, który by był stuprocentowo udowodniony, przyszły Jakub Frank doznał objawienia, że owym mesjaszem, reinkarnacją Sabataja, jest właśnie on.

Ciekawa rzecz, że dla bajeru zmienił przy tym nazwisko z banalnego Jakub Lejb na owego Franka – wedle autora „Historii Żydów" Paula Johnsona w oczach ówczesnych Żydów z terenów Rzeczypospolitej przydawało mu to sznytu, bo kojarzyło się z czystej krwi Żydem sefardyjskim.

Tu warto pamiętać, że Żydzi w Polsce w większości nie wzięli się z Zachodu – stamtąd mogli przybyć tylko najbogatsi, niewątpliwie stanowiący potem w Rzeczypospolitej żydowskie elity; ale ta migracja wedle obliczeń profesora Szlomo Sanda nie mogła być większa niż kilkadziesiąt tysięcy ludzi w ciągu kilku stuleci. Zdecydowanie większa część Żydów w Europie Środkowej, głównie ta tworząca masy żydowskiej biedoty, była skutkiem misyjnej ekspansji judaizmu w pierwszych wiekach po Chrystusie – objęła ona między innymi państwo Chazarów, które podbiło znaczne tereny dzisiejszej Ukrainy. Wraz z unią lubelską stały się one potem częścią Korony, a zjudaizowani potomkowie Chazarów i podbitych przez nich Słowian – polskimi Żydami. Stąd tylu u nas Żydów o, jak nazwano to za niemieckiej okupacji, „dobrym wyglądzie". W zasadzie nie ma to dla naszych tu rozważań żadnego znaczenia, ale dla żydowskich nacjonalistów ten fakt jest nader niepoprawny politycznie i usilnie zamilczany, bo ideologia syjonizmu głosi, że wszyscy Żydzi są częścią tej samej rasy, wygnanej przed wiekami z Palestyny.

O Jakubie Lejbie vel Franku nie warto byłoby się może rozwodzić, nawet wobec postawienia go przez noblistkę w głównym nurcie oszczerstw o „polskim kolonializmie", gdyby nie dwie istotne kwestie. Pierwsza – to łatwość, z jaką oczywisty hochsztapler

zgromadził wokół siebie w krótkim czasie te dwadzieścia tysięcy wyznawców.

By nieco stępić nieuchronne zarzuty o antysemityzm, posłużę się słowami profesora Izraela Szahaka – co prawda w rodzimym Izraelu też często nazywano go antysemitą, ale jednak ocalonemu z Holokaustu wolno więcej. „W latach 1500–1795 [...] polscy Żydzi należeli do najbardziej zabobonnych i fanatycznych społeczności żydowskich. Spora autonomia, jaką się cieszyli w Polsce, wykorzystywana była do tłumienia wszelkiej oryginalnej i nowatorskiej myśli, do propagowania najbardziej bezwstydnego wyzysku biednych Żydów przez Żydów bogatych, przy wsparciu rabinów, oraz usprawiedliwienia ich roli jako gnębicieli chłopów w służbie szlachty. Przedrozbiorowa Polska, w której Żydzi zajmowali wyższą niż w innych krajach pozycję społeczną, lepiej niż przykłady z innych krajów dowodzi bankructwa judaizmu klasycznego". Wychodzi na to, nawiasem mówiąc, że nie tylko homoseksualistom, ale i Żydom zrobiliśmy krzywdę, nie prześladując ich wedle wzorców zachodnich, bo summa summarum utrudniło im to dojście do porównywalnych jak tam sukcesów.

Ale fakt faktem, osobność, jaką zagwarantowała Żydom Rzeczpospolita, na kilka wieków pogrążyła ich w zastoju. Wszystko w ich świecie działało w wieku XVIII tak samo jak trzysta lat wcześniej, Żydzi wykonywali z pradziada na prawnuka te same, dziedziczone zajęcia, czekając na mesjasza i powrót do Jerozolimy, uczyli się tego samego i obchodzili te same święta, odgłosami dobiegającymi spoza ich „bańki" mało się przejmując – nawet dziejowe tragedie wieku XVII nie wybijały ich z rutyny i coraz większego zacofania. Musiało się w końcu pojawić znużenie, poczucie, że świat gdzieś wyznawcom mojżeszowej religii uciekł, że czas wyjść z gett i zacząć żyć życiem narodów, pomiędzy którymi się Żydzi znaleźli. Na Zachodzie miało to swój wyraz w intelektualnym ożywieniu, nazwanym przez gojów „żydowskim oświeceniem", a przez samych żydów „haskalą". U nas skorzystał na tych nastrojach właśnie Frank.

Powód drugi, zupełnie w legendzie przemilczany, to reakcja na jego sukces ze strony świata żydowskiego. Samozwańczy mesjasz został wezwany przed sąd rabinacki i, podobnie jak przed wiekami Jezus z Nazaretu, uznany za bluźniercę. Ponieważ, podobnie jak w czasach Jezusa, groziła za to i jemu, i jego wyznawcom kara śmierci – wyprowadził ich pod opiekę Kościoła. W końcu skoro był mesjaszem, to i tak niedługo różnice między wyznaniami i religiami miały zaniknąć. Nie było więc w tym ruchu żadnej przypisywanej Frankowi mistyki, tylko zwykłe ratowanie tyłka przed zupełnie realnie grożącymi sekciarzom represjami. Represjami, dodajmy, które inni mieszkańcy Rzeczypospolitej uznaliby za wewnętrzną sprawę Żydów i nie kiwnęliby palcem.

Niestety – dla Franka – znalazł się biskup Kajetan Sołtyk i inni duchowni, którzy na rzekome nawrócenie nie dali się nabrać, i tak kariera sekciarza stopniowo zaczęła wyhamowywać. Po pierwsze, okazało się, że pomimo solidnie złożonej przez Franka obietnicy nieśmiertelności jego wyznawcy, niestety, też okazali się umierać, i to nawet ci prominentni. Po drugie, samego mesjasza zirytowani jego krętactwami Polacy przykaraulili i zamknęli w ciupie, co niezbyt do jego proroctw przystawało. Po trzecie wreszcie – on sam też w końcu zachorował i zaczął umierać. Niejako rzutem na taśmę próbował wtedy przekazać sektę córce, wywodząc mistycznymi łamańcami, że to ona jest owym mesjaszem i ona dopiero dopełni misję zapoczątkowaną przez Sabataja Cwi i jej biologicznego ojca, ale na to już mało kto dał się nabrać i sekta, jak wiele innych przed nią i po niej, po prostu się rozlazła.

Ale, co istotne – z tego, co wiemy, prawie żaden z postfrankistowskich neofitów do judaizmu już nie wrócił. W każdym razie było ich na tyle niewielu, że nie zapisało się to w polskiej pamięci. Przeciwnie, frankiści, czy raczej postfrankiści wtopili się w drobną kresową szlachtę i stali jeszcze jednym, późnym dowodem polskiej tolerancji. Filosemici następnych wieków stworzyli nawet legendę, jakoby miał się z nich wywodzić po matce sam Mickiewicz, co jest podobną bzdurą jak rzekome lesbijstwo

Konopnickiej – i, podobnie, tak dobrze niektórym podchodzącą, że powtarza się ją od lat bez względu na wszelkie argumenty.

Jedno jest pewne: status Polaka i prawa z tym związane, raz zdobyte, okazały się dla zbiegów z getta zbyt atrakcyjne, by z nich rezygnowali.

W ogóle dziś, zgodnie z antypolską modą, dawny świat żydowski wypada przedstawiać jako fascynujący, Polaków natomiast, czy szlachtę, jako stado prymitywnych bigotów, żarłoków i pijaków. Przynajmniej jeśli liczy się na prestiżowe nagrody. Ale prawda historyczna była zupełnie inna. To właśnie co zdolniejsi z Żydów uwięzionych w rabinicznym grajdole szukali awansu w polskości – nie odwrotnie.

Dwie drogi asymilacji

To rzecz warta podkreślenia, bo przeczy budowanemu dziś przez popkulturę stereotypowi. Dla Żyda asymilacja w polskości była awansem, nie deklasacją. Było tak nie tylko w Rzeczypospolitej, nawet gdy już chyliła się ona ku upadkowi, ale i przez cały czas zaborów, i w czasach międzywojennych.

W ramach „pedagogiki wstydu” często szturchani jesteśmy przypominaniem, jak wiele zawdzięcza polska kultura, nauka i w ogóle Polska jako taka zasymilowanym Żydom. Na parę miesięcy przed ukończeniem tej książki Muzeum Polin urządziło nawet taką akcję, oklejając w Warszawie i innych miastach przystanki autobusowe i tak zwane citylighty wizerunkami Leśmiana, Tuwima, Korczaka i innych wielkich Polaków żydowskiego pochodzenia pod wspólnym hasłem „Masz to po mnie”.

Z jednej strony rzecz jest oczywista – Żydzi żyjący na terenach dzisiejszej Polski przez wiele wieków „obok”, gdy zalecające wyjście z tej izolacji idee haskali się upowszechniły, zaczęli też twórczo uczestniczyć w życiu rodzącego się nowożytnego narodu polskiego. Uważny czytelnik dostrzegł, że w dotychczasowych kilku

rozdziałach zdążyłem się już powołać na dwóch wybitnych Polaków o żydowskich korzeniach, a przewiduję jeszcze kilku.

To w ogóle ważne, by wiedzieć, że polski nacjonalizm, tak niepodobny do niemieckiego czy francuskiego jak mazur do schuhplattlera albo kankana, miał charakter inkluzywny. „Do polskiego narodu należą spolszczeni Niemcy, Tatarzy, Ormianie, Cyganie, Żydzi, jeśli żyją dla wspólnego ideału Polski. [...] Murzyn lub czerwonoskóry może zostać Polakiem, jeśli przejmie dziedzictwo duchowe polskiego narodu, zawarte w jego literaturze, sztuce, polityce, obyczajach, i jeśli ma niezłomną wolę przyczyniania się do rozwoju bytu narodowego Polski" – to słowa profesora Wincentego Lutosławskiego, nie byle kogo, bo poza wszystkimi zasługami (m.in. jako eksperta wspierającego polską delegację w Wersalu w 1919 roku) osobistego przyjaciela Romana Dmowskiego.

Już widzę, z jaką radością ci, którzy czytać będą moją książkę w ramach obowiązków służbowych, rzucają się teraz po rozmaite antyendeckie pamiętniki i relacje, aby udowodnić mi, że nieprawda, że narodowcom zdarzało się atakować Polaków żydowskiego pochodzenia, perfekcyjnie zasymilowanych i nawet dających dowody patriotyzmu. Tego typu zachowania pojawiły się dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, szczególnie w latach trzydziestych – nie powinniśmy jednak zapominać, że narodowy radykalizm stanowił wewnętrzną frondę w endecji i jej margines. Bardziej niż dziećmi Dmowskiego oenerowcy byli dziećmi Piłsudskiego, od którego wzięli naukę, że o skuteczności w polityce rozstrzyga brutalna przemoc, że lepiej mieć Berezę niż słuszność, o której nudzili ojcowie założyciele ruchu. Byli też po prostu dziećmi swojej epoki, a lata trzydzieste to w całej Europie epoka paskudna.

W dobie chłostania Polski przez zachodnich mędrków, pojęcia niemających o naszych prawdziwych dziejach, i uporczywego wprasowywania polskiej endecji w strychulec nacjonalizmów zachodnioeuropejskich nigdy nie dość jednak podkreślania, że nawet w tej epoce, nawet w praktyce tych ruchów radykalnych rasizm nigdy się w Polsce nie zakorzenił. W antyżydowskiej publicystyce polskiej przeciwnikiem czy wrogiem Żyda jest katolik.

Czasem – Polak. Ale nigdy nigdzie nie znajdzie się w niej antynomii Żyd kontra Aryjczyk czy Żyd kontra nordyk.

Skrajna podejrzliwość wobec zasymilowanych miała swoje źródło raczej w nawyku wyciągania daleko idących wniosków z faktu, że Żydzi odegrali szczególną rolę w rewolucji bolszewickiej i byli bardzo widoczni w różnych nurtach obyczajowego liberalizmu i kosmopolityzmu, czyli tych ideologii, które patrioci postrzegali jako „rozkładowe", szkodliwe dla narodowej i państwowej wspólnoty, a więc w jakiś sposób agenturalne, działające w interesie naszych przeciwników w nadchodzącej zbrojnej konfrontacji między europejskimi narodami.

Nawiasem mówiąc, stereotyp przypisujący te działania narodowcom jest również fałszywy. Oczywiście, ruchy narodowo-radykalne były w swej antyżydowskiej retoryce bardzo głośne. Ale były to ruchy marginalne i bardzo skutecznie nękane przez sanacyjny reżim. To właśnie przeciwko niemu, a nie przeciwko Żydom, skierowany był ich podkreślany w nazwie radykalizm. Gdy czytam dziś w „Gazecie Wyborczej" wydyszane z przejęciem historyczne elaboraty, w których na przykład buduje się wstrząsające wizje, jak to studenci oenerowcy przygotowywali sobie długie pałki zwieńczone wpuszczonymi w drewno żyletkami po to, aby kroić nimi twarze żydowskich koleżanek, nie wiem doprawdy, czy jest jakaś granica głupoty, przed którą producenci antypolskich bredni umieliby się cofnąć. Proszę sobie wyobrazić, że chcemy pokroić komuś twarz – wygodniej to będzie zrobić żyletką na kiju czy trzymaną w ręku?

Radykałowie rzeczywiście zbroili się w takie „mojki", ale dlatego, że była to najlepsza broń przeciwko jeźdźcowi, a zwłaszcza – przeciwko koniom, które ranione w nozdrza, dostawały szału i mieszały szyki konnej policji, która najczęściej była przeciwnikiem narodowo-radykalnych bojówek.

W rzeczy samej, jeśli ktoś chce szukać w Polsce lat trzydziestych wpływów faszyzmu (nie mylić z nazizmem), to przede wszystkim winien wskazać Edwarda Rydza-Śmigłego. Jego i pułkownika Zygmunta Wendy Obóz Zjednoczenia Narodowego, z kultem wodza

i pomysłami korporacjonistycznymi, był oczywistą próbą skopiowania nad Wisłą sukcesu Mussoliniego. Od instrumentalnego wykorzystywania stereotypu żydka kosmopolity, zatruwającego duszę narodu kosmopolitycznymi i liberalnymi miazmatami, też bynajmniej późna sanacja nie stroniła. To nie żaden narodowiec omal nie wsadził do Berezy w roku 1938 Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego (ocaliła ich interwencja Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego) za pacyfistyczne wiersze napisane prawie dwadzieścia lat wcześniej, zrobił to minister spraw wojskowych Rydza Tadeusz Kasprzycki – swego czasu dowódca otoczonej przez sanację kultem Pierwszej Kompanii Kadrowej „Strzelców".

Stereotyp żydokomuny też nie był wzięty z sufitu. Sięgnijmy po książkę, którą z racji życiowych dokonań autora pewnie mało kto z porządnych ludzi wziął do ręki. Oto, co opowiada Marcie Stremeckiej Jerzy Urban o czasach, kiedy jeszcze był Jurkiem Urbachem:

„Środowisko moich rodziców było w sensie kulturalnym polskie, w sensie językowym polskie, w sensie orientacji kosmopolityczne. [...] Ich społeczeństwem, narodem i towarzystwem byli tacy jak oni, czyli inteligencja i burżuazja o żydowskich korzeniach, rozsypana po świecie, po Europie i Ameryce. Mieszkaliśmy w Łodzi, ale wciąż ktoś do nas przyjeżdżał z Londynu, Paryża, Nowego Jorku. W gronie znajomych moich rodziców nikt nie był katolikiem, przechrztą ani Polakiem o słowiańskich korzeniach. Istniała wyraźna odrębność towarzyska, nie ma mieszanych małżeństw, zawiera się je tylko w swoim gronie. [...] Jeśli chce pani wyobrazić sobie mój dom, to proszę przypomnieć sobie Młodziaków z »Ferdydurke« Gombrowicza – to właśnie wypisz wymaluj moi rodzice. Ojciec był redaktorem naczelnym gazety sympatyzującej z PPS. [...] W naszym domu służyły gojki. [...] Obie były dobrane tak, żeby mnie nie nawracały na katolicyzm. Ale nieraz nie wytrzymywały i robiły mi choineczkę z papierowymi ozdobami [...]. Budziło to w domu pewne napięcia między rodzicami a służbą. [Rodzice] lęku przed utratą tożsamości nie mieli, ale przed utratą odrębności ateistycznej tak. Zwłaszcza ojciec [...]. W czasie okupacji nie mógł się przełamać, żeby

wejść do kościoła katolickiego. Na nic histerie matki, że przecież od tego, żeby udawać katolika, zależy życie”.

Przecież dokładnie tak samo, tyle że nieżyczliwie, opisywały w międzywojniu kosmopolitycznych, bezbożnych, wyobcowanych z polskości i wspierających lewicę Żydów „Prosto z Mostu” czy „Mały Dziennik”. Fakt, że generalizacje, którymi się tam posługiwano, były nie do przyjęcia, nie wszyscy byli przecież jak rodzice Urbana, nie wszyscy wychowywali swoje dzieci na tak odrażające kreatury. Ale tacy post-Żydzi byli liczni, głośni i z wielu powodów uosabiali całe zło, z którym walczyli rwący się do lepszego życia Polacy ze społecznych nizin.

Uczciwość każe też uwzględnić, jakim szokiem dla tamtego pokolenia były zbrodnie rewolucji i bolszewizmu. Dziś przysłoniły je okrucieństwa późniejsze, ale ludziom międzywojennym opowieści o tym, co działo się na polskich Kresach, co robili bolszewicy ze swoimi elitami, stawiały włosy na głowie – a za wszystko to winiono Żydów, choćby dlatego, że poza Stalinem i Leninem wychrzczonymi Żydami byli co do jednego wszyscy prowodyrzy, a i wśród rodzimych komunistów wodzili oni rej. Stąd na przykład fakt dopisywany do niekończącej się listy rzekomych polskich win wobec Żydów, że w okresie wojny bolszewickiej traktowano Żydów nieufnie, a wielu internowano. Zrobiono to z tej samej przyczyny, dla której w czasie drugiej wojny światowej Amerykanie internowali dziesiątki tysięcy swoich obywateli japońskiego pochodzenia, mimo że żyli oni w Ameryce od lat i byli nie mniej, a często bardziej lojalni wobec USA niż obywatele o korzeniach anglosaskich.

Wracając do żydowskiej asymilacji – były w Polsce dwie drogi, jakimi się odbywała. Jedną było przyjęcie przez Żyda oferty, którą składała mu poszlachecka elita: dołącz do nas w walce z zaborcami, stań się polskim patriotą, będziesz nam „równy duchem”. Oferta ta była nawet łatwiejsza do przyjęcia niż w wypadku „ludu”, bo Żydom i szlachcie zawsze było do siebie bliżej – bo Berek Joselewicz, Jankiel, „Izraelowi, bratu starszemu cześć i pozdrowienie” i tak dalej.

Ale choć, jak to odnotowuje Urban, nawet lewicowym kosmopolitom „rdzenni Polacy imponowali, oczywiście nie służba,

tylko wyższe sfery”, byli też Żydzi, którzy woleli asymilować się wyżej, od razu na „Europejczyków”, podchwytując lewicowo-liberalne myślenie o narodach jako o konstrukcie już przeżytym. Trudno mieć do takich Żydów żal, wynaradawiali się wtedy nie mniej licznie także i rodowici Polacy. I to była właśnie ta druga droga.

Ale, rzecz ciekawa, na każdej z tych dróg mimikra wychrztów zatrzymywała się na pewnym poziomie – nie potrafili oni odejść od myślenia o polskim plebsie jako o „chamie i łyku”. Na logikę, Żyd, który szedł w polskość, patriotyzm, powinien przejmować inteligencki paternalizm wobec ludu, a ten, który szedł w lewicowość, powinien zacząć w nim dostrzegać klasy pracujące. Z wielu wspomnień, relacji i czynów widać, że nic podobnego nie następowało. Pogarda dla chama pozostała do dziś. Wyprzedzając nieco tok tych rozważań, pozwolę sobie przypomnieć, jak tygodnik „Wprost” podsłuchał kiedyś biesiadę rzeczonego Urbana z Michnikiem w warszawskiej restauracji. „Michnik opowiedział, że zobaczył w telewizji Puls rozmowę na temat lustracji i dekomunizacji, gdzie wypowiadał się »młody gnój«: – Coś strasznego. Oni wszyscy się nazywają: Warzecha, Paliwoda, Perzyna, Jeżyna... – I Semka – dorzucił Jerzy Urban”. Nie żebym się obrażał, zresztą moje nazwisko, zupełnie przypadkiem, brzmi bardziej po pańsku – ale w tym naigrywaniu się przez panów Urbacha i Szechtera z polskich, chamskich nazwisk zawiera się właściwie cała istota pozorności awansu społecznego. Wrócimy do niej, gdy przyjdzie pora opisać przedziwny produkt ustroju, który uformował obu biesiadników – tak zwaną inteligencję pracującą.

Część odpowiedzi na pytanie o tę pogardę tkwi w pogardzie wychrzczonego Żyda dla swoich własnych korzeni.

Jeden z zawodowych „łowców antysemitów”, profesor Michał Bilewicz, zanim znalazł sobie dobrze wymoszczoną grantami niszę w uniwersyteckich „badaniach” nad nienawiścią Polaków do Żydów i innych mniejszości, pisał: „My, polscy, amerykańscy, izraelscy Żydzi, nadal nie uporaliśmy się z brudnym, nieogolonym, odmiennym cywilizacyjnie chasydem siedzącym gdzieś w naszych

drzewach genealogicznych. Tak naprawdę myślimy o nim to samo, co niegdyś Maria Dąbrowska czy Stefan Żeromski oraz ich żydowscy odpowiednicy: asymilatorzy, wyrafinowani inteligenci, socjaliści czy komuniści. W ich wypowiedziach znajdziemy pogardę, która do dziś kształtuje nasz lęk przed byciem naznaczonymi jako chałaciarze".

A w rodzinie małego Jurka Urbacha, jak wspomina, panowało „obrzydzenie i pogarda w stosunku do żydowskiej hołoty mówiącej w jidysz, chodzącej w kapotach, wrogość do szabasów i religii. Niechęć cechująca ludzi, którzy z czegoś wyrośli i nie chcą mieć z tym nic wspólnego. [Żydów] dzielono na tzw. litwaków, czyli gorszych Żydów pochodzenia rosyjskiego [...], i nas, polskich, czyli zachodnich, cywilizowanych, kulturalnych, mówiących po francusku, grających na pianinie i recytujących Tuwima. To byli moi rodzice i krąg ich znajomych".

Od razu mi się przypomniały te słowa, gdy zobaczyłem plakaty akcji „Masz to po mnie" Polinu. Dziś, kiedy kaprysem dziejów role się poodwracały i Żydzi stali się w ciągu półwiecza opiniotwórczą i polityczną potęgą, a Polska ledwie się zbiera po hekatombie sprawionej jej przez Sowietów pospołu z nazistami i po zdradzie aliantów, pobrzmiewał w tej kampanii swoisty protekcjonalizm. Tak jakby Żydzi przychodzący do polskości coś jej w darze cennego ze swojej kultury przynieśli. Przekaz zawarty w haśle kampanii wydał mi się bliski – choć nieskończenie bardziej uprzejmy – sławnym kiedyś słowom rabina Węgier, które wywołały taką burzę, iż rabin – rzecz u dzisiejszych Żydów niezwykle rzadka – poczuł się zobowiązany Węgrów przeprosić. Myślę o słowach: „gdyby z kultury węgierskiej usunąć to, co wnieśli do niej Żydzi, to zostałaby tylko palinka i chłopskie gacie".

Otóż, jeśli ktoś tak uważa (a wiem, że są tacy, i to liczni oraz wpływowi), jest to jaskrawy przykład myślenia całkowicie ahistorycznego i kontrfaktycznego. Na dziejach Węgier się nie znam, na polskich – owszem, i dlatego z całą mocą oświadczam, że jedynym, co dali Polsce ci, jeśli wolno tak ich nazwać, „Żydopolacy", były ich osobiste talenty. Rzecz oczywiście niemała – ale chodzi o to, że te talenty rozwinąć mogli oni tylko dlatego, że uciekli z jałowego

intelektualnie ówczesnego żydostwa ku kwitnącej, znacznie wówczas wyższej kulturze polskiej.

Parafrazując wspomnianego rabina: gdyby nie uwiodła tych geniuszy i nie zasymilowała polskość, z ich geniuszu nie byłoby nic poza chałatem i pejsachówką.

Jeśli ktoś nie wierzy – proszę mi pokazać w dziełach Tuwima czy Leśmiana, czy w dokonaniach innych bohaterów wspomnianej kampanii ten element, który zawdzięczają oni swemu żydowskiemu pochodzeniu. Który z nich przeniósł do polskości myśl, bo ja wiem, rabbiego Hilela albo któregoś ze sławnych cadyków? Gdzie widać wpływ na ich duchowość haskali czy innych prądów intelektualnych nowożytnego judaizmu? Co żydowskiego przeniknęło za ich pośrednictwem do polskości?

Odpowiedź brzmi: żaden, nigdzie i prawie nic. To „prawie" to uprawiany z wielkim sukcesem przez Tuwima, Słonimskiego i Hemara tak zwany szmonces: charakterystyczny humor postżydowski, dziś uważany za znak rozpoznawczy dwudziestolecia, a już z całą pewnością międzywojennego kabaretu. Przypominany do dziś i do dziś nieodmiennie bawiący publiczność, choć jego socjologiczne konteksty dawno zanikły. Można rzec – jedyny naprawdę zauważalny element „żydowskości" wprowadzony do polskiej kultury przez zasymilowanych.

Rzecz w tym, że dla innych Żydów mało chwalebny.

Istnienie i popularność szmoncesu same w sobie były dowodem, jak wielki mieli zasymilowani Żydzi – choć często już po jednym pokoleniu zakorzenieni w polskości głębiej niż wychowankowie ziemiańskich dworków – problem ze swym chałaciarskim dziedzictwem. Kpina z Żyda niezasymilowanego, z jego żargonu, geszeftów, cwaniackich konceptów po części płynęła z potrzeby serca − śmieję się z Aprikozenkranza i Rapaporta niepotrafiących zrozumieć, co to „sęk", więc to jasne, że nie mam z nimi nic wspólnego. Ale po części stało za pisaniem szmoncesów swego rodzaju wyrachowanie. Śmieję się z nich, a na jednej widowni ze mną śmieją się hrabia Dobromirski i generał Leliwa-Przecherski, bo dla gojów żydki i ich geszefty są równie wdzięcznym tematem

szyderstwa. A więc skoro bawię się tu w kabarecie, to dowód, że nie tylko nie mam nic wspólnego z chałaciarzami, ale też – że mam coś wspólnego z hrabią i generałem!

Ktokolwiek zada sobie trud wczytania się w Tuwima czy Słonimskiego, zobaczy, że oni sami nie mniej niż opisana wyżej rodzina i znajomi redaktora PPS-owskiej gazety uważali świat, z którego uciekli, za świat ciemnoty, zabobonu i cywilizacyjnego zacofania, niewart docenienia w nim niczego poza ewentualnie miłością matki. Publicystyka Słonimskiego była tak ostro antyżydowska, czy raczej „antychałaciarska”, że jak głosi anegdota, KC PZPR kazał Mieczysławowi Rakowskiemu przypomnieć jego przedwojenne felietony w „Polityce” po Marcu 1968. A szmoncesowa szydera z żydłaczących geszefciarzy, acz pisana przez genetycznych Żydów, do łez bawiła przede wszystkim antysemitów, utwierdzając ich w wyznawanych stereotypach („Żyd-antysemita, co żydożerczą swą facecją próbował jednać się z endecją” – podsumowywał potem Słonimskiego Hemar). Dziś cytowanie któregoś z tych dwóch czołowych skamandrytów – powiedzmy, takich określeń Tuwima jak „judejczykowie” czy „z Góry Kalwarii parchy święte” – to wręcz gwarantowany sposób, by zostać oplutym od góry do dołu przez zawodowych łowców antysemityzmu.

Powyższe akapity są z góry udzieloną odpowiedzią dla kogoś, kto mógłby sugerować, że wobec dwóch różnych dróg asymilacji powinienem szkicować tu nie trójkąt, ale czworokąt: szlachcic, plebej, Żyd chałaciarz i Żyd lewak. Otóż nie, napięcia i spory pomiędzy Żydami, jeśli nawet kiedykolwiek niosły emocje porównywalne z tymi, jakie rodzi wojna polsko-polska, dziś wygasły. Poczucie wspólnego losu i wspólnego interesu zdecydowanie przeważa u Żydów nad wszystkim innym – i można im tego tylko zazdrościć. Natomiast postkolonialny podział wśród Polaków i generowane przez niego emocje sprawiają, że po naszej stronie jest zupełnie odwrotnie. I ranga, jaką nadano zarówno u nas, jak i na Zachodzie rzekomo przewyższającemu wszystkie inne „polskiemu antysemityzmowi”, w wielkim stopniu jest pochodną tego właśnie podziału i tych emocji.

Chłop w żydowskim piekle

Oddajmy teraz ponownie głos naszemu nieocenionemu włościaninowi z Dzikowa, relacjonującemu, że w jego świecie handlem zajmowali się wyłącznie Żydzi. „Chłopi handlem zupełnie się nie zajmowali [...]. Handlu się wstydzili i wyśmialiby chłopa, który by chciał handlować [godny uwagi przyczynek do rozważań, jak bardzo wzorował się polski chłop na „panach”, głównie akurat w tym, co było do naśladowania najłatwiejsze, ale i najmniej tego warte]. Przywozili tylko i przynosili na targ do miasta: zboże, ziemniaki, kaszę, jarzyny, drób, jaja, nabiał, wyroby przemysłu domowego i wszystko sprzedawali przeważnie Żydom, którzy tym dalej handlowali i zyski z tego ciągnęli. Często chłopi kupowali drogo od Żydów na wiosnę zboże, które w jesieni za psie pieniądze Żydom sprzedali”.

Czy można się dziwić, że „Żyd polski” dzielił pogardliwą ocenę „chama i łyka” z polskim szlachcicem?

„Handel prowadzili Żydzi najczęściej w sposób oszukańczy, nierzetelnie. Kupujący zawsze musiał się obawiać, że mu Żyd nie doważy, nie domierzy, że da gorszy towar, za drogo policzy, oszuka przy wydawaniu reszty itp. Z łatwością dawali towar na kredyt i przyuczali niejednego do »borgów«. Żyd, zachęcając do kupna, z góry zaznaczał, że da towar bez pieniędzy, »że się o pieniądze nie pyta«, skoro jednak należności na czas nie otrzymał, wnosił bezwzględnie skargę do sądu i ściągał sobie dług z kosztami, a jeżeli liczył na krótką pamięć odbiorcy, to mu do długu coś przypisał i większej kwoty domagał się”.

Dalej:

„Pożyczkami trudnili się jedynie Żydzi na podpisy u rejenta, czyli skrypta rejentalne, i na weksle. Brali wielkie procenta, bo 50% i więcej [dopiero pod koniec XIX stulecia zostało to ograniczone wydanymi przez zaborcę przepisami antylichwiarskimi], a jeżeli w terminie dług nie był spłacony, to osobno za grzeczność, za poczekanie wybierali Żydzi od dłużników jajka, kury, cielęta, ziarno

itp. Jeżeli zaś kto na takiej grzeczności nie chciał się znać lub nie miał na to i upadał majątkowo, to przystępowali do egzekucji, za mniejsze długi zajmując ruchomości, za większe zaś opisując całą realność [w języku Słomki oznacza to słowo nieruchomość], po czym następowała licytacja. Do licytacji stawali tylko Żydzi [...] i licytowali w porozumieniu ze sobą. Brali też od dłużników za bezcen grunta, domy i co się dało wyciągnąć, strasząc, że jak się dobrowolnie nie pogodzą, to wszystko na licytacji będą mieli sprzedane. Przez taką lichwę zrujnowali Żydzi prawie połowę gospodarzy".

„W pierwszych latach po ustaniu pańszczyzny, gdy lud był ciemny, bez oświaty, Żyd tak niejednego potrafił przyciągnąć do siebie i ugłaskać swoim sprytem, pożyczką, borgiem, wódką, że na razie zdawało się chłopu, że to jest jego najlepszy przyjaciel, ale nim się mógł przerachować, to już jego gospodarstwo za rok, dwa poszło na licytację i stało się własnością Żyda".

Cytuję tu obficie, bo „Pamiętników włościanina" nie znajdą Państwo w żadnej bibliotece, chyba że cyfrowej. Możliwe, że właśnie przez te partie dotyczące żydowskiej chciwości, chytrości i licznych pułapek, jakie zakładali oni na chłopów.

„Jakim sposobem podówczas Żydzi brali chłopów do łapki, nawet za drobne długi, niech posłuży za przykład to, jak robili z Michałem Grębowcem, moim sąsiadem. Miał on 6 morgów dobrego gruntu i porządne zabudowania gospodarskie. Był chłop robotny, nie pijak, bo jeżeli wypił czasem kieliszek wódki, to przy robocie lub jakiejś okazji; długu zaciągać nie miał potrzeby, bo zadowalał się najzupełniej tym, co z gruntu zebrał, więc nikomu nie był winien ani grosza. Jedną miał tylko wadę, że z żoną był czasem w niezgodzie [...]. W kłótni żona zawsze mu wypominała, chcąc mu dokuczyć, że cały majątek jej, bo ona wprowadziła na gospodarstwo inwentarz jako wiano. Z tej niezgody małżeńskiej skorzystali Żydzi. Ściągali Grębowca do siebie, częstowali wódką, mówiąc przy tym: »Ny, Michale, co wam żona mówi, że majątek nie wasz [...], jak wam pieniędzy trzeba, to wam pożyczymy, niech się żona przekona, że wasz jest majątek, a lepiej was będzie szanować«. Tak wmówili w chłopa, że pożyczał po 5 do 10 złr [złotych reńskich, jak potocznie

zwano austriackie guldeny], a za każdym razem prowadzili go do notariusza”.

Streszczając, w końcu okazało się, że Grębowiec winien jest Żydom 600 złr „i miał płacić na rok 60 złr od sta. [...] zmiarkowawszy, że mu grozi ruina majątkowa, zaczął płakać, za włosy się targać, krzycząc: »olaboga, co ony ze mną zrobiły!« [...], pokazało się, że na te 600 złr wybrał gotówką około 50 złr i to u tych samych Żydów przepił, do tego nie umiał zupełnie rachować, nie wiedział, co znaczy 600 złr”.

Ta akurat sprawa skończyła się względnie dobrze dzięki interwencji Słomki i radzie notariusza, „żeby Grębowiec sprzedał zaraz część gruntu i zaraz dług zaspokoił, bo inaczej narosną koszta i procenta i nie zostanie ani przy zagonie: Żydzi wszystko sprzedadzą i z domu go wygonią. Grębowiec usłuchał i to była najlepsza rada, sprzedał zaraz 2 morgi najlepszego gruntu, nadającego się pod ogrody, i zapłacił cały dług, bo Żydzi nie chcieli nic opuścić, i w ten sposób uratował resztę gospodarstwa”.

Wiele u Słomki podobnych historii, niekoniecznie opisanych tak szczegółowo. Wybawcą dla chłopów okazało się powstałe w roku 1882 Towarzystwo Kółek Rolniczych, dzięki któremu „zaczęły się mnożyć po wsiach sklepiki Kółek Rolniczych i prywatne sklepiki chrześcijańskie”. Bolesne lekcje udzielane przez handlarzy i lichwiarzy z czasem procentowały. Doszło nawet do tego, że udało się jednego z bardziej uciążliwych lichwiarzy przyłapać, „że dopisał na wekslu jakiejś kobiecie z Żupawy dużo większą sumę, niż należało. Sąd w Tarnobrzegu wytoczył mu śledztwo i przymknął w areszcie razem ze wspólnikami [...]. Dopiero od tego czasu Żydzi lichwiarze zmiękli i bali się, a sąd coraz lepiej brał się do nich”.

Sam Słomka uczestniczył w tworzeniu takiego sklepu, potem Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego, polskiej Kasy Spółkowej, kredytującej ziomków na uczciwy procent, i spółdzielni, która pozwoliła wreszcie chłopom ominąć żydowskich zdzierców i samym docierać z towarami do miasta. Ta wieloletnia walka o przełamanie monopolu godna jest serialu, obfitującego w zwroty akcji niczym

z westernu. Ot, choćby historia stworzenia polskiego sklepu w Tarnobrzegu:

„Nie można było na ten cel lokalu w rynku w Tarnobrzegu ani wydzierżawić, ani na własność nabyć, gdyż właścicielami wszystkich realności w rynku byli Żydzi, a ci, dowiedziawszy się, na co lokal potrzebny, za żadne pieniądze odstąpić go nie chcieli. W końcu Towarzystwo [...] weszło w umowę z istniejącą już Kasą Spółkową, ażeby ta na siebie kupiła dom i wydzierżawiła [...], a gdy i wtedy robili Żydzi trudności, prosiła Kasa jednego z urzędników, aby starał się nabyć jakąś realność w rynku, a następnie odstąpił ją Kasie. I to się dopiero powiodło, bo zgodzona została i zadatkowana realność za 12 000 koron. Ale gdy się Żydzi dowiedzieli, że ta realność dla Kasy Spółkowej i będzie w niej pomieszczony sklep, podnieśli ogromny gwałt na tego, co realność sprzedał, chcieli zwrócić podwójny zadatek, [...] jego rodzinie robili awantury, powybijali okna i przez kilka szabasów Żydzi z rodziny tej nie mogli chodzić do bożnicy, bo się bali, a także Kasie czynili trudności, wytaczając procesy o granicę, ale wszystko to było już bezskuteczne”.

Przy innej okazji opisuje Słomka, jak sam mógł zrobić interes życia, bo Żydzi, zorientowawszy się, jaką rolę odgrywa w chłopskich przedsięwzięciach, złożyli się i oferowali mu kwotę daleko większą od zysku, na jaki mógł uczciwie liczyć, żeby tylko swojej społecznej działalności poniechał.

Mimo wszystko ocena pamiętnikarza nie wypada dla Polaków pochlebnie: „gdyby Żydzi chcieli na gruncie siedzieć i pracować, to dziś wszystka ziemia w Galicji do nich należałaby, byliby zupełnymi panami kraju, a chłopi, jak i szlachta, byliby u nich w służbie i pracowaliby za parobków. [...] W Dzikowie np. nie ma tego kawałka chłopskiego gruntu, żeby nie był w rękach żydowskich, żeby nie był drogo wykupiony, a w innych wsiach było zupełnie to samo. Ale Żydzi nie chcieli trudnić się gospodarstwem i ciężko pracować i woleli wielkie zyski, jakie im dawał handel gruntami przepłacanymi przez chłopów. Osiadali na stałe tylko w miastach i miasteczkach, wykupując realności od mieszczan polskich, więc

w paru dziesiątkach lat ludność miastowa zupełnie się zmieniła – jak po wielkiej wojnie”.

„Jak zapamiętałem, to jeszcze koło roku 1870 w Tarnobrzegu wielka część miasta zasiedlona była przez mieszczan katolików, którzy siedzieli tu widocznie z dziada pradziada i byli dość zamożni. Trudnili się różnymi rzemiosłami [...]. Mieli też swoje własne domy, i to przy głównym rynku, a żydowskie były na tyłach miasta. A obecnie zabrali, obsiedli to wszystko Żydzi i miasto zżydziało zupełnie, tak że zaledwie cząstka dawnych mieszczan się zachowała, i to na krańcach miasta, a w rynku żaden z tych dawniejszych mieszczan nie ma realności”.

O losach mieszczan pamiętników i świadectw zachowało się jeszcze mniej niż o losach chłopskich. Podeprzyjmy się więc jeszcze raz profesorem Szahakiem – cofając się na chwilę do czasów przedrozbiorowych: „Polska szlachta wykorzystywała Żydów jako swoich agentów do osłabienia pozycji handlowej miast królewskich, które i tak były już słabe. Polska była jedynym krajem chrześcijańskiej Europy, w którym posiadłość szlachcica znajdująca się na terenie Miasta Królewskiego nie podlegała ani prawu miejskiemu, ani przepisom cechowym. W większości przypadków szlachta zasiedlała swoje dobra Żydami, z którymi prowadziła interesy, co przyczyniało się do nieustających konfliktów. Stroną »zwycięską« byli w nich w pewnym sensie Żydzi; miasto nie mogło ich sobie podporządkować, ani też usunąć. Jednakże w trakcie częstych zamieszek ludowych [tu akurat bym z Szahakiem polemizował – przynajmniej w porównaniu z Zachodem trudno mówić, by w Rzeczypospolitej dochodziło do tumultów często] Żydzi nieraz tracili życie, częściej zaś swoją własność. Szlachta wyłącznie na tym korzystała. Podobne, a często nawet gorsze konsekwencje wynikały z wykorzystywania Żydów jako przedstawicieli szlachty w interesach; uzyskiwali oni zwolnienie z większości polskich opłat i ceł, na czym traciło krajowe mieszczaństwo”.

Dodam, że z obszernego materiału zebranego w niedawno wydanej książce Marii Cieśli „Kupcy, arendarze i rzemieślnicy” wynika, że drugi rodzaj miast, jaki znała dawna Rzeczpospolita,

miasta prywatne, z fundacji wielmożów, pod tym akurat względem nic się nie różnił.

Do wszystkich wymienionych wcześniej powodów, dla których polski „cham i łyk”, wciśnięty w skrajną nędzę, pozbawiony praw obywatelskich i politycznych, głosu oraz godności, nigdy się nie zdołał zbuntować, dodać trzeba jeszcze jeden: Żydów. Swymi nieporównywalnymi z żadnym innym chrześcijańskim krajem prawami i przywilejami nie cieszyli się za darmo. „Panowie” nie mogliby sobie wyobrazić sprawniejszego narzędzia do łupienia swych „nieurodzonych” niewolników niż ta żyjąca z nimi w bezprzykładnej symbiozie mniejszość. Zarządzająca ich majątkami, prowadząca karczmy, w których chłop uzależniał się od produkowanego przez pana alkoholu („gdzie wolny szynk piw bywał [...], teraz i to odjęto, i pić każą piwo, którym by same trzeba dyjabły truć w piekle” – pisał już Opaliński), pełniące zarazem funkcję analogiczną do zachodnich company stores, przyfabrycznych sklepików, jako jedyne miejsce, gdzie pozbawiony możności podróżowania niewolnik mógł zaopatrzyć się w najniezbędniejsze rzeczy, z podwójną marżą – pańską i żydowską.

Można oczywiście powiedzieć, że pan Jezierski miał nielichy tupet, obarczając za wyzysk i gnębienie „kmiotka” pijawki żydowskie, a zupełnie przechodząc do porządku dziennego nad faktem, że owe pijawki przystawiał ludowi nie kto inny, tylko właśnie szlachcice i wielmoże, tacy jak on sam.

Sianie wiatru

Ale w tym wszystkim, co tu piszę, nie chodzi o wymierzanie win ludziom, którzy dawno już zdążyli się w grobach obrócić w proch. Chodzi o objaśnienie, zrozumienie historycznego procesu i jego skutków.

Jestem jak najdalszy od postawy działaczy i publicystów żydowskich, którzy z obsesyjną starannością wyliczają, jakie to

krzywdy spotkały z polskich rąk jakiegoś tam przedwojennego pana Cukra czy innego Rosenbauma, i snują swą opowieść o dobrych Żydach i złych Polakach, by wzbudzić emocje potrzebne im do bieżącej polityki. Uważam ich antypolskie filipiki za równie głupie, jak byłoby, dajmy na to, wymuszanie od współczesnych mieszkańców Małopolski przeprosin i odszkodowań za okrucieństwa rzezi galicyjskich.

A już szczególnie mnie, i chyba każdego z Państwa również, irytuje to, że promowanie żydowskiej opowieści, mówiąc po ichniemu, hagady, połączone jest z bardzo skutecznym tłumieniem i wycinaniem polskiej pamięci.

Rachunek krzywd, jeśli w ogóle jest sens takowe prowadzić, musi mieć dwie strony. A w przypadku „polskiego antysemityzmu” ma zawsze tylko jedną. Sam fakt upomnienia się o tę drugą, samo przypomnienie faktów ściąga lawinę obelg, pomówień i próby zadania „antysemicie” śmierci cywilnej.

W obecnej literaturze i popkulturze Żydzi wydają się aniołami. Właściwie zupełnie nie wiadomo, co takiego robili w polskich miastach, miasteczkach i wsiach. Grali na skrzypkach, tańczyli i nikomu nie wadzili, aż nagle polscy sąsiedzi – w różnych wersjach, zależnie od stopnia zjadliwości snującego te narracje Żyda – wezwali przeciwko nim nazistów, by biernie i z satysfakcją przyglądać się Holokaustowi, nie tylko wezwali, ale jeszcze chętnie im pomagali albo zgoła sami rzucili się i spalili Żydów w stodole, gdy naziści tylko robili zdjęcia. Człowiek oderwany od polskiej historii, tak jak oderwani zostali od niej „młodzi, wykształceni, z dużych miast”, wychowywany jest w medialnej bańce rodzimej liberalistokracji tak, by wizja prymitywnych Polaków, którzy nienawiść wraz z bigoterią i skłonnościami do faszyzmu „wysysają z mlekiem matki”, utwierdzała ich w przekonaniu, że trzeba całą przeszłość „tego kraju” mieć w głębokiej pogardzie i starać się z niego co prędzej uciec w „europejskość”.

Otóż nasi przodkowie znali Żydów od pokoleń. Jeśli tworzyli na ich temat stereotypy – to były one skutkiem realnych doświadczeń

i napięć. Jak uczy stare powiedzenie, żeby wybuchła burza, to ktoś musiał wcześniej posiać wiatr.

Jeśli Polacy zwracali się przeciw Żydom z nienawiścią, to była to nienawiść tego rodzaju, jaką postępowy Zachód i jego salony zawsze skłonne były – i gdy rzecz dotyczy innych, nadal są – nie tylko rozgrzeszać, ale pochwalać, określając ją „nastrojami rewolucyjnymi” bądź „wymierzaniem sprawiedliwości dziejowej”. Była to nienawiść słabych i okłamywanych kierowana przeciwko tym, którzy ich krzywdzili, uniemożliwiali awans i rozwój, nie dawali żyć i realizować należnych im ludzkich praw.

Jeśli te antyżydowskie działania miałyby być dla Polaków powodem do wstydu – to nie mniej powinna się zachodnia cywilizacja wstydzić za to na przykład, że wydała coś takiego jak związki zawodowe.

7. Antysemityzm, z którego powinniśmy być dumni

Ktokolwiek tego próbował, zgodzi się, że o emocjach i zaszłościach na linii Polak – Żyd (a ściślej, w trójkącie: szlachcic/inteligent – cham – Żyd) nie da się normalnie rozmawiać. Czy widzieli Państwo jakąś uczciwą debatę na ten temat? Debatę, w której sprawy polsko-żydowskie naświetlono by z różnych stron, a nie tylko odprawiono rytualny spektakl pogardy dla polskiego chama, polegający na tym, że przedstawiciele rodzimego salonu pod dyktando żydowskich oskarżycieli biją się manifestacyjnie w cudze piersi i korzą w naszym imieniu przed najbardziej nawet absurdalnymi oskarżeniami?

Sam zostałem kiedyś zaproszony do cyklu rozmów o tych sprawach przez Instytut Pamięci Narodowej, wraz z pewnym oddanym sprawie żydowskiej pamięci publicystą – nie podaję nazwiska, bobym mu pewnie zaszkodził, a niczym sobie na to nie zasłużył. Chociaż podskórnie czułem, że nic z tego nie będzie, postanowiłem się solidnie przygotować i przedłożyłem organizatorom oraz partnerowi zamierzonej dyskusji konspekt z wyliczeniem problemów wartych moim zdaniem przedyskutowania i tez, jakie zamierzałem postawić. Odniosłem wrażenie, że ten konspekt został przyjęty z wielkim zainteresowaniem, że mój interlokutor do całego projektu takich publicznych cyklicznych dysput Polaka katolika z Polakiem żydem odniósł się jeśli nie z entuzjazmem, to z dużymi nadziejami.

Niestety, gdy wszystko było ustalone, sala, terminy i tak dalej, i IPN poinformował na swoich stronach internetowych

o przedsięwzięciu – mój przewidywany rozmówca najpierw na jakiś czas zniknął, a potem powiadomił organizatorów zdalnie, że niestety, wycofuje się. Dopytywany stwierdził tylko, że spodziewał się, iż będzie na niego wywierany nacisk, ale że może on być tak silny, nie przewidział, i że... no, żeby zrozumieć, że po prostu nie może.

Nawet nie próbowałem pytać, kto wywarł na niego taki nacisk i w czym się on skonkretyzował – zresztą doskonale się domyślam.

Monopol pamięci

Pierwsze z nieodbytych spotkań chciałem poświęcić dyskusji o tym właśnie, dlaczego o sprawach polsko-żydowskich nie można normalnie rozmawiać. Wskazać, jakie i czyje interesy oraz psychologiczne kompensacje stoją za nagonką na Polaków, za samoponiżaniem polskich – przynajmniej jeszcze do niedawna – opiniotwórczych elit i fałszowaniem pamięci. Ponieważ nie było okazji, skorzystam z tej, jaką jest niniejsza książka.

Zacznijmy może od świadectwa postaci uwielbianej na salonach, brytyjskiego liberalistokraty pełną gębą, wielokrotnie używanego przez rodzime elity w funkcji zagranicznego autorytetu pouczającego polskiego chama, że źle głosuje i swoją krnąbrnością wobec oświeconych elit robi nam obciach w Europie.

Norman Davies, historyk zakochany w Polsce – tej, oczywiście, z którą mu po drodze – opisał, jak to się wszystko zaczynało. W wywiadzie dla „Dziennika" promującym jego autobiografię opisał spotkanie w londyńskiej ambasadzie Izraela w roku 1974.

„Mówił głównie Yehuda Bauer, izraelski historyk. To miały być warsztaty nauczania o Holokauście. Początek wielkiej akcji, wielkiej kampanii promowania wiedzy o Holokauście na świecie. Profesor Bauer jasno przedstawił schemat historyczny. Opierał się on na tym, że w czasie wojny, w Polsce, bo to wszystko odbyło się przecież w Polsce, byli wykonawcy, były ofiary i byli ci, którzy na to wszystko

biernie patrzyli [...]. W tym schemacie nie występowało słowo „Niemcy”. Nie Niemcy: naziści, hitlerowcy. Rzadko się mówi o Niemcach kolektywnie, stereotypowo, jak o Polakach. Byli hitlerowcy i kolaboranci, ofiary, ale wyłącznie Żydzi, i ci bierni, czyli Polacy. [...] Przeszkadzałem, bo z całego spotkania miało wyniknąć, że Polska była historycznym ośrodkiem antysemityzmu, w związku z czym zasadne jest określanie Polaków mianem antysemitów. Zakrzyczano mnie. Usłyszałem: »siadaj!« i »polonofil«”.

Dla Czytelnika, który sięga po moje książki, nic zaskakującego – w jednej z nich cytowałem niemal identyczną relację z niewiele późniejszego spotkania z izraelskimi historykami na jakimś brytyjskim uniwersytecie pióra Timothy’ego Gartona Asha. Może nie aż tak hołubionego przez michnikowszczyznę, ale na pewno niedającego się zaszufladkować jako „prawicowiec” czy „endek”. Niemniej kiedy historyczne gangsterstwo współczesnych Żydów zaczyna irytować nawet kogoś takiego jak Davies, to znaczy, że jego rozmiary przekroczyły już wszelkie granice przyzwoitości:

„Polska została wpisana do tego schematu jakby z góry [jako na wpisujących wskazuje Davies na USA i Izrael]. Każdy naród, każdy rząd mają pewne schematy w myśleniu o historii. Tylko że Izrael ma specyficzną politykę historyczną. Mogę tysiąc razy powiedzieć, że ten schemat jest nieprawdziwy, ale jeśli jest on powtarzany milion razy, to moje słowa pozostaną kroplą w oceanie. Niestety, ten schemat został przyjęty na Zachodzie, nie tylko na uczelniach, ale i na poziomie wiedzy powszechnej, i dominuje w narracjach o II wojnie światowej. [...] Kiedy prawica izraelska zdobyła władzę, wymyślono ten schemat, który ja poznałem w 1974 roku. Teraz jest jak Biblia, jedyna niepodważalna prawda”.

Jak ta „jedyna niepodważalna prawda” funkcjonuje w praktyce? Zerknijmy do wywiadu, którego udzielił przed laty „Rzeczpospolitej” profesor Richard Conrad Lukas. Autor książki, za którą spotkało go w USA szereg szykan i nieprzyjemności, choć nikt nie zakwestionował ani jednego zawartego w niej ustalenia, ani jednego słowa. Mowa o unikalnej pracy „Zapomniany Holokaust”, przypominającej o polskich ofiarach drugiej wojny światowej.

„Natrafiłem na sporą liczbę relacji i dokumentów dotyczących cierpień wojennych Polaków. Zorientowałem się, że są to sprawy zupełnie nieznane w Ameryce. [...] Polska i Polacy dla historyków amerykańskich zajmujących się tym okresem są wyłącznie tłem dla Holokaustu. Zagłada jest wydarzeniem najważniejszym i centralnym. Wszystko inne nie ma żadnego znaczenia, cała historia Polski XX w. jest pisana z perspektywy cierpienia Żydów. [...] Gdy w latach 80. brałem się za pisanie swojej książki, postanowiłem sprawdzić, co amerykańscy historycy napisali już do tej pory o cierpieniach Polaków podczas wojny. Okazało się, że... nic. Książek o cierpieniach Żydów w Polsce były już zaś wtedy tysiące. Taka sytuacja to kuriozum, zważywszy na to, że ilościowo straty wojenne wśród Polaków katolików były mniej więcej takie same jak wśród Polaków żydów. Stąd też wziął się mój pomysł na tytuł. Uważam, że nie ma powodu, dla którego nie można nazwać tego, co spotkało Polaków, Holokaustem. Polskie ofiary nie były wcale gorsze od żydowskich”.

I teraz:

„Zacznijmy od prasy. W Ameryce ma ona znaczenie wręcz olbrzymie. Duszą inteligencji amerykańskiej rządzi »New York Times«. Moja książka »Zapomniany Holokaust« w ciągu ostatniego ćwierćwiecza miała w Ameryce olbrzymią liczbę wydań i w środowisku naukowym uznawana jest za »klasykę«. Interesujący się niezmiernie II wojną światową »New York Times« nie poświęcił jej jednak przez te ćwierć wieku nawet linijki. [...] Przez tych kilkadziesiąt lat dziennik ten nigdy nie opublikował recenzji jakiejkolwiek książki poświęconej okupacji Polski, w której Polacy nie zostaliby przedstawieni jako sprawcy Zagłady i współodpowiedzialni za Holokaust. W ten sposób »New York Times« w odpowiedni sposób kształtuje amerykańską elitę intelektualną”.

„»New York Times« zastrasza historyków?” – pyta prowadzący wywiad Piotr Zychowicz.

„Nie zastrasza. On ich zniechęca. Wystarczy bowiem przychylna recenzja w »New York Timesie«, aby książka sprzedała się

w olbrzymiej liczbie egzemplarzy. Podobne podejście ma zresztą cała machina medialna w Stanach Zjednoczonych. Historyk, który chce być »sławny i bogaty«, historyk, który chce być hołubiony przez gazety, ośrodki akademickie i salony intelektualne, nie będzie więc pisał o cierpieniach Polaków. Po co tworzyć coś, co przejdzie bez echa? Mało tego, może zaszkodzić. Historyk napisze więc kolejną standardową książkę o Holokauście, w której przedstawi Polaków jako zbrodniarzy. Tak jest łatwiej. To chyba casus [Jana Tomasza] Grossa. Swoją karierę na emigracji zaczynał od pisania o polskim cierpieniu (między innymi znakomite »W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali«). Gdy zorientował się, że nikogo te książki nie obchodzą, zabrał się za »Sąsiadów«. »New York Times« rozpływał się nad nim w zachwytach i dostał Gross etat w Princeton".

O Grossie jeszcze przyjdzie wspomnieć – tu nadmieńmy tylko, że w Princeton dostał za „Sąsiadów" etat profesora historii, choć nie ma historycznego wykształcenia, tylko socjologiczne (co zresztą w jego pamfletach widać po nieprzestrzeganiu elementarnych zasad dokumentowania tez i tak zwanej krytyki źródeł). Jest to zresztą znaczące, że przynajmniej w polskojęzycznej sekcji rentownego biznesu „demaskowania" rzekomej polskiej winy za Holokaust rej wiodą absolwenci wydziałów czy pracownicy instytutów psychologii, socjologii, filologii albo filozofii (by wskazać tylko Barbarę Engelking, Jana Grabowskiego albo Jacka Leociaka).

Ale jeśli ktoś uważa, że opisując tę siłę łamania historykom kręgosłupów, Lukas przesadza, to zachęcam do zapoznania się z dwoma książkami Timothy'ego Snydera. Pierwsza, z roku 2010, nosiła w polskim przekładzie tytuł „Skrwawione ziemie" i opisywała losy Europy Środkowej w wieku XX. Opisywała je bardzo rzetelnie i uczciwie, pokazując cierpienia wszystkich zamieszkujących te ziemie narodów wskutek rewolucji bolszewickiej, Hołodomoru, „operacji polskiej" Stalina, podboju przez Hitlera i ponownego podboju przez Sowietów. Świetna książka, polecam.

W dzisiejszej kulturze jest zwyczajem przyjętym, że kiedy ktoś odniesie sukces, stara się go wykorzystać do maksimum, pisząc tak zwane sequele, dalsze ciągi. Więc kiedy w roku 2015 profesor

Snyder wydał kolejną książkę o podobnym tytule, „Czarna ziemia”, mogło się wydawać, że to właśnie taki sequel. Ale nie, kto do niej zajrzał, przekonywał się ze zdumieniem, że to w zasadzie ta sama książka, tylko jakby napisana po raz drugi, tym razem „kak prawilno”. Tu już, w przeciwieństwie do książki poprzedniej, cierpienia Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Rosjan – nie istnieją. Ani zbrodnie dokonane przez kogokolwiek innego niż naziści. Wszystko to zepchnięte jest gdzieś do głębokiego tła, liczy się tylko jedno: Shoah. Bezmiar cierpienia narodu żydowskiego.

Nie żyjemy dziś w straszliwych czasach inkwizycji, skądżeby znowu. Nikt nie zmuszał Snydera jak Galileusza, żeby wypierał się swojej pierwszej książki, odwoływał jej tezy. Po prostu sam zrozumiał, że jest w jego najlepiej pojętym interesie „przykryć ją” książką kolejną, która dzięki fantastycznej prasie w publicznym obiegu całkowicie zastąpiła poprzednią. I dzięki temu jego kariera nie doznała uszczerbku.

Rozmowa z gangsterem

Wracając do profesora Lukasa: „sprzeciwiłem się dogmatowi, który obowiązuje w amerykańskim spojrzeniu na Holokaust. A dogmat ten brzmi: Polacy byli antysemitami. Kropka” – powiada w przytaczanej rozmowie, i na tym skończę cytowanie, odsyłając zainteresowanych do wciąż dostępnego w internecie wywiadu.

Dlaczego tak? Bo ludzka pamięć ma ograniczoną pojemność. Nie ma w niej miejsca, tak przynajmniej uznali dyrygenci tej polityki historycznej, na inne ofiary – ofiara może być tylko jedna. Wszystkich poza Żydami trzeba przesunąć do roli sprawców. Samo informowanie o zbrodniach innych niż ta najważniejsza budzi agresję, jako „relatywizowanie”. Szczególnie gdy chce ktoś wspomnieć o zbrodniach, w których jakąś rolę, a już nie daj Boże istotną, odegrali jacykolwiek Żydzi, choćby wychrzczeni.

A tak przecież było z komunizmem, którego padliśmy ofiarą. I dziś coraz częściej mówi się nam już zupełnie otwarcie: o zbrodniach komunistycznych mówić się nie powinno, bo to służy relatywizowaniu Holokaustu. Ba, zetknąłem się już nawet ze wzbogacaniem dyskursu o odpowiedzialności Polaków za zagładę Żydów o argument, że nie doszłoby do niej, gdyby nie powstrzymanie przez Polaków pochodu na Zachód rewolucji komunistycznej (której zbrodniczy charakter już przestał być Zachodowi znany). Gdyby nie zwycięska dla Polaków Bitwa Warszawska i ocalenie przez Polskę swojej niepodległości, Hitler nie doszedłby przecież do władzy. Logiczne?

Tych kilka przykładów – a nikt chyba nie wątpi, że można by nimi wypełnić całe opasłe tomy i nad każdą stronicą takiej publikacji Polakowi przysłowiowy nóż otwierałby się w kieszeni – niech wystarczy, by rozwiać złudzenie, którym karmieni są od lat Polacy zarówno przez wyrachowanych przedstawicieli liberalno-lewicowych salonów, jak i przez naiwnych pisowców. Złudzenie, że to wszystko, to ciągłe urabianie Polakom gęby urodzonych antysemitów, te piramidalne kłamstwa w rodzaju „Sąsiadów”, kampanii „Polish Holocaust” czy formalnej wojny wypowiedzianej Polsce przez Beniamina Netanjahu i amerykańskie organizacje żydowskie po znowelizowaniu ustawy o IPN – to tylko jakieś nieporozumienia, które da się wyjaśnić w rzeczowej, merytorycznej dyskusji.

Nie. Nie da się, bo dyskusja wymaga dobrej woli – a tej ze strony atakujących Polskę i Polaków zwyczajnie nie ma. Nie dlatego zmyślają i kolportują na cały świat kłamstwa o polskich kolaborantach Hitlera, że nie znają prawdy. I nie po to to robią, żeby pozwalać nam przedstawiać argumenty, które wykazują fałszywość ich propagandy. Robią to z tego samego powodu, dla którego jaśnie pan kazał chama batożyć, brać w dyby i torturować na inne sposoby. Po to, żeby cham spokorniał i żeby można go było dla swoich celów eksploatować.

Dyskusje, wspólne szukanie prawdy? Równie dobrze można by się wdawać w dyskusje z gangsterem, który przychodzi zbrojny

w bejsbola i spluwę domagać się haraczu. I z naiwnością rzeczników „dialogu polsko-żydowskiego” tłumaczyć mu merytorycznymi argumentami, że nie ma do naszej własności żadnego prawa.

Jedwabne – i wszystko jasne

Wspomnieliśmy o zbrodni w Jedwabnem i Janie Tomaszu Grossie, więc dobrze – to świetny przykład. Bynajmniej jednak nie „masowej kolaboracji Polaków z nazistami podczas drugiej wojny światowej”, jak twierdzą izraelscy politycy i aktywiści organizacji żydowskich, tylko tego, jak szalenie prymitywna jest antypolska hagada, jak niedbale sfastrygowana, z jak wielkim przekonaniem, że Żyd po Holokauście może sprzedać światu każdą brechtę, pozwolić sobie na każdą hucpę i nikt mu nic nie powie ze strachu, by go nie nazwał antysemitą.

Sławna książka „Sąsiedzi” oparta została praktycznie na jednym źródle: spisanej relacji niejakiego Szmula Wasersztajna (używającego też nazwiska Stanisław Całka), wówczas już nieżyjącego. Gross, przepisując ją bezkrytycznie, nie zadał sobie nawet tyle trudu, żeby sprawdzić, czy jego świadek historii był w chwili zbrodni w Jedwabnem (krytycy książki udowodnili, że go nie było, a więc jest to w najlepszym wypadku relacja z drugiej ręki, jeśli nie kontaminacja). Nie wziął pod uwagę, że jego źródło stanowił człowiek, który po wkroczeniu Armii Czerwonej wstąpił do UB, służył gorliwie Sowietom podczas ich najgorszych zbrodni, krótko mówiąc, nie miał wobec Polaków czystego sumienia i można podejrzewać, że oskarżenia, które mnożył, służyły samousprawiedliwieniu. Krytykowany za zbyt słabą podstawę źródłową, zbudował Gross kuriozalną teorię, że w wypadku tak nieporównywalnej z niczym w dziejach zbrodni jak Holokaust trzeba zaniechać krytycyzmu wobec „bezpośrednich świadectw” (czyli tak zwanej krytyki źródeł, podstawy pracy historyka) i brać je słowo w słowo.

Sam jednak zachował się wbrew tej zasadzie, biorąc z relacji byłego stalinowskiego ubeka tylko to, co mu pasowało. Wasersztajn twierdzi na przykład – wyraźnie tak mówi – że Polaków zaganiających Żydów do stodoły, w której potem mieli ich spalić, było czternastu. Grossowi wyszło jednak z luźnych wyliczeń, że w stodole w Jedwabnem spalonych zostało tysiąc sześciuset Żydów. Nie pomyślał, w jaki sposób można zmieścić w stodole tysiąc sześciuset ludzi, zapewne wiedząc, że amerykański czytelnik o to nie spyta – ale jednak pomyślał, że czternastu Polaków zaganiających na śmierć sto czternaście razy liczniejszy tłum ofiar to obraz nieco absurdalny, więc ten szczegół relacji przemilczał. Przemilczał również stwierdzenie samego Wasersztajna, że rozkaz eksterminacji „przyszedł z Niemiec".

Pomocniczo wykorzystał Gross do zbudowania swojej narracji o zbrodniczych sąsiadach protokoły procesów przeprowadzonych po wojnie przez stalinowski sąd, który skazał na śmierć dwudziestu dwóch mieszkańców Jedwabnego za rzekomą współpracę z Niemcami, zupełnie pomijając, iż była to część ówczesnych szerokich represji wobec „elementów reakcyjnych" i „kułaków", a oskarżeniem o kolaborację z Niemcami szafowali komuniści bez umiaru i jakiejkolwiek troski o jego uprawdopodobnienie: za kolaboracyjny wobec III Rzeszy uznawali legalny rząd polski w Londynie i z tego paragrafu mordowano masowo żołnierzy AK i innych wrogów ustroju, takich jak generał August „Nil" Fieldorf, którzy z całą pewnością nie tylko z Niemcami nie kolaborowali, ale wręcz bohatersko i ofiarnie z nimi walczyli.

Pominął natomiast Gross fakt, że sprawa zbrodni w Jedwabnem podjęta została przez organa ścigania PRL (tak zwaną Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich) ponownie już po „odwilży", w latach sześćdziesiątych. Prokurator Waldemar Monkiewicz zwrócił się wówczas o współpracę do niemieckiej Centrali Ścigania Zbrodni Nazistowskich w Ludwigsburgu. W jej zachowanym w aktach piśmie z roku 1967 znaleźć można twierdzenie, że według wiedzy niemieckiej z tego czasu za zbrodnie dokonane na Żydach w roku 1941 na Białostocczyźnie, w większości poprzez spędzanie

ich do miejscowej synagogi lub innego budynku i palenie żywcem, odpowiedzialne było Einsatzkommando pod dowództwem Wolfganga Birknera. Co najważniejsze, z Ludwigsburga przysłano wtedy treść instrukcji, jaką otrzymały Einsatzgruppen kierowane do „oczyszczania zaplecza frontu” od samego Reinharda Heydricha. Zalecał on „inscenizowanie samooczyszczenia” w taki sposób, aby maksymalnie upodobnić akcje do pogromów urządzanych spontanicznie przez miejscową ludność w wyrazie poparcia dla polityki niemieckiej. Instrukcja ta zresztą doskonale pasuje do całego szeregu rozporządzeń Heydricha cytowanych w książce profesora Tomasza Szaroty „U progu zagłady”, której bodaj przekartkowanie przed rzuceniem tak poważnych oskarżeń stanowiłoby ze strony Grossa doprawdy minimum przyzwoitości.

Kiedy zwrócono Grossowi uwagę na te fakty, skwitował je umieszczeniem w drugim wydaniu przypisu, w którym gołosłownie odrzucił tezę, jakoby Birkner i instrukcja Heydricha miały coś wspólnego z Jedwabnem, nazywając ją „absurdalną”.

Zignorował wreszcie Gross dokumentację procesu Hermanna Schapera, funkcjonariusza SS, skazanego w roku 1965 za udział w kolejnych, bliźniaczo podobnych zbrodniach pomiędzy końcem czerwca a początkiem września 1941 roku – w Wiznie, Wąsoszy, Radziłowie, Jedwabnem, Łomży, Tykocinie, Rutkach, Zambrowie i Borkowie. Kara dla byłego Obersturmführera nie była dotkliwa, bo niemiecki sąd, wbrew zeznaniom świadków z Radziłowa i Tykocina, dał wiarę Schaperowi, że był tylko kierowcą i wykonywał rozkazy. Niemniej materiały z procesu dość dokładnie przebieg tych zbrodni, także w Jedwabnem, opisują. Zupełnie inaczej niż Wasersztajn.

O uwzględnienie elementarnego historycznego kontekstu – w tym roli, jaką odegrali miejscowi Żydzi podczas okupacji sowieckiej 1939–1941 – już się nawet nie ma co upominać. Cóż można powiedzieć... Najwyżej tylko pogratulować Uniwersytetowi w Princeton takiego profesora historii.

Ale – po co właściwie zarzucam Państwa tymi szczegółami, skoro można całą nicość Grossa wykazać jednym prostym argumentem.

Otóż podstawą narracji Grossa jest twierdzenie, że pogrom w Jedwabnem wybuchł całkowicie spontanicznie. Bez żadnej niemieckiej inspiracji. Niemców było raptem kilku i tylko fotografowali... Co prawda w równie kanonicznej dla mitu Jedwabnego książce Anny Bikont „My z Jedwabnego" (tłumaczenia, nagrody i światowe honory, oczywiście) cytowana jest relacja, że niektórzy próbowali coś tam z żydowskiego mienia podkraść, ale niewielu, bo Niemcy pilnowali i każdego przyłapanego „amtskomendant kazał bardzo bić". Jak mogli Niemcy bić, jak pilnować, skoro było ich tylko kilku i jedynie robili zdjęcia? Żeby jeszcze bardziej poniżyć Polaków, pani Bikont zaprzecza podstawom całego mitu, i co najgorsze, może sobie na to pozwolić, bo kto odważy się wychwycić sprzeczność, ten antysemita!

No, znowu... – a miało być krótko. A więc podstawowa teza Grossa: zero udziału, czy nawet inspiracji niemieckiej. Sowieci już sobie poszli, Niemcy jeszcze nie przyszli, i wtedy nagle chorzy z nienawiści Polacy rzucili się na swych żydowskich sąsiadów i umęczyli ich.

Otóż zadajmy jedno kluczowe pytanie: ilu ich zdołali umęczyć? Nie chodzi o liczby bezwzględne, ale o procentowy stosunek zamordowanych do ocalałych.

W końcu wieku XIX i początkach XX w zachodnich guberniach ówczesnej Rosji doszło do kilkudziesięciu pogromów – czasem mniej, czasem bardziej spontanicznych. Wszystkie one są przez historyków dość dokładnie opisane, wiadomo więc, jaka zwykle była dynamika takich zdarzeń. Zazwyczaj zaczynało się od targowiska, gdzie jakiś spór przeradzał się w bijatykę, w czasie której padało hasło do ogólnej rozprawy z Żydami; rzadziej od jakiegoś zgromadzenia, na którym na przykład ktoś podjudzał tłuszczę opowieściami o mordzie rytualnym. Z takiego centrum fala pogromowa rozchodziła się coraz szerzej, siłą rzeczy – coraz bardziej słabnąc.

W efekcie ofiarą napaści padało z reguły około 50–70 procent miejscowej populacji żydowskiej, a liczba zabitych wahała się,

zależnie od gwałtowności napaści, pomiędzy 30 a 50 procentami zaatakowanych.

Nie mogło być inaczej – jeśli pogrom miał charakter spontaniczny, nawet gdy był jakoś wcześniej przygotowany, to zawsze jakaś część ofiar miała szansę się uchronić. Któryś z napastników się zagapił, któryś zaniechał pościgu i rzucił się rabować, któremuś drgnęło serce i pozwolił ofierze uciec, gdzieś tam znalazła się jakaś litościwa dusza, która ściganym wskazała niepilnowaną drogę ucieczki albo dała schronienie.

Mniejsza o dokładne liczby, niechby nawet przyjąć, że w takim pogromie zginąć mogło 90 procent zaatakowanych – to jest faktem bezspornym, że w Jedwabnem 10 lipca 1941 roku zamordowano praktycznie wszystkich znajdujących się tam wtedy Żydów. Ocalało dosłownie kilka osób. Mniej niż 0,5 procent, albo nawet mniej niż 0,2 procent. Liczba, którą można statystycznie pominąć.

Co to znaczy? Że zanim doszło do zbrodni, ktoś musiał starannie pozamykać wszystkie drogi ucieczki. Rano, najpewniej bladym świtem. Dopiero później zaczęto wyganiać Żydów z domów, spędzać w jedno miejsce, skąd poprowadzono ich na kaźń. Schemat znany z licznych spontanicznych pogromów w tym wypadku został całkowicie odwrócony. Wynika to zresztą jasno nawet z tych opisów, na których zbudowano antypolski mit.

Taką „wydajność" zbrodni, praktycznie stuprocentową, osiągnąć mogły tylko dobrze zorganizowane, jednolicie dowodzone i karne siły policyjne, działające według z góry przygotowanego planu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mieszkańcy Jedwabnego, choćby najbardziej krwiożerczo wobec Żydów nastawieni, niczego podobnego nie byli w stanie zorganizować nawet w przybliżeniu. Jedynymi, którzy dysponowali zarówno odpowiednimi siłami i środkami, jak i zbrodniczym know-how, byli Niemcy. Nie ma zresztą co wyważać otwartych drzwi, jedna wizyta w archiwum i rzut oka w protokoły dotyczące bliźniaczo podobnych zbrodni we wcześniejszych i późniejszych tygodniach w sąsiednich miastach nie pozostawiają cienia wątpliwości, że w Jedwabnem, podobnie jak w Wiznie, Radziłowie, Wąsoszy i tak dalej, mieliśmy do czynienia

z akcją komanda SS. W którą zapewne, zgodnie z wytycznymi Obergruppenführera Heydricha, starali się sprawcy maksymalnie wciągnąć miejscową ludność.

Można domniemywać, że jakichś kolaborantów znaleźli. Czym się oni kierowali, jaki był stosunek do nich spędzonej przez SS pod bronią polskiej większości, jaka część patrzyła na pędzonych Żydów z satysfakcją, jaka ze zgrozą, jaka do ostatniej chwili sądziła, że Żydów prowadzą Niemcy „tylko" na wypędzenie – tego nie wiemy.

Ale z całą pewnością mieliśmy do czynienia z czymś zasadniczo innym, niż zmyślił Gross i niż powtarza po nim cały świat. Haniebnym? Zapewne. Ale w każdej populacji istnieją tacy, którzy w sprzyjających okolicznościach stają się, by użyć tego słowa, motłochem. Szczególnie gdy – jak Jedwabne i cała ta połać kraju – od prawie dwóch lat miejscowa społeczność żyła pod niszczącym ją bezwzględnie terrorem sowieckim, który zlikwidował całą miejscową elitę. Nawet przy założeniu skrajnie pesymistycznym, że komando Birknera czy Schapera znalazło wśród miejscowych czterdziestu, jak wynikało z późniejszego, z konieczności niepełnego śledztwa IPN, czy nawet znacznie liczniejszych chętnych pomocników kierujących się nienawiścią do żydowskich sąsiadów – to co? To czymże to jest wobec masowej kolaboracji z niemieckim okupantem Francuzów, Belgów, Holendrów czy Anglików z jedynego okupowanego przez Niemcy kawałka Wielkiej Brytanii – Wysp Normandzkich?

Tak, wśród Polaków zdarzali się szmalcownicy i różnego rodzaju bandyci. Państwo Podziemne, na ile mogło, starało się osądzać ich przed podziemnymi sądami i likwidować. W tym samym czasie mieszkańcy zachodniej Europy – w przeciwieństwie do nas nieuważani przez Niemców za „podludzi" i stosownie do tego traktowani – mieli swoje okupacyjne, kolaboranckie rządy, które pod dyktando Niemców posłusznie rejestrowały Żydów, organizowały wyłapywanie ich przez miejscowe, podległe im siły porządkowe i zorganizowaną wysyłkę wprost do niemieckich pieców. Owszem, były po wojnie pokazowe procesy co bardziej w tym procederze zasłużonych. Ale w większości wypadków była trwająca

dziesięcioleciami zmowa milczenia. Zasłużonego we współpracy z Niemcami gubernatora Wysp Normandzkich nagrodzili nawet Brytyjczycy tytułem królewskim. No bo po co psuć heroiczną legendę brytyjskiego oporu?

Więcej światła na przebieg zbrodni w Jedwabnem rzucić mogła ekshumacja, którą rozpoczęto w roku 2001. W krótkim czasie znaleziono w pobliżu grobu ponad dwieście łusek, a w samym grobie – rozpłaszczony pocisk kalibru 9 milimetrów. Wywołało to natychmiastową histerię środowisk żydowskich i falę interwencji na najwyższym szczeblu, po których ówczesny prokurator generalny śp. Lech Kaczyński nakazał natychmiast badania przerwać. Potem tłumaczył, że „nie mógł się kopać z koniem”. Religia mojżeszowa surowo zabrania bowiem ekshumacji żydowskich zwłok!

Nader wygodny religijny zakaz, nie da się ukryć. Bo przecież taka ekshumacja mogła wykazać na przykład ślady kul albo bagnetów na kościach pomordowanych – i co wtedy?

A przecież pan prezydent Kwaśniewski, kierowany „moralnymi racjami”, o których za chwilę, już zdążył był przed całym światem najuroczyściej Żydów za polską zbrodnię przeprosić. W imieniu państwa i całego polskiego narodu. Dla świata to zamknęło sprawę. Polacy sami się przyznali, sami przeprosili – nie ma o czym gadać, wszystko wyjaśnione! Kto twierdzi inaczej, ten jest „negacjonistą Holokaustu”. A za to na Zachodzie są paragrafy, a gdzie nawet nie ma paragrafu – oplucie, odarcie z godności i ukamienowanie hańbą. Czasem próbuje się je zadać nie tylko osobom, ale całym narodom – i to właśnie wpływowe kręgi żydowskie, przy użyciu podobnych kreatur jak tu wspominane, starają się zrobić z Polakami.

Żydzi jak ludzie

Wielu historykom zdarzyło się, że świadomie bądź nieświadomie znaleźli się na drodze forsowanej narracji historycznej i źle się to dla nich skończyło. Albo spychano ich gdzieś na margines debaty

publicznej, albo żeby ich ustalenia w oczach publiczności unieważnić, pozbawiano dobrego imienia, insynuując rasistowskie uprzedzenia czy sympatie pronazistowskie. Nie brak było w ostatnich dziesięcioleciach przykładów posługiwania się w celu zaszczucia ludzi głoszących niewygodną prawdę oszczerstwami, grubymi manipulacjami i represjami administracyjnymi.

Jedną z ofiar jest tutaj profesor Krzysztof Jasiewicz. Jego przypadek jest o tyle typowy, że do niszczenia go użyto oczywistego pretekstu. To naturalnie od lat sprawdzona metoda działania. Sprytna „policja myśli" nie atakuje wprost tego, co uznaje za „herezję" wobec jedynie słusznej, obowiązującej wersji, wiedząc, że w ten sposób by ową herezję nagłośniła i spopularyzowała. Szuka się – nawet jeśli wymaga to długiego, cierpliwego czekania – czegoś zupełnie z istotą sprawy niezwiązanego. Jakiegoś zdania na tyle niefortunnego, że można je wyrwać z kontekstu, przekręcić albo w inny sposób zmanipulować. Wtedy rusza maszyna hejtu, która nie pozostawia zaatakowanemu szansy na wyjaśnienia i obronę.

W przypadku Jasiewicza użyto wywiadu dla specjalistycznego magazynu historycznego, w którym mówiąc o rozmaitych aspektach antysemityzmu, wskazywał on na rozmaite działania Żydów, które ściągały na nich nienawiść, szczególnie warstw niższych – działania tego rodzaju, jak wspominane choćby w cytatach zawartych w poprzednim rozdziale. Wyjaśniał nimi ową tak eksponowaną w antypolskiej propagandzie „obojętność Polaków" wobec zagłady ich żydowskich sąsiadów. Pomijając już, że w warunkach okupacji, kiedy nie tylko za aktywną pomoc dla prześladowanych, ale nawet sam „brak czujności", czyli na przykład niezawiadomienie władz okupacyjnych o ukrywającym się gdzieś Żydzie, karano śmiercią całą rodzinę „winnego", bycie „nieobojętnym" wymagało heroizmu, jakiego nikt od nikogo nie ma prawa wymagać (a już szczególnie nie ma prawa wymagać go od naszych poddanych okupacyjnej grozie przodków jakiś amerykański bubek, którego największą traumą w życiu mogło być oblanie sobie czerwonym winem ulubionych spodni) – to trzeba też zrozumieć, że w oczach wielu świadków

Zagłady, którzy wcześniej padali ofiarą wyzysku czy spekulacji ze strony Żydów, sami oni na siebie te prześladowania ściągnęli.

Stwierdzenie to zostało podane w sposób jasny i niepozostawiający pola do nadinterpretacji. Ale niestety, aby „podkręcić” wywiad, magazyn zrobił z tych kilku słów tytuł: „Żydzi sami sobie byli winni?”. Mimo iż te słowa de facto nie pochodziły od Jasiewicza i nie oddawały wyrażonych przez niego w wywiadzie poglądów, posłużyły za pretekst do zorkiestrowanej propagandowej nagonki, której skutkiem było między innymi wyrzucenie go z funkcji kierownika zakładu w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk oraz postępowanie prokuratorskie, wszczęte z donosu kapusiów z tak zwanego Towarzystwa Dziennikarskiego i stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita. Jak zwykle w takich razach, postępowanie skończyło się stwierdzeniem, że zarzuty są bezpodstawne, i umorzeniem, ale dopiero po kilku latach, gdy już nikt o tym nie pamiętał, w związku z czym w żaden sposób to reputacji oplutego historyka nie poprawiło.

Jednak, powtórzę, nieszczęsny tytuł wywiadu był tylko pretekstem. Co było prawdziwym powodem? Podejrzewam, że wcześniejsza o kilka lat książka Jasiewicza „Rzeczywistość sowiecka 1939–1941 w świadectwach polskich Żydów”. Książka, którą zaatakować było nijak, bo jest naukowa, doskonale udokumentowana, osadzona na solidnej bazie źródłowej. I na dodatek nie sposób w niej znaleźć żadnego śladu antysemickiego uprzedzenia, żadnego przejawu antysemityzmu czy jakiejkolwiek niepoprawności.

Ale zarazem jest to książka, która z punktu widzenia głosicieli holokaustiańskiej narracji historycznej musi być postrzegana jako stokroć groźniejsza niż najbardziej nawet radykalne antyżydowskie pamflety.

Oto odzyskuje Jasiewicz dla zbiorowej pamięci czas i świat zupełnie z niej wyparty, nieistniejący – wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej podczas pierwszej okupacji sowieckiej, przed niespodziewanym atakiem Hitlera na swojego dotychczas najlepszego sojusznika w czerwcu 1941 roku. Przyśpieszona

sowietyzacja, niszczenie przez Stalina polskości, a zwłaszcza – wszystkich śladów państwa polskiego. Priorytetem jest dla NKWD eksterminacja polskich urzędników, policjantów, wojskowych oraz ich rodzin, następnie zaś eksterminacja i wywózka całego polskiego żywiołu Kresów, począwszy od warstw przywódczych i wykształconych.

Wszystko inne zostawia sobie stalinowska bezpieka na później. Wszyscy nie-Polacy żyją więc w warunkach względnego spokoju. Oczywiście, jakikolwiek opór stawiany okupantowi karany jest surowo i brutalnie, ale panuje przekonanie, że kto, mając szczęście nie być Polakiem, pozostaje bierny i posłuszny, może się uważać za bezpiecznego.

To dotyczy oczywiście wszystkich mniejszości zniszczonej przez Stalina i Hitlera II Rzeczypospolitej, także Białorusinów i Ukraińców – ale ponieważ analizowane są źródła żydowskie, właśnie Żydzi znajdują się w centrum tej opowieści. Opowieści o sytuacji modelowo odwrotnej niż to, co działo się w okupowanej przez Niemców Polsce centralnej – raczej już po roku 1941, ale współczesna pamięć nie odróżnia niuansów w niemieckim podejściu do Żydów przed konferencją w Wannsee i po niej. Tutaj to Polacy są wziętymi na pierwszy ogień Żydami, a Żydzi mają nadzieję wyjść z opresji bardziej obronną ręką.

I jak się w tej odwróconej sytuacji zachowują Żydzi?

Prawda, najstraszliwiej niepoprawna, wydaje się banalna i oczywista: zachowują się różnie. Są tacy, którzy gorliwie kolaborują z Sowietami. Czy to dlatego, że wierzą w komunizm, czy to z nienawiści do Polaków jako narodu, czy dla prywatnej zemsty albo z żądzy zysku, wysługują się, wskazując NKWD, gdzie ukrywa się żona polskiego oficera z jego dziećmi, szpiegując, donosząc i uczestnicząc w pracach kolaboracyjnych władz lub w ich propagandzie.

Są i tacy, którzy starają się Polakom pomóc, przestrzec, gdy wiedzą o zbliżającym się aresztowaniu, podrzucić trochę jedzenia, ukryć polskie dziecko. Czy to w imię zwykłej ludzkiej przyzwoitości, czy z wdzięczności za jakieś doznane wcześniej dobro.

Obie te grupy są stosunkowo wąskie. Najliczniejsi są ci pośrodku – ci, którzy się zwyczajnie boją wychylić. Chowają się po domach, starają się nie podpaść, nie rzucić w oczy, polskim wywożonym sąsiadom może i po cichu szczerze współczują, ale nie będą dla nich ryzykować.

Czyli, w największym skrócie – Żydzi zachowują się analogicznie jak w sytuacji odwrotnej, po drugiej stronie kordonu rozgraniczającego chwilowo ZSSR od III Rzeszy, zachowują się Polacy. Mniej więcej tak samo jak – uwzględniając dużo mniejsze kary, jakie tam groziły – zachowywali się pod okupacją Francuzi, Belgowie, Włosi czy Anglicy z Wysp Normandzkich. Jedni wykazują się szlachetnością, drudzy podłością, większość się boi. W języku narracji syjonistycznej „biernie współuczestniczą" w dokonywanych przez okupanta zbrodniach.

Spróbujmy spojrzeć na to oczyma ludzi, którzy klaskali na jerozolimskim Forum Holokaustu Mosze Kantorowi albo parę lat wcześniej na Kongresie Syjonistycznym Beniaminowi Netanjahu, gdy ten obwieszczał historyczne odkrycie, że Hitler sam z siebie wcale nie chciał Holokaustu i został do niego namówiony przez wielkiego muftiego Jerozolimy (!). Z tego właśnie punktu widzenia: czy istnieje coś bardziej „antysemickiego" niż stwierdzenie, że Żydzi są ludźmi jak inni ludzie i w chwilach próby reagowali mniej więcej tak samo? Że ofiarami zbrodni oszalałego Führera padali ludzie, nie anioły, jeden w drugiego pozbawione jakichkolwiek skaz, nie same niewiniątka, tylko po prostu ludzie, lepsi i gorsi, dranie i łajdacy pospołu ze świętymi, a tak generalnie – po prostu zwyczajni?

Z jednej strony, zdroworozsądkowej, jest to przecież „oczywista oczywistość". Tak, również między Żydami zdarzali się szmalcownicy, za pieniądze pomagający gestapo wyłapywać swych ukrywających się poza gettem rodaków, i tacy, którzy szli dużo dalej, niż gestapo potrafiło, sami organizowali perfidne, wymyślne prowokacje w rodzaju (kto ciekaw, proszę poszukać szczegółów) Hotelu Polskiego. Żydzi w gettach byli wyznaczani do wywózki przez swój, żydowski judenrat, zapędzali ich do wagonów żydowscy policjanci i nawet w tak nieskrywających antypolskiej intencji

publikacjach jak tom „Dalej jest noc" znaleźć można co krok relacje tego rodzaju jak ta, że polscy kolejarze namawiali wiezionych do Auschwitz Żydów, by uciekali, tłumaczyli, że jadą na śmierć, oferowali pomoc, a Żydzi odmawiali, bo ich właśni liderzy uprzedzili ich, że podli Polacy będą celowo prowokować do nieposłuszeństwa, żeby ściągnąć na Żydów gniew Niemców, i że nie wolno takich podszeptów słuchać.

Żydowska kolaboracja to też tabu, kwitowane jednym dogmatem: Polacy i inni kolaborowali, bo chcieli, a Żydzi pod groźą śmierci, więc nie można tego porównywać. Kolejny dogmat, do którego obalenia wystarcza elementarny zdrowy rozsądek. Przecież Niemcy nie mówili Żydom, jakie mają wobec nich plany. Gdyby tak się stało, gdyby Żydzi w pierwszej chwili nie uwierzyli, że za cenę zamknięcia w gettach będą bezpieczniejsi od Polaków, gdyby wiedzieli, że wszyscy mają zginąć, nie mieliby nic do stracenia, zbuntowaliby się albo przynajmniej masowo uciekali, sprawiając Niemcom mnóstwo kłopotów i angażując z ich strony ogromne siły, potrzebne do prowadzenia wojny.

Niemcy więc, przeciwnie, do ostatniej chwili starali się podtrzymywać fikcję przesiedleń i nadzieję Żydów, że są im potrzebni jako niewolnicy, więc przynajmniej ci posłuszni i silni – przetrwają. Żydowscy kolaboranci też niemal wszyscy zostali wymordowani, to prawda, ale do ostatniej chwili wierzyli, że ocalą życie, a wielu z nich – że przy okazji dorobią się wielkich majątków. Zresztą kolaboranci nieżydowscy też często kończyli w obozach, gdy przestawali być swym mocodawcom potrzebni.

Ludzie są ludźmi. Przynależność do tej czy innej rasy albo grupy etnicznej nie czyni nikogo z automatu lepszym od innych. Przecież to oczywiste.

Problem w tym, że żydowska hagada o Zagładzie domaga się, by tę oczywistą prawdę w jej kontekście odrzucić.

Wymuszenie „na Shoah"

Pytanie – jak to możliwe, że nawet narracja tak nietrzymająca się kupy jak ta stworzona przez Grossa została tak szeroko, tak bezkrytycznie przyjęta i do dziś używana jest jako symbol rzekomych polskich zbrodni? Śmieszne pytanie – a jak było możliwe, że nikt nie chciał wierzyć w oczywiste dowody, że wina Dreyfusa została od początku do końca spreparowana? A jak to było możliwe, że latami wyśmiewano ludzi, którzy mówili, że Lech Wałęsa był kapusiem „Bolkiem" i że nie przeskoczył żadnego płotu, tylko dowieziono go na strajk motorówką Marynarki Wojennej?

Zasada jest prosta: ludzie chętnie wierzą w to, co im pasuje. A jeśli to, co im pasuje, poparte jest przez autorytety, im liczniejsze i bardziej okrzyczane, tym lepiej, to wierzą już zupełnie bezkrytycznie, więcej – odrzucą z furią każdy przejaw zdrowego rozsądku.

Żeby wyjaśnić, dlaczego oskarżenie Polaków o masową kolaborację z Hitlerem i współsprawstwo Holokaustu, choć w oczywisty sposób fałszywe, jest tak popularne, dlaczego hochsztaplerom takim jak Gross czy Grabowski urządzana jest fantastyczna klaka, nawet kiedy – jak ten ostatni – dosłownie gołym okiem widać, że kłamią? Profesor Grabowski jest tu przykładem może nawet jeszcze lepszym niż Gross – tak jak ten pierwszy Jedwabne, tak ten drugi wrzucił do światowego obiegu narrację, jakoby „Polacy zamordowali w czasie wojny dwieście tysięcy Żydów", powołując się przy tym na nieżyjącego już, cenionego badacza Holokaustu Szymona Datnera. Szybko udowodniono mu, że Datner nigdy nigdzie takiej liczby nie podał. Na co Grabowski odpowiada, że „nigdy nie mówił o dwustu tysiącach" (wystarczy kliknąć w internet, by zobaczyć dowody, że robił to wielokrotnie), i rzuca jakieś inne, równie z sufitu wzięte liczby.

I mimo to kłamca nadal jest honorowany, a owe „dwieście tysięcy" rzekomo wymordowanych przez Polaków w czasie wojny Żydów powtarzane jest regularnie to tu, to tam, w różnych mediach, na konferencjach i w publikacjach naukowych – z podobną uporczywością jak zmyślona przez portal Hamasu nazajutrz po

zamachu na World Trade Center liczba czterech tysięcy Żydów, którzy rzekomo mieli feralnego dnia nie przyjść do pracy.

Dlaczego? Kto stoi za tym przemysłem znieważania i poniżania Polaków?

Publicyści i politycy, przeważnie wywodzący się z umownej prawicy, w odpowiedzi na to pytanie wskazują najczęściej „światowe” z nazwy, a w istocie amerykańskie organizacje zajmujące się „restytucją mienia żydowskiego” – pod którą to nazwą kryje się bezczelne wymuszanie haraczy, od kogo się tylko da, pod pozorem „odszkodowań za Holokaust”.

Dzięki książce Normana Finkelsteina „Przedsiębiorstwo holokaust”, opisującej ten gangsterski biznes ze szczegółami, rzecz jest ogólnie znana – zwłaszcza od czasu, kiedy silne w USA lobby żydowskie wymusiło na władzach tego kraju tak zwaną ustawę 447, zobowiązującą Departament Stanu do wspierania rekieterskiego geszeftu Światowego Kongresu Żydów (WJC) i organizacji afiliowanych.

Nie ma się co przekonywać, że mamy do czynienia ze szczególnego rodzaju gangsterami, których wymuszenia, acz na nieskończenie większą skalę, oparte są na tej samej zasadzie, co ściąganie haraczy przez mafie nękające sklepikarzy czy restauratorów. Zapłać, bo mniej stracisz, jeśli się okupisz, niż jeśli odmówisz – w takim wypadku wjedziemy ci do lokalu z bejsbolami, podpalimy, będziemy nękać i odstraszać klientów albo uszkodzimy ci żonę czy dziecko.

W przypadku „Holocaust industry” groźbą jest zniszczenie reputacji. „Dopóki Polska nie zaspokoi żydowskich roszczeń, będzie atakowana i upokarzana na arenie międzynarodowej” – zapowiedział jeden z szefów WJC, Israel Singer, i ta zapowiedź jest realizowana – w różnym nasileniu – od lat. Jak potrafi być w tym „przedsiębiorstwo Holokaust” skuteczne, można zobaczyć na przykładzie Szwajcarii. To, jakiej bezprzykładnej medialnej przemocy ją swego czasu poddano, ile rozmaitych działań przeprowadzono – włącznie z uchwałami różnych krajów o wstrzymaniu do czasu zapłaty Żydom haraczu importu

szwajcarskiej czekolady czy innych dóbr, wypraszaniu przedstawicieli Szwajcarii z koncertów, zawodów sportowych i innych wydarzeń – pokazuje, że możemy się uważać za traktowanych wciąż jeszcze i tak w miarę ulgowo.

Wsparcie dla działań WJC zależy od tego, na ile Polska jest ważna w polityce USA i innych krajów, na które gangsterzy z Nowego Jorku mają wpływ. Ostatnio dzięki interesom energetycznym USA (rozwinięcie technologii wydobycia gazu łupkowego, która uczyniła USA eksporterem tego surowca) skupionym w koncepcji Trójmorza przyzwolenie dla żydowskiego szantażu znacznie zmalało, ustawa 447 została de facto po cichu odłożona ad acta, a można sądzić, że epidemia koronawirusa odsunie ją jeszcze bardziej.

Z naszego punktu widzenia ważne jest to, że nie ma w żadnym prawie, ani krajowym, ani międzynarodowym, żadnego godziwego powodu, aby amerykańscy Żydzi mieli się czuć spadkobiercami placów, nieruchomości i innego mienia po właścicielach, którzy zginęli bezpotomnie w czasie wojny. Gdy ktoś umiera i nie pozostawia prawnego spadkobiercy, jego mienie przejmuje skarb państwa, którego był obywatelem. Kropka. Gdyby jakiś milioner polskiego pochodzenia umarł nad Potomakiem, nie pozostawiając spadkobiercy, i jakiś Światowy Kongres Polaków z siedzibą w Grójcu wystąpiłby do władz amerykańskich o przekazanie mu spadku, argumentując, że należy im się jako Polakom, bo zmarły był Polakiem – wyśmiano by to.

Istnieje tylko jeden sposób, by roszczeniom amerykańskich cwaniaków nadać pozór prawomocności – i kto jak kto, ale tarzający się w milionach amerykańscy adwokaci doskonale to wiedzą. Istnieje powszechna zgoda co do tego, że nie wolno pozwolić, aby przestępca czerpał z przestępstwa zyski. Morderca nie powinien dziedziczyć po swojej ofierze. To byłoby niemoralne.

Aby więc przejąć miliardy „mienia bezspadkowego", trzeba przekonać świat i samych Polaków (choć opinia Polaków mniej się liczy), że jesteśmy współwinni tego, co się stało z setkami tysięcy prawowitych właścicieli tych placów i fabryk przejętych przez władze PRL. Proste. Nie ma więc takich pieniędzy, jakich by nie

zainwestowali nowojorscy grandziarze w Grossa, Grabowskiego i innych, w filmy i inne fabularyzacje, we wszystko, co będzie przekonywać świat, że Polacy to najgorsi antysemici, gorsi od hitlerowców, i żeby całkowicie zamazać subtelną dla mieszkańców Zachodu różnicę między „zbrodniami dokonanymi przez nazistów w Polsce” a „zbrodniami polskich nazistów” – z których Polacy dotąd się nie rozliczyli i dotąd Żydom nie zadośćuczynili.

„Miliony Żydów zginęło w Polsce i my nie dopuścimy, żeby Polacy po nich dziedziczyli” – oznajmił jeden z kolejnych szefów World Jewish Congress. Jaśniej nie można i tylko idiota – albo klient gangsterskiego biznesu – może na to odpowiadać, że „trzeba prowadzić dialog” i „wyjaśniać wzajemne nieporozumienia”.

Chciwość czyni nowojorskich gangsterów wyjątkowo bezczelnymi – są głośni, ich oskarżenia szczególnie nas bolą, dlatego, jak już napisałem, właśnie w nich najchętniej wymierza Polak patriota oskarżycielski palec, gdy jest pytany o przyczynę antypolskiej kampanii, jaka nieustająco trwa w zagranicznych mediach.

W istocie, uważam, przy całym swym wykuglowanym bogactwie (a już i bez „mienia bezspadkowego” obłowili się w Polsce nielicho, kto ciekaw, proszę zapoznać się z publikacją „Kadisz za milion dolarów” w polskiej edycji magazynu „Forbes”, a zwłaszcza z tym, co działo się po jego publikacji) – nowojorscy grandziarze to pikuś. Usiłują orżnąć nas na miliardy, oczywiście, tak jak orżnęli Szwajcarów, firmę IBM i kogo tylko mogli nastraszyć, że mniej straci, kiedy ulegnie i kupi sobie u nich spokój, niż kiedy uruchomią przeciwko niemu całą machinę zniesławiania i obwiniania za Holokaust. Ale z trzech czynników, które stoją za antypolską kampanią, ich moc sprawcza jest stosunkowo najmniejsza.

Ludzie-kamienicznicy

Obie cytowane tu relacje, Normana Daviesa i Timothy’ego Gartona Asha, wskazują inne niż Ameryka źródło antypolskiego stereotypu –

historycy instruujący, jak należy pisać o Shoah, nie przyjeżdżali z USA, tylko z Izraela. Obie też dotyczą mniej więcej tego samego czasu – początku lat siedemdziesiątych. Wtedy dopiero, bynajmniej nie po wojnie, zaczęła się rodzić dzisiejsza parareligia „holokaustianizmu”.

Przyczyny jej powstania i sposób, w jaki ją stworzono oraz narzucono zachodniemu światu, opisał dokładnie, bogato dokumentując, Paweł Lisicki w książce „Krew na naszych rękach?”. Dlatego czuję się w prawie nie wchodzić w szczegóły – wskażę tylko to, co ważne dla odpowiedzi na zadane tu pytanie o przyczyny żydowskiego antypolonizmu, i cokolwiek do danych zebranych przez Lisickiego dopowiem.

Otóż do lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia wokół Holokaustu trwało głuche milczenie, jak, nie przymierzając, wokół ofiar Katynia czy powstania warszawskiego. Szymona Wiesenthala, który kołatał do wszystkich instancji zachodniego świata o upamiętnienie straszliwej zbrodni, traktowano na Zachodzie, także w Izraelu, jak u nas za rządów Tuska ludzi mówiących o zamachu w Smoleńsku. Celowo używam takich porównań: Żydzi i Polacy, jeśli chodzi o pamięć drugiej wojny światowej, jechali na tym samym wózku.

W samym Izraelu ocaleni z Holokaustu wstydzili się do tego przyznać: Izraelczycy, którzy wojnę przeżyli w Palestynie, a potem wypędzili z niej Arabów, tworząc państwo żydowskie, nazywali ich pogardliwie „mydłem” albo „polakami” – tak, to było obelgą. Uważano powszechnie, że idąc pokornie na rzeź, zhańbili naród, którego najwartościowszą częścią są pionierzy z kibuców i inni osadnicy. (Polecam zainteresowanym tematem wywiad z profesorem Tomem Segevem, można go znaleźć w internecie lub w książce Piotra Zychowicza „Żydzi”, opatrzony tytułem „Mówili na nich mydło...”).

W USA i na zachodzie Europy przyjmowano niemiecką wersję, że Żydzi ginęli tak samo jak inni, od ciężkiej pracy, głodu, chorób, w komorach gazowych palono tylko zwłoki zmarłych, i oczywiście,

to też było straszne, ale nie bardziej niż na przykład los jeńców sowieckich.

Potem nagle losy się odmieniły. My zostaliśmy na tym wózku z przegranymi, którym nikt nie współczuje, a Żydzi przystąpili do potężnej ofensywy, której skutkiem jest dzisiejszy status Shoah jako wyjątkowej, niepowtarzalnej arcyzbrodni, stanowiącej centrum całej historii, zbrodni, za której samo porównywanie z innymi czy wspominanie w jej kontekście o innych można w niektórych krajach zostać skazanym, bo jest to uznawane za jej pomniejszanie, a więc „negacjonizm".

Zbiegło się kilka rzeczy. Między innymi triumf ruchu praw obywatelskich w USA. Pod koniec lat sześćdziesiątych z pejzażu największego światowego mocarstwa zaczęły powoli znikać, najpierw zdejmowane pod urzędowym przymusem, a potem ze wstydu, tabliczki „Psom, kolorowym i Żydom wstęp wzbroniony". Jan Karski opowiadał, że jeszcze w latach siedemdziesiątych, gdy rezerwował miejsce w nowojorskim hotelu, zapytano go, czy aby nie jest Żydem, bo jeśli tak, to ten hotel zalicza się do „porządnych" i takowych nie przyjmuje. Ale to już były ostatnie ślady wcześniejszych obyczajów.

W powszechnej świadomości beneficjentem tego ruchu są przede wszystkim czarni, jak każe mówić polityczna poprawność: „Afroamerykanie" (co jest oczywiście tylko kryptonimem – znam prześmieszną, bez wątpienia autentyczną opowieść o urodzonym w Afryce białym Amerykaninie, który, trochę dla trollingu, zgłosił się po przywileje należne „Afroamerykaninowi" i cały stanowy urząd miał potworny slalom, jak go spławić, nie mówiąc głośno tego, co dla wszystkich oczywiste, że nie chodzi o żadne „afro", tylko o rasę). I może faktycznie to oni zyskali najwięcej. Ale dla amerykańskich Żydów też było to wydarzenie przełomowe.

Przez wiele lat uchodzili oni w USA za rasę niższą, zdatną, podobnie jak czarni, Latynosi, Irlandczycy, Włosi i imigranci ze słowiańskich krajów Europy Środkowej, tylko do podrzędnych prac i z natury niemoralną (to ciekawy wątek amerykańskiej historii – mało kto u nas rozumie, że cała draka z prohibicją była rozpaczliwą

próbą ucywilizowania, czy raczej umoralnienia przez porządnych protestanckich WASP-ów z pierwszej emigracji mas zwalających się do nich dzikusów z nieanglosaskiej Europy). Słusznie zapomniane badania naukowe z początków XX wieku, przeprowadzone na rekrutach, „dowiodły” nawet na ładnych parę dziesięcioleci, że Żydzi są z natury mniej inteligentni (po latach tłumaczono to nieuwzględnieniem przez naukowców faktu, że wielu badanych słabo mówiło po angielsku i po prostu nie rozumiało testów, jakim ich poddawano, stąd osiągali marne wyniki).

Zetknąłem się nawet w amerykańskiej historiografii z tezą, że administracja Roosevelta wpływała podczas wojny na amerykańskie media, aby milczały na temat doniesień o masowych prześladowaniach przez Hitlera Żydów w okupowanych krajach, obawiając się, że mogłoby to w amerykańskim społeczeństwie przysporzyć III Rzeszy sympatyków.

W tych Żydach, którzy zdołali w USA odnieść sukces i z trudem walczyli o uznanie – bo jeszcze do lat sześćdziesiątych na większości amerykańskich wyższych uczelni obowiązywał numerus clausus dla Żydów, a żydowscy prawnicy czy lekarze z zasady nie mogli pracować w instytucjach publicznych – wszystko to wywoływało mocny odruch mimikry, a zarazem długo się utrzymujący kompleks niechęci wobec Żydów z Europy, zwłaszcza z Polski i byłego imperium carów. Jerzy Giedroyc opisuje w „Autobiografii na cztery ręce” epizod ze swojej urzędniczej służby, kiedy to jako pracownik ministerstwa uczestniczył w załatwianiu kredytu dla drobnej wytwórczości w Polsce. A ponieważ zajmowali się nią u nas bardzo często Żydzi, udano się z tą sprawą właśnie do Żydów.

„W wyniku tych rozmów, skądinąd bardzo nieprzyjemnych, Joint [American Jewish Joint Distribution Committee] obiecał dać na ten cel 10 czy 15 milionów dolarów. Ale pod jednym warunkiem: rząd polski miał nie dopuścić do emigracji Żydów do Stanów Zjednoczonych. Na zaskoczenie Romana [Antoniego, ministra przemysłu i handlu] i Łychowskiego [Tadeusza] nasi rozmówcy odpowiedzieli, że »Żydzi kapotowi« pobudzają tylko antysemityzm

w Stanach Zjednoczonych, czemu oni chcą przeciwdziałać. Toteż mogą udzielić pomocy jedynie pod wspomnianym warunkiem”.

Powiedzmy to z właściwą Amerykanom brutalną szczerością: w czasach narastających prześladowań w Niemczech hitlerowskich w latach trzydziestych (kto ciekaw, polecam odnalezienie w necie historii transatlantyku m/s „St. Louis”) i potem, w dobie Holokaustu, amerykańscy Żydzi wobec swych europejskich pobratymców zachowali się, generalnie, jak świnie; niech świadectwem ich hańby pozostanie na zawsze samobójcza śmierć doprowadzonego tą obojętnością do rozpaczy Szmula Zygielbojma. Przypomnieli sobie o polskim „mydle” dopiero teraz, kiedy poczuli możliwość zgarnięcia po nim „bezspadkowych” miliardów.

Nie mogę się oprzeć, żeby nie zacytować tu nieżyjącego już Antoniego Marianowicza (właśc. Kazimierza Bermana), tym chętniej, że o mnie samym wypowiadał się on bardzo niepochlebnie – i niech to zamknie temat amerykańskich grandziarzy od „restytucji mienia ofiar Holokaustu”.

„Wcale niemała grupa Żydów na całym świecie, głównie w USA, doskonale dziś prosperuje na wygrywaniu poczucia winy narodów europejskich za to, że Holocaust był możliwy [...]. Nie cierpię tego. Nie cierpię ludzi-kamieniczników (rozumiem to jako typ mentalności, a nie stanu posiadania). Ci ludzie udają, że nie było wojny, przesuwanych granic, milionów repatriantów wyzuwanych ze swego mienia, wyrzucanych ze swych ojczyzn. Nie było apokalipsy. Nic. Obchodzi ich tylko własność. Chcą dzisiaj robić jakieś eksmisje z kamienicy, bo była ich? A niech Bóg broni! Myśmy w getcie marzyli o wujku Roosevelcie, jako naszym zbawcy. Że przyjdzie z całą swoją amerykańską potęgą i na rękach nas wyniesie z tego piekła. Nam się wtedy wydawało, że te wszystkie Morgentauy, Baruchy i Frankfurtery nas uratują, zrobią coś... A oni wszyscy się na nas wypięli. Nie kiwnęli palcem. Im było niewygodnie o nas słyszeć. Zygielbojm nikogo nie obchodził, raporty Karskiego nikomu nie były potrzebne. Za to pięćdziesiąt lat po wojnie okazało się, że ci sami ludzie, albo ich następcy, chętnie wezmą finansowe zadośćuczynienie za swoich – wtedy zdradziecko opuszczonych –

rodaków. To takie właśnie postawy wywołują po tej drugiej stronie reakcje równie obrzydliwe”.

Na emancypację Żydów w USA, otwierającą drogę do ich dzisiejszej prosperity, nałożyła się też fala uchodźców z Polski i innych krajów obozu – byłych komunistów, ubeków, ludzi w typie Zygmunta Baumana, Heleny Wolińskiej-Brus, Stefana Michnika czy stanowiącego główne, a właściwie jedyne źródło profesora z Princeton Szmula Wasersztajna. Fetowani w środowiskach żydowskich jako ofiary antysemickich czystek, stali się, jeśli chodzi o stosunek do Polski, liderami opinii. Profesor Marek Jan Chodakiewicz wspominał kiedyś, jak na otwartym spotkaniu zaatakowała go, przy aprobacie sali, jakaś stara Żydówka, krzycząc, że ona doskonale wie, jacy z Polaków antysemici, bo Polacy już po wojnie strzelali do jej męża (czy kogoś z dalszej rodziny, nie pomnę), chcieli go zabić, ciężko ranili, i to pomimo że był polskim wysokim oficerem – zastępcą komendanta Urzędu Bezpieczeństwa w Białymstoku!

Ale znacznie ważniejsze dla tak dla nas przykrego w skutkach przełomu było to, co działo się wtedy w Izraelu.

Prusacy Bliskiego Wschodu

Spróbujcie sobie Państwo wyobrazić, że macie w ręku snajperski karabin, jesteście w bezpiecznej odległości, za wysokim, solidnym płotem, i macie rozkaz strzelać do stłoczonej za tym płotem demonstracji nastolatków, rzucających w waszą stronę bezsilnie kamieniami. Albo do kobiet, pielęgniarek, próbujących zbierać i opatrywać rannych.

Co trzeba mieć w głowie, żeby w takiej sytuacji pociągnąć spust?

Przede wszystkim trzeba mieć w niej straszne poczucie krzywdy. Tak straszne, że można wszystko nim usprawiedliwić i na każdego je przenieść. Zobaczyć w tych dzieciakach czy pielęgniarkach oprawców, straszliwych zbrodniarzy, sprawców wiekowych

prześladowań – a przynajmniej ich potomków albo następców, nic nie lepszych. Trzeba się poczuć mścicielem pokoleń, ognistym mieczem w ręku Archanioła Gniewu, wymierzającym sprawiedliwość Złu, tylko dla niepoznaki udającemu akurat bezbronne dzieci i kobiety.

To nie jest oczywiście jakieś wydumane ćwiczenie z wyobraźni, mówię o konkretnej sytuacji, regularnie powtarzającej się w Strefie Gazy i w innych miejscach. Państwo Izrael niewiele ma wspólnego z mityczną krainą, w której rozpędzeni przed wiekami po świecie wyznawcy mojżeszowej religii mieli się ponownie spotkać i bezpiecznie odpocząć po stuleciach prześladowań. Jest skrawkiem ziemi wyrwanym podstępem i międzynarodową przemocą odwiecznym mieszkańcom, państwem znienawidzonym przez wszystkich sąsiadów, zamieszkałym w ponad połowie przez równie go nienawidzących obywateli drugiej kategorii. Istnieje tylko dzięki skłóceniu swych wrogów i postrachowi, który na nich rzuciło.

Żeby istniało dalej, ten postrach musi trwać. Izrael musi swoich nieżydowskich mieszkańców bezustannie terroryzować, jak Spartanie gnębili helotów, urządzając polowania i pogromy, w których aktywny udział, przypomnę, był obowiązkowym elementem edukacji każdego młodego spartiaty.

„Chodzi o danie światu arabskiemu jasnego przesłania: wciąż jesteśmy groźni. Przejedziemy się po waszych krajach jak walec. Tak jak w Strefie Gazy pójdziemy na całość. Jak starożytni Wandale rozwalimy wszystko, co napotkamy na swej drodze, obrócimy wasze kraje w gruzy” – tak te regularne pogromy w Gazie skomentował jeden z ostatnich ocalonych z Holokaustu, profesor Norman Finkelstein.

Ta „bezwzględna konieczność” (argument, którym szermowali niemieccy sztabowcy w 1914 roku, naciskając na kajzera, by wydał brzemienny w skutki rozkaz „ataku uprzedzającego” na Francję przez neutralną Belgię) powoduje, że kolejne pokolenia Żydów, szczególnie młodych mieszkańców Izraela, wychowywane są od małego w paranoicznym poczuciu osaczenia. Aby wyćwiczyć ich na bezwzględnych żołnierzy, nie wystarczy wskazywać jako wrogów

arabskich „dzikusów”. Trzeba formowanym na maszyny do zabijania (dobrze, „do obrony ojczyzny”, jeśli komuś to robi różnicę) dzieciakom wtłoczyć do głów, że są przedstawicielami rasy szczególnej, rasy, którą wszyscy zawsze prześladowali, wszyscy jej zawsze nienawidzili, i nadal wszyscy tylko dyszą chęcią, by ją do reszty wymordować. Wszystko, cokolwiek każą wam zrobić dowódcy, jest tylko obroną – „atakiem uprzedzającym”, aby nie powtórzyły się potworności Holokaustu. Jeśli twój wróg knuje przeciwko tobie, wstań i zabij go pierwszy, powtarzają syjoniści.

Nałożyła się na to i inna okoliczność. Podobnie jak chrześcijanie, Żydzi, podlegając tym samym pooświeceniowym trendom kulturowym, zaczęli wyrzekać się wiary ojców. Trzeba było znaleźć jakąś inną podstawę ich zbiorowej tożsamości, by nie rozpuścili się w morzu innych nacji. Cóż mogło się nadawać do tego lepiej niż doświadczenie Zagłady?

Gdy państwo izraelskie okrzepło i wykazało swą siłę, gromiąc z amerykańską pomocą Arabów w 1967 roku i odbierając im Jerozolimę, w Holokauście i jego „mydle”, przez prawie trzy dekady okrytym wstydliwym milczeniem, zobaczył żydowski nacjonalizm potencjał budowy nowej żydowskiej świadomości i stworzenia narracji, która uczyni mały, wiecznie zagrożony Izrael państwem mającym w polityce światowej szczególne prawa. To wtedy zaczęły się szkoleniowe wycieczki Yehudy Bauera i innych instruktorów pisania o Holokauście, o których mówili Davies i Ash, oraz budowanie popkulturowej wizji Shoah przez Hollywood. Słowem, wszystkie te działania, które przyniosły tak obfite żniwo, a jedną z ich głównych ofiar stał się nieoczekiwanie kraj, którego uchodźcze władze (bo przecież Karski czy Zygielbojm nie działali sami z siebie ani w próżni) w czasie, gdy zbrodnia się dokonywała, jako jedyne alarmowały, apelowały, błagały o dostrzeżenie, co się dzieje, i były z tym przez aliantów spuszczane na bambus. Historia uwielbia robić takie przewrotki.

Wstań i zabij wroga pierwszy. A wróg jest wszędzie. Cały świat winien jest wobec Żydów. Cała kultura europejska, cała historia starożytna i nowożytna, całe chrześcijaństwo było tylko

prześladowaniem Żydów, a Hitler – jedynie jej zwieńczeniem, wisienką na torcie. Ergo cały świat ma obowiązek ich przepraszać, przy czym te przeprosiny nigdy nie będą wystarczające i nigdy nie przyniosą pojednania. Oczywiście, nie da się walczyć z całym światem naraz – ale kogoś trzeba chłostać stale, mocno i demonstracyjnie, żeby inni widzieli i byli grzeczni.

Kto ciekaw, polecam dostępny w sieci film dokumentalny Jo'awa Szamira „Zniesławienie".

Dawno już te wszystkie nieustające konferencje i akcje anty-antysemickie uruchomiły samonakręcającą się spiralę, bo im usilniej walczą Żydzi z antysemityzmem, tym większe jego nasilenie obserwują w badaniach, więc tym usilniej naciskają na rządy, aby tym surowiej za antysemityzm karały... Wtłacza się w ten sposób stopniowo milionom ludzi do głów, że z Żydami nie można normalnie – można tylko albo ich prześladować, albo znosić to, że się jest przez nich na każdym kroku terroryzowanym i zmuszanym do przeprosin za dawne prześladowania.

Na razie dominuje przekonanie, że trzeba znosić.

Oprócz militarnej „konieczności" i pożytków z eksploatowania Holokaustu dla bieżącej polityki jest jednak jeszcze inna przyczyna żydowskiej agresywności. Historia pokazuje, że istnieje w zachowaniach ludzkich zbiorowości coś, co nazwałbym „zarażaniem się przemocą" – czy może „pogardą". Ofiary prześladowań uczą się od swych prześladowców i często okazują się uczniami pojętnymi.

Modelowym przykładem jest to, jak okupacja mongolska, której systemowe okrucieństwo dalece przerosło wszystko, co potrafiła sobie wyobrazić średniowieczna Europa – też przecież niewolna od straszliwych zdarzeń – przeorała Rusinów, tworząc z nich tę potworną nację brutalnych, prymitywnych prześladowców innych narodów i wrogów wolności, na zmaganiach z którą upłynęły dwa stulecia naszych dziejów. Bez nieludzko bezwzględnych chanów i wysługujących im się książąt moskiewskich, którzy najsprytniej się pod okupanta ustawili, nie byłyby możliwe okrucieństwa bolszewików i masowe zbrodnie Stalina – polecam wszystkim

świetny w swej zwięzłości, a z niewiadomych przyczyn zupełnie nieznany szkic profesora Benedykta Zientary „Dawna Rosja".

Z kolei Roman Dmowski na marginesie swych uwag o „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa" daje podobny wykład na temat Prus i Prusaków – chyba najbardziej tu stosownych jako porównanie. Krótko i rzeczowo przypomina, że Prusy to efekt bezwzględnego i okrutnego narzucenia niemieckiej tożsamości, wraz z chrześcijaństwem, lokalnym plemionom Słowian i Bałtów. Efektem dwustuletniej tresury, jaką zafundował im zakon krzyżacki, było wyhodowanie na tej bazie odmiany Niemców wyjątkowo zdyscyplinowanej, agresywnej i szczególnie nienawistnie podchodzącej do wszelkiej inności oraz słabości (co zresztą dla niej znaczyło to samo). Odmiany, która najpierw podbiła Niemców z Zachodu, a potem poprowadziła ich ku katastrofie dwóch światowych wojen.

Kiedy sobie o tym pomyślę, nawiasem mówiąc, to nasza polska głupkowatość, pozwalająca zawsze sobie wmówić, że każda nasza klęska, zagłada i eksterminacja były w istocie „moralnym zwycięstwem" nad prześladowcami, zaczyna mnie irytować odrobinę mniej – wprawdzie nie pozwala nam racjonalnie myśleć i uprawiać polityki, ale przynajmniej stanowi przeciwko wspomnianemu zarażeniu skuteczną szczepionkę.

Żydzi współcześni natomiast, twierdzę, zarażeniu ulegli, niepostrzeżenie naśladując sposób myślenia nazistów. Syjonizm – niewiele już dziś mający z pierwotną ideą Teodora Herzla, o której pisałem kiedyś, że ze wszystkich nacjonalizmów najbardziej przypominała nasz, polski – pod wpływem Holokaustu, a raczej mitu Holokaustu, który sam zbudował, nabrał szczególnego okrucieństwa. Shoah dowiódł, twierdzą dziś jego prominentni przedstawiciele, że Żydzi muszą być bezwzględni. Żadnej słabości, żadnych skrupułów – bo jak okazywali słabość i mieli skrupuły, to sami widzicie, jak się skończyło.

Jednocześnie nauką z Holokaustu ma być konieczność („bezwzględna konieczność") istnienia państwa Izrael, bo, twierdzą syjoniści, „gdybyśmy wtedy mieli swoje państwo, nie doszłoby do

tego” (to oczywiście bzdura mniej więcej w rodzaju naszych bajek „gdyby nie powstania, toby nas dziś już nie było” – zawsze mnie zdumiewało, jak łatwo w takich sprawach przechodzą ludzie do porządku dziennego nad faktem, że Pan raczył obdarzyć ich rozumem). A zatem jeśli taki na przykład Iran rośnie w dostatek i siłę, czyli staje się potencjalnie zdolny zniszczyć Izrael, to zgodnie z zasadą „wstań i zabij pierwszy” trzeba bez względu na koszty i skutki dla całego świata doprowadzić do wojny, najlepiej z udziałem USA, w której zostanie zniszczony, zanim wyrośnie. Wciąż nasuwają się te analogie do Prus, taka właśnie była argumentacja Helmutha Moltkego: musimy wywołać wojnę teraz, szybko, bo za pięć, dziesięć lat Rosja wzmocni się na tyle, że w razie konfliktu z Francją zniszczy nas, występując jako jej sojusznik.

Izrael to dziś Prusy Bliskiego Wschodu. Uzbrojone po zęby, agresywne państewko, które można obejść pieszo w jeden dzień, pogrążone w morzu wrogiego mu żywiołu islamskiego. Od Prus różne tylko w jednym, że z roku na rok grzęznące w coraz większym politycznym bałaganie – trzy razy z rzędu wybory niepozwalające sklecić nowego rządu i tolerowany z braku laku Beniamin Netanjahu, który, jak ongiś ostatni Osmanowie czy obecnie sprzymierzony z nim Putin, próbuje się z wewnętrznego chaosu wydobyć przez agresję na zewnątrz. Wizerunkowe Pearl Harbor po nowelizacji ustawy o IPN, przez żydowską propagandę nazwanej „Holocaust law” – ale o te akurat zapisy ustawy, które były w niej od lat i nigdy nikt nie uważał, że jakkolwiek komukolwiek zagrażają – jakie sprawił nam Netanjahu, nakazując swej ambasador ostry atak na Polskę podczas rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz, w chwili gdy skierowane były na nią kamery wszystkich światowych serwisów, nie przypadkiem miało miejsce akurat wtedy, gdy we własnym kraju postawiono mu zarzuty korupcyjne.

I podobnie jak Prusy dzięki swej agresywności i bezwzględności podporządkowały sobie w pewnym momencie wszystkich Niemców – tak i holokaustiańska ideologia wedle wzorowanego na prześladowcach wzorca „Żydzi, Żydzi über alles” opanowuje całą światową diasporę. Jeśli nawet inni Żydzi jej nie podzielają i nie są

w przypisywaniu wszystkim innym winy tak gorliwi, to w każdym razie nie protestują.

Nie chcę się nad tym nadmiernie rozwodzić, w końcu to problem przede wszystkim dla Żydów. Odrobina rozumu wystarcza, by przewidzieć, jak nieuchronnie musi się to dla nich skończyć, gdy z roku na rok Arabowie są coraz liczniejsi (nawet w samym Izraelu), coraz silniejsi i coraz bardziej Żydów za to wszystko nienawidzą, gdy nienawidzą ich jak zarazy kolorowi w USA i wszystkie ludy postkolonialne, uważając, że ta agresywna promocja Holokaustu jako jedynej zbrodni wszech czasów kradnie współczucie należne im jako ofiarom zbrodni znacznie większych, kolonializmu i niewolnictwa, gdy nienawidzi ich coraz bardziej Europa, i to tylko po części dlatego, że jest coraz bardziej kolorowa.

Polska jest może najlepszym tego przykładem. Od czasów PRL i wojny sześciodniowej, kiedy wszyscy cieszyli się tu, że „nasi Żydzi sprali ruskich Arabów”, byliśmy jednym z najbardziej przyjaznych Izraelowi krajów. Do dziś jeszcze pozostajemy jedynym państwem Unii Europejskiej, w którym większość ankietowanych obywateli przyznaje Izraelowi prawo do istnienia. Nawet teraz, po Grossie i wspólnej z Putinem kampanii historycznych kłamstw, nawet po bezczelnych akcjach amerykańskich fundacji w typie „Polish Holocaust” i po hucpiarskich obchodach rocznic Marca 1968, które to wewnętrzną czystkę w PZPR pokazały światu, wedle wzorca Jedwabnego, jako rzekomy wybuch spontanicznego polskiego antysemityzmu.

Ale gołym okiem widać, jak się to zmienia pod wpływem działań nowojorskich rekieterów od ustawy 447 i syjonistów, którzy w walce o głosy coraz liczniejszych w Izraelu Żydów z byłego Związku Sowieckiego licytują się, jak Beniamin Netanjahu z Israelem Kacem i Jairem Lapidem, kto z nich bardziej Polaków znieważy, kto ich dotkliwiej opluje i mocniej okaże pogardę oraz nienawiść.

Kiedy napisałem, że okazując przekonanie, że doznane przez przodków cierpienie uczyniło ich rasą nadludzi, oraz bezwzględnie realizując swoje roszczenia bez oglądania się na cokolwiek i kogokolwiek, Żydzi pracują sobie na kolejny holokaust, a co

najmniej na nową falę pogromów, krzyk i hejt podniosły się wniebogłosy – bodaj jeden Paweł Jędrzejewski z Forum Żydów Polskich, za co dziękuję, odważył się wziąć moje słowa w obronę, zwracając rozwścieczonym współbraciom uwagę, że przestrzeganie przed pogromami a wzywanie do nich to trochę co innego.

Mądrość rabina Moskwy, który w dobie pogromów bolszewickich mówił, że za zbrodnie Trockich płacą Bronsteinowie, została zupełnie zapomniana. Przeciwnie, zapanowała wśród Żydów krótkowzroczna chciwość i polityczna zajadłość, nielicząca się zupełnie z konsekwencjami.

Nie wiem doprawdy, skąd wziął się ten rasowy stereotyp przypisujący narodowi wybranemu jakąś szczególną mądrość, czy choćby tylko inteligencję – niczego takiego nie umiem w ich działaniach dostrzec.

Wiem natomiast, dlaczego ofiarą ich nacjonalistycznej narracji pada nie żaden z narodów, których „winy” wobec Żydów są daleko większe (biorę w cudzysłów, bo, oczywiście, przypisywanie win konkretnych ludzi narodom to czysty rasizm), tylko właśnie Polska.

Polak, wróg wygodny

Po pierwsze – a kto inny miałby zostać w tej roli obsadzony?

Kiedyś, przed wojną światową i rewolucją, czołowymi antysemitami świata byli Rosjanie, a szczególnie – Romanowowie. Nie powiem, żeby niezasłużenie, carska Rosja rzeczywiście traktowała Żydów jak obywateli drugiej kategorii, urządzała im pogromy, a na dodatek używała ich w podobny sposób, jak dziś prezydent Recep Erdoğan używa tak zwanych uchodźców – jako żywego tarana. Carskie ustawy na przełomie wieków XIX i XX przepędziły na ziemie polskie około dwustu tysięcy Żydów z głębi Rosji, nieznających i niechcących znać polskiego języka i polskiej kultury ani nieczujących z Polską żadnych związków – to też trzeba pamiętać, gdy bierze się ktoś do rozliczania Polaków

z antysemityzmu. Jak również to, że car bynajmniej takiego posługiwania się Żydami nie wymyślił, patent należał do Prusaków – już po pierwszym rozbiorze osiedlili oni w Warszawie tysiące Żydów, nadając im zresztą rozmaite przywileje. W bliższych nam czasach tym samym tropem poszedł Stalin, celowo i z premedytacją obsadzając w aparacie PRL najbardziej eksponowane miejsca komunistami żydowskimi.

W powieści Józefa Mackiewicza „Sprawa pułkownika Miasojedowa" jest scena rozmowy z Żydem, który uciekł z Rosji do Niemiec i chwali swą nową ojczyznę, że to jest prawdziwy raj dla Żydów. Oczywiście, to powieść, i to pisana już po drugiej wojnie światowej, w tym cała ironia cytowanej sceny, ale sama rozmowa, jak twierdził pisarz, była prawdziwa i miała miejsce tuż przed zamachem w Sarajewie. Zresztą opinie powieściowego bohatera, co łatwo udowodnić, były dla owych czasów typowe. Inaczej niż w Polsce, gdzie w wiek XX weszli w swej masie głównie jako biedota, żyjąca we własnym, wyznaczonym nieznajomością innego języka niż jidysz świecie, Żydzi w Niemczech asymilowali się, bogacili – traktowani znacznie bardziej życzliwie niż we Francji, dochodzili do znaczenia, czuli się niemieckimi patriotami, jak choćby twórca niemieckiej broni chemicznej i noblista Fritz Haber. Przyczyniło się to zresztą do ich zguby – dzięki tej generalnie wysokiej pozycji społecznej w dobie kryzysu mieli się lepiej niż przeciętni Niemcy i, jak celnie zauważył Dmowski, hitlerowska rewolucja wiele zyskała na tym, że na atrakcyjne stanowisko czy biznes każdego prawie Żyda czyhał jakiś nazista.

Jeśli istniał kiedykolwiek naród, który był przez znaczącą statystycznie część Żydów podziwiany za swą skuteczność, organizację i spryt i w który Żydzi gotowi byli masowo wchodzić, porzucając swoją tożsamość – to byli to właśnie Niemcy. Jest tu wiele świadectw, między innymi znakomite reportaże Antoniego Sobańskiego o rodzeniu się III Rzeszy „Cywil w Berlinie". Opisuje on autentyczną tragedię Niemców żydowskiego pochodzenia, którzy Żydami nie czuli się ani trochę, byli niemieckimi patriotami, nawet

nacjonalistami, i może nawet chętnie zostaliby nazistami, gdyby nazizm sam ich nie wykluczył.

W latach trzydziestych wielu ludzi nie chciało wierzyć w antysemityzm Hitlera. Podkreślali oni, że skoro sami Żydzi, tak skłonni alarmować świat o wszelkich prześladowaniach, na to, co dzieje się w Niemczech, nie reagują, mało tego, wielcy żydowscy bankierzy z Ameryki pożyczają wygadującemu żydożercze kawałki Hitlerowi pieniądze (bez których, nawiasem mówiąc, sukcesu by prawdopodobnie nie odniósł), to widocznie cała ta retoryka jest zwykłym picem na użytek niemieckiego motłochu. Ale tak naprawdę – Hitler trzyma z Żydami sztamę, tak samo jak trzymał ją wcześniej kajzer. Żydzi z USA zdawali się wierzyć w to chyba nawet dłużej niż ktokolwiek inny.

Ciekawe, że gdy Rosja nagle stała się „ojczyzną proletariatu" i z tej racji w stereotypie antysemickim już jej umieszczać na czele nie wypadało, a Niemiec w tej roli umieszczać jeszcze nie zaczęto – już wtedy środowiska żydowskie na Zachodzie upatrzyły sobie do tej roli Polskę. Fala oskarżeń była szczególnie silna w dobie konferencji wersalskiej w Wielkiej Brytanii, której rząd nie chciał powstania wolnej Polski, a skoro już z powodu stanowiska amerykańskiego musiał się na to zgodzić, starał się nas obciąć do granic mniej więcej byłego Księstwa Warszawskiego. W angielskiej prasie ukazywało się wtedy wiele informacji o rzekomych pogromach i prześladowaniach w Polsce – delikatnie mówiąc, mocno przesadzonych, a niejednokrotnie zupełnie wyssanych z palca. Ale dziś często będących bezkrytycznie powtarzanymi „źródłami" dla „historyków Holokaustu".

Podobnie, niestety, traktowane są publikacje z wczesnych lat czterdziestych, inspirowane wówczas masowo w celu zohydzenia Polski przez nader licznych tam agentów wpływu Związku Sowieckiego – na przykład o rzekomym sekowaniu Żydów w armii Władysława Andersa. Antypolska propaganda alianckich mediów, nasilona szczególnie po odkryciu mogił katyńskich, to w ogóle osobny, haniebny i godny pożałowania rozdział. W czasie gdy Zygielbojm podpalał się, by zwrócić uwagę Zachodu na zagładę

narodu żydowskiego, a Karskiego z jego informacjami spuszczał Roosevelt na bambus, zagadując o hodowlę koni w Polsce, obywatele sojuszniczych państw zaczytywali się produkowanymi w Sowietach fake newsami o tym, jak niegodni sojuszu Polacy prześladują Żydów (ukoronowaniem tej strategii było już po wojnie dobicie gwoździ w naszej jałtańskiej trumnie zorganizowaniem przez komunistyczne służby pokazowych pogromów w Radomiu, Krakowie i Kielcach).

Fake newsy z czasów Lloyda George'a i Stalina do dziś wykorzystywane są w czarnym pijarze – właściwie każdy fakt trzeba odskrobywać z fałszów i przekłamań: bożonarodzeniowe pogromy 1881 roku, pogrom we Lwowie, Przytyk... Kiedy do sprawy weźmie się historyk (jak w dwóch ostatnich przypadkach wzięli się Mirosław Szumiło i Piotr Gontarczyk), to nagle okazuje się, że wszystko było inaczej. Ale, oczywiście, te historyczne sprostowania to syzyfowa praca, tak jak mozolne wyliczanie przez polskich historyków kłamstw i nadużyć postgrossowskich publikacji w typie osławionego tomu „Dalej jest noc" (na co w tym konkretnym wypadku historycy IPN potrzebowali całej kontrksiążki). Nawet przy najrzetelniejszym wykonaniu tej pracy, nikt jej owoców nie chce czytać ani przyjmować do wiadomości.

Problem w tym, że do narracji holokaustianizmu – której upowszechnianie jest dla Żydów, jak już napisałem, „koniecznością" – Polacy w roli szwarccharakteru pasują idealnie. Gdzie mieszkało przez wieki najwięcej Żydów? W Polsce (to znaczy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale nawet my te byty mylimy). Gdzie ich najwięcej zginęło? W Polsce. Gdzie stały obozy zagłady?

Na Niemców się gniewać – trudno. Po pierwsze, to jednak cywilizowany naród, w coraz większym stopniu dominujący nad całą Europą, po drugie – płacą. Na Rosjan – nie można, to potęga, cały zachodni świat ich kocha i marzy o wzajemności. Z kolei na jakichś, z całym szacunkiem, Litwinów, Ukraińców, Rumunów? Nie, to państwa za małe.

A Polacy nadają się idealnie.

Okładanie Żydem chama

Ale jest jeszcze jeden czynnik, rozstrzygający. Polacy, w przeciwieństwie do wszystkich innych, oskarżają się sami. Ochoczo, na wyprzódki, nawet ponad to, czego się od nich oczekuje. Żeby w dzisiejszym świecie wymusić przeprosiny za jakieś dawne sprawy na kimkolwiek, trzeba gromadzić dowody, naciskać, lobbować... A Kwaśniewskiemu wystarczyło zasugerować i proszę, pojechał do Jedwabnego i powiedział całemu światu: tak, to my, Polacy, nie ma co dalej sprawy wyjaśniać.

Skoro za tak symboliczną dla całego tego splotu zaszłości, pogardy, kompleksów i wyższościowych urojeń uznałem tu sprawę Jedwabnego, by rzecz wyjaśnić do końca, wróćmy do niej raz jeszcze – tym razem do inspirowanej nią twórczości nieudającej historiografii.

Na podstawie narracji Grossa i dzieł od niej zależnych Tadeusz Słobodzianek napisał dramat „Nasza klasa" – natychmiast oczywiście wystawiony z powodzeniem na licznych światowych scenach, począwszy od amerykańskich, wielce chwalony i wyróżniony nagrodą Nike. Wszystko jest w nim, jak być powinno, to znaczy Żydzi są oświeceni i bez skazy, Polacy ciemni i podli, a ten jeden, co nie jest taki podły, to z kolei skrajnie głupi, i tak dalej. Nie cytuję, co o tej sztuce pisano w mediach porządnych, bo wiadomo, że to się nie liczy, sięgnę po opinie recenzenta „Krytyki Politycznej", pisującego na co dzień w „Gazecie Wyborczej", Witolda Mrozka: „Polacy [...] wyssali tu wszyscy antysemityzm z mlekiem matki; tyle że czasem przejawia się on w głupich odzywkach, a czasem w rozbiciu komuś kamieniem głowy. Ale jacy to »wszyscy«? Na pewno nie tacy, z którymi »kulturalni« teatralni widzowie mogliby się utożsamić. Nasza klasa to nie ich klasa. Ot, chamy z Polski »C«, ciemny motłoch, tłuszcza. Widz zna języki, ma dobre maniery – bliżej mu do dzieci kupców, które chcą zostać nauczycielami czy gwiazdami filmowymi, niż do dzieci furmanów, pragnących również zostać furmanami".

Nawet lewak widzi, na czym polega ten spektakl: autor i reżyser sadzają na widowni „elitę", czytelników „Polityki", „Wyborczej" albo „Krytyki Politycznej" właśnie, a na scenę, jak na wybieg w zoo czy do jakiegoś panopticum, wypuszczają im słuchaczy Radia Maryja i czytelników prawicowych tygodników, „chamów z Polski C", takich właśnie, jakimi ich sobie „oświeceni" wyobrażają. Po czym urządzają swojej widowni katharsis: jak dobrze, że to nie my! Jak dobrze, że my z tą hołotą nie mamy nic wspólnego.

I ta zasada rządzi nie tylko sztuką Słobodzianka, ale całym dyskursem rzekomego rozliczania się z „trudnym dziedzictwem polskich win", z „polskim antysemityzmem" i temu podobnymi. Właśnie rozkosze przeżywania swojej wyższości nad chamem, jakie daje elicie pastwienie się nad „ciemną, antysemicką polską tłuszczą", sprawiają, że ktokolwiek chce Polskę zgodnie z zaleceniem pazernych Singerów „atakować i poniżać przed światem", bez trudu znajdzie do tej roboty wykonawców tu, w Polsce. Trudniej Niemcom znaleźć fizycznych niewykwalifikowanych do zbioru szparagów niż Żydom etnicznych Polaków, i to utytułowanych, „autorytetów", gotowych na każde zawołanie napluć na swoich krajanów i całą polską historię. Nawet nie trzeba im za to płacić, robią to z prawdziwą przyjemnością.

I to jest, proszę Państwa, problem w moim przekonaniu najpoważniejszy. Nie są nim chciwi grandziarze z „Holocaust industry", nie są nimi syjoniści. Są nimi nasi, tutejsi, postkolonialni „jaśnie oświeceni".

Wszystko przez to właśnie, że nie ma czegoś takiego jak stosunki polsko-żydowskie, są wskutek wielokrotnie przeze mnie opisywanego podziału postkolonialnego stosunki wzajemne między Żydami a Polakami tubylcami i Polakami Kreolami. Ci pierwsi dziedziczą wiekowe poniżenie, wstyd i często poczucie niższości „chama" – ci drudzy zaś chcą w sobie widzieć potomków szlachty. Szlachty, która z Żydami żyła za pan brat, każdy szlachcic miał swojego Żyda, każdy Żyd swojego szlachcica, szlachty, dla której Żyd znaczyło – Berek Joselewicz, Mickiewiczowski Jankiel, ogólnie: samo dobro, i która z czasem, już jako inteligencja, multum

zasymilowanych Żydów przyjęła w siebie. A że ci eks-Żydzi statystycznie nieporównanie częściej od inteligentów o korzeniach katolickich i patriotycznych grawitowali ku lewicy i komunizmowi, to i relatywnie niezwykle się w PRL wzmocnili, zyskując silną, opiniotwórczą pozycję i nasycając postinteligencki mental swymi traumami potomków „żydokomuny”.

To, że tubylcy widzą w Żydzie nie Jankiela, ale lichwiarza, pijawkę, wyzyskiwacza i wroga, jest z punktu widzenia postinteligenckich elit jedną z tych właśnie cech, które dowodzą ich wyższości nad „chamstwem”. I dlatego od pierwszych chwil istnienia III RP, gdy tylko zlikwidowano cenzurę i debata publiczna została odmrożona, chłostanie warstw niższych za antysemityzm, połączone nierozerwalnie z donoszeniem światu na rodaków ze społecznych nizin, stygmatyzowanie antysemityzmem każdego przeciwnika, każdego politycznego czy społecznego wroga, by obrzydzić go w oczach rozdającego granty, zaszczyty i zaproszenia Zachodu, stało się główną bronią michnikowych salonów. Nie wierzą Państwo, proszę poczytać pod tym kątem stare numery „Gazety Wyborczej”. O jakimkolwiek „niebłagonadiożnym” wydarzeniu by pisała, począwszy od jazdy po Wałęsie, gdy ten zerwał się z Geremkowego sznurka, zawsze – nie często, nie przeważnie, ale zawsze – jest w jej publikacji zawarta insynuacja antysemityzmu, zawsze czujny reporter usłyszy gdzieś antysemicką aluzję albo dostrzeże nagryzmoloną w kąciku gwiazdę Dawida, albo dopisze do słów z pozoru zupełnie o czym innym odpowiednią interpretację – dajmy na to, znajdując antysemityzm w słowach, które napisałem kiedyś, za czasów Tuska, że Polską rządzą sitwy. Zdumieni? No przecież jeśli ktoś widzi jakieś sitwy, to kogo może za nie uważać? Na pewno Żydów. A więc, panie tego, antysemityzm jak w pysk.

Muszę więc powtórzyć: o zaszłościach w trójkącie „polski szlachcic/inteligent – polski cham – polski Żyd” nie da się normalnie rozmawiać. Nie tylko dlatego, że odmawia tej rozmowy Żyd, także dlatego, że nie życzy jej sobie postinteligencki salon, w dużym stopniu wciąż jeszcze pełniący w sensie technicznym rolę polskiej

elity. Obie te strony trójkąta zainteresowane są tylko jednym – wykorzystaniem tematu żydowskiego do przetrącenia „chama”, nauczenia go moresu i pokory.

Wskutek tego wrogowie Polski, kimkolwiek by byli i czymkolwiek by się kierowali, mają od trzydziestu lat zadanie dziecinnie proste. Wystarczy zaprosić z Polski jednego, drugiego redaktora, pisarza czy innego intelektualistę z jedynie słusznych kręgów i dać mu mówić. On już sam wie lepiej, jak zohydzać Polskę, jak potwierdzać najgorsze o niej stereotypy i uprzedzenia. Ma przygotowane przez media i autorytety salonu strategie i schematy, a co ważniejsze, autentyczną chęć, większą niż ktokolwiek inny, bo opowiadając światu o antysemityzmie polskiego katolickiego, endeckiego ciemnogrodu, czuje się ponad ten ciemnogród wywyższony, awansowany do statusu oświeconego „Europejczyka”.

By dodać temu zachowaniu perfidii, ubierają je salony w obłudny, świętoszkowaty pozór „oczyszczającego wyznania win”. Pozór, bo przecież jest to wyznawanie win nie swoich, ale cudzych, i bicie się w pierś cudzą owego polskiego „chama”, Polaka katolika, o pomoc w cywilizowaniu którego, także tę najoczywistszą, finansową, nieustająco antyszambrowały i nadal antyszambrują na Zachodzie elity III RP.

To długa, osobna historia, i zaraz się nią zajmiemy.

Tak, powtarzam: z „polskiego antysemityzmu” możemy być dumni

Ale żeby już zamknąć ten przydługi rozdział (co robić – w procederze odzierania Polaków z godności, będącym jednym z głównych powodów napisania tej książki, wątki Żydów, „polskiego antysemityzmu” i „współudziału w Holokauście” są tak mocno akcentowane, że trudno było rozprawić się z nimi na mniejszej liczbie stron), by móc pójść dalej – wyjaśnijmy, dla niektórych być może szokujący, tytuł tego rozdziału.

Przepraszam tych, którzy już poniższe słowa czytali – bo napisałem kiedyś felieton pod takim właśnie tytułem. Zacytowałem w nim – i tu zrobię to raz jeszcze – fragment rozprawy Romana Dmowskiego „Żydzi w dwudziestym wieku”. Sądzę, że to najlepszy początek – a Bogiem a prawdą, wobec siły wyrazu tego tekstu praktycznie koniec – rozmowy o „polskim antysemityzmie”, zwłaszcza w kontekście nienawiści i czarnej legendy tego wielkiego Polaka, do którego obsesyjna niechęć łączy postkomunistów, postrewizjonistyczną „lewicę laicką” i zadurzonych piłsudczyzmem pisowców. Ów przedziwny sojusz nienawiści do endeka przypisał jednemu z ojców naszej niepodległości li tylko na podstawie propagandowego przekłamywania pojęcia „nacjonalizm” rolę totemicznego antysemity, uosabiającego całą odwieczną wrogość Polaka katolika wobec Żydów i bezmiar rasowych uprzedzeń.

Przyjmijmy na moment ten czarny, propagandowy obraz Dmowskiego. W porządku, a więc mamy tu najgorszego antysemitę, jakiego wydała polska historia. I bierzemy do ręki jego tekst, tytuł jak wyżej, z roku 1933 – i jedno, i drugie każe więc uznać, że będzie to jego „summa przeciwko Żydom”.

I co czytamy – od razu, na wstępie, w pierwszym rozdziale?

„Kwestia żydowska nigdy nie była poważnie dyskutowana między Żydami a nie-Żydami. Wobec prób jej poruszenia Żydzi albo milczą, albo podejmują taki wrzask, że przy nim żaden głos spokojniejszy, głos rozumu nie może dojść do ucha słuchaczy. [...] Wobec tego wszakże, co się dziś dzieje [rok 1933, przypominam!], wobec ujawniającego się gwałtownie znaczenia tej kwestii [...] nie powinniśmy pozwolić, ażeby otaczające ją mroki nadal trwały. [...] Potrzebna jest szeroka dyskusja, która by te mroki rozproszyła. Obowiązuje ona zarówno tych, którzy walczą z Żydami, jak Żydów i tych nie-Żydów, którzy z Żydami stoją w jednym szeregu. Ci, którzy uchylają się od niej, czy to przez milczenie, czy też przez jej zakrzykiwanie, wobec obrotu, jaki sprawa żydowska w świecie bierze, mają wszelkie widoki zapłacenia dużych kosztów za tę taktykę”.

Chyba nie trzeba obszernych przypisów i objaśnień? Oto, do czego wzywa w roku 1933 „największy polski antysemita”, „prawodawca polskiego antysemityzmu” i tak dalej. Bynajmniej nie do wypędzania Żydów, wywłaszczania ich czy innych form eliminacji.

Nie – wzywa do jakiegoś „okrągłego stołu”. Chce Żydów zmusić do „rozumnej” dyskusji i do wspólnego z „nie-Żydami” znalezienia kompromisu, bez którego, przewidywał – historia pokazała, jak trafnie – może się zrobić bardzo, bardzo nieciekawie. Potrzeba szerokiej dyskusji, niezwłocznie, bo jeśli wreszcie – proszę zauważyć to wyraźnie zawarte między wierszami „wreszcie” – zamiast robić bezrozumny wrzask, nie zaczną Żydzi i ci, którzy stoją z nimi w jednym szeregu, rozmawiać z nie-Żydami jak ludzie, konkretnie, skutki będą najgorsze dla samych Żydów właśnie.

O czym ta „szeroka dyskusja”? O sprzecznościach interesów, które trzeba rozwiązać. Jakich konkretnie, wylicza Dmowski bardzo precyzyjnie w swoich dziełach, także i w tej pointującej ten wątek jego rozważań rozprawie.

Nie ma u Dmowskiego ani cienia antysemickiej emocji, cienia rasizmu. Z teorii rasowych, tak żywych za jego czasów w zachodniej Europie, ojciec polskiego nacjonalizmu, z wykształcenia biolog, szydził, że gotów dać jednemu czy drugiemu rasiście do ręki mikroskop i założy się o wszystko, że nie odróżni na preparacie krwi murzyńskiej czy żydowskiej od aryjskiej. Potępiał też jednoznacznie antysemityzm, bynajmniej nie dlatego, żeby bycie antysemitą stanowiło w ówczesnej Europie jakiś wstyd, bo było przeciwnie – za sprawą kulturowego centrum Europy, Francji, a jej wzorem i innych państw Zachodu stanowił on wtedy postawę nowoczesną i modną. Ale Dmowski widział w antysemityzmie namiętność, postawę irracjonalną, a takie odrzucał stanowczo. „Stosunek ruchu narodowego do Żydów jest tylko logiczną konsekwencją przyjętych założeń, te zaś nie byłyby ani na jotę inne, gdyby nawet Żydów w ogóle na świecie nie było” – pisał.

Założenia ruchu narodowego, od jego zapomnianych inspiratorów z Zygmuntem Miłkowskim i Aleksandrem Hirschbergiem przez Jana Popławskiego, Zygmunta Balickiego po

Romana Dmowskiego i jego uczniów, były proste: Polacy odzyskać państwowość mogą tylko naciskiem mas, wymuszających na zaborczych monarchiach najpierw demokratyzację (drugi człon nazwy „narodowa demokracja”, to „de” w skrócie „endecja” naprawdę nie wzięło się znikąd), a potem poprzez demokrację – suwerenność. Aby wymusić demokratyzację, muszą Polacy najpierw stać się społeczeństwem nowoczesnym, podobnym jak w demokratyzujących się państwach Zachodu. Z archaicznego, feudalnego, podzielonego na dwór i wieś przerodzić się w oparte na szerokiej klasie średniej, tworzonej głównie przez mieszczaństwo.

Tylko że nasz, polski punkt wyjścia do tej transformacji, konstatowała endecja, jest zupełnie inny niż tam. Bo w Polsce sarmackiej, a zaborcy nie mieli interesu zbyt wiele tu zmieniać, miast, a więc i mieszczaństwa praktycznie nie było. Unikalny model społeczny Rzeczypospolitej Obojga Narodów opierał się na sieci dworków, której miasta potrzebne były tylko jako miejsca jarmarków. A funkcjonowanie tego modelu było możliwe dlatego, że wszystkie role, które na Zachodzie pełnił mieszczanin, u nas przyjął jako szlachecki totumfacki – Żyd.

Rzecz oczywista, że Żydzi chcieli tę swoją rolę zachować. Awans społeczny Polaków był dla nich zagrożeniem. Oni zaś byli zagrożeniem, blokadą awansu społecznego Polaków. W sposób szczególnie wzbudzający emocje zaznaczyło się to w Polsce niepodległej, gdy dzieci polskich plebejuszy masowo ruszyły do miast po wykształcenie, po elitarne zawody – i stwierdziły, mniejsza tu o rozstrzyganie, trafnie czy nietrafnie, że zarówno miejsca na studiach, jak i praktyki zawodowe prawnicze czy lekarskie, jak wreszcie dostęp do tych zawodów blokowane im są przez Żydów, forujących swoich. Stąd w nieskończoność wałkowany w antypolskim dyskursie salonów i środowisk żydowskich postulat ruchów narodowo-radykalnych, by limitować dostęp Żydów do studiów zasadą „numerus clausus” albo nawet „numerus nullus”.

Nie chce mi się już przypominać, że ta sama zasada utrzymywana na uniwersytetach amerykańskich aż do rewolucji Martina Luthera Kinga jakoś na USA gromów nie ściąga. Ale przecież sztandarowy

postulat Obozu Narodowo-Radykalnego (wbrew legendzie, organizacji głównie studenckiej – zresztą stosunkowo małej i szybko rozbitej policyjnymi represjami, której czarną, czy raczej brunatną legendę wykreowali po wojnie umoczeni w „hańbie domowej" intelektualiści, często żydowskiego pochodzenia, by relatywizować własne ześwinienie i kolaborację) w swojej logice niczym nie różnił się od uważanej za szczyt politycznej poprawności „akcji afirmatywnej". Młodzi narodowcy powiadali: studia opłaca państwo z podatków wszystkich obywateli, wśród obywateli Żydzi stanowią tylko 10 procent, czemu więc wśród studentów jest ich odsetek trzy-, czterokrotnie wyższy, ze szkodą dla dzieci polskich chłopów i robotników? A dziś feministki wymuszają, i nikt nie dostrzega w tym zła (co najwyżej nonsens), „parytety" – bo kobiety stanowią połowę społeczeństwa, więc i na stanowiskach, i w polityce, i na uczelniach też powinna ich być połowa? Czymże się to, na litość boską, różni? Tylko nazwą. „Parytet" dla kobiet albo kolorowych to właśnie nic innego jak „numerus clausus" dla mężczyzn albo białych.

„Polski antysemityzm" nie miał nic wspólnego ani z tym francuskim, którego ofiarą padł Dreyfus, ani amerykańskim, przed którym korzył się Joint, ani zwłaszcza z rasowymi bredniami Rosenberga i Hitlera. Był po prostu produktem napięć socjalnych. W niektórych okresach wzmocnionych faktem, że z racji takiego, a nie innego społecznego układu Żydzi w swojej większości nastawieni byli zachowawczo i w organizującym całe polskie życie sporze brali chętniej stronę zaborców. Dziś, po Holokauście, brzmi to niezmiennie dziwnie, że Dmowski konsekwentnie wskazuje na Żydów jako na eksponentów interesów niemieckich w Polsce.

Napisałem kiedyś, i proszę mi wierzyć, albo jeszcze lepiej nie wierzyć i samemu sprawdzić, że jest to prawda – iż gdyby dziś w tekstach Dmowskiego, na przykład tych z cytowanych wyżej „Żydów w dwudziestym wieku", usunąć odrzucające dla dzisiejszego czytelnika słowo „międzynarodowe żydostwo" i zastąpić je określeniem „rynki finansowe", plus trochę uwspółcześnić styl – to można je posłać do dowolnego prestiżowego pisma, lewicowego czy

prawicowego, i prawdopodobnie zostałyby tam z wielką chęcią opublikowane.

Oczywiście, ludzie, dla których dorabianie Polakom odrażającej gęby jest czy to powinnością ideologiczną, czy intratnym procederem, czy wreszcie pasją, by uporać się z obcym cywilizacyjnie chamem ze słomą w butach we własnym drzewie genealogicznym, z lubością wyciągają, że tu napisał Dmowski czy inny endek, że jakaś dziedzina publicznego życia jest „zażydzona", a tam znowu – że trzeba ją „odżydzić"... To głupie, małostkowe. Takim językiem wtedy pisano, „żydostwem" nazywali się i sami Żydzi, nikogo to nie obrażało. Kto chce, niech sobie przeczyta poświęcony Żydom rozdział wydanej przed wojną przez Giedroycia broszury „Polska idea imperialna". Dzieło późniejszego idola „lewicy laickiej" nie wyda się Państwu mniej antysemickie niż wypowiedzi najbardziej antyżydowskich narodowców; on sam w „Autobiografii", bynajmniej się tej broszury i jej antyżydowskich postulatów nie wypierając, powie tylko po latach, że dziś jej język wydaje się rasistowski, jednak w swoich czasach rasizmem wcale nie był.

I do tego, powtórzę – wielkie oburzenie na Polaków, którzy skazani byli na przedzieranie się przez żydowską opresję, agregują ludzie, którzy z racji deklarowanych poglądów nic nie mają przeciwko nienawiści „klasowej". Ta była zdrowa, rewolucyjna, wspaniała. Nikt nie nazywa płomiennych wezwań Tuwima, Broniewskiego i ich mniej utalentowanych kolegów przeciwko „burżujom", „tyranom" „krwiopijcom" i innym „brzuchatym panom" nienawiścią. Wychodzi z tego czysty absurd: można bankiera nienawidzić, nawet i dziś, ale tylko do momentu, gdy się sobie przypomni, że ten bankier jest Żydem.

Ale w drugą stronę – to już jest zupełnie inaczej. To, że tylu Żydów się ubabrało polską krwią w ubeckich katowniach, tylu oddało w służbę Stalinowi, kolaborując z sowieckim okupantem, to w narracji historycznej jaśnie oświeconych zupełnie inna sprawa, tutaj znajdą oni tysiące okoliczności, które te „trudne wybory" usprawiedliwiają „trudnymi czasami", „historycznymi koniecznościami", a gdzieś tam u samego dna odwiecznym

argumentem, że musieli, bo gdyby nie, to „polski nacjonalizm i „endecki ciemnogród”.

Nawiasem mówiąc, były premier Jan Olszewski – człowiek doprawdy jak najdalszy od wszelkich rasowych uprzedzeń – cytował we wspomnieniowym wywiadzie rzece niejakiego Walerego Namiotkiewicza, który pracował kiedyś w głośnym tygodniku „Po Prostu”, a potem został sekretarzem Władysława Gomułki. Ów Namiotkiewicz opowiadał zaś, że gdy Gomułka przywrócony został w 1956 roku na stanowisko pierwszego sekretarza KC PZPR, ale w samym KC panowało przekonanie, że to tylko chwilowe zaburzenie i Chruszczow zaraz go skasuje, w związku z czym wysocy rangą aparatczycy bezczelnie zarządzenia nowego genseka ignorowali i sabotowali, to żeby nie rozumiał ich rozmów, demonstracyjnie prowadzili je w języku jidysz. Bez znajomości takich drobiazgów trudno zrozumieć postępowanie Gomułki w marcu 1968 roku i Michnika w 1990.

To więc, że w takiej, a nie innej historycznej sytuacji, wskutek konkretnych społecznych napięć i historycznych procesów Polacy starli się z Żydami – to była oczywistość, jak oczywistością był opór wobec zaborców i wobec innego rodzaju wyzyskiwaczy. To natomiast, że polska niechęć do Żydów przybrała takie, a nie inne formy, o wiele łagodniejsze niż w innych krajach, na czele z bezprecedensowym „antysemityzmem negocjacyjnym” zaprezentowanym przez Dmowskiego – to właśnie rzecz, która sprawia, że nawet z antysemityzmu powinniśmy być dumni – jako dziedzice społeczeństwa, w którym eksplozji antysemickich pasji porównywalnej z tą podczas sprawy Dreyfusa po prostu być nie mogło, podobnie jak nie mogły mieć tu miejsca zamieszki w obronie klubu Stonewall.

Nieznośna normalność

Być może najważniejszym z powodów, dla którego zarówno miejscowe, wywijające kłamstwami Grossa salony, jak i dyrygenci antypolskiej pogardy po stronie żydowskiej nie mogą za nic zgodzić się na powiedzenie na głos tej prawdy, jest fakt, który ona logicznie implikuje: że dziś antysemityzm w Polsce nie jest na szerszą skalę możliwy.

A nie jest, proszę zobaczyć. Mimo wszelkich prowokacji, by go wzbudzić, i ogromnych wywalonych na to pieniędzy, i judzących wystaw w Polin, i szczujących Netanjahów czy Lapidów, emocje antyżydowskie nie odgrywają w polskim życiu publicznym żadnej roli. Partie próbujące na nich pojechać notują popularność na poziomie ułamka procentu, pisemka, które się chciały na jakichś poubeckich „listach Żydów" wylansować, psa z kulawą nogą nie obeszły. Zresztą te listy nie spełniły pokładanych w nich nadziei już wtedy, gdy je ubecja układała, przekonana, że rozpętanie antysemickich emocji może uratować „ustrój sprawiedliwości społecznej". Nie spełniły się te rachuby już Moczarowi i Gomułce w 1968 roku. Oni naprawdę wierzyli, że zwalając propagandowo winę za bunt młodego pokolenia, a przy okazji za zbrodnie stalinizmu i wszystkie „wypaczenia" ustroju idealnego na Żydów, oczyszczą się w oczach społeczeństwa, zyskają nową legitymizację. Nic takiego nie nastąpiło, ku wielkiemu zawodowi nie tylko wymienionych towarzyszy, ale i dzisiejszych tropicieli „polskiego antysemityzmu" spod znaków Polinu czy Otwartej Rzeczpospolitej.

No bo – elementarna logika: jeśli „polski antysemityzm" był (a był!) produktem określonych historycznych, ekonomicznych i socjalnych zaszłości, to z chwilą, gdy owe zaszłości ustały, miejsca na antysemityzm nie ma. Antysemityzm polityczny, jak każda polityczna oferta, był atrakcyjny, kiedy dawał obietnicę rozwiązania jakiegoś problemu. Trzy miliony Polaków nie miało pracy i zarobków, przychodził ktoś pokroju Bolesława Piaseckiego i mówił: w Polsce mamy trzy miliony żydowskich pasożytów, wypędźmy ich, a dla tych trzech milionów Polaków znajdzie się zarobek i godne życie. Albo mówił ktoś ludziom wpychanym w nędzę przez żydowskich lichwiarzy i handlarzy – wykończmy ich, niech swój

przychodzi do swego po swoje, a kto pasie Żydów, temu w ryja. Albo ludziom bojącym się bolszewizmu oznajmiano – bolszewicy to przeważnie Żydzi, jak się pogoni Żydów z kraju, to i bolszewia nie będzie się tu miała czego uczepić.

To się podobało – cokolwiek o sensowności konkretnych antysemickich haseł sądzić.

A jaką sprawę, praktyczną, ważną, może współczesnemu Polakowi rozwiązać wrogość wobec Żydów? Poprawi się dzięki niej służba zdrowia? Państwo zacznie lepiej działać? W sądach będzie można wreszcie liczyć na sprawiedliwość? Nie, nikt w to nie wierzy. Więc i walka z „polskim antysemityzmem" ma się nijak do rzeczywistości, pozostaje w strefie abstraktów – tak samo jak walka z polską homofobią albo uszczęśliwianie polskich kobiet parytetami i „konwencjami antyprzemocowymi".

8. Od inteligenta do liberalistokraty

Czas wszystko zmienia – to oczywiście truizm, ale z tych, które trzeba ciągle przypominać. Bo nie tylko przysłowiowi generałowie rozumują stale w kategoriach z poprzedniej wojny, wszyscy tak mamy, w mniejszym lub większym stopniu.

Czas wszystko zmienia, ludzi może najmniej, ale również. Właśnie dlatego tak nie lubię określenia „charakter narodowy" i postuluję zastępowanie go określeniem „narodowy mental". Charakter to coś, co człowiek przynosi na świat, i zarazem coś niezmiennego. Każdy, kto wychowywał dzieci, wie, że już u małego brzdąca da się dostrzec, jaki będzie w przyszłości – i każdy, kto obserwował ludzi latami, wie, że z reguły przez całe życie są tacy sami, tyle że z wiekiem coraz bardziej.

Natomiast cechy ludzkich zbiorowości nie podlegają żadnemu genetycznemu determinizmowi. Mental narodów jest skutkiem ich doświadczeń – historii, stosunków społecznych, wpływów kulturalnych. Odbijają się w nim sukcesy i klęski, koniunktury i depresje. Jeśli wydaje się komuś niezmienny, to tylko dlatego, że te doświadczenia dużych zbiorowości kumulują się w bardzo długich okresach, a zauważalne są dopiero w perspektywie pokoleń. W takiej samej długiej perspektywie zauważyć dają się dopiero także te nawyki, które mimo zmiany warunków zmienić się nie chcą.

Szlachcic – obywatel Rzeczypospolitej z wieku XVI, z czasów ruchu egzekucyjnego, to zupełnie inny szlachcic niż ten z czasów wielkiej demoralizacji rokoszów, konfederacji i związków

wojskowych końca wieku XVII, a ten znów jeszcze inny niż ci z początków „wielkiego pęknięcia” doby rozbiorów, insurekcji i epopei napoleońskiej.

Podobnej ewolucji podlegał inteligent. Wszystko, co na razie pisałem tu o inteligencji, warstwie, która wyrosła ze szlachty i zajęła jej miejsce, dotyczyło czasów jej wielkości – XIX wieku. Stulecia, podczas którego w symbolicznym Mickiewiczowskim salonie z „Dziadów” przeszła drogę od drzwi, przy których umieszczał ją sam wieszcz, do stołów w głębi i tam, gdzie arystokraci narzekali, że dworu nie mamy w Warszawie, sama coś w rodzaju dworu urządziła. Po katastrofie rozbiorów i zerwaniu ciągłości polskich dziejów odegrała niemożliwą do przecenienia rolę w przetworzeniu ocalałego polskojęzycznego żywiołu w nowożytny naród. To właśnie wskutek wysiłku kilku inteligenckich pokoleń w Polsce, inaczej niż u większości sąsiadów, naród nie został zestrugany do samego plebejskiego pniaka, by po przebudzeniu narodów odrosnąć zupełnie na nowo, ale wziął w siebie tradycję poprzednich wieków, stając się w pojedynkę kontynuacją wieloetnicznej Rzeczypospolitej. To inteligencja w różnych politycznych nurtach, w które się angażowała, w dominującym stopniu przewodziła powstaniom, pracy organicznej i „pracy narodowej”, która feudalne społeczeństwo uczyniła nowoczesnym, i to jej wreszcie zawdzięcza Polska cud odzyskania niepodległości. Cud, jak szczegółowo pisałem o tym w swych książkach historycznych, nie polegający bynajmniej na tym, że ją po stu dwudziestu trzech latach zaborów proklamowaliśmy, bo w roku 1918 proklamacje takie sypały się jak z rogu obfitości i nie trzeba było do nich więcej niż rzutkiego kapitana piechoty z grupą zdemobilizowanych żołnierzy i paru piśmiennych, jako tako znanych obywateli, którzy stworzyliby komitet. Cud polegał na tym, że w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy z chaosu i wojennego spustoszenia wyłoniło się sprawne państwo, zdolne zorganizować administrację, służbę dyplomatyczną, milionową armię ze wszystkim, co dla jej stworzenia oraz istnienia było potrzebne, i niejako z marszu wygrać

wojnę z odwiecznym wrogiem ze wschodu, powstrzymując prącą na zachód rewolucję bolszewicką.

Słowa „cud” używam tu oczywiście w tej samej funkcji, co w sławnym określeniu „cud nad Wisłą” – jako przenośni. W istocie nie żaden cud, tylko sukces zasłużony ciężką pracą i mądrą strategią. Jedno i drugie, raz jeszcze powtórzę, było historyczną zasługą polskiego inteligenta.

I tyle było do pochwalenia. Wszystko to dawno i nieprawda.

Przegrany sukces

Odzyskawszy bowiem niepodległe państwo, nie umiała się, niestety, inteligencja wywiązać z powinności jego elity. To znaczy: wymyślić i zbudować trwałej, stabilnej rzeczypospolitej, z funkcjonującymi sprawnie strukturami i procedurami, ze sceną partyjną oddającą i wyważającą dążenia i interesy obywateli, z instytucjami zapewniającymi dobrobyt, dobór kadr, bezpieczną zmianę ekip rządzących, następstwo i tak dalej.

Demokracja w suwerennej Polsce przetrwała zaledwie kilka lat, niewiele dłużej potrwała gospodarcza prosperity, oparta na uwolnieniu energii społecznej, latami wcześniej przechwytywanej bądź tłumionej przez kolonizatorów. Wymarzona przez pokolenia Polska stoczyła się ku banalnej dyktaturze, z roku na rok coraz bardziej zesklerozniałej i zbiurokratyzowanej, promującej na najwyższe stanowiska „naszych”, w najlepszym wypadku „zasłużonych”, zamiast kompetentnych. Była to dyktatura rządzona przez klikę krótkowzrocznych pułkowników i w końcówce swego istnienia niepowstrzymanie staczała się ku faszyzmowi (raz jeszcze podkreślę: nie mylić faszyzmu z nazizmem!). Wszystko to właśnie z gorącym poparciem inteligentów, którzy wprawdzie nie przestawali głosić pochwały wolności i demokracji, ale pochwalali je tak w ogóle, natomiast w konkretnych okolicznościach dwudziestolecia uznali je za zagrożenie dla siebie i szukali przed

wyborczymi wyrokami polskiego ciemnogrodu obrony u oświeconego dyktatora.

Ba, że państwo to poszło w zamordyzm, że wbrew ideałom niepodległości opierało się na pałach, cenzurze i Berezie Kartuskiej, a jego ukoronowaniem okazał się wzorowany na ruchu Mussoliniego wodzowski Obóz Zjednoczenia Narodowego... Może to Państwa zdziwi, ale powiem: to jeszcze mniejsza. Takie rzeczy historia wybacza.

Nie wybaczy natomiast historia nigdy II Rzeczypospolitej i tym, którzy odpowiadali za jej kształt ustrojowy i politykę, że była to dyktatura totalnie oderwana od rzeczywistości, lewitująca gdzieś w kosmosie, odurzona bez reszty własną propagandą. Dyktatura przekonana, że pod jej rządami „Polska jest mocarstwem", a za to Hitler śmiesznym bufonem, uzbrojonym w tekturowe czołgi, na którego wystarczy, że tupniemy albo każemy go naszej najlepszej na świecie kawalerii wypłazować; że państwo Stalina jest w rozsypce i ruinie, a Wielka Brytania to szczery przyjaciel, który przyśle nam w razie potrzeby trzysta bombowców i zaatakuje naszych wrogów wielką armią, choć jej nie posiada. Polegając na tak realistycznej ocenie rzeczywistości, państwo nasze, zamiast szukać sposobu wydostania się z matni nieuchronnej wojny światowej, zminimalizowania strat i ocalenia narodu przed zagładą, do ostatnich chwil roiło o zdobywaniu zamorskich kolonii oraz uznało się za powołane do roli stróża europejskiego porządku, który niemieckiemu rozrabiace powie „hola!" i odstawi go do kąta.

Chorobę, która zniszczyła przedwojenną Polskę, można podsumować krótko: za dużo honoru, za mało rozumu.

Albo nieco dłużej: za dużo szlacheckiego honoru, za mało chłopskiego zdrowego rozumu.

Obciążenie dziedziczne

Trudno mi wyważyć, co bardziej doprowadziło do degeneracji inteligenckiej elity narodu – cechy odziedziczone po szlachcie, te, które rozwinęła w kontrze do niej, czy te, które wniosły awans społeczny i asymilacja Żydów.

Zacznijmy od pierwszych. Przede wszystkim trzeba zaliczyć do nich beztroskie oderwanie od spraw materialnych, wręcz pogardę dla nich. Wyższościowe podejście do kupiectwa i wszelkiego rodzaju przedsiębiorczości. Owszem, na temat pracy wypisywali inteligenci, szczególnie w dobie pozytywizmu, rozliczne peany, ale na ten zachwyt i uświęcenie zasługiwała w ich oczach wyłącznie praca fizyczna. Praca umysłowa pracą dla inteligenta nie była, co może się wydawać dziwne, bo sam przecież nią właśnie się zajmował (a może właśnie dlatego?). A już przedsiębiorczość stanowiła wręcz coś odrażającego, jak dla „panów braci" rechoczących przez stulecia z jakiegoś imć Zabłockiego, który śmiał się parać nieszlacheckim handlowaniem mydłem i szczęśliwie wyszedł na tym... no właśnie jak Zabłocki na mydle, do dziś każdy wie, co to znaczy.

W międzywojniu, czasie apogeum „rządu dusz" inteligencji, wyraziło się to żywiołową nienawiścią do „paskarzy", kreowanych przez propagandę sanacji na głównych wrogów narodu, i systemowym, jak nazwał to w swojej wczesnej publicystyce Jerzy Giedroyc, „potępieniem dla zysku". Tak, w tej Polsce, w której moje „okute w powiciu" pokolenie ulokowało wszystkie marzenia o wolnym kraju i którą wyidealizowało poza wszelkie granice rozumu, prywatny zysk był czymś nikczemnym, a zabieganie o niego czy zwłaszcza osiąganie go – działaniem aspołecznym, antypatriotycznym i amoralnym, za które lądowało się, jako „paskarz", w „miejscu odosobnienia".

Śmiech pusty mnie ogarnia, ilekroć czytam gdzieś, jak chcąc pochwalić przedsiębiorców, nazywają ich media „współczesnymi Wokulskimi". Fakt, że ta powieściowa postać do dziś uchodzi w polskim dyskursie publicznym za wzorzec i symbol przedsiębiorczości, sam w sobie jest tak znaczący, że nie trzeba lepszego przykładu.

Wszyscy „Lalkę” czytali, ale przypomnę: Stanisław Wokulski, potomek zdeklasowanej szlachty, jest niezrealizowanym naukowcem, który z braku pieniędzy musi przerwać studia i podjąć pracę w sklepie. Gdy właściciel sklepu, zresztą Niemiec, kopie w kalendarz, młody subiekt żeni się z wdową po nim, kobietą dużo od siebie starszą, przez co staje się pośmiewiskiem i musi znieść szereg upokorzeń, ale sprzyja mu szczęście, bo pani starsza szybko umiera, zostawiając mu prosperujący interes i sporo gotówki. Z ową gotówką wyjeżdża Wokulski na wojnę krymską i tam dorabia się fortuny. Mechanizm tego biznesowego sukcesu jest poza zainteresowaniem autora, bo wszystko to dzieje się przed właściwą akcją powieści. W samej powieści nasz wzorzec przedsiębiorczości nie zajmuje się już zarabianiem pieniędzy, ale wyłącznie ich trwonieniem; w ten sposób próbuje się – bezskutecznie – wkupić w szeregi upadłej warstwy ziemiańskiej i zdobyć serce wywodzącej się z niej tytułowej „lalki”. Okazje do zrobienia wielkiego biznesu natomiast odrzuca pogardliwie, pod pretekstem patriotyzmu, jako że wymagałoby to współpracy z Rosjanami. W istocie zarabianie pieniędzy zupełnie go nie interesuje, chyba nawet w głębi ducha gardzi „dorobkiewiczostwem” nie mniej niż owi arystokraci, przez których pragnie być uznany za równego; cały hazard z dostawami wojennymi był tylko częścią rozpaczliwych starań o uwiedzenie panny Izabeli, w niej to bowiem, a nie w pieniądzach, zakochał się był nasz przedsiębiorca – przez co zresztą skończy równie głupio jak młody Werter, a jego fortunę, uszczuploną o poniesione w powieściowej akcji wydatki reprezentacyjne i charytatywne, przejmą Żydzi.

Z całej tej historii, niezwykle ważnej dla zrozumienia inteligenckiego mentalu, najbardziej mnie zawsze interesował ów moment ścieśniony przez autora do krótkiej opowieści: rozmnożenia pieniędzy wdowy Minclowej do rozmiarów fortuny. Od Bolesława Prusa dowiadujemy się na ten temat tylko tyle, że o rozmiarach sukcesu Wokulskiego zadecydowała jego gotowość do podejmowania spekulacyjnego ryzyka i „po kilka razy” stawiania wszystkiego na jedną kartę. Co bardzo charakterystyczne, Wokulski,

opowiadając o swych sukcesach staremu Rzeckiemu, czuje potrzebę zaznaczyć, że jako dostawca, w przeciwieństwie do wielu innych, zawsze zachowywał się uczciwie, dostarczając towar najlepszej jakości, który żołnierze chwalili.

Prus był akurat tym spośród polskich pisarzy, który – zgodnie z pozytywistyczną ideą – stosunkowo najbardziej interesował się przyziemnymi sprawami gospodarki, pisał o nich teksty publicystyczne, analizował. A jednak w swojej sztandarowej powieści daje popis kompletnej ignorancji, jak wyglądał biznes robiony na dostawach dla wojska, szczególnie rosyjskiego (bo Anglików i Francuzów Wokulski zaopatrywać przecież nie mógł ze względów zasadniczych). Odwaga w podejmowaniu ryzyka, kupiecka rzetelność i dbałość o jakość dostarczanego towaru to cnoty, które przynoszą zysk na wolnym rynku. Ale takie dostawy z rynkiem i wolną konkurencją nie miały nic wspólnego. Wszystko zależało od decyzji wojskowych intendentów. Ci zaś z potencjalnych dostawców wybierali tego, który dawał im większą łapówkę. Aby dać możliwie dużą łapówkę i mimo wszystko zarobić, dostawca musiał przyoszczędzić na jakości dostarczanego towaru. Oczywiście, jeśli dostarczył totalne barachło, żołnierze mogli się zbuntować, co groziło interwencją wyższych czynników – chyba że zawczasu udało się je również skorumpować – i różnymi karami, do rozstrzelania włącznie. Biznes, na którym dorobił się Wokulski, był więc w istocie biznesem dość śmierdzącym, zupełnie nie dla dżentelmenów z pretensjami wkupienia się do wyższych sfer.

Ale autorowi powieści, mimo że jest nim nie kto inny, tylko czołowy przedstawiciel polskiego pozytywizmu, w innych sprawach znany z tak drobiazgowej dbałości o realia, że jak głosi legenda, z jego utworami w ręku można było zwiedzać Warszawę jak z bedekerem, tu zwyczajnie odpuścił, poszedł w umowność – dla powieści przecież nie ma to znaczenia, chodziło tylko o to, żeby Wokulski wyczarował jakoś swoją fortunę i miał co trwonić. Przy okazji, pomimo (tak: pomimo!) że doszedł w życiu do pieniędzy, Wokulski musiał być jednak postacią dla czytelnika sympatyczną, stąd to zapewnienie o dostarczaniu dobrego jakościowo towaru,

choć Prus, bystry dziennikarz, nie mógł nie wiedzieć, że w tym akurat biznesie raczej by go to zniszczyło, niż pomogło w sukcesie.

Przepraszam za tak długą dygresję, ale jeszcze nam się ona przyda.

Nie zamierzam tu recenzować wybitnego dokonania polskiej literatury, zwracam po prostu uwagę: tak groteskowo przedstawiony kupiec stał się za jej sprawą polskim kulturowym symbolem przedsiębiorczości! Istotą sprawy jest to, że pal diabli, gdyby Prus nie miał wokół siebie przykładów przedsiębiorczości prawdziwej, polskich biznesowych i handlowych sukcesów – ale miał ich, mówiąc językiem zaborcy, skolko ugodno, tylko umoczyć pióro w kałamarzu i opisywać. Wzorców sukcesu, innowacyjności, uporu we wprowadzaniu postępu i cywilizacyjnym podnoszeniu kraju oraz szczerej, a w każdym razie dającej świetne owoce troski o poziom życia, zdrowie i edukację pracowników u schyłku wieku XIX wokół Prusa nie brakowało. Niemniej żaden z nich go jako pisarza nie zainteresował. Pewnie dlatego, że żaden by do postaci zakochanego idioty i spekulanta-utracjusza, zaplanowanej w powieści, nie pasował.

Co dopiero liczyć na pisarzy mniej zaangażowanych w pozytywistyczny program niż autor „Lalki”! Królestwo Kongresowe było akurat najlepiej rozwiniętą gospodarczo częścią carskiego imperium, polscy przemysłowcy i kupcy stanowili elitę, taki, dajmy na to, Wedel czy Baczewscy sprzedawali swoje wyroby w całym imperium, często we własnych firmowych sklepach. Polacy kolonizowali gospodarczo Petersburg, nawet zagospodarowywali odległą Syberię – w ogóle, w najmniejszym stopniu nie odbiło się to w ówczesnym polskim piśmiennictwie. Jacek Dukaj, który o owym gospodarczym podboju Syberii napisał w fantastycznej powieści „Lód” w roku 2007, był bodaj pierwszym w polskiej kulturze odkrywcą historycznej terra incognita.

No prawda – doczekała się swego piewcy, Władysława Reymonta, przemysłowa Łódź. Ale i tam, choć powieściowy Borowiecki nie jest aż tak nikczemną kreaturą, jaką z niego w filmie pod potrzeby „realnego socjalizmu” zrobił Andrzej Wajda, postaci Polaków nijak

się mają do tego, co wynika z faktów historycznych. Łodzią kręcą Niemcy i działający w zmowie Żydzi, a Polacy coś tam niemrawo próbują na marginesie, nie umiejąc tego pogodzić ze swymi wielkopańskimi sumieniami.

Cały gospodarczy sukces odniesiony pod zaborami przez polskich przemysłowców, kupców, także przez polskich inżynierów i polskich wynalazców, którzy również mieli w tamtych czasach niejeden powód do chwały – wszystko to w polskiej kulturze, przez dwa wieki zdominowanej przez inteligentów i postinteligentów, uznania nie znajdowało. I nadal nie znajduje nie tylko uznania, ale nawet prawa do obecności. Każdy, kto złapał szabelkę, choćby najbardziej bez sensu wywołał tym tylko kolejne spustoszenia i nieszczęścia, nie zadając wrogom żadnych strat, za to ściągając na swój naród ich dziką zemstę, jest w narodowym mentalu sławiony i brązowiony. A ci, dzięki którym mimo wszystko ten naród przetrwał, nikogo nie interesowali i nie interesują. „Taki mamy klimat” – powiedziała kiedyś pewna minister, i bardzo te słowa tu pasują, choć ona sama miała na myśli inne sprawy.

Cywilizowanie chama batem

Ten akurat przykład kolejnego z „dziedzicznych obciążeń” inteligencji, który teraz Państwu zaprezentuję, wyszukałem nie dlatego, żeby mi brakowało innych, ale chciałem podeprzeć się autorytetem nauki. A co. W niskonakładowej publikacji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika „Kultura wsi w egodokumentach” (naukowcy wszystko muszą nazwać naukowo, czyli dziwnie – chodzi po prostu o pamiętniki) w opracowaniu „Wizerunek podlaskiej wsi w XIX wieku – rekonstrukcja obrazu na podstawie relacji pamiętnikarskich wybranych rodzin szlacheckich” pomieściła autorka, Aleksandra Kmak-Pamirska, opowieść o tym, jak rodzina Łubieńskich wyprowadziła z ruiny majątek w Kolanie, wedle zapisków Marii z Łubieńskich Górskiej.

Owoż rodzice autorki wspominków „nie tylko zaczęli inwestować w swoje gospodarstwo, ale i cywilizować okoliczną ludność. Domy, w których mieszkali chłopi podlascy, ludność polska i rusińska, przypominały kurne chaty. Nie było w nich przepływu powietrza [...], dlatego też młodzi właściciele postanowili je zmodernizować, pomimo oporu tamtejszej ludności. Seweryn Łubieński doglądał budowy i zakupił potrzebne materiały, takie jak szkło czy cegła. Nadzorował pracę robotników i cieśli. [...] Chłopi z okolic Kolana byli niechętni do wszelkich zmian [...]. Maria wspomina w dziennikach, że w trakcie prac modernizacyjnych toczono bójki, ale istnienie relacji pańszczyźnianych powodowało, że chłop nie miał nic do powiedzenia [...]. Pan miał nad chłopem niemal nieograniczoną władzę. Pomimo oporu i łez realizowano zaplanowane prace".

Cóż, jeśli ktoś pożąda pozytywnej pointy, niech będzie: „dopiero po zauważeniu pozytywnych efektów i poprawy ich stanu zdrowia oraz warunków życia, wynikających z modernizacji domów mieszkalnych, [chłopi] zaczęli doceniać działania pary Łubieńskich".

Jest w tej opowieści wszystko, co w sumie nie zmieniło się do dziś. Światła elita – w tym wypadku ziemiańska, ale rzecz ma miejsce w połowie XIX stulecia, więc wkrótce nastąpi społeczna zmiana – która chce chłopstwo ucywilizować. Polski ciemnogród, który nie rozumie, że to dla niego dobre. Ekipa, która z polecenia dziedzica przychodzi i rozwala ludziom chałupy, chłopy próbują się buntować i dostają kije, baby lamentują... Ale w końcu wybatożone chamstwo rozumie, że to dobre dla nich było, i odczuwa wdzięczność, jaśnie państwo – dumę, a ich córka na wieczną rzeczy pamiątkę zapisuje to w memuarach.

Czy to była jedyna droga niesienia ludowi oświaty i cywilizacji?

Bynajmniej. Po raz kolejny odwołam się tu do nieocenionych pamiętników wójta Słomki – tam akurat mamy antytezę powyższej sytuacji. Opisuje na przykład Słomka, jak podniósł na wyższy poziom plony w swoim gospodarstwie, z czego z czasem skorzystała, wzorując się na nim, cała gmina. Żeby już nie brnąć w kolejne długie cytaty, własnymi słowami: naczytawszy się książek, znalazł w nich młody wtedy gospodarz informację, że monokultura wyjaławia

gleby. W ówczesnym gospodarowaniu obowiązywała zaś zasada, że pola były „od zawsze” i „raz na zawsze” podzielone – tu zboża, tu kapusta, tam ziemniaki itd. Gdy Słomka zaczął to u siebie zmieniać, początkowo reakcje sąsiadów, zwłaszcza starszych, przypominały sceny z „Konopielki”, gdy powieściowy Kaziuk zamierzył się na zboże kosą zamiast sierpem. Ale gdy po roku, dwóch pukający się w głowę i wieszczący karę bożą chłopi zobaczyli, jak taka prosta operacja zwielokrotniła plony, nabrali do Słomki i jego książkowej wiedzy szacunku.

Owszem, wspomina w swych pamiętnikach sytuacje dramatyczne – na przykład gdy trzeba było wzywać żandarmerię przeciwko chłopstwu, podpuszczonemu zresztą przez Żydów, które na zasadzie „nie, bo nie” próbowało zablokować przeznaczenie gminnej ziemi, używanej zwyczajowo jako wspólne pastwisko, pod publiczną inwestycję. Ale tymi, którzy owych żandarmów wzywali, byli w Dzikowie inni chłopi, ci zarządzający gminą. Tak jak to oni sami tworzyli towarzystwo handlowe, kasę pożyczkową, spółdzielnię prowadzącą sklepy. Za namową i pod przewodem autorytetów, które wyrosły spośród nich samych. Sprawczość „panów” ograniczyła się tutaj tylko do umożliwienia kiedyś małemu Słomce i innym dostępu do edukacji.

To się wtedy na wsi nazywało ruchem ludowym, w miastach zaś, gdzie podobną pracę wykonywał Narodowy Związek Robotniczy i przeróżne towarzystwa zrodzone z Ligi Polskiej i „Zetu” – endecją. Jedno i drugie w niepodległej Polsce, do której odzyskania ogromnie się przyczyniło, stało się obiektem pogardy oraz żywiołowej nienawiści sanacyjnych elit, biesiadujących w Adrii i Ziemiańskiej. I zresztą pozostało do dziś – powiedzcie słowo „endecja”, a reakcja postkomunisty, michnikoida czy pisowca będzie identyczna do najdrobniejszych szczegółów.

W publicystycznym skrócie można opisać te emocje jako nienawiść tych, którzy zostali ucywilizowani metodą Łubieńskich, do tych, którzy ucywilizowali się sami, metodą Słomki.

Paskudna sprawa: zysk

Powie ktoś – przecież tyle lat minęło i niby nadal te zaszłości sprzed wieków mają wpływ na współczesność? Odpowiadam z całym przekonaniem: ależ oczywiście!

Proszę sobie przypomnieć, kto jest w latach zbliżonych do mnie, względnie sięgnąć samemu do obfitego piśmiennictwa towarzyszącego polskiej transformacji ustrojowej, do powstałych już wspominków i wydanych po latach pamiętników. Przecież dokładnie tak właśnie ją sobie wyobrażano, jak owo burzenie lepianek w majątku Kolano i przeganianie ich mieszkańców do nowych, przewiewnych domów, które musieli sobie stawiać pod kierunkiem dobrego pana. Nie dlatego, żeby ktoś znał przytoczoną tu historię z zapomnianego pamiętnika albo odwoływał się do jakichś innych konkretnych doświadczeń. To był instynkt, odruch zbiorowej pamięci. Zmiany wyglądają i muszą wyglądać tak, że światła elita wie, a ciemny lud nie wie, i nie ma mu nawet co mówić, nie ma mu co tłumaczyć, nie ma co liczyć, że coś zrobi sam z siebie. Trzeba po prostu „wziąć za pysk i wprowadzić liberalizm”, a jak chamstwo się stawia i przeklina Balcerowicza, to je wybatożyć – czasy się zmieniły, więc w dobie transformacji batożono już tylko symbolicznie, medialnie i intelektualnie, ale przecież sama istota sprawy była identyczna. Nie tylko jeśli chodziło o nową, balcerowiczowską księgowość, tym samym instynktem ustawiono mentalnie sprawę nowego ustroju politycznego. Cała „Michnikowszczyzna” opowiada przecież właśnie o tym, jak próbowano, zresztą wedle wzorca zachodniego, zbudować taką demokrację, w której jedynym prawem ludu jest poprzeć decyzje podejmowane przez oświecone elity.

Żeby Państwo nie myśleli, że piszę o jakichś postaciach i poglądach mało ważnych, zasługujących na machnięcie ręką – przykład z najwyższej półki, jaką mogę sobie wyobrazić. Niewielu można było w III RP znaleźć piękniejszych dinozaurów niosących w sobie świat dawnej polskiej inteligencji niż znakomity poeta

piosenki Wojciech Młynarski. Znalazłem w jednej z jego biografii, jak wyjaśnił, dlaczego w pewnym momencie, w latach sześćdziesiątych bodajże, przestał pisać cokolwiek do programów telewizyjnych. Otóż przestał, bo sam został pracownikiem jednej z telewizyjnych redakcji – więc wychodziłoby tak, jakby sam od siebie kupował teksty, a to by przecież nie wypadało.

Zwracam uwagę na to „nie wypadało”, bo ono właśnie, a nie posada w budżetówce czy formalne wykształcenie, różniło inteligentów od socjalistycznej „inteligencji pracującej”, czyli tego, co Aleksander Sołżenicyn nazwał „obrazowanszcziną” – ludzi, którzy mają „obrazowanija”, dyplomy, ale nie mają inteligenckiego etosu.

Otóż we wczesnych latach dziewięćdziesiątych napisał Młynarski piosenkę o pewnej koleżance aktorce, która postanowiła zażyć luksusu jazdy pierwszą klasą pociągu ekspresowego.

A w przedziale pierwszej klasy
dwaj lokalni biznesmeni –
sygnet złoty, spodnie chlory, but zamszowy,
długopisy w dłoń chwytali
i w pośpiechu zakładali
spółkę z tym... z ograniczeniem umysłowym.

I przedziału mącił ciszę
szept ochrypły i skupiony,
a tekst był następujący: słuchaj, Maniek,
ja ci teraz nic nie wiszę,
ty mi wchodzisz trzy melony
i twój udział jest dokładnie dwieście baniek.

Biznes gotów, pozwól, chłopie,
że koniaczkiem go pokropię,
bo ten wprost wybitnie konweniuje mnie płyn...

Przerażona aktorka przenosi się więc do klasy drugiej:

A w przedziale klasy drugiej,
niechaj słuchacz mój się dowie,
jechał ksiądz, studentka KUL-u wraz z kolegą,
emerytowani z PAN-u
chudzi dwaj profesorowie
i tłumaczka, bodaj z serbo-chorwackiego.

I rozmowa przyciszona
skrzyła się wytwornym żartem,
jakby lśniło w niej śródziemnomorskie słońce,
i rozmówcy nie wspomnieli
ani słowa, że inteligencja
dzisiaj ledwo wiąże koniec z końcem.

W poincie tego wierszowanego felietonu, którym zachwycał Mistrz publiczność, aktorka pyta konduktora, zdumionego, że z droższym biletem podróżuje ona w tańszej klasie: „to ile ja dopłacam?". Ale mniejsza o pointę, bo chodzi mi tu tylko o socjologiczny kontekst utworu.

Po pierwsze – rzekoma pauperyzacja inteligencji „ledwie wiążącej koniec z końcem". To był i chyba wciąż jest w III RP bardzo silny mit, pracownicy budżetówki na liczne sposoby pielęgnowali w sobie poczucie finansowej krzywdy i poniżenia, że byle „cham ze sztachetą" zarabia lepiej... Aż się prosi, żeby przypomnieć tu sławną scenę z „Dnia świra" Marka Koterskiego, w której bohater miota się i wścieka, że za lata studiów i nabywania niezwykle ważkiej wiedzy płacą mu nędzne grosze, „jakby kto dał mu w pysk". W ogóle uwielbiam ten film, mimo jego intelektualnych i warsztatowych mielizn, bo zawiera on bodaj najlepszy portret współczesnego postinteligenta, targetowego odbiorcy michnikowszczyzny, zaczynającego dzień od lektury „Gazety Wyborczej" i kończącego „zgwałceniem się" w nią.

Jeśli czyta mnie ktoś wychowany w tym inteligenckim jojczeniu, to pewnie się bardzo zdziwi, że prawda o historycznej transformacji

jest dokładnie odwrotna. To właśnie „budżetówka” – można chyba uznać pracę w tak zwanej sferze budżetowej za synonim „bycia inteligentem” – była, licząc w liczbach bezwzględnych, największym beneficjentem zmian po roku 1989, najbardziej na nich wygraną grupą społeczną. Najbardziej zaś przegrany był właśnie ów otaczany przez nią zawiścią „cham ze sztachetą” – robotnicy wielkoprzemysłowi, tak zwani chłoporobotnicy (właściciele małych gospodarstw – wytworzonych przez z założenia koślawą „reformę rolną” PKWN), nie mówiąc już o robotnikach rolnych z upadłych PGR-ów – to oni wskutek reform „ledwie wiązali koniec z końcem”. A jeszcze byli przy tym batożeni nieustannym strofowaniem, że „nie radzą sobie w transformacji”, i wyszydzani za swoją „roszczeniowość” w telewizyjnym „Kabareciku” Olgi Lipińskiej i podobnych miejscach.

Po części utyskiwania inteligentów mogły być efektem „pamięci materiału”, bo dysproporcja zarobków pomiędzy „fizycznymi” a „umysłowymi”, dyskryminująca kwalifikacje i wykształcenie, istniała rzeczywiście, ale w epoce wcześniejszej, w PRL, gdzie wynikała z założeń ideologicznych i sławnej instrukcji generała Iwana Sierowa. Ale prowadziły one do wyjątkowo krzywdzącego stereotypu, żywego do dziś, w którym „chamstwo” nie dość, że dzieje mu się dużo lepiej niż „ludziom na poziomie”, to jeszcze, co za bezczelność, śmie pyskować na reformy i Balcerowicza, strajkować i blokować drogi!

Po drugie i najciekawsze – właśnie ów zaprezentowany przez Mistrza stereotyp „biznesmena”, stanowiącego w czasach transformacji jeden z ulubionych celów szyderstw, kpin, mówiąc mądrze: „dyskursu wyższościowego” inteligenckich mediów. Obok księży (zwanych wtedy „czarnymi”), dewotek w moherowych beretach i „oszalałych lustratorów” celem żywiołowej pogardy michnikowszczyzny byli uliczni handlarze i różni drobni przedsiębiorcy, głównie za to, że jakoby nosili białe skarpety do czarnych mokasynów. Z jakiego powodu to akurat uchodziło na salonach za szczególny dowód cywilizacyjnej niższości, mnie proszę nie pytać.

Rozjazd inteligenckiego mentalu ze społeczną rzeczywistością pozostał w ustrojowej transformacji podobny jak za czasów Prusa. Fakt, że – jak głosiło popularne wtedy powiedzenie – Polska była najweselszym barakiem w całym socjalistycznym obozie, w ogromnej części zawdzięczaliśmy rodzimym bazarowym spryciarzom, którzy pod pozorem socjalistycznej turystyki jeździli z obwoźnym handlem po całym owym obozie, po wszystkich KDL-ach i Bliskim oraz Dalekim Wschodzie, wymieniając czekoladki i cukierki na chemię gospodarczą, żelazka i grzałki na modne kiecki (szczególnie dobre przebicie, pamiętam, dawały takie przeszywane złotą nicią), a biżuterię na pierwsze mikrokomputery. Niektórzy z nich korzystali w tym z opieki Służby Bezpieczeństwa i po roku 1989 wyrośli na wielkich prywatyzacjach do rangi magnatów, ale większość pracowała na własne konto, by dzięki wykombinowanej kasie jakoś wyrwać się z peerelowskiej bylejakości życia. To głównie tacy stawiali potem uliczne „szczęki" (czy młodzi jeszcze wiedzą, jak wyglądał ten najpowszechniejszy składany stragan?) i nosili owe wyszydzane „spodnie chlory" tudzież zamsze.

Sukcesy handlarzy budziły w peerelu mieszane uczucia. Nie mówię o tak zwanych czynnikach oficjalnych, Wojciech Jaruzelski nienawidził „spekulantów" jako źródła wszelkich problemów społeczeństwa z tą samą pasją, z jaką pół wieku wcześniej Felicjan Sławoj-Składkowski polował na „paskarzy", linia partii nie mogła więc być inna niż pogarda i szyderstwo. Na festiwalu piosenki partyjnej w Kołobrzegu (oficjalnie zwanym Festiwalem Piosenki Żołnierskiej – moim skromnym zdaniem dużo lepszym źródle dla historyków PRL niż jakiekolwiek archiwa) śpiewano na przykład wyśmiewające „spekulantów" kuplety z refrenem „Bazarowe Muppet Show", bodaj czy nawet nie uhonorowano ich jakąś nagrodą ministra.

No dobrze, wspomniany festiwal, zapamiętany dzięki „Misiowi" Stanisława Barei, to była propagandowa grafomania i chałtura. Ale kultura studencka, programowo zbuntowana i „anty", funkcjonując w PRL, trochę jak rock i science fiction, na zasadzie wentyla nastrojów, w tym akurat punkcie miała poczucie humoru

identyczne. Taki na przykład zespół o dźwięcznej nazwie Zezowaty Piskorz piosenkę o polskich turystach-handlarzach w Turcji puentował zdaniem, że „tylko nam historia opinię ratuje”. W tym sensie, że to ci krążący po świecie handlarze robią nam „obciach przed światem”.

Ktokolwiek w życiu zetknął się z Turcją czy krajami arabskimi, wie, że ich podejście do handlu wszystkim, czym się da, i w każdym możliwym miejscu, delikatnie mówiąc, nie jest negatywne. W miastach zachodniej Europy czy w USA drobny handel uliczny też nie jest żadną sensacją, w ludniejszych miejscach stoliki barachołki obsługiwane przez imigrantów ciągną się kilometrami. Z całą pewnością można domniemywać, że nikt nigdy nigdzie nie zetknął się z sugestiami, że Polacy są obciachowi, bo handlują. To było w głowach, w samym myśleniu polskich kręgów opiniotwórczych. To wieczne, zakompleksione „o Boże, co sobie o nas pomyślą”.

W prywatnych rozmowach, owszem, fakt, że na bazarze w Damaszku Arabowie piszą na straganach po polsku „Kochany Bolando, tu najtaniej” czy „tu nie ma szacher macher”, budził pewną dumę, ale publicznie – nie, to straszny wstyd dla Polski, jak oni mogą, tak bez cienia godności, za tych marnych parę dolarów czy franków, taaaaki wstyd... Chyba nie muszę się specjalnie rozwodzić nad faktem, że „co sobie o nas na Zachodzie pomyślą” to tradycyjnie jedna z najsilniejszych trosk krajowej liberalistokracji, odziedziczona po „inteligencji pracującej”, wpływająca w ogromnym stopniu na jej zachowania i deklarowane wybory.

Tak jak ofiarami transformacji ustrojowej nie byli wcale inteligenci, tak samo i na miano jej bohaterów nie zasługują bywalcy salonów, z głównym księgowym Mazowieckiego i Wałęsy, czyli Leszkiem Balcerowiczem, na czele. Z całym szacunkiem, on i jego podwładni byli tylko urzędnikami, realizującymi przysłane z Zachodu wytyczne. Które to wytyczne, głupia sprawa, sami ich autorzy paręnaście lat później uznali za błędne. Nie tylko w raportach Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, ale nawet w książce Jeffreya Sachsa „Koniec z nędzą” znajdziemy ekspiację, że zmuszenie biednych krajów do „terapii

szokowej” i „zaciskania pasa” więcej narobiło szkody, niż przyniosło pożytku; Sachs porównuje tutaj siebie i swoją instytucję do lekarzy z XVIII wieku, którzy starali się jak mogli wedle swej najlepszej wiedzy, ale o pewnych rzeczach, na przykład o istnieniu chorobotwórczych bakterii, jeszcze nie wiedzieli.

W porządku, rozumiemy, wybaczamy, ale zawsze warto pamiętać, że w latach dziewięćdziesiątych w Polsce jakakolwiek polemika z tymi założeniami, choćby najbardziej merytoryczna i wyważona, była tłumiona, a dopuszczający się jej, choćby byli szanowanymi za inne sprawy profesorami – niszczeni propagandowo i odzierani z godności z podobną wściekłością jak ci, którzy upominali się o lustrację czy rozliczenie komunistycznych zbrodni.

Sukcesy „reform” mimo ich społecznych kosztów są do dziś obiektem dumy miejscowej liberalistokracji – ale, rzecz nader charakterystyczna, jest to duma z wzorowego wypełnienia poleceń światłych wychowawców, duma, że tak metaforycznie powiem, dobrze ułożonego psa, który aportował rzucony mu kij szybciej i lepiej od innych (czy muszę zaznaczać, że wspomniane tu pokajanie się MFW, Banku Światowego i samego Sachsa za zaordynowanie leków gorszych niż choroba w dyskursie naszych salonów praktycznie nie zaistniało? Dobrze, na wszelki wypadek zaznaczę).

Tymczasem fakt, że polska transformacja dała dużo szybsze i lepsze efekty makroekonomiczne niż w pozostałych demoludach, nie był zasługą jej światłego przywództwa, tylko niezwykłej przedsiębiorczości i mobilności społecznej wykazanej przez Polaków. To oni w czasach, gdy znikały miliony miejsc pracy, stworzyli miliony nowych, to oni kombinowali na wszystkie możliwe sposoby, żeby jakoś utrzymać się na powierzchni – przy okazji utrzymując innych. Pisał o tym śp. Krzysztof Dzierżawski, i w ogóle autorzy z kręgu Centrum im. Adama Smitha, ale to były głosy odosobnione i niesłuchane. Generalnie, zwyciężała optyka w tak kunsztowny sposób zaprezentowana przez Młynarskiego. Prywaciarze, te ich spółki „z ograniczeniem umysłowym”, to całe

dorobkiewiczostwo, brak gustu, wzniosłości... No wstyd, panie radco, po prostu wstyd.

Ciekawa rzecz: jeśli zerkną Państwo w gazety z tamtego czasu pod kątem frazy „klasa średnia”, to zobaczą, że z maniackim uporem tą klasą średnią mianowano wspomnianych wyżej magnatów. Kulczyków, Gudzowatych, Staraków, Niemczyków i tak dalej. Kompradorów prywatyzacji, liderów dilowania z budżetem i państwem, tytanów „partnerstwa publiczno-prywatnego”. Fetowano ich w kolorowych pismach i magazynach, zachwycano się sponsorską hojnością. Nie jest przedmiotem tej książki wyjaśnianie, skąd się brały ich fortuny i jakie społeczne funkcje pełniły, chodzi mi tylko o najoczywistszą oczywistość – „klasa średnia” to przecież zupełnie co innego niż bogacze! Klasa średnia to nie ci, z natury nieliczni, którzy mieszkają w pałacach, to ludzie o dochodach średnich właśnie. Tym, co czyni ich tą klasą, nie jest bogactwo, ale niezależność finansowa. To, że nie są poddani kaprysom kogoś, od kogo zależy ich utrzymanie – czyli że nie są niczyimi klientami w sensie politycznym. Właśnie to, a nie wielka kasa, czyni z tej warstwy ostoję demokracji i sprawia, że jeśli tej klasy średniej zabraknie, a zastąpi ją klientela, wisząca u klamki magnatów albo państwa – demokracja ginie, staje się pustymi rytuałami, fasadą.

Redaktorzy, intelektualiści i politycy, którzy uparcie pojęcie „klasa średnia” wtedy fałszowali, starając się oswoić niedawnych poddanych „sprawiedliwości społecznej” z faktem, że teraz niektórzy będą obrzydliwie bogaci, i skłonić ich do akceptacji tej „historycznej konieczności”, nie mogli nie wiedzieć, że używają kluczowego dla demokracji pojęcia w sposób zupełnie sprzeczny z jego sensem. Więc najwyraźniej robili to świadomie. Żeby powiększyć znaczenie dla obiecywanego przez nowy ustrój dobrobytu tych, których postrzegali jako wsparcie dla elit, a wykluczyć tych, którzy mogliby stworzyć jakąś elitę wobec „oświeconych” konkurencyjną.

Awans cywilizacyjny – tak, ale tylko metodą Łubieńskich. W żadnym wypadku nie metodą Słomki. Bardzo charakterystyczny dla współczesnego, postinteligenckiego mentalu był na przykład

entuzjazm, z jakim przyjęto na salonach książkę Andrzeja Ledera „Prześniona rewolucja". To nic, że praca jest słaba i płytka. W opisie awansu społecznego w Polsce pomija kompletnie Dmowskiego, Witosa i takich jak Słomka i bohaterowie jego opowieści, ludowych self-made manów, czyli tak mniej więcej połowę zjawiska – ale to właśnie stanowiło o sukcesie książki, bo w ten sposób całością historii stała się ta połowa „poprawna". Za pomocą mądrawych formułek różnych Lacanów i innych utytułowanych pacanów z Zachodu kreśli więc autor wizję Polaków, którzy zostali ucywilizowani całkowicie przez innych, bez jakiegokolwiek własnego kiwnięcia palcem w bucie. Czyli właśnie „przespali" całą modernizację i zostali wpędzeni w nowoczesność jak owce na pastwisko.

Diagnoza? Bynajmniej, to rzeczywistość postulowana – zarówno w odniesieniu do historii, jak i, przez analogię, do tego, jak powinien się ułożyć pod wskazania miejscowej liberalistokracji dalszy modernizacyjny proces.

Cnota bezradności

Narzuca się oczywiście wyjaśnienie, że ta pogarda to efekt wspominanej już wieloletniej, jeszcze szlacheckiej tradycji pogardy dla imć Zabłockiego i jego handlu mydłem. Dla łyków, dorobkiewiczów (sam fakt, że od „dorabiać się" ukuto w polszczyźnie słowo pogardliwe... chyba w żadnym innym języku tak nie ma), paskarzy, prywaciarzy – no i w końcu tych nieszczęsnych czarnych mokasynów do białych skarpet.

I to jest prawda, ale nie cała. Podejście inteligenta do ludu zawsze było dwoiste. Z jednej strony on ten lud kochał, chciał cywilizować, wydobywać z zacofania, przyciskać do serca i prowadzić na wspólnego wroga. Ale z drugiej – ludu, który się cywilizował i wydobywał z zacofania sam, po swojemu, inteligent nienawidził.

Międzywojenna nienawiść sanacji do ludowców i endecji była jedną z realizacji tej prawidłowości. Z jednej strony – Piłsudski, bene natus et possesionatus, z tym nietzscheańskim profilem, abnegacką pogardą dla materialnych zysków, ułańską fantazją, „Królem-Duchem" – za takiego żyć i umierać, przed takim się płaszczyć. A z drugiej, Boże mój – Witos? Modelowy cham zbuntowany, demonstracyjnie chadzający we wsiowych butach, sukmanach i koszulach bez kołnierzyka? Dmowski, syn brukarza, wszystko zawdzięczający sobie, przeciwieństwo Piłsudskiego seniora, który odziedziczył wielki majątek, drugie tyle wziął w posagu za Billewiczównę, i wszystko przepierdzielił? Jacyś oenerowcy, dzieci biedoty, drące się do wykształcenia, znaczenia, należnego oświeconym i tym, których oni wybiorą, wskażą jako godnych awansu?

„Lokalni biznesmeni" w spodniach chlorach i ci wszyscy drobni handlarze z bazarów, ze szczęk, ze swoimi spółkami, „przedsiębiorstwami wielobranżowymi" i „indywidualną działalnością gospodarczą" byli nie do przyjęcia przede wszystkim nie dlatego, że sobie nie radzili w transformacji, tylko niestety – że sobie radzili. Radzili sobie i za Gierka, i za Jaruzelskiego, i za Balcerowicza, a co najgorsze – radzili sobie sami!

A jedną z głównych cech inteligenta jest właśnie bezradność. Bezradność, z której czerpie on dumę. A jedno i drugie – i bezradność, i duma – jest bardzo mocno, historycznie uwarunkowane.

Jako że, wróćmy do wątku dziedziczenia społecznych odruchów, w swym rozwoju, rozkwicie i degeneracji inteligencja jedne cechy po warstwie szlacheckiej kontynuowała, innym zaś zaprzeczyła. Po tym, co ją do dawnej szlachty upodabnia, zajmijmy się teraz tym, co najbardziej ją od niej odróżniło.

Nie jest to wcale kwestia stosunku do ludu, bo jak, mam nadzieję, Państwa przekonałem, pogarda jawna została zastąpiona paternalizmem, również podszytym pogardą, więc nie była to zmiana aż tak dramatyczna jak ta, o której za chwilę.

Otóż dla demosu Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie było większego zła niż absolutum dominium. O poddaniu mu się nie było mowy, choćby alternatywą dla poddania się zamordyzmowi miała być zagłada. Inteligencja zaś stopniowo, przez dziesięciolecia, w swym najdłużej funkcjonującym nurcie przeszła do pochwały wodzostwa.

I niestety, nie było to, powiedzmy od razu, przejawem wzrostu obywatelskiej świadomości, bo w takim wypadku gotowości do poddania się silnej władzy towarzyszyłaby również stanowczość w egzekwowaniu republikańskiej legitymacji tejże władzy. Polski inteligent zaś z historycznej lekcji „jak szlachecka anarchia doprowadziła Polskę do zagłady” wysnuł jednak wniosek łatwiejszy niż ten, że trzeba budować demokratyczne struktury i procedury: wniosek, że trzeba bezwarunkowo być posłusznym wodzowi. A skąd ten wódz? Z wyroku Opatrzności, który odczytamy po charyzmie.

W ten sposób umiejętnie połączono potępienie dla anarchii z zamiłowaniem do niej i możliwością bezkarnego jej kultywowania – bo charyzmatycznych wodzów zawsze było i nadal jest wielu i każdy zbiera swój wierny kościółek, którego członkowie gotowi są wydrapać wszystkim innym oczy, że tylko ich wódz jest tym jedynym i prawdziwym.

Piszę tu o czymś, co jest najgłębiej mojej duszy obce, zawsze budziło mój instynktowny sprzeciw, czasem wyrażający się oburzeniem, a czasem tylko kpiną – a skoro kompletnie tego wiernopoddańczego instynktu nie pojmuję, to i trudno mi rzecz objaśnić. Sądzę jednak, że ta teza nie wzbudzi u państwa kontrowersji: inteligent polski zawsze gotów był do służby i potrafił być w niej bardzo ofiarny, ale do tworzenia planów, snucia wizji, kierowania, przewodzenia – drygu nigdy nie miał. Jego naturalnym stanem są wątpliwości i hamletyzowanie, ogólna niemożność, czyli, bardziej po inteligencku rzecz ujmując: imposybilizm.

Wystarczyło więc, że pojawił się ktoś ponadnormalnie pewny siebie, a miał inteligentów, jak chciał. Boże mój, ta maciejówka, te wąsy, ten szary strzelca strój!... To poświęcenie, ta miłość ojczyzny... O nic już nie trzeba pytać. On wie, jego słuchajmy, będzie dobrze.

Ach, gdyby tak Komendant mógł wrócić z zaświatów, on by nas poprowadził, wszystko by nam powiedział, co i jak mamy robić...

Oczywiście, totem, jaki uczyniono z Piłsudskiego, w decydującym stopniu zresztą dopiero za życia mojego pokolenia (nie chcę powtarzać tego, co pisałem o jego legendzie w „Złowrogim cieniu Marszałka”, kto ciekaw, odsyłam), jest największy, ale przecież nie jedyny. Tak jak dla Anglosasów naturalnym sposobem działania jest komitet, tak dla nas – wódz i jego wierne wojsko. Nawet jeśli znajdzie się taki unikat jak Dmowski, który całe życie się od wodzostwa odcinał i chciał Polakom zaszczepić tę anglosaską republikańską cnotę obywatelskiej samoorganizacji – to i tam jest przez swych zwolenników w rolę wodza uparcie wpychany. A jeśli, jak Dmowski, skutecznie się przed tym broni, to w końcu wyznawcy znajdują sobie wodza innego i cały ruch się sypie.

Chyba wystarczająco wyraźnie zaznaczyło się to w historii III RP – najpierw na umownej prawicy, potem w obozie lewicowo-liberalnym – żeby nie trzeba było tematu dłużyć.

Hipoteza Andrzeja Kijowskiego, do której nawiązywałem w „Złowrogim cieniu” – naród czuł się zdradzony przez polityków, więc wszystkie uczucia ulokował w dowódcach wojskowych – nie jest jedynym możliwym wyjaśnieniem.

Intelektualne lenistwo, skłonność do „życia ułatwionego” – a nie trzeba Ericha Fromma, by wiedzieć, że skłonność do poddaństwa to rodzaj życiowego wygodnictwa, tak jak w skali mikro tak zwane pantoflarstwo – także wszystkiego nie tłumaczą.

Inteligencka bezradność jest skutkiem, może na pozór paradoksalnym, ale logicznym, właśnie wzięcia w siebie tego awansu społecznego, który sama inteligencja przez z górą stulecie pilotowała. Uczymy lud bezradności, posłuszeństwa, tych jego przedstawicieli, którzy okażą się pojętni, w nagrodę uznajemy za równych sobie i powierzamy im niesienie kagańca oświaty dalej. A oni niosą go dalej w taki sam sposób, a nawet z jeszcze większą, jako neofici, gorliwością we wtłaczaniu cywilizowanych w jedynie słuszny strychulec. Z pokolenia na pokolenie więc, w miarę jak lud dostępował awansu, także jego inteligencka elita upodobniała się do

ludu – ale nie takiego, jakiego nie lubiła, „zbuntowanego”, tylko takiego, jaki starała się wytworzyć, pokornego, przyjmującego postęp jako dobrodziejstwo płynące z góry.

Spójrzmy pod tym kątem na nasze dzieje po roku 1989. Ktokolwiek będzie je po latach opisywał, niechybnie zwróci uwagę na niewiarygodną intelektualną miałkość i bezradność obozu, który przejął władzę i zarządzał transformacją – a raczej właśnie nie zarządzał nią, tylko implementował to, co przychodziło z zewnątrz. Kluczowy dla transformacji plan Balcerowicza przysłał MFW i zreferował nam Sachs, strategicznym celem stało się „wejść w struktury zachodnie”, ale nie po to przecież, żeby w nich coś zrobić – po to, żeby w nich być. Żeby tu było tak jak tam. Prawda?

Mogą Państwo czytać, co chcą. Szkice i mowy zebrane Bronisława Geremka, publicystykę „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, wywiady wybitnych dziennikarzy z prominentnymi w kolejnych okresach politykami – naprawdę nie znajdą tam Państwo niczego w kwestii „jak powinno być”, co by wykraczało poza banały: „normalnie”, „jak na całym świecie”, „jak w nowoczesnych państwach”. Co jest nie tak, dlaczego, kto jest zły, jaką krecią robotę robi, tego od metra, ale tylko tego. I nie ma znaczenia, umowna lewica czy umowna prawica, poza pewną specyfiką tej drugiej, jaką jest retroutopijna wizja Polski przedwojennej.

Polski inteligent to urodzony recenzent. Z prawdziwą pasją wskaże wam, co jest słuszne, a co nie, dobre okadzi, a złe potępi. W najostrzejszych słowach. Sięgając po obfitujące w literackie i historyczne asocjacje symbole. Dobitnie.

I uważa, że sprawa załatwiona. Jak na przykład ludzie oświeceni, „na pewnym poziomie” wzniosą ostrzegawczo palec do góry i powiedzą: to jest zagrożenie dla demokracji, to przypomina narastanie faszyzmu w weimarskich Niemczech! – to zdemaskowane zagrożenie powinno po tych słowach struchleć i wstydliwie zrejterować.

Postawienie diagnozy nie jest w tym sposobie myślenia wstępem do działania – jest celem samym w sobie. Jak salon orzekł: „nadchodzi faszyzm” – to nie pytajcie, co w takim razie. W takim

razie należy to potępić! A jeśli mimo potępienia „faszyzm” nie rejteruje? No... to trzeba go potępić jeszcze raz, mocniej. Może w ostrzejszych słowach. Może ustami jeszcze większych autorytetów. Może znaleźć bardziej wymowne symbole potępienia? Oporniki, białe róże, zbiorowe kasłanie pod domem Kaczyńskiego, co tam jeszcze...

Jak w tej wspaniałej scenie z „Mistrza i Małgorzaty”, kiedy literaci w Massolicie dowiadują się, że Berliozowi tramwaj odciął głowę, i pierwszym ich odruchem jest okrzyk, że nie mogą się tak po prostu rozejść, tylko tak jak tam wszyscy są, muszą wspólnie napisać jakąś depeszę. W rzeczy samej, rosyjska inteligencja była podobna do polskiej (tak naprawdę zresztą poza naszymi dwoma krajami ta warstwa, cywilizacyjna proteza zachodniej burżujskiej „klasy średniej”, nie zaistniała).

Zapyta ktoś – a dlaczego winić warstwę społeczną, która po prostu z zasady nie jest przeznaczona do zarządzania i działania, tylko do oceniania i doradzania, że zamiast zarządzać i działać, ocenia i doradza? To dobre pytanie. Problemem nie jest to, że inteligencja jest taka a taka, tylko że pełni funkcje, do których się nie nadaje, bo tak się historia Polski potoczyła, że wyspecjalizowanych do ich pełnienia grup społecznych wytworzyć nie mogła i siłą rzeczy funkcje zarządu musiał przejąć dział public relations. Zgoda, Ameryka też ma swoich „jajogłowych” i oni mają mniej więcej takie same ograniczenia, tylko że tam nikt im nie każe (i nie pozwala, kiedy się do tego rwą) rządzić państwem. Mówicie, że jeśli za kierownicą siedzi niewidomy, to nie jego należy potępić, tylko tego, kto go tam posadził. Ja się nawet z tym zgodzę, powiem tylko, że dla przyszłości pasażerów i samego autobusu to sprawa drugorzędna.

Ponieważ elita inteligencka, która swoją dziejową misję rozumiała jako narzucenie cywilizacji warstwom niższym, im bardziej je w sobie asymilowała, tym bardziej nabierała od nich nawyku, który sama im była wcześniej wszczepiła, że cywilizowanym trzeba być „od góry”. Tak oto doszliśmy do tego, co stanowi istotę i cenę naszej opisanej wcześniej odmienności, jaką było dokonanie się rozwoju społecznego nie, jak na Zachodzie, przez konflikt klas, ale przez

kooptowanie klas niższych do wyższej, metodą Łubieńskich, przy jednoczesnym obłożeniu nienawiścią i tępieniu chamów usiłujących tę jedynie słuszną ścieżkę awansu omijać i awansować sobie po swojemu, z zachowaniem swojego plebejskiego sprytu, a nawet cwaności, zaradności i pazerności.

Elita tę walkę przez wiele dziesięcioleci wygrywała, skutecznie chama nauczyła moresu i mimikry – może dlatego, że cham miał to już w genach, czego nieocenionym świadectwem wspominana „Liber chamorum”. Ale taka właśnie była cena tej wygranej: „państwo” sami nauczyli się tego, co wpajali chamom: że wzorce płyną z góry. Postinteligencka elita III Rzeczypospolitej sama nic nie wymyśli i innym zabroni nawet nie dlatego, że jest taka durna – choć, generalnie, jest durna – ale przede wszystkim dlatego, że święcie wierzy, że wymyślać niczego samemu nie tylko nie trzeba, ale wręcz nie wolno. Bo co wykombinujemy sami – będzie złe. Bycie elitą Polski nie oznacza bycia źródłem pomysłów, strategicznych wizji, wzorców czy norm. Oznacza bycie pasem transmisyjnym między tubylczą dziczą a stanowiącym owo źródło „białym człowiekiem” z „Europy” (tak, zupełnie celowo nawiązuję do „murzyńskości” elit III RP, o której wyrwało się w chwili szczerości byłemu ministrowi spraw zagranicznych, gdy nie wiedział, że jest nagrywany). Właśnie dlatego cała energia postinteligenckich, liberalno-lewicowych salonów, szczególnie od chwili gdy wyborcy ośmielili się zakwestionować ich przewodnią rolę, idzie nie w jakąkolwiek pozytywną pracę, ale w chłostanie chama, że jest przygłupem, obciachowcem i antysemitą, i w pouczanie go: nie myśl, nie kombinuj, tylko naśladuj lepszych od siebie!

Chamstwo ma naśladować państwa, ale państwo – też kogoś naśladuje. „Po francusku parlają parle franse” albo zamiast Polakami starają się być Niemcami, jak konstatował to z rozpaczą Dmowski – i dlatego właśnie wbrew całej szlachecko-powstańczej tradycji Rosję uznawał za mniej dla nas gorszego z okupantów – i wkupienie w Niemców uważają za wspięcie się na drabinie cywilizacyjnej o szczebel wyżej.

Tak, „Liber chamorum”, biblia szlacheckiego oburzenia, w istocie będąca biblią chamskiej pokory, czołobitności wobec panów i kompleksu niższości, to może najważniejsza księga naszych dziejów.

Dopiero kiedy to pojmiemy, współczesny polski mental otwiera się przed naszymi oczami i umysłem, jak Sezam po wypowiedzeniu właściwego zaklęcia otworzył się baśniowemu Ali Babie.

Siła imponowania

Najbardziej niepojętym fenomenem w dziejach polskiej inteligencji, płynnie przekształcającej się w peerelowską postinteligencję, a potem miejscową liberalistokrację III RP, jest to, że zdołała ona niemal w stu procentach wymienić swoje społeczne pochodzenie, a mimo to prawie nie zmienić swego mentalu. Wojskowi nazwaliby to zachowaniem esprit de corps, utrzymaniem ducha i morale oddziału, mimo że w kolejnych kampaniach praktycznie cały pierwotny skład osobowy poszedł do piachu, a jego miejsce zajęli, i to nawet kilkakrotnie, nowi rekruci. Wśród ludzi, którzy dziś czują się w Polsce „oświeconą elitą”, praktycznie nie ma potomków „starych rodzin”. Do jakiego stopnia stanowią rzadkość, najlepszy dowód, że wystawia się na front kulturowej „wojny polsko-polskiej” każdy znaleziony egzemplarz takiego dinozaura, nawet w tak oczywisty sposób felerny jak przyszywany hrabia Komorowski czy „prawnuczka” Kidawa-Błońska. Cóż, Czesi mieli tylko jedną Białą Górę, a my kolejne powstania, Palmiry, Katyń i Sybir, wojenną emigrację...

Owo „prawie” to przyzwolenie na okazywanie klasom niższym pogardy, która u schyłku tej formacji stała się właściwie podstawą zbiorowej tożsamości. U, nazwijmy to, starej inteligencji rzecz nie do pomyślenia. Inteligent mógł ronić łzy nad okrutnie pomordowanymi ofiarami rzezi galicyjskiej, ale podkreślał, że to „inni szatani” byli „ręką”, którą trzeba ukarać, a polski chłop tylko „ślepym mieczem”.

Żeromski, gdy w „Rozdziobią nas kruki, wrony” rozdzierał serca czytelników obrazem ciemnego chłopa, dziękującego Bogu za szczęśliwy traf, jakim była możliwość obdarcia trupa zabitego przez Moskali powstańca, też nie kierował oburzenia swojego i publiczności przeciwko temu chłopu. Nikt nie bluzgał od ciemnoty masom, które nie włączyły się do powstania. Historycznie pierwsze „wyższościowe” wątki pojawiły się dopiero w międzywojniu, ale i wtedy wypadało wytykać prostactwo tylko konkretnym osobom, jak Witos, bez wynoszenia się ponad „chamów” jako takich.

Zmieniło się to dopiero w PRL i moment, gdy to się stało, pozwala dość dokładnie wyznaczyć granicę, kiedy stara inteligencja została ostatecznie odesłana do rezerwatów w rodzaju Kabaretu Starszych Panów i do funkcji dekoracyjnych, oddając „rząd dusz” awansowi, dla którego „Rodowody niepokornych” były już tylko tym, czym galeria zamówionych u dyskretnego malarza, sztucznie postarzonych portretów przodków w nowobogackim domu. No a w latach ostatnich okazywanie wyższości „hołocie kupionej za pińćset”, uosabianej przez znienawidzonego „dyktatorka z Żoliborza” (skądinąd właśnie, paradoksalnie, jednego z ostatnich dinozaurów „starej inteligencji”), stało się ostatnim żywym, budzącym realne emocje elementem trupieszejącego dyskursu „elit”.

Ale w tym nie ma żadnej tajemnicy – po prostu stara inteligencja miała kompleks swojego lepszego urodzenia, uprzywilejowania, uważała więc, że tym, którzy nie mieli szczęścia dostać od życia analogicznego kapitału społecznego, coś się od niej należy. Ludzie z awansu mają optykę odwrotną: jeżeli oni wydźwignęli się z nizin, to inni też mogli, a skoro z tej szansy nie skorzystali, są w oczywisty sposób gorsi. Kiedyś nazwałem to „syndromem kolonialnego sierżanta”: nikt nie gardzi „czarnuchami” bardziej i nie czuje się od nich o tyle lepszy niż taki Murzyn, który dosłużył się w kolonialnej armii u białych podoficerskiego stopnia.

Znacznie trudniej wyjaśnić natomiast, jak to się stało, że choć inteligencja wchłonęła masy awansowanych plebejuszy i zasymilowanych Żydów, to ani plebejusze nie zaszczepili w niej żadnej z typowych cech plebejskich, ani Żydzi – żadnych cech

uważanych za żydowskie. Gdyby tak się działo, polski mechanizm awansu społecznego „przez kooptację”, a nie „przez walkę” sprawdzałby się równie dobrze jak ten zachodni. Ale w tym właśnie sęk, że przeciwnie, jedni i drudzy, awansując, zatracali swą zaradność, zamienili pęd do pieniędzy na pęd do prestiżu, a wolę zmieniania świata na wolę pouczania go. Słowem, niekoniecznie przejmując zalety dawnej inteligencji, kopiowali z gorliwością neofitów wszystkie jej wady.

Powiem szczerze: ja wiem jak i zaraz to Państwu wyjaśnię – ale przyznaję, że ni w kij nie rozumiem.

Znów bowiem dotykamy tu czegoś, co jest mi najgłębiej obce i równie niezrozumiałe jak ta skłonność do ustawiania sobie na cokołach Napoleonów, Naczelników, „legendarnych przywódców” czy innych bożków i wybijania przed nimi wiernopoddańczych pokłonów. Niektórzy ludzie nie mają słuchu muzycznego i nie odróżniają tonacji durowych od mollowych, niektórzy nie widzą różnicy między kolorem niebieskim a czerwonym – ja zaś nie potrafię rozgryźć, na czym polega ta siła, która każe się człowiekowi wzorować na jakichś „arbitrach elegancji”, małpować narzucane przez nich mody i drżeć na myśl, że ktoś taki mógłby okazać mu dezaprobatę albo, co gorsza, wyśmiać jako osobę „nie na poziomie” lub taką, której „nie podaje się ręki”.

Niemniej ta niezrozumiała siła imponowania jest jednym z ważnych czynników decydujących o ludzkich działaniach. Faktorem politycznym równie silnym jak potrzeba bezpieczeństwa, dostatku czy przyjemności seksualnej. Mówiąc ściśle, czynnikiem równie jak wyżej wymienione istotnym dla ludzkich zachowań jest potrzeba bycia szanowanym. Siła imponowania jest tylko jej pochodną: naśladujemy ludzi, którzy są szanowani, i ich zachowania, żeby załapać się na podobny szacunek. Im bardziej jesteśmy zakompleksieni, im bardziej wątpimy w to, że naprawdę na szacunek zasługujemy, tym bardziej pożądamy akceptacji ze strony „respectsetterów”. I trzeba tu oddać historycznym elitom czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, rozbiorów i międzywojnia, że wiele im mogło brakować z innych cnót, zwłaszcza tych

praktycznych, jednak ich siła imponowania, tkwiąca w malowniczej tradycji pasów słuckich, ułańskiej fantazji i romantyzmu powstań, była doprawdy potężna.

Kto chciałby oddać się studiom nad zjawiskiem łaszenia się do współczesnych nosicieli szacunku, powinien zapoznać się z moją „Michnikowszczyzną". Cała siła tej formacji i jej lidera polegała właśnie na dystrybuowaniu szacunku, możliwym dzięki sprytnemu zapewnieniu sobie u Wałęsy i jego postkomunistycznych partnerów z Magdalenki monopolu medialnego oraz polityce lansowania „swoich" autorytetów i usuwania z przestrzeni publicznej autorytetów przeciwnika, które mogłyby wyindukować w aspirujących do szacunku myśl, że istnieje więcej akceptowalnych prawd niż ta jedynie słuszna – bo to wiodłoby do dysonansu poznawczego.

Zasada była mniej więcej taka sama jak w tresurze politycznej poprawności na Zachodzie, ale wykonanie specyficznie polskie, wykorzystujące brand inteligenta. Chcesz za takowego uchodzić – dostosuj się do podawanego wzorca. A prawie każdy chce, w każdym razie jeszcze do niedawna chciał – na zadane w jednym z badań pytanie: „kim chciałbyś, żeby zostało twoje dziecko?" prawie 90 procent Polaków wskazywało odpowiedź: inteligentem.

Część tajemnicy sukcesu polegała też na tym, że ów zestaw opinii do powtarzania jako własnych i zachowań do małpowania, jakie oferował Michnik, był doskonale wpasowany w potrzeby peerelowskiej postinteligencji. Porównywalny z tą siłą, jaką stanowiło kiedyś – jak opisał to Jacek Kuroń – kilkanaście łatwych do wkucia formułek marksizmu, za pomocą których nawet skończony idiota może sobie wyjaśnić wszystkie skomplikowane problemy świata w sposób niepozostawiający miejsca dla wątpliwości.

Wiem, ale mimo wszystko, z tym swoim szczególnym daltonizmem na siłę imponowania, nie jestem w stanie zrozumieć, jakim cudem to mogło zadziałać aż tak mocno. Rozumiem targetowych pracowników budżetówki, którym doskwierała słoma w butach i gorliwym okazywaniem, że są „po linii", leczyli swoje kompleksy. Rozumiem ludzi tego rodzaju jak, dajmy na to, Ryszard

Kapuściński, którzy mieli paskudne plamy w życiorysie i gorliwie wspierali w dyskursie michnikowszczyznę w zamian za ochronę przed rozliczeniami czy lustracją.

Ale ludzi, którzy mieli zupełnie realne tytuły do szacunku i sławy, zupełnie niezależne od tego, co o nich napisano w „Wyborczej" – nie rozumiem. A tacy zabiegali o pochwały „respectsetterów" nie mniej gorliwie. Do Michnika łasili się nie mniej niż ci, którym jego łaska mogła dać wymierną korzyść, również tacy jak Janusz Głowacki, choć wrócił w aurze sukcesu z USA, czy Aleksander Kwaśniewski, choć wygrał drugą kadencję w pierwszej turze, miał ogromny wpływ na państwo i niczyja akceptacja naprawdę nie była mu potrzebna.

Ba, zabiegali o tę akceptację nawet zdeklarowani wrogowie „respectsetterów". Nawet dla śp. Lecha Kaczyńskiego i jego brata wydawało się przez wiele lat marzeniem, żeby ich działania wreszcie zostały pochwalone przez michnikowszczyznę. Niczego nie uznaliby za większy sukces, niż gdyby upadła ona na kolana i chóralnie zawołała: ach, to wy przez te wszystkie lata reprezentowaliście słuszność, a nie my!

To oczywiście nie byłoby możliwe – nawet papiestwo przyznaje się czasami do błędów, choć oczywiście woli, jeśli zdarza się, że trzeba zmienić zdanie, udawać, że tego poprzedniego, błędnego w ogóle nie było. Salon natomiast nie wycofuje się z raz zadeklarowanego stanowiska nigdy, straciłby swoją opiniotwórczość.

Natomiast dość chętnie przyjmuje „skruszonych" – w języku mafii mówi się o takich „pentiti" – i obdarza ich łaską wybaczenia, zwłaszcza jeśli są potrzebni do jakiejś brudnej roboty. Nie jest to wycofaniem się z poprzedniego wyroku, tylko podkreśleniem swojej mocy dowolnego decydowania, kto ma być szanowany, a kto nie. Tu najlepszym przykładem jest oczywiście Lech Wałęsa. Proszę, kto ciekaw, zerknąć w publicystykę michnikowszczyzny z dwóch okresów (słowa „publicystyka" używam tu z braku lepszego, w istocie specyficzny typ publikacji, jakie tam tworzono, nie pełnił żadnej z funkcji normalnej publicystyki; niczego w nich nie

analizowano, nie odkrywano, nie korzystano z żadnej wiedzy ani jej nie upowszechniano, autorzy ograniczali się jedynie do zupełnie gołosłownego wskazywania, kto jest dobry, a kto zły, co jest piękne i godne szacunku, a co ohydne i zasługujące na potępienie).

Najlepiej porównać teksty z samego początku III RP, z tak zwanej wojny na górze, gdy Wałęsa ogłosił, że będzie się ubiegać o prezydenturę, i niedawne, z okresu, gdy wdowa po generale Kiszczaku ujawniła zawartość jego prywatnej szafy. W pierwszych Wałęsa był tym, kim później stał się Kaczyński – dyktatorkiem, nowym Gomułką, Mussolinim i Kim Ir Senem, a na dodatek prymitywem, który nie umie prawidłowo sklecić zdania; ten sam czytelniczy target, do którego zwracała się „Wyborcza", wykupywał duże nakłady książeczek z dowcipasami o jego prostactwie i głupocie tudzież koszulki i znaczki z szyderczymi napisami typu „Bendem prezydentem". Dwadzieścia lat później natomiast te same autorytety z tej samej gazety okadzały go i polerowały jak złotego cielca, „najbardziej zasłużonego z Polaków", wielkiego męża stanu, twórcę naszej niepodległości etc., któremu wypominanie tego, co skądinąd wszyscy od dawna wiedzieli, jest „podłością" (ulubiona stygmatyzacja salonu, nawiasem mówiąc) i faszyzmem.

Reguła awansu

Wałęsa to przecież tylko jedno z wielu nazwisk na długiej liście ludzi, którzy kiedyś byli w dyskursie liberalistokracji mieszani z błotem, a potem zdołali się z nią zblatować i zaczęli być okadzani. Radosław Sikorski, Stefan Niesiołowski, Michał Kamiński, Roman Giertych... Nie chcę zarzucać Państwa nadmiarem szczegółów, chodzi tylko o podkreślenie, że zmiana etykiet z „faszysty" na „autorytet" przychodzi salonom łatwo. Możesz pozostać chamem, chamów też potrzebujemy, żeby okładali naszych wrogów cepami i kłonicami – ale musisz być chamem znającym mores, pokornym.

Wychodzi temu naprzeciw fakt, że marzeniem dominującym w mentalu chama jest stać się jednym z panów. „Postawie se pański dwór” – ujawnia to marzenie jeden z bohaterów „Wesela” Wyspiańskiego. I coś jeszcze: „złoty wór wysypie ludziskom przed ślipie”. Czyli: rzecz nie tylko w tym, żeby się stać panem, ale żeby samemu imponować, a nie tylko być tym, któremu imponują. Imponowanie jest nieodłączną częścią awansu, jego przypieczętowaniem, nic po stanowisku, pozycji i po pieniądzach, jeśli nie można ich niżej postawionym „wysypać przed ślipie”. Nic po sukcesie, jeśli nie jest on doceniany i podziwiany. A kto może zapewnić docenienie i podziw?

Niestety – tylko elity. Dlatego są niezbędne nawet tym, którzy głośno je zwalczają, i dlatego „lud musi być zdradzany przez swoich najsprytniejszych”: po jego plecach wspinają się ci najsprytniejsi między „onych”, a gdy już się między „onymi” znajdą, odwracają lojalność.

A jak się z salonami zblatować? Najlepiej we wspólnej, zgodnej z ich tradycją pogardzie dla chamstwa, z którego się wyszło. Mówiąc krótko, algorytm kariery w III RP, zrealizowany przez wymienionych wyżej i przez wielu innych, był następujący: żeby wdrapać się na górę, trzeba pomstować na elity, ich niedbałość o „ludzi” pozostawionych sam na sam z transformacją, a kiedy już się tam wdrapie – trzeba pomstować na ciemnotę, hołotę, Kościół i polski nacjonalizm.

Wychowawcze sukcesy salonu w efekcie jednak niosły mu w demokracji nieuchronną klęskę, bo pozyskany cham, naśladując tych, którzy mu imponowali, stawał się dla innych chamów zdrajcą i natychmiast przestawał być dla nich wiarygodny. Tak że w sumie żadnego trwałego przełożenia na masy salon w ten sposób nie zyskiwał.

Pouczającą lekcją – której oczywiście środowisko to nie zrozumiało i nie wyciągnęło z niej żadnych wniosków – były losy już pierwszej jego politycznej emanacji, Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna – ROAD (nieprzypadkowo nazwę wymyślono tak, żeby dawała dobry skrót po angielsku – zresztą tę

nieprzypadkowość podkreślało logo i półoficjalne hasło partii, że jest „drogą do Europy”). Kto pamięta tę efemeryczną formację, która weszła szybko w skład tworzonej jako przyszła partia liberalno-lewicowej władzy Unii Demokratycznej i jej kolejnych, marniejących coraz bardziej mutacji, ten może się zdziwi, ale ugrupowanie to miało ambicje być ruchem masowym.

W istocie było bardzo salonowe – wszystko zawiera się w krótkim, nieco pensjonarskim, ale właśnie dlatego będącym tak doskonałym świadectwem epoki zapisie z dziennika Izabelli Cywińskiej, w czasie opisanego tu spotkania założycielskiego ROAD minister kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego: „Był tłum. Sami jajogłowi, pełno znajomych. Czy to dobrze nam wróży? Mówili ładnie po polsku, szlachetnie, po chrześcijańsku, długo i przeważnie nudnie. Siedziałam za Międzyrzeckim, obok Majki [chodzi o aktorkę Maję Komorowską], przed Morgensternem. Pełno artystów, intelektualistów, arystokratów i Edelman. [...] Ostatni raz na Politechnice byłam w 1956 roku na spotkaniu z Goździkiem. Jakie to było podniecające!”.

Wkrótce potem Tadeusz Mazowiecki dał się namówić do kandydowania w wyborach prezydenckich przeciwko „chamowi z siekierą” – co prawda panowało w jego obozie przekonanie, że wygra w cuglach nawet bez żadnej kampanii wyborczej, ale jakąś wypadało zrobić. Stworzono więc „zespół promocyjny”, grupę doradców, którzy przygotowali Mazowieckiemu kampanijną strategię. Strategia, w największym skrócie, zalecała podkreślanie przy każdej okazji, że Tadeusz Mazowiecki jest przedstawicielem niekwestionowanej elity. „Zasadnicza sprawa – wskazuje wspomniany dokument – to życiorys premiera – jego pochodzenie ze starej, inteligenckiej i szlacheckiej (herb) rodziny płockiej. [...] powinien być ukazany na tle prezydentów II Rzeczypospolitej [...], do których osoba Tadeusza Mazowieckiego i jego program nawiązuje (podkreślenie znowu elementów wykształcenia i szlachectwa). [W paraleli do polityków międzywojennych] akcent pada na ich inteligenckość, wykształcenie, mądrość, skromność itp.”.

Fantastyczna lektura. Zwłaszcza w połączeniu z informacją, że twórcy tej strategii mieli żal do sztabu wyborczego, iż jej nie zrealizował, i temu właśnie przypisywali klęskę.

Okazało się już wtedy, że siła imponowania, na której zbudowana była cała polityczna koncepcja zagospodarowania przez obóz „lewicy laickiej” otrzymanej w Magdalence od komunistycznych generałów władzy, oddziałuje na pragnące się wybić jednostki – ale na masy, poza aspirującymi do miana elity pracownikami budżetówki, już nie.

Co charakterystyczne, ten tłum „jajogłowych” opisany przez Cywińską przyszedł na ów wiec – i jeszcze nie raz potem – nie z jakimś konkretnym pomysłem na „politykę polską”, nie z jakimś planem, w ogóle nie w żadnym celu konkretnym, tylko żeby zamanifestować poparcie, w duchu Bułhakowskiego „napisać razem jakąś depeszę i gdzieś ją wysłać”. Wokół ROAD i jego późniejszych wcieleń roiło się od profesorów, artystów i noblistów gotowych się podpisywać, deklarować wsparcie, „dawać nazwisko”, ale robić nie miał kto. Doradzać, udzielać światłych wskazówek, wspierać swym autorytetem – to tak. Batalię o przewodzenie masom od samego początku prowadzić zamierzano jednak rękami przewerbowanych przedstawicieli tych mas, stąd frontmanami ROAD stali się „legendarni” przywódcy Solidarności Władysław Frasyniuk i Zbigniew Bujak. W przekonaniu „jajogłowych” mieli przyprowadzić kierowanemu przez nich ruchowi masy, wskrzeszając „etos Solidarności”, ale na mocy opisanej przed chwilą prawidłowości masy uznały ich za zdrajców i przeklęły.

„Fakty teoriom bowiem przeczą, a to jest karygodną rzeczą” – jak pisał Janusz Szpotański. Karą dla faktów stosowaną przez „jajogłowych” jest nieprzyjmowanie ich do wiadomości: stanowcze wyparcie i odmowa. Zamiast wyciągnąć wnioski z klęski ROAD i wszystkich swych późniejszych projektów, UD, KLD, UW, PD, LiD, Europy Plus i tak dalej, salon stworzył sobie mit z gatunku „nadejdzie nasz dzień”. Nadejdzie, kiedy ciemnogród, składający się, jak wiadomo, ze starszych (a poza tym gorzej wykształconych

i z małych miejscowości), wymrze, a młodzi, wykształceni, z dużych miast... i sprawa załatwi się sama z siebie.

Ten dzień czasem, jak w 2007 roku, wydaje się bliższy, czasem, jak w 2015 – znowu nieco dalszy, ale że nigdy nie przyjdzie, w każdym razie nie sam ze siebie, salon nie przyjmuje do wiadomości. Po podwójnym triumfie PiS w 2015 roku łatwo wytłumaczył sobie, że Komorowski przegrał, „bo go brutalnie atakowano” (który polityk nie jest w kampanii atakowany?), a przegrana w parlamencie to był tylko fatalny przypadek, bo 38 procent głosów nie przełożyłoby się na większość sejmową, gdyby nie rozbicie głosów lewicy i omsknięcie się o włos pod próg wyborczy Korwina.

W wyborach parlamentarnych w 2015 roku partii Kaczyńskiego rzeczywiście dopisało szczęście, ale w 2019 było już odwrotnie – utrzymała większość w arytmetyce skrajnie dla niej niekorzystnej, gdy mandaty podzieliło między siebie pięć ugrupowań. Mimo to media liberalno-lewicowe wyparły klęskę ze świadomości równie gładko jak cztery lata wcześniej, dokonując cudów retorycznej ekwilibrystyki, że gdyby tak zsumować głosy wszystkich tych, którzy w 2019 roku w wyborach parlamentarnych zagłosowali na PO i Lewicę, i uznać, że ci, którzy zagłosowali na PSL, zagłosowali nie dlatego, że PSL przefarbowało się na ugrupowanie katolicko-patriotyczne, tylko że nadal uważali je za ugrupowanie „tęczowe”, na które było ufarbowane kilka miesięcy wcześniej w eurowyborach (z tym że wtedy na takie właśnie PSL nie zagłosowali), a tych, którzy zagłosowali na Konfederację, nie liczyć w ogóle, plus jeszcze tych, którzy nie głosowali w ogóle, policzyć jako tych, którzy nie głosowali na PiS, czyli właściwie jako niegłosujących przeciwko PiS – to wszystko w porządku, większość jest wciąż przy nas!

Tak czy owak, zawsze udowodnią sami sobie: nie popełniamy żadnego zasadniczego błędu. No, może tylko ten jeden, że jesteśmy zbyt łagodni dla chamów, za mało walimy ich po pysku, nie dość mocnymi słowami uświadamiamy im, że PiS to zagrożenie dla demokracji i Europy i że kto na nich głosuje, ten ciemnogród, roszczeniowa hołota, no i chamstwo, oczywiście.

Polityka z recyklingu

Polityka inteligencka... Nie chce się już nawet człowiekowi nad tym pastwić... Wyznam Państwu, że sięgając podczas pracy nad tym rozdziałem po książkę Katarzyny Chimiak o ROAD – pisaną z pozycji zdecydowanie dla tej formacji życzliwych – doświadczyłem dziwnej przygody. Niby wiedziałem, pamiętałem i z własnego doświadczenia, bo już w tych czasach robiłem za dziennikarza, i z lektur, ale mimo wszystko byłem zdumiony, czytając dzisiaj te deklaracje, przemówienia i wywiady sprzed lat trzydziestu.

Zdumiony mianowicie, do jakiego stopnia nic się przez te trzydzieści lat tam, na salonach, nie zmieniło. Wszystko, co mówili politycy i „liderzy opinii" w początkach roku 1990, powtarzane było potem rok w rok i jest powtarzane nadal. Cały dyskurs ukształtowany został już wtedy: zagrożenie dla demokracji, Europa, Polska to, niestety, straszna ciemnota, przez tę ciemnotę wyrzucą nas z Europy, jeśli nie powstrzymamy „populistów", to zabiorą wam wolność i znowu oddadzą ruskim... Modernizacja, faszyzm i antysemityzm, tolerancja, chamstwo pcha się na salony, bo nienawidzi lepszych od siebie i jest sfrustrowane sukcesami elit, miejmy wreszcie odwagę powiedzieć sobie bolesną prawdę o naszej historii i tak dalej. Kto przeczyta jeden wywiad z Geremkiem, Edelmanem czy Szczypiorskim z marca 1990 roku, przeczytał wszystkie wywiady zamieszczane co tydzień w „Wyborczej", „Polityce" i „Newsweeku" albo odbywane na antenie lewicowych telewizji.

Ci ludzie, żeby użyć tego sławnego powiedzonka o Burbonach w okresie restauracji, niczego się nie potrafią nauczyć i niczego nie potrafią zapomnieć.

Skoro twój wróg jest idiotą, to i ty sam nie musisz być mądry. Ta burbońska ociężałość elit owocuje więc także degeneracją tych, którzy rzucają im wyzwanie. Autorka wspomnianej książki o ROAD trafia moim zdaniem w sedno, gdy pisze: „Zarysowanie osi sporu na płaszczyźnie kulturowej – Europa kontra zaścianek – mistyfikowało

rzeczywistość w nie mniejszym stopniu niż podział na lewicę i prawicę. Porozumienie Centrum, główny przeciwnik ROAD, nie było negatywnie nastawione do otwierania Polski na Zachód. Oba te ugrupowania były w istocie siłami promodernizacyjnymi, różnił je pogląd na to, co stanowi główną przeszkodę dla modernizacji – kontynuacja PRL w instytucjach i procesach politycznych (PC) czy też w ludzkich umysłach (ROAD)”.

Pod ROAD można oczywiście podłożyć nazwy kolejnych politycznych inkarnacji salonu, do Platformy Obywatelskiej włącznie, a pod PC kolejne byty neosanacyjne, same siebie nazywające „prawicą”, „centroprawicą” albo „obozem patriotycznym”, aż po Prawo i Sprawiedliwość. W istocie, spór między nimi był równie... Nie powiem: „pozorny”, to by była przesada, ale powiem: „pałacowy”, czyli omijający istotę społecznego podziału, pomijający różnice, które generują prawdziwe emocje. Był i do dziś pozostaje sporem podobnym jak między bogatą a zbiedniałą szlachtą w powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem” albo jak spór między zwolennikami Mazowieckiego (hasło programowe: „demokracja”) a zwolennikami Wałęsy (hasło: „pluralizm”) podczas dekompozycji Komitetów Obywatelskich w 1990 roku. Oczywiście, zarówno Wałęsa w roku 1990, jak i Kaczyński odwoływali się w tym sporze do mas, a te widziały w nich nadzieję na spełnienie swoich, zupełnie innych oczekiwań. Ale w istocie szło o wyjaśnienie sobie spraw i o ustalenie hierarchii „w wyższych sferach”, czyli tak zwanej klasie politycznej, a nie o to, żeby dać ludowi głos i moc artykułowania, co go naprawdę boli. Państwo pokłócili się, jak te nowoczesne domy dla chłopów zbudować, ale ani jedna, ani druga strona sporu nie wątpiła, że samych chłopów nie ma co o to pytać, bo co toto może wiedzieć – jak dostanie nowe chaty, to zrozumie i będzie wdzięczne.

Polityczną drogę Jarosława Kaczyńskiego analizowałem w książce „Czas wrzeszczących staruszków” (zwłaszcza w rozdziale „Krzesło Kuronia”) i choć było to jeszcze za życia jego brata, nic nie mogę w tej analizie dziś zmienić ani dodać. Objąwszy niepodzielną władzę, do której tak uparcie i skutecznie latami dążył, rzeczywiście,

inaczej niż wszyscy jego poprzednicy, czuł się zobowiązany owe nadzieje ludu, który go wyniósł do władzy, jakoś zaspokoić. Ale wynikało to nie z jakiegoś zasadniczo odmiennego spojrzenia na aspiracje ludu, tylko z wiary, odziedziczonej po międzywojennej inteligencji, tej od Żeromskiego i „Wiadomości Literackich", że polska patriotyczna władza nie może zapominać o „sprawiedliwości społecznej". Jeszcze do tego wrócimy. Na razie, by zamknąć temat, wyjaśnić trzeba, kto w takim razie rządził, kiedy elity inteligenckie, jako zbyt nieogarnięte, rządzić nie były w stanie, choć przez wiele lat wydawało im się, że wszystko przebiega pod dyktando ich światłych pouczeń – a innych III RP wytworzyć wciąż nie umiała.

Czas cwaniaków

Odpowiedź jest oczywiście prosta: rządzili cwaniacy. Swoista proteza elity. Rządzili, bo algorytm polityki III RP – najpierw krzyczeć, że „Balcerowicz musi odejść", a potem krzyczeć na swoich zwolenników, że krzycząc tak, okazują swoją ciemnotę, bo Balcerowicza cały świat chwali i podziwia – nieuchronnie promował ten właśnie typ ludzki, będący stanem pośrednim między dołem a górą, między tymi na dnie narodowego gara a zbierającą się na jego wierzchu śmietanką, czy też szumowiną.

Cwaniacy.

Postinteligencja, a może już: liberalistokracja III RP, ulegając wyżej opisanym, coraz bardziej dojrzewała do zaakceptowania kogoś, kto wyrwie ją z pułapki niemożności, z „imposybilizmu", tak jak – w inteligenckiej legendzie – zrobił to „oświecony dyktator" Piłsudski, gdy zamachem majowym położył kres chaosowi i zagrożeniu ze strony „endeckiego ciemnogrodu", mającego za sobą nieoświecone masy.

Ale, i to właśnie jest inteligenckie do szpiku, nie ma takiego kogoś, kto otwarcie zaprzeczyłby jej „przewodniej roli". Na zamach, tak jak na wygranie wyborów, też trzeba mieć akceptację oświeconych elit.

Z dzieciństwa zapamiętałem taką bajeczkę Ludwika Jerzego Kerna – nie jestem w stanie dziś sprawdzić, wedle jego oryginalnego pomysłu czy zainspirowaną La Fontaine'em. Jakieś puszyste i bezbronne zwierzątko, dajmy na to, mały króliczek, uciekło rodzicom i urządziło sobie wycieczkę po okolicy. W pewnej chwili spotkało koguta. Kogut, jak to kogut, gulgotał, stroszył się, trzepotał skrzydłami, więc króliczek się go przestraszył i uciekł – jak raz w ramiona lisa. Lis, w przeciwieństwie do koguta, był dla niego miły, zatroskany, obiecał go przed tym strasznym stworem obronić; króliczek ufnie oddał się zatem pod jego opiekę, a gdy się zbliżył, lis kłapnął tylko paszczą i tak się bajka skończyła.

Otóż ta bajeczka opowiada właśnie o losach postinteligencji w III RP. W roli koguta wystąpił Jarosław Kaczyński, w roli lisa – Donald Tusk. Niewątpliwie najcwańszy ze wszystkich cwaniaków w krótkiej historii III RP.

I na tym właściwie można by poprzestać. Polityka inteligencka skończyła się polityką cwaniacką. Ze wszystkich planów, które miał u swego zarania liberalno-lewicowy salon, ten z czasów Geremka i Kuronia, pozostał już tylko wściekły strach o własną pozycję, pogarda i nienawiść dla zbuntowanego chamstwa. W tym stanie ducha salon gotów był się oddać każdemu, kto da mu nadzieję, że obroni go przed „chamstwem zbuntowanym”, choćby sam się na chamstwie opierał – byle na niezbuntowanym. I Tusk, polityczny kalibabka, doskonale to oczekiwanie spełnił. Oparł się na partii, która powstała z rozłamu Unii Wolności i której aktem założycielskim było wbicie rdzawego noża w plecy samemu wielkiemu Geremkowi, partii podobnych do niego cwaniaków, tylko mniejszych, różnych przekręciarzy, którzy nabrali wprawy w kręceniu lodów na poziomie miasteczka albo powiatu, a pod jego skrzydłami zaczęli robić to samo na skalę całego państwa.

Formacja Gradów, Grasiów, Chlebowskich i Drzewieckich, choć przejęła rolę „partii elit”, ani się z elit nie składała, ani ich tak naprawdę nie słuchała. Stwarzała tylko pozory, dopieszczając liberalne elity werbalnie i symbolicznie, ale wszystkie ich oczekiwania odkładając na wieczne nigdy. Symbolicznym

zachowaniem Tuska, które bawi mnie do dziś, była jego reakcja na akcję tak zwanych Obywateli Kultury, która to grupa stworzyła swoistą nową wersję Listu 34 z żądaniem większych pieniędzy na „kulturę”, a przy okazji liberalizacji w duchu wrocławskiego Europejskiego Kongresu Kultury – „małżeństw” homo, aborcji etc. Zebrali pod tym listem ileś tam podpisów i z zaskoczenia, przed kamerami, wręczyli go przybywającemu do „twórców” z gospodarską wizytą premierowi... I co ten zrobił? Z uśmiechem przyjął list, wyjął długopis, dopisał się do długiej listy popierających i oddał, mówiąc autorom akcji, by udali się z tym do ministra kultury.

Cóż, sam tego chciałeś, zbiorowy lewicowo-liberalny Grzegorzu Dyndało. Tak naprawdę polityka inteligencka skończyła się wraz z klęską Mazowieckiego. Salon tego nie zauważył, bo Wałęsa, choć z nim wygrał, przecież jednak w końcu się ukorzył i zblatował. Co prawda tylko dlatego, że próba lustracji zagroziła ujawnieniem jego najgorliwiej skrywanego sekretu... No a potem przyszedł kolejny cwaniak, Kwaśniewski, w ekipie Jaruzelskiego etatowy reprezentant młodzieży i minister od sportu. Żywa w aparacie byłego SLD legenda głosi, że poświęcał on wiele czasu i energii na masowanie ego Adama Michnika, odwiedzał go regularnie z „łyskaczem”, prosił o protekcję u różnych ważnych w świecie lewicowych mełamedów i pytał o radę w rozmaitych sprawach. Michnikowi i jego trzódce musiało się to wydawać układem idealnym – komuchy biorą całą robotę na siebie, ale robią przecież pod dyktando oświeconych, znają swoje miejsce i potrafią to okazać. Dopiero afera Rywina pokazała, jak naprawdę ten układ wyglądał i kto się w nim liczył, a kto był tylko żyjącym iluzjami pajacem.

Wałęsa, wrócę do niego na chwilę, człowiek, który dokonał sztuki niepowtarzalnej, przemierzając w swoim życiu drogę „od zera do bohatera” w obie strony, tam i z powrotem, jest chyba najlepszym przykładem owego zjawiska, na które się tu staram zwrócić Państwa uwagę jako na główną przyczynę naszej niemożności: chama niezbuntowanego.

Z jednej strony – wydawałoby się, cwaniak nad cwaniakami, zdołał w życiu, że użyję takiego słowa, „wyonacyć” każdego, z kim się zetknął. Wydudkał SB, wydudkał Solidarność, wydudkał inteligenckie elity z Geremkiem i patriotyczną centroprawicę z Kaczyńskim... Oszukał wszystkich. A jednak kończy żywot nie jak człowiek sukcesu, nie „prezydent zjednoczonej Europy”, którym widział się już w pewnym momencie zupełnie na poważnie, tylko jako internetowy hejter i skompromitowany, żałosny, zaprzeczający sobie po trzy razy dziennie bufon.

Dlaczego? Bo we wszystkich swych sukcesach nie umiał być chamem zwycięzcą, który „wyonacył” diabła podstępem i chłopskim sprytem, ale chciał być kimś innym, kim nie był. Zwycięstwo nie wystarczyło: chciał chwały, a że chwała należy się tylko rycerzom, to zaczął udawać rycerza. I zaplątał się w udawaniu, w niezbędnych do tego kłamstwach tak, że nie sposób go dziś z nich wyplątać. „To nie moje pismo – to mój pamiętnik, który mi SB ukradła – nic nigdy nie podpisałem – podpisałem, ale tylko sznurówki – podpisałem, ale oficerowi wywiadu, oficerowi, który zgubił pieniądze na samochód (?!) – podpisałem, ale ich oszukałem...” Codzienne niemal wpisy brzydko się starzejącego Wałęsy to jedna z najbardziej groteskowych, a zarazem ponurych lektur w całym internecie.

Gdyby Wałęsa miał odwagę powiedzieć prawdę: tak, podpisałem, współpracowałem, brałem za to kasę, dzięki temu, że mnie mieli za swojego, to nie zabili – ale w decydującym momencie, jak chcieli, żebym po stanie wojennym stanął na czele jakiejś neo-Solidarności, to ich wydudkałem. A co, przecież tak idąc wprost na zderzenie, wygrać z taką potęgą się nie dało, trzeba było ich ograć – jestem pewien, że właśnie taki zostałby przez Polaków zaakceptowany i do dziś cieszyłby się uznaniem, należnym człowiekowi, który zmusił Jaruzelskiego, żeby zamiast się bagnetem podeprzeć, jak to zaplanował, musiał na nim siedzieć; a to wiadomo, że kończy się zawsze tylko w jeden sposób.

Nie umiem wymyślić lepszego porównania, niż użyłem w swojej powieści: szewczyk otruł smoka podstępem, ale nie chciał się przyznać do tak niehonorowego załatwienia sprawy, zapragnął, by

śpiewali o nim trubadurzy i pisali kronikarze, więc zaczął udawać, że położył go trupem w otwartej rycerskiej walce. Zaczął usuwać świadków, niszczyć dokumenty, brnąć w kłamstwa coraz bardziej horrendalne, trubadurom może i nawet się z tym spodobał, ale zwykli ludzie, którym zależało tylko na tym, by bestię ukatrupić, zamiast być mu za jej ukatrupienie wdzięcznymi, po prostu się na cwaniaczka wypięli.

Z cwaniakami jest ten problem, że ich horyzont kończy się na nich samych. Tusk osiągnął władzę, której nie miał przed nim nikt od czasów Jaruzelskiego. Straszenie Kaczyńskim i PiS sprawiło, że mógł opinię salonów kompletnie ignorować. Nawet ten polityczny mord na ukochanym Geremku musieli mu wybaczyć i wspierać we wszystkim bezwarunkowo. Nie wspomnę już, że zdobył władzę w momencie dla Polski arcykorzystnej koniunktury, że miał siedem lat bardzo sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, a przez pierwsze cztery lata swych rządów dysponował, dzięki funduszom unijnym, pobranym pod ich zastaw kredytom oraz pieniądzom przysyłanym do kraju przez zarabiających na Zachodzie Polaków, piątym, dodatkowym rocznym PKB.

I do czego użył tych niepowtarzalnych możliwości? Wyłącznie do jednego: utrzymania przez siedem lat wysokich słupków popularności i wspięcia się po nich na unijną posadkę, bez żadnego pomysłu, po co, poza tym, żeby pławić się w bizantyjskich luksusach i pobierać niewyobrażalną dla przeciętnego Polaka pensję.

Siedem lat pozorów, przejadania zasobów, postkolonialnego obsługiwania interesów obcych we własnym kraju, podtrzymywania państwa w stanie tekturowej fasady, podejmowania decyzji szkodzących najbardziej żywotnym interesom Polski, byle tylko zwiększyć swe szanse na posadzenie na unijnym stołku... Wszystko wyłącznie z jedną perspektywą: dogodzenia własnej de. Staram się doprawdy nie mieć do polityków stosunku emocjonalnego, patrzyć na nich jak zoolog na egzemplarze fauny, ale w stosunku do Tuska, jak wiedzą moi wierni Czytelnicy, nie umiem tego profesjonalnego chłodu zachować.

Po rządach Tuska i jego cwaniaczków zmiana dokonana w roku 2015 musi być uznana za zmianę błogosławioną, bo przynajmniej zastąpił go u władzy człowiek, któremu chodzi o coś dla Polski, a nie dla siebie.

I tyle jest do pochwalenia. Bo niestety, kiedy się przyjrzymy dokładniej: polityka inteligencka doprowadziła do polityki cwaniackiej, ale jedynym antidotum na politykę cwaniacką, jakie potrafi zaproponować Kaczyński, jest powrót do polityki inteligenckiej. Tylko w jej drugim wariancie, nie lewicowym, ale legionowo-patriotycznym. Zamiast Miasteczka Wilanów – Żoliborz. Na rząd dusz peerelowskiej „obrazowanszczyny" sposobem ma być wydobycie z dziejowego grobu „starej inteligencji". „Nowa elita" postulowana przez PiS to ma być w istocie odbudowa elity starej. Wciąż w tym samym schemacie sporu jednego dworku z drugim, a polactwo niech siedzi i czeka, kto przyjdzie mu wybudować nowe chałupy – wedle swoich, nie jego pomysłów.

Polactwo to lubi, bo, jak wiele razy wyjaśniałem tym, którzy mojej książki nie czytali, to słowo nie jest kolejnym z tak licznych pogardliwych określeń dla Polaków ze wsi czy innych społecznych nizin, tylko diagnozą stanu pańszczyźnianej, niewolniczej bierności. Ale trzydzieści lat tkwienia w bierności to już może dość, żeby postkolonialny mental wreszcie się zmienił?

Zresztą musi. Musi, bo – i znowu trzeba wrócić do tego, co było na początku – zmienił się i zmienia świat, do którego przywykliśmy, i narracja „żeby było jak na Zachodzie" zaczyna pruć się w palcach, tak że już nawet najbardziej siermiężni aparatczycy i najbardziej „nieinteresujący się polityką" analfabeci nie mogą tego ignorować.

9. Zachód Wschodu

Istnieje taka zauważalna prawidłowość, że przywódcy, których przerosła sytuacja i którzy nie są w stanie zmierzyć się z prawdziwymi wielkimi wyzwaniami, zaczynają nadawać wielkie znaczenie jakimś duperelom i poświęcać im tyle energii oraz czasu, że na te prawdziwe wyzwania już ich nie starcza. Taki na przykład Adolf Hitler, rzecz mało znana, z prawdziwą pasją zajmował się sprawami żołnierzy ubiegających się o wyłączenie spod ustaw norymberskich. Zastrzegł wyłącznie dla siebie wszystkie decyzje niezbędne do funkcjonowania państwa, wszczynał wojnę za wojną, nie radził sobie z nimi i przegrywał – i nie miał czasu o tym myśleć, bo dumał nad jakimś gemajnem, którego prababka od strony dziadka matki okazała się wychrzczoną Żydówką, ale który był odznaczony za męstwo w obliczu wroga i przedstawił zaświadczenie organizacji partyjnej, chwalącej jego zaangażowanie i ideowość. I kiedy generałowie w przedsionku jego biura czekali na ustalenie, który front jako pierwszy ma dostawać benzynę, amunicję i uzupełnienia, wódz, dogłębnie rozważywszy rasowe obciążenia i zasługi petenta, własną ręką pisał na karcie: „zostawić gemajna w armii” albo „usunąć i do obozu”. Zachowało się kilkanaście tysięcy (!) takich akt z odręcznymi adnotacjami, dowodzącymi, że Führer każdą rasową krzyżówkę studiował z uwagą, nawet kiedy sowieckie szpice wychodziły już w przestrzeń operacyjną za Wałem Pomorskim.

Wyobrażają to sobie Państwo?

Uczciwszy proporcje – bo oczywiście nie porównuję tu osób ani systemów, ale tylko działający zawsze tak samo mechanizm – podobnie było z Jaruzelskim. Co robił, kiedy do reszty wykrzaczyły

mu się generalne założenia stanu wojennego jako kolejnej „socjalistycznej odnowy”? Bo z grubsza miało to być tak: Ludowe Wojsko oczyści Partię z wypaczeń, a ruch związkowy z „elementów antysocjalistycznych na obcym żołdzie”, obie Solidarności, ta rolnicza z Janem Kułajem, i ta robotnicza, z trzymanym na agenturalnym pasku Lechem Wałęsą, odbędą pod jego osłoną nadzwyczajne zjazdy, przywracające pryncypia ideowe – po czym wojsko wróci do koszar i znowu będzie, jak było. A tymczasem Solidarność udało się wprawdzie stłumić, ekstremę wygnać z kraju, ogół społeczeństwa obezwładnić i pogrążyć w apatii, ale operacja „Renesans”, będąca celem i sensem całej tej akcji, skichała się w zaraniu. Gospodarka, reformowana rozkazami i wojskowym „malowaniem trawy na zielono”, zdechła wskutek stanu wojennego do reszty, zdechła też Partia, i nawet jej wysocy funkcjonariusze potracili wiarę w socjalizm. Na dodatek zaczęły się pojawiać oznaki, że sam Związek Radziecki robi bokami i też może niebawem zdechnąć.

A Jaruzelski, jak wiadomo z licznych wspomnień, zajmował się wtedy obsesyjnym gładzeniem stylistyki swoich wystąpień. Nawet nie jakichś ważnych publicznych przemówień, co, nawiasem mówiąc, też by wiele sensu nie miało, ale referatów przygotowywanych do wygłaszania w gronie współpracowników i podwładnych, gdzie nie groziło, ani że ktoś okaże niezadowolenie, ani że doceni piękno i staranność polszczyzny towarzysza generała. Ten zaś czytał przygotowany tekst wielokrotnie, całymi godzinami, sprawdzał odmiany i synonimy w słownikach, wzywał współpracowników i zadręczał ich dopytywaniem, czy ich zdaniem lepiej w tym miejscu powiedzieć „ale”, czy „lecz” i czy na pewno, bo może jednak... Wyobrażają to sobie Państwo?

No, szczerze mówiąc, wcale Państwo nie muszą, bo przecież właśnie żyjemy w sytuacji analogicznej.

Ucieczka od przyszłości

Tyle że teraz ucieczka od rzeczywistości poraziła umysł nie konkretnego dyktatora, ale całych zbiorowości, i to niestety tych, które w demokracji są szczególnie ważne, bo zarządzają życiem publicznym. Dokładnie z tego samego powodu, realizując wbudowany w ludzką duszę tropizm, chroniący tak cenne dla przeciętnego umysłu poczucie bezpieczeństwa: nie pojmujesz, co się wokół ciebie dzieje, nie ogarniasz rzeczywistości, nie znajdujesz rady – skup się na tym, co pojmujesz, co ogarniasz i na co radę potrafisz sobie wyobrazić.

Wsadź głowę pod kołdrę, niebezpieczeństwo zniknie... Dziecinne? Jasne, cywilizacja zachodnia zasługuje dziś na miano zdziecinniałej. Przez kilka pokoleń nie miała poważnych problemów, więc brnęła w problemy urojone, aż ugrzęzła w nich na amen. Świat się wali, połowa jego mieszkańców umiera z głodu, a druga połowa z przeżarcia, rodzą się nowe imperia, miliony głodujących i spragnionych lepszego życia prą do krajów bogatych, które duszą się w tym bogactwie jak drożdże w wydalonym przez siebie alkoholu, a czym się zajmują światowe gremia?

W szczycie paniki wywołanej pojawieniem się nowego szczepu koronawirusa europosłanka Sylwia Spurek pochwaliła się w mediach społecznościowych, że zgłosiła na posiedzeniu europarlamentu poświęconym pracy nad dyrektywą w sprawie klasyfikowania żywności poprawkę dotyczącą zakazu nazywania produktów wegańskich w sposób kojarzący się z nazwami produktów mięsnych – czyli na przykład „kiełbaskami sojowymi” czy „vegeburgerami”. Ktoś powie może, że sięgam po osobę przysłowiowo, jak to się dziś mówi, „memiczną” i po przykład odosobniony. Odpowiem – pani Spurek w europarlamencie nie jest, niestety, odstępstwem, tylko normą, i pasuje tam ze swoją walką z kiełbaskami sojowymi dużo bardziej niż Marek Jurek czy inni politycy, których można uznać za poważnych. Zresztą wpisy jej czy innych lewicowych i liberalnych posłów w mediach społecznościowych obfitują w podobne przechwałki, w jakim to ważnym spotkaniu dany MEP czy MEP-ka właśnie uczestniczy, z jak ważnymi dostojnikami, poświęconym sprawom tak ważnym, jak na

przykład dyskryminacja osób transpłciowych w Ugandzie albo promowanie w językach krajów stowarzyszonych żeńskich form nazw zawodów. Zupełnie nie dostrzegają oni, że i te gremia, i ich problemy wydają się wymyślone przez Mrożka albo Ionesco.

A europarlament w swoim skupieniu się na tak ważnych i poważnych sprawach bynajmniej nie odstaje od innych wspólnotowych struktur, choć może za sprawą bizantyjskich apanaży i idiotycznych comiesięcznych peregrynacji między dwoma siedzibami przeżera jeszcze grubsze miliardy niż pozostałe unijne instytucje.

Nie przypadkiem poświęciłem w jednym z poprzednich rozdziałów obszerną dygresję sprawie Dreyfusa, w której liberalistokracja widzi swój mit założycielski. Warstwa zarządzająca dzisiaj liberalną demokracją rodziła się w walce o prawa rozmaitych grup wykluczonych czy prześladowanych. Kiedy zabrakło realnie prześladowanych, aby móc dalej realizować swe posłannictwo, zaczęła ich wymyślać – a kiedy stanęła przed problemami zupełnie innego rodzaju, wymagającymi innego działania niż zwalczanie segregacji rasowej, antysemickich przesądów czy nierówności dochodów, działania, którego ta formacja nie umie wymyślić, tym bardziej zaczęła brnąć w to, co umie. Nie ma Dreyfusa? Nie ma rasistów? Spokojnie, wymyślimy ich i będziemy z nimi walczyć, bo to jedyne potrafimy.

To jest w sumie naturalna kolej rzeczy, nie pierwszy raz się to w dziejach zdarza. Właśnie dlatego od czasu do czasu trzeba wymieniać elity panujące.

Osobną książkę można by temu poświęcić, a w niej cały rozdział na samo tylko wyliczanie absurdów konającego liberalistokratycznego świata. Ambasadorowie poważnych, wydawałoby się, państw zajęci drapowaniem swych ambasad w tęczowe banery i paradowaniem z półgołymi dziwadłami. Suto opłacane agendy Narodów Zjednoczonych podnoszące w kosztownych elaboratach zachcianki seksualnie niewyżytych perwersów nawet nie do takiej samej rangi, ale do rangi dużo wyższej niż sytuacja w krajach, które światowe mocarstwa, chroniąc

swe rynki, wpędziły w permanentny głód. Doprowadzenie „praw człowieka" do tak kompletnego skretynienia, że zakazywanie zboczonemu chłopcu dostępu do damskiej toalety generuje większe oburzenie ich obrońców niż krwawa eksterminacja całych narodów (nie przesadzam, proszę porównać liczbę publikacji i interwencji dotyczących problemu „trzeciej toalety" w krajach Zachodu z tymi dotyczącymi eksterminacji Ujgurów). Narzucanie na siłę „standardów cywilizacyjnych" kulturom tak krańcowo odmiennym od euroamerykańskiej, że skutkiem jest prowokowanie w krajach afrykańskich czy azjatyckich masowej przemocy wobec kobiet, wpychanych „parytetami" do nieakceptujących ich grup zawodowych, oraz rzeź milionów nienarodzonych dziewczynek tam, gdzie zachodnie „prawa reprodukcyjne" spotkały się z upowszechnieniem badania USG. I przy skupieniu się na tych ważkich problemach – nie zapominajmy jeszcze o usilnych staraniach mających na celu ograniczenie za kilkadziesiąt lat o kilka procent emisji dwutlenku węgla spowodowanej przez człowieka, stanowiącej tylko kilka procent naturalnej emisji tego gazu, odpowiedzialnego za zaledwie kilka procent „efektu cieplarnianego" – kompletne ignorowanie przed rokiem 2008 licznych ostrzeżeń ekspertów o nadchodzącym załamaniu nadmuchanych subprime'ami światowych instytucji finansowych, a przed rokiem 2019 jeszcze liczniejszych prognoz nieuchronnej pandemii, skutkującej globalnym załamaniem gospodarczym.

Jeden przykład: „heban"

Każdy z tych rzucanych tu w przypadkowej kolejności problemów to osobna historia. Pozwolę sobie wybrać z nich kwestię imigracji. Z jednej strony mamy wyludniające się kraje bogate, bez własnych młodych pokoleń, z drugiej przeludnione kraje biedne i tłumy młodych ludzi bez nadziei na przyszłość, gotowe na wszystko, by dostać się do strefy dobrobytu. To wcale nie musi oznaczać

katastrofy: weźmy choćby jeden przykład – Stany Zjednoczone. Trzeba mieć tylko odpowiednią politykę imigracyjną, i Amerykanie taką mieli. Symbolizowała ją wyspa Ellis, na której dokonywano ostatecznej selekcji przybyszów. Wspominałem już zresztą o tej polityce, bo jej ofiarą padli środkowoeuropejscy, w tym polscy Żydzi, których emigrację, bardzo w pierwszych latach po traktacie wersalskim liczną (mało kto przypomina, że początki portu w Gdyni to właśnie punkt przeładunkowy dla takich emigrantów), zdecydowanie wstrzymano, czego najbardziej spektakularny przykład stanowiła historia statku „St. Louis". Dla Żydów było to przykre, a w przypadku „St. Louis" tragiczne, ale dawna Ameryka dzięki poddaniu migracji ostrym rygorom zyskała na niej, i to bardzo, a nie straciła, jak współczesna Europa.

Współczesna, przeżarta demoliberalnym obłędem Europa postanowiła bowiem pójść na żywioł. Salony ogłosiły, że prawo do zamieszkania w wybranym miejscu globu, związane z nabyciem uprawnień do przysługujących tubylcom świadczeń, to też jedno z „praw człowieka", i tym prostym sposobem uczyniły z „uchodźców" kolejną grupę, której trzeba bronić przed dyskryminacją, wyrażającą się w próbach ograniczenia ich napływu. Jak zwykle, pod pozorem wzniosłych haseł kryło się cyniczne wyrachowanie – masowa imigracja z niechrześcijańskich kultur (bo cała miłość liberalistokracji do „uchodźców" nieprzypadkowo skupia się na muzułmanach, Syryjczyk czy Libańczyk, który jest chrześcijaninem, może dla niej zdychać) miała być w zamiarach lewicy młotem, który skruszy „patriarchalne" społeczności i państwa narodowe, „wymiągwa" je w gombrowiczowską „kupę", a potem przybysze zatracą swoje wierzenia oraz wartości równie gładko jak autochtoni, a inżynierowie dusz łatwo zrobią z tej „miągwaniny" postulowany glajchszalt, społeczeństwo już nie tylko bez klas (bo to do realizacji marksistowskiej utopii okazało się nie wystarczać), ale także bez płci, bez rodziców i dzieci, i tak dalej.

Przyzwalając na narzucenie debacie publicznej naiwno-cynicznego obrazu „uchodźcy", liberalno-lewicowe elity musiały usunąć z niej elementarny zdrowy rozsądek. Nie mogły otwarcie

tworzyć narzędzi do ochrony zewnętrznych granic Unii – rzekomo przeznaczona do tego agencja Frontex to parę marnych biurek, kosztujących Europę śmieszne grosze w porównaniu z utrzymaniem w dostatkach i luksusie jej rozdętych synekur. Nie mogły stworzyć europejskich odpowiedników wyspy Ellis ani systemu weryfikowania przybyszów, oddzielania tych, z których może być pożytek, od tych, którzy gwarantują kłopoty. To byłby przecież „faszyzm”!

Z drugiej strony – po sukcesie wielkiej operacji marketingowej z upozowaniem na tureckiej plaży dziecięcego trupka i skruszeniu nim oporu zachodnich społeczeństw, gdy w krótkim czasie zwaliły się do Niemiec setki tysięcy „uchodźców”, wszyscy oczywiście bez papierów, wszyscy podający się za nastolatków i wojennych uciekinierów z Syrii czy Afganistanu, wszyscy bezbrzeżnie roszczeniowi i pouczeni przez przewodników, którzy ich do Europy przyprowadzili, o przysługującej im tu całkowitej bezkarności – gdzieś tam resztki zdrowego rozsądku się obudziły i napływ imigrantów, proszę, kto ciekawy, poszukać danych liczbowych, został po cichu, bez otrąbiania sukcesu zatrzymany.

Jak zdołano tego dokonać, nie mając żadnych narzędzi? Cudzymi narzędziami: opłacając na różne sposoby gangsterów, którzy robią to, czego rządy europejskie zrobić nie mogą.

Niektórzy zwracali uwagę – narażając się na wściekłe ataki politycznie poprawnych mediów i liberalistokratycznych pyskaczy – że migranci, w tychże mediach pokazywani jako uciekające spontanicznie przed wojną kobiety z dziećmi, nie dość, że w istocie są niemal wyłącznie mężczyznami w wieku poborowym, to jeszcze mężczyznami znakomicie zorganizowanymi. Wędrowali podzieleni na grupy, z przewodnikami, pozostającymi w stałym komórkowym kontakcie z jakimś centrum kierowania ruchem, wyposażeni w mapy, adresy docelowe albo, w innych miejscach, w łodzie czy inne środki transportu.

Nikt poważny nie może zaprzeczyć, że przerzut „uchodźców”, obojętne, którym ze szlaków, to wielki przemysł, może już nawet większy niż handel narkotykami. Tajemniczy baronowie tego

przemytu zarabiają miliardy. Pobierają je od każdego przeprowadzonego, często na kredyt, biorąc za zakładników jego pozostawianą w Afryce czy Azji rodzinę. Potem „uchodźca” odrabia to niewolniczą pracą, czy to w europejskich burdelach, czy w gangach, czy na ulicach – jeśli pamiętają Państwo z kurortów czy stolic te długie szeregi czarnych handlarzy sprzedających pamiątki i chińskie badziewie na ulicznych barachołkach, to to są właśnie współcześni niewolnicy, zresztą ci akurat spośród nich, którzy i tak najlepiej trafili.

To właśnie z mafijnymi baronami zarządzającymi współczesnym handlem „hebanem” (jak odwiecznie nazywano afrykańskich niewolników) trzeba było zadilować, żeby przejęli rolę pozorowanego Fronteksu i nieistniejącej wyspy Ellis. To oni wyznaczają limity tych, których po oskubaniu z kasy wpuszczą (bo z biednych krajów emigrują przecież nie najbiedniejsi, chyba że mówimy o legalnie sprowadzanych kolorowych robotnikach przymusowych, tylko stosunkowo bogatsi), i pilnują, by te limity nie były przekraczane, bo zresztą psułoby im to hebanowy rynek. A liberalistokratyczne gremia w zamian łaskawie przymykają oczy i dostarczają pomocy w transporcie towaru czy to przez agendy rządowe, czy przez Sorosowe fundacje, których ośmiornica oplotła zachodni świat jak kiedyś sieć agend bolszewickiego Kominternu.

Nie mając własnych narzędzi i wyżej od czegokolwiek innego ceniąc pozory, musi także Zachód dilować z władcami, których oficjalnie potępia i którymi gardzi, ale którzy o pozory dbać nie muszą. Po opisanym tu wzmożeniu, którego znakiem był martwy chłopiec upozowany na tureckiej plaży (w istocie zresztą żaden „uchodźca”, po prostu ofiara wypadku), „szlak bałkański” wysechł na kilka lat, bo pani kanclerz Angela Merkel, napajacowawszy się do woli z gromkim „herzlich willkommen” i opowieściami z mchu i paproci o tym, jak to masy przybyszów Europę ubogacą i pchną cywilizacyjnie do przodu, pojechała do prezydenta Erdoğana i grzecznie wypłaciła mu sute kwoty, jakich zażądał. Z tym że ostatnio chyba mu się już te pieniądze skończyły, bo „uchodźcy” pojawili się znowu.

Sam bliżej obserwowałem inny przykład – byłem akurat w hiszpańskiej enklawie Ceuta w Maroku, formalnie jedynym kawałku Unii Europejskiej na ziemi afrykańskiej. Słynie ona z tego, że od czasu do czasu obiegają światowe media zdjęcia prawdziwych szturmów, jakie przypuszczają na nią Afrykanie z głębi kontynentu, forsując tysiącami kilkumetrowe płoty, zapory i umocnienia ogradzające enklawę. Zasada jest prosta: kto postawił nogę na unijnej ziemi, jest już szczęśliwym „uchodźcą", zabieranym do ośrodka, ubieranym, wyposażanym i odwożonym do Europy. Strażnicy oczywiście mogą się tylko przepychać ze szturmującymi, co przy ich liczbie nie daje żadnych szans, o gazie, pałowaniu, nie mówiąc już o strzelaniu, mowy nie ma, kamery patrzą.

Trudno nie spytać – skoro z głębi Czarnego Lądu wciąż nadchodzą nowi „uchodźcy", a strażnicy europejskiej granicy są tak bezradni, dlaczego takie wielkie szturmy odbywają się raz, dwa razy do roku, a nie codziennie?

Dlatego, że na co dzień pilnują tej granicy, po jej drugiej stronie, strażnicy marokańscy. A z nimi nie ma przepychanek – jeśli jakiemuś czarnemu podróżnikowi rozwalą głowę, nikt nie będzie czynił im z tego tytułu wyrzutów ani się o niego upominał; no chyba że był on zakontraktowaną już własnością któregoś z przedsiębiorstw eksportujących „heban" do Europy.

W Ceucie dla nikogo, z kim rozmawiałem, nie było żadną tajemnicą, jaka jest przyczyna incydentalnych szturmów. Jeśli Hiszpania albo Unia przestaje spełniać oczekiwania króla Maroka, strażnicy znikają – i to zwykle wystarcza, żeby szybko osiągnąć negocjacyjny sukces. Jeden z najbardziej spektakularnych ataków „uchodźców" na granicę miał miejsce, kiedy król Maroka rozszerzył strefę połowów swojego kraju o kilkaset mil morskich od brzegu i Unia nie chciała tego zaakceptować; po kilku dniach zaakceptowała. Zwykle jednak przyczyną napięć jest nadgorliwość w ściganiu marokańskiego przemytu. To państwo, generalnie biedne, wywalczyło sobie bowiem pozycję głównego źródła zaopatrzenia Europy w narkotyki, zwłaszcza w haszysz. Marokańczycy, jako ortodoksyjni muzułmanie, tego świństwa

oczywiście nie używają, zresztą obowiązują za to surowe kary. Ale „białe małpy” trują z rozkoszą, ściągając od nich za to ogromne pieniądze. Wszyscy wiedzą, jakie są mniej więcej rozmiary kontrabandy, i wszyscy wiedzą, że lepiej na to zamykać oczy, ot, dla pozoru znajdzie się coś czasem w indywidualnym bagażu przybywającego stamtąd turysty – gdy jednocześnie statek, który go przywiózł, cały jest wyładowany „towarem” i nikt nie jest taki głupi, żeby tego „towaru” szukać.

Taka jest polityka liberalno-demokratycznych „oświeconych”, lamentujących dziś w całym zachodnim świecie, że jacyś „populiści” próbują ich odepchnąć od stanowisk, do których sprawowania mają wyłączne tytuły. Parafrazując Churchilla: mając do wyboru hańbę albo wojnę, zawsze wybiorą hańbę, przez co wojnę sromotnie przegrywają.

Wypełnianie pustki

Proszę nie sądzić, że mam coś akurat przeciwko królowi Maroka i jego poddanym. Jakie układy muszą istnieć w Libii, „wyzwolonej” przez Europę w imię szerzenia demokracji, czy w zdekolonizowanej na nieszczęście kilku kolejnych pokoleń Algierii albo w „wyzwolonym” wysiłkiem Narodów Zjednoczonych Kosowie, niech piszą inni i gdzie indziej. Mnie chodzi tylko o przykład tego faktycznego porządku świata, jaki panuje pod pozorami liberalno-demokratycznego „końca historii”. I o skalę odrealnienia światowych elit oraz zakłamania kontrolowanej przez nie debaty publicznej, skupionej na walce o „trzecią toaletę”, upowszechnianie w krajach Europy wiodącej roli kulturowej LGBT oraz zwalczanie polskich i węgierskich „reżimów”, które odmówiły przyjęcia mechanizmu przymusowej „relokacji” kilku tysięcy migrantów, gdyż tylko taką odpowiedź na cały wyżej opisany splot napięć znaleźć potrafiła Unia Europejska.

Polityka nie może się obyć bez pewnej dozy cynizmu, obłuda jest jednym z niezbędnych smarowideł jej maszynerii, ale stopień oderwania świata zachodnich elit od rzeczywistości dawno przekroczył granicę absurdu. Cała warstwa wyższa, wyprodukowana przez dążenie do „postępu" rozumianego na sposób demoliberalny, ucieka w pierdoły, bo stanęły przed nią wyzwania o tyle przerastające zestawy formułek o tolerancji, w których się wychowała, że nie tylko nie jest w stanie się z nimi zmierzyć, ale nawet nie potrafi ich dostrzec. W efekcie mamy kolejne katastrofy, na które zarządzające polityką, debatą publiczną i życiem umysłowym Zachodu elity kurczowo zamykają oczy.

„Natura próżni nie uznaje..." Nie tylko w przywołanej tu kwestii nowej wędrówki ludów, ale wszędzie tam, gdzie są do ugrania miliardy, siłą rzeczy przejmują prym cwaniacy, wykorzystując narzędzia teoretycznie demokratycznej władzy do przekrętów na nienotowaną w dziejach skalę. Takich jak łupienie słabszych państw przez silniejsze za pomocą „limitów emisji" dwutlenku węgla czy innych hucp uzasadnianych „ratowaniem planety", jak wmuszanie eurodyrektywami milionom konsumentów wątpliwych technologii albo organizowanie systemów unikania przez wielkie korporacje opodatkowania – patrona i organizatora takiej centralnej europejskiej pralni zrobiła przecież nawet euroooligarchia w nagrodę przewodniczącym Komisji Europejskiej (na którym to stanowisku zasłynął zresztą głównie tym, że rzadko kiedy widziano go trzeźwego, co najlepiej pokazuje, że realna władza cały ten czas była gdzie indziej).

W innych miejscach z kolei, gdzie nie ma do wzięcia wielkich natychmiastowych zysków, słabość demoliberalnych elit wykorzystują grupki fanatycznych wyznawców radykalnych ideologii. Ponieważ przestały one natrafiać na jakikolwiek opór, posuwają się do skrajnych nonsensów, wbudowując je w agendę wpływowych liberalistokratycznych kręgów z podobną łatwością i analogicznym skutkiem, jak wirus wbudowuje swoje sekwencje w łańcuchy DNA zdrowych komórek. Czy da się jeszcze wymyślić coś bardziej uderzającego w podstawy ludzkiej cywilizacji – już nawet

nie cywilizacji europejskiej czy judeochrześcijańskiej, ale każdej cywilizacji, która zdołała na naszej planecie wygenerować jakikolwiek rozwój – niż zanegowanie różnicy między tym, co antyczna filozofia Dalekiego Wschodu nazwała yin oraz yang i oddała w symbolu dwóch węży ułożonych głowami przy ogonach, pierwiastków męskiego i żeńskiego, których harmonia w odmienności, konflikt i komplementarność są podstawą wszystkiego? Czy da się w nihilizmie i ideologicznym obłędzie posunąć dalej niż potępienie dla rozmnażania się i kryminalizowanie chęci posiadania potomstwa – bo dzieci, jak każda żywa istota na tym świecie, wydzielają dwutlenek węgla?

Nie wiem. Może i się da, ale liberalna demokracja i tak posunęła się już wystarczająco daleko. Cynizm i ideologiczny obłęd łączą się, tworząc piorunującą mieszankę wybuchową. Zamiast obiecanego końca historii i stopniowego ogarniania kolejnych krajów, aż po krańce globu, doskonałym demokratycznym systemem praw i wolności mamy beczkę prochu z dziesiątkiem tlących się lontów, a cywilizacja, jeszcze niedawno ogłaszana ukoronowaniem dziejów, znajduje na to tylko jeden sposób: skupić się na walce z patriarchatem, nacjonalizmem i resztkami chrześcijaństwa. Trzynastoletnia dziewczynka, która nie chodzi do szkoły, bo walczy o klimat, wygłaszając na forach Narodów Zjednoczonych i Unii Europejskiej z histeryczną ekspresją kompletne kocopały i zbierając oklaski od celebrytów, szefów państw i intelektualistów, jest jednym ze znakomitych symboli zmierzchu liberalistokracji. A zarazem nie jest niczym nowym – kto ciekaw, niech sobie wyszuka, kto to był Stefan z Cloyes.

Bodaj już w pierwszej ze swych publicystycznych książek przywoływałem głośny eksperyment ze szczurami, którym zadawano nieograniczone ilości paszy. To klasyczne badanie wielokrotnie weryfikowano i powtarzano, jedna z tych prób została stosunkowo niedawno spopularyzowana w necie jako „mysia utopia”, kto ciekaw, znajdzie szczegóły o niej pod hasłem „eksperyment Calhouna”. Wszyscy wiedzą, ale na wszelki wypadek streszczę: natura okazuje się nie znosić stanu dobrobytu, populacja

doświadczająca powszechnej obfitości dóbr nieuchronnie popada w degenerację, której częścią jest pojawienie się licznych osobników atakujących inne, paskudzących do jedzenia, zagryzających samice i młode, niszczących na wszelkie sposoby normalne reakcje w stadzie; mówiąc krótko, zastępujących nagle i wbrew naturze zanikłe niebezpieczeństwa zewnętrzne.

Barbarzyńców atakujących dziś podstawy cywilizacji, pod jakimikolwiek czynią to hasłami, też nie należy traktować jako wyrazicieli jakiejkolwiek ideologii, choć zawsze jakąś głoszą, prezentując się jako rzecznicy mniejszości, kobiet, przyrody, formułując jakieś manifesty „genderyzmu", „animalizmu" czy „klimatyzmu". Przeważnie jest to wszystko stek nonsensów, logicznych sprzeczności i emocjonalnych manipulacji, wyrosłych z owych opisanych przez Kuronia kilkunastu marksistowskich formułek dla idiotów, i gdyby ktoś chciał te ideologie przedyskutować merytorycznie i z dobrą wolą, nie ostałyby się ani jednego dnia. Ale one są tylko racjonalizacją dla instynktu niszczenia, a ich wyznawcy to jedynie posłańcy natury, analogiczni do szalejących z nadmiaru karmy szczurów gryzących inne szczury i niszczących pokarm. Ot, po prostu wewnętrzni barbarzyńcy, ścigający się z tymi napływającymi z zewnątrz, kto pierwszy po raz kolejny zburzy Rzym, złupi go i pożre owoce pracy jego mieszkańców. Jeśli im na to pozwolimy, obezwładnieni ich bojowym wrzaskiem i własną niepewnością swego, to zwyczajnie będziemy głupi.

Przeżyć koniec świata

Proszę nie odbierać tych spostrzeżeń jako jakichś jeremiad, kazań czy lamentów nad upadkiem cywilizacji. Oczywiście, można tu sypać stosownymi cytatami i porównaniami. Choćby takimi jak Witkacowskie „tak zwana ludzkość w obłędzie". Albo, bardziej wzniośle, pojechać Krasińskim: „Już się ma pod koniec starożytnemu

światu – wszystko, co w nim było, psuje się, rozprzęga i szaleje – bogi i ludzie szaleją". Przychodzą barbarzyńcy, tłuką bożka ironii obcasami i dosypują do potraw. Itede, itepe.

Ale z tym to nie do mnie. Ja, skromnie, chcę tylko Państwu uświadomić, zwłaszcza tym z Państwa, którzy przyszli na świat znacząco później ode mnie, że trzeba to jakoś przeżyć. Upadki cywilizacji, tak jak ich rodzenie się, ścieranie i osiąganie przez jedne dominacji nad drugimi, to po prostu normalny bieg historii. A losem ludzkości jest nie poddawać się naturze. Bogu (dla ochrony uczuć religijnych ateistów anonimizowanemu właśnie tym mianem – „natura") spodobało się stworzyć człowieka jako dziwadło, które jako jedyne w przyrodzie chodzi na dwóch kończynach – a to ma gigantyczne konsekwencje dla porodu, co z kolei zupełnie inaczej niż u pozostałych gatunków określa role samca i samicy w stadzie. Co więcej, jako jedyne zwierzęta na ziemi doświadczamy rui na okrągło przez cały rok i jako jedyne potrafimy robić rzeczy sprzeczne z instynktem przetrwania, jak zabijanie bez potrzeby albo dobrowolne poświęcanie życia. Jesteśmy więc skazani na rozum, na kulturę, religię – mówiąc krótko, na narzucanie sobie norm, wzorców, przykazań i reguł zaprzeczających naturze, bo tylko dzięki nim możemy jakoś funkcjonować.

To właśnie po to odwieczną koleją rzeczy jako tak czy inaczej zorganizowane zbiorowości wydajemy z siebie elity, które dla nas owe normy i reguły wypracowują. Niestety, jak każdy proces, i ten czasem idzie źle. Elity mają skłonność do zamykania się, kostnienia i kretynienia w poczuciu, że osiągnęły doskonałość. Wbudowany w dzieje mechanizm sprawia, że zwykle, kiedy dochodzą do takiego wniosku, zaczynają obumierać i dana społeczność, cywilizacja czy naród musi je po prostu zrzucić jak wąż wylinkę. Niekiedy takie wylinki, w formie na przykład osiągnięć sztuki, bywają warte podziwu i przechowywania w zbiorowej pamięci.

Koniec świata to zatem normalka, i ten, którego jesteśmy akurat świadkami oraz uczestnikami, tak jak każdy poprzedni, jest tylko początkiem nowego układu sił, nowego spojrzenia przez ludzi na

siebie samych – nowych reguł i nowych elit. Tym lepiej to zniesiemy, im szybciej sobie uświadomimy, co się wokół nas dzieje.

To, co dzieje się najbliżej nas, w Polsce, jest tylko lokalną realizacją ogólnej prawidłowości: elita zgłupiała, „odleciała” i nie daje się jej wierzyć. Nie daje się szanować, bo nie rozwiązuje problemów. Zamiast je rozwiązywać, ucieka w nonsensy, w dyrdymały.

Zachodnia liberalistokracja, by podsumować, zwolniła się z myślenia, oddając pole nawiedzonym fanatykom spod znaków tęczy, genderów czy extinction rebellion oraz cwaniakom skupionym wyłącznie na „maksymalizowaniu zysków”. Smutnym przykładem tego upadku jest wspólnota europejska. W zamiarach ojców założycieli miała połączyć pokojowo potencjały europejskich państw w taki sposób, żeby mogły one pozostać w rywalizacji globalnej w pierwszej lidze, dotrzymując kroku dwóm ówczesnym światowym mocarstwom i wyrastającym na potęgę państwom azjatyckim. Zamiast tego stała się potworkiem: pozoruje europejską wersję Unii Północnoamerykańskiej, ale jej bizantyjskie struktury, trwoniąc ogromne pieniądze, nie mogą być asertywne ani wobec rządów najsilniejszych europejskich państw, ani wobec działających globalnie korporacji, ani nawet wobec co silniejszych lobby. Swą oczywistą bezsilność wobec wielkich usiłują więc nadrabiać pouczaniem i strofowaniem małych, w tym właśnie nas, narzucając nam wydumane u siebie standardy „praworządności”. Zgodnie z opisaną na wstępie zasadą uciekania przed realnymi problemami „w rajską dziedzinę ułudy” zajmują się wmuszaniem Polsce swoich rozwiązań problemów „społeczności LGBT” czy „przemocy wobec kobiet”, których my w ogóle nie mamy i nigdy nie mieliśmy, a u nich te rozwiązania i tak nie okazały się skuteczne.

Jak w takiej sytuacji mogła się w obliczu kolejnego końca świata zachować polska warstwa zarządzająca? Typowo postkolonialna, w dużym stopniu oparta na dawnej komunistycznej nomenklaturze, w dużym dziedzicząca obciążenia i niemożności dawnej inteligencji, przekształconej w PRL w „inteligencję pracującą” czy mówiąc po sołżenicynowsku: „obrazowanszczinę”. Warstwa na dodatek

skażona odruchem małpowania salonów zachodnich i porażona brakiem jakiegokolwiek lepszego pomysłu na siebie niż chęć stania się ich miejscowym oddziałem, filią czy zgoła zaledwie „montownią”, o funkcjach ograniczonych do strofowania i wychowywania miejscowych dzikusów na „Europejczyków”.

W największym skrócie: zachowała się tak samo, tylko jeszcze gorzej.

Od boksu do pojedynku na miny

Wszyscy mamy poczucie – spytajcie, kogo chcecie – że tak zwana klasa polityczna zajmuje się sobą samą zamiast sprawami ważnymi, jak to się zwykło potocznie mówić, dla ludzi, czyli dla ogółu. Dotyczy to także uzależnionych od niej mediów, w 90 procentach wypełnionych generowaniem negatywnych emocji, hejtem, szczuciem i judzeniem. Zapraszani do telewizyjnych programów publicystycznych komentatorzy udowadniają, że goście zapraszani do analogicznych programów w konkurencyjnych telewizjach nie tylko, że mówią nieprawdę, ale w ogóle są odrażający, groźni i źli, i trzeba z nimi walczyć. A większość serwisów informacyjnych wypełniają doniesienia o tym, że ktoś powiedział o kimś coś oburzającego.

I nie ma co przeklinać mediów, który to odruch narzuca się przeciętnemu człowiekowi. One nic nie winne, one tak muszą, proszę mi wierzyć. Kiedy tylko próbują powiedzieć coś o realnych problemach, jakie przed nami stoją, o prawdziwych wyzwaniach, kiedy zamiast rozwrzeszczanych harcowników wojny polsko-polskiej zaproszą fachowców od czegokolwiek albo ich komentatorzy odejdą od tematu „PiS kontra anty-PiS”, zasięgi lecą na zbity pysk i trzeba co prędzej wracać do jedynego interesującego widownię tematu.

A kto stanowi tę widownię, pod której oczekiwania zmuszone są dostrajać swój przekaz masowe media? W dużym stopniu szeroko

pojęte elity. To one właśnie nie chcą słyszeć o zachodzących na świecie zmianach, tylko o tym, jak strasznie oburzająco ten Kaczyński powiedział albo jak strasznie niesprawiedliwie znowu go zaatakowano. Najbardziej chyba irytującą cechą tej „debaty publicznej” jest jej doraźność, przypominająca jako żywo „wieczne teraz”, w którym według antropologów żyją ludy prymitywne. Wszyscy bezustannie zmieniają zdanie i zupełnie tego nie zauważają. Dotyczy to nie tylko totemicznych postaci, które – jak Lech Wałęsa, Roman Giertych czy Michał Kamiński – raz są po jednej stronie, i wtedy dla salonów są faszystami, antysemitami, ciemniakami, obiektem pogardy i szczucia, a dla antysalonów prawymi Polakami i patriotami, a raz znowu po stronie drugiej, i wtedy odwrotnie, wczorajszy pisowiec jest autorytetem, a patriota okazuje się ohydnym zdrajcą: i co najważniejsze, okazuje się, że on był nim od zawsze, po prostu to, co my sami mówiliśmy o nim wczoraj, podlega natychmiastowemu wyparciu, w ogóle nie miało miejsca, to wroga propaganda i insynuacja. Otóż tak samo jest ze wszystkim.

Nie można nazwać demokracją ani liberalną, ani żadną inną państwa, w którym polityka przypomina boks. Wielokrotnie w swojej publicystyce używałem tej metafory, ale wydaje mi się najlepsza, a może jeszcze nie wszyscy słyszeli, więc powtórzę:

Polityka w kraju zdrowym, funkcjonującym przypominać powinna piłkę nożną. To znaczy: każdy ma swoją bramkę i swoją połowę boiska. Bronimy swojej połowy i swojej bramki, atakujemy połowę i bramkę przeciwnika. Wartości, programy, odwołania kulturowe i cywilizacyjne, jak słupki, linie i chorągiewki w futbolu, wprowadzają w grę porządek i nadają rywalizacji drużyn sens.

Natomiast w boksie nic stałego nie ma, liczy się tylko jedno – tak podejść do przeciwnika i tak mu lutnąć, żeby go zwalić z nóg. Wszystko, co zrobi zawodnik, zależy od tego, co zrobi jego przeciwnik. Ten tu, to tamten tam, ten się odsłania z lewa, to drugi obiega go od prawa, i odwrotnie, obaj kręcą się w kółko wokół siebie i każdy może być za chwilę w tym samym miejscu, gdzie teraz jest przeciwnik, to tylko kwestia taktyki.

W chwili gdy kończę tę książkę, przedmiotem najbardziej zażartego sporu, podtrzymującego strony w stanie skrajnej wzajemnej agresji i histerii, jest kwestia wyborów, które rozpisane zostały na 10 maja, a po tym, jak zostały rozpisane, wybuchła epidemia. Opozycja chce je przełożyć, bo, podobnie jak kiedyś Partia Demokratyczna w USA, wybrała w zadufaniu w moc swojego imponowania najgorszą możliwą kandydatkę; a zresztą nawet gdyby miała lepszą, wiadomo, że w czasie niepewności, zagrożeń i klęsk żywiołowych pojawia się efekt, jak zwą to fachowcy, „skupiania się wokół flagi”, to znaczy, poza sytuacjami jakiejś wyjątkowej nieudolności władzy, poparcie dla niej znacząco wzrasta. Dokładnie z tego samego powodu rządzący chcą odbyć wybory w terminie przewidzianym wcześniej.

Opozycja domaga się więc, żeby ogłosić stan klęski żywiołowej, co pociąga za sobą konieczność odłożenia wyborów na czas jego trwania i potem jeszcze o kolejnych dziewięćdziesiąt dni (choć zupełnie wtedy nie wiadomo, co dalej – czy kontynuowane są te same wybory, czy trzeba zaczynać od ponownego zgłaszania kandydatów, co z prezydentem, którego kadencja upłynęła, a na nową go jeszcze nie wybrano, etc.). Rząd upiera się, że nie ma potrzeby wprowadzania stanu nadzwyczajnego, bo do sytuacji stosowna jest ustawa o stanie zagrożenia epidemiologicznego – i tę władza zastosowała – która praktycznie daje te same nadzwyczajne uprawnienia, ale nie wpływa na termin wyborów, a sposobem na epidemię może być przeprowadzenie wyborów korespondencyjnie.

Cyrk polega na tym, że ustawę o stanie zagrożenia epidemiologicznego wprowadziła obecna opozycja, kiedy była władzą, właśnie po to, by w obliczu przewidywanej wtedy epidemii, nie pamiętam już, SARS-u, MERS-u czy świńskiej grypy, nie musieć odsuwać wyborów, w których wszystko wskazywało na jej wygraną. A z kolei głosowanie korespondencyjne zaledwie dwa lata temu zlikwidowała ta sama władza, która obecnie je przywraca – wtedy miała dziesiątki argumentów, dlaczego nie da się go w Polsce przeprowadzić uczciwie i rzetelnie, teraz ma dziesiątki argumentów,

że wręcz przeciwnie, a tamtych jej argumentów sprzed dwóch lat używa opozycja, która je dwa lata temu stanowczo odrzucała.

Takich przykładów, mniejszych i większych, zebrałyby się setki. Coś tam niby oczywiście ogólnikowo się głosi, ale bez przywiązywania się – partia, której głównym hasłem jest dekomunizacja, nie ma problemu z promowaniem w swych szeregach byłych funkcjonariuszy PZPR, partia zachłystująca się obroną praworządności i Konstytucji co rusz robi rzeczy w oczywisty sposób z Konstytucją sprzeczne i praworządność naruszające. Nic stałego, liczy się tylko, by dopaść i znokautować przeciwnika – nie tylko dla samych walczących, ale też dla publiczności, która nawet nie zauważa, że w trakcie nawalanki zawodnicy co raz to zamieniają się miejscami.

Bo, dodajmy, i dla zawodników, i dla widzów to coś więcej niż zwykły boks. To starcie Dobra ze Złem. Nie mówię, że myliłby się ten, kto by wskazał, że PiS z anty-PiS-em biją się głównie o to, kto poobsadza te wszystkie spółki, zarządy i rady nadzorcze, kto będzie mianował i desygnował, mówiąc językiem towarzysza Szmaciaka: „doił". W aspekcie praktycznym – owszem. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski w balladzie o Juliuszu Cezarze: „gwałcić, rabować, sycić wszelkie pożądania – proste prośby żołnierzy te same są od lat". Każda armia plądruje i łupi, ale żadna przecież nie idzie do boju pod hasłem plądrowania, hasła na sztandarach muszą być wzniosłe.

Aktywna politycznie część społeczeństwa, „żelazne elektoraty" kibicujące stronom pojedynku chcą więc widzieć w nim starcie Dobra ze Złem, nie banalną przepychankę o stołki i stanowiska. Sądzę, że niezatapialna popularność Jarosława Kaczyńskiego ma podobne przyczyny jak niegdyś obezwładniający urok Adama Michnika jako obermoralisty: przekonanie, że „on" nic dla siebie, wszystko w imię wyższych racji.

Cokolwiek pokaże się po ludziach z otoczenia Kaczyńskiego – on sam postrzegany jest jako doskonale bezinteresowny szermierz Sprawy. Człowiek Idei. Żyje skromnie, nie szuka w polityce zysków, właściwie tylko wąsów i szarego munduru mu brakuje – ale i tak wpisywany jest przez swych zwolenników w archetypiczny obraz

tego, który wszystko, co robi, robi nieważne, głupio czy mądrze, ważne, że szlachetnie, bo dla ojczyzny.

Najgorsze jednak, że ten pojedynek, jakim jest polityka III RP, tak naprawdę więcej niż z rycerskiego sądu bożego ma w sobie z gombrowiczowskiego pojedynku na miny. Wynika to logicznie z dziedzicznych obciążeń inteligencji, z jej nawyku, by zamiast sposobu zrealizowania głoszonych haseł szukać raczej ich wymownego symbolu.

Jarosław Kaczyński przetrwał w opozycji osiem lat i sześć wyborczych przegranych, nie dopuszczając do rozpadu swych pisowskich legionów ani do wyrośnięcia poważnej dla nich konkurencji, bo zyskał potężny emocjonalny znak: Smoleńsk. Wielka narodowa tragedia, wielkie poczucie krzywdy, hańba oddanego ruskim śledztwa, porzuconego wraku i sprofanowanych zwłok, wrzucanych do byle którego grobu, po dwie głowy i trzy nogi w jednej trumnie, obudziła w Polsce tubylców wzruszenia i gniew – sublimujący w pochody i ryngrafy kojarzące się tradycyjnie ukształtowanemu Polakowi z pogrzebem Wołodyjowskiego (choć bardziej to było z Or-Ota niż z Sienkiewicza) – z którymi w żaden racjonalny sposób dyskutować się nie dało.

Zresztą ówczesna władza, jak każda w Polsce władza żyjąca w rozkosznym poczuciu, że nikt nigdy poważnie jej zagrozić nie zdoła, wcale tego nie próbowała. Próbowała Smoleńsk zohydzić i wyśmiać. Zachowywała się dokładnie tak właśnie, jak w przywoływanym tu pojedynku na miny („Ferdydurke” chyba jest jeszcze w szkolnych lekturach i nie muszę dokładniej sprawy wyjaśniać?) zachowywał się Miętus, kontrujący wzniosłe miny oraz pompatyczne gesty Syfona szyderczymi grymasami i wyciąganiem glutów z nosa – szczując swoich Palikotów i Niesiołowskich do szydery z „kaczki pieczonej po smoleńsku” i „pisowskich wykopków w grobach”.

Potem, po wyborczym tąpnięciu w roku 2015, urbanowy panświnizm salonów nagle wymieniony został na wzniosłość i powagę, bzdyczącą się na dalszy ciąg walki Solidarności z „nowym Gomułką”. Ogłoszono rokosz, ale niemal z punktu stał się on

rokoszem symbolicznym, wyżywającym się w przypinaniu oporników, noszeniu białych róż, nawlekaniu na pomniki napisów „Konstytucja” i tak dalej. Wszystko w jakimś psychopatycznym urojeniu, że jeśli, dajmy na to, całe społeczeństwo posłucha wezwania, by określonego dnia o określonej godzinie na znak protestu przeciwko władzy udekorować balkony wspomnianymi białymi różami albo innymi emblematami (akcja „wolne balkony” miała nawet swój hymn, gdyby ktoś nie wiedział), tak że od prawa do lewa widać by było same antypisowskie hasła i ludzi z opornikami, różami, wieszakami, długopisami, dzikami, bananami i czym tam jeszcze, to...

No właśnie, to nikt nie powiedział co. To po prostu zostanie dane świadectwo, że Polska jest „za demokracją”. Ktoś mądry raczej zastanawiałby się na miejscu kodziarzy, jak tę Polskę namówić, żeby przeciw rządowi głosowała, a nie dekorowała balkony, ale... o czym ja w ogóle mówię?

W żadnym innym kraju polityka nie polega na odmawianiu przeciwnikom moralnej legitymacji do sprawowania władzy. A u nas – właśnie na tym. Co zresztą (wyjaśniałem to dokładnie w „Złowrogim cieniu Marszałka”, bo rzecz jest częścią dławiącej nas legendy Piłsudskiego) czyni polską politykę nierozstrzygalną, nieznającą innej perspektywy niż całkowite zniszczenie przeciwnika, bo skoro polityka pojmowana jest jako pojedynek Dobra ze Złem, to żadnego kompromisu zawrzeć się tu nie da.

Trzask włosów Dmowskiego

Mówiąc najkrócej: są takie kraje, gdzie politykę wymyślili kupcy. Są takie, gdzie wymyślili ją przedsiębiorcy, i takie, gdzie wymyślili ją generałowie albo wielcy posiadacze. I w zależności od tego, kto ją wymyślił, polityka służy innemu celowi. Generałowie chcą podboju, posiadacze ochrony i poszerzenia swojego stanu posiadania. Tam,

gdzie politykę wymyślają kupcy, służy ona temu, żeby się opłacało – tam, gdzie przedsiębiorcy, temu, żeby coś było tworzone.

W Polsce politykę, wszelką, i tę wewnętrzną, i zewnętrzną, stworzyli inteligenci. A co jest żywiołem inteligenta? Żywiołem inteligenta jest dążenie do prawdy. Jak do niej dąży? Orzekaniem o słuszności. Opowiadaniem się po stronie szlachetności i protestowaniem przeciwko podłości. Wskazywaniem, po której stronie leży racja, a kto jej nie ma, kto jest w prawie, a czyje działania są z prawem – nie tym pisanym, z wyższym prawem moralnym – sprzeczne. „Dawaniem świadectwa”. Bo inteligencja, proteza klasy średniej rozwinięta w krajach zniewolonych i despotycznych, nigdy tak naprawdę nie miała szerszych możliwości działania niż „dawanie świadectwa”, które zresztą w okupowanej przez zaborców Polsce czy rosyjskim samodzierżawiu wymagało heroizmu i groziło rozmaitymi karami.

Gdy natomiast Polska odzyskała suwerenność i bardziej od „dawania świadectwa” potrzebowała skutecznego zarządzania, tworzenia instytucji, procedur, praw – inteligencja kompletnie się pogubiła. Szczęśliwie dla jej etosu szybko tę niepodległość straciliśmy, i to w okolicznościach tak tragicznych, że wykluczyły one jakiekolwiek intelektualne przepracowanie klęski – można było zamiast tego wrócić do przećwiczonych wzorców upominania się o prawdę, słuszność, o racje moralne i etyczne. I do sprawdzonych symboli, ma się rozumieć.

„Polityka nie może polegać li tylko na głośnym deklarowaniu, czego się chce, i równie głośnym protestowaniu, czego się nie chce” – pisał Dmowski i niemal słychać w tych słowach trzask rwanych sobie z głowy włosów. Ale cóż z tego, na tym właśnie, i wyłącznie na tym, dla Polaków polityka polega. Za rządów Jarosława Kaczyńskiego bardziej nawet niż kiedykolwiek wcześniej – wyjąwszy może krótki okres premierowania Tadeusza Mazowieckiego i „rządu dusz” Unii Demokratycznej.

Jak już pisałem: polityka inteligencka skończyła się oddaniem pola polityce cwaniackiej, a jedynym lekarstwem, jakie na nią znaleziono, jest znowu polityka inteligencka, tylko w paradygmacie

innej inteligenckiej utopii, nie europejsko-liberalnej, ale patriotyczno-sanacyjnej.

I dopóki to się nie zmieni, z obecnej bezsensownej bijatyki okraszonej to godnościowo-patriotycznymi, to szyderczymi minami nie wybrniemy; wiedzą już Państwo dlaczego. Dlatego, że emocje polsko-polskiej wojny, uwieńczonej starciem zwolenników Komendanta Kaczyńskiego z resztą świata, są dla polskiej warstwy postinteligenckiej tym samym, czym dla Hitlera rozsądzanie o przynależności rasowej konkretnych mieszańców, dla Jaruzelskiego językowy puryzm, a dla liberalistokracji zachodniej walka o prawa mniejszości seksualnych dyskryminowanych brakiem „trzeciej toalety”. Ucieczką od nieznanego w znane – ucieczką od rzeczywistości, która zmienia się na tyle, że myślenie o niej prowadzi do niepokoju, do psychicznego dyskomfortu, ale zarazem te zmiany jeszcze na tyle nie odcisnęły się na codziennym życiu, że można je wypychać ze świadomości.

Nowy, niekoniecznie wspaniały świat

Nie ja będę Państwu wykładał o tych zmianach. Są tacy, którzy to robią od dłuższego już czasu, i nawet, o dziwo, są słuchani z coraz większym zainteresowaniem – choć oczywiście nieporównanie mniejszym niż doniesienia, co horrendalnego powiedzieli ostatnio o sobie przedstawiciele partii rządzącej i „totalnej opozycji”. Są think tanki i ośrodki zasługującej na to miano debaty publicznej, jak Strategy & Future Jacka Bartosiaka, „Nowa Konfederacja” Bartłomieja Radziejewskiego czy Klub Jagielloński Piotra Trudnowskiego, żeby wymienić tylko te, do których mi w tej chwili najbliżej. Kto ciekaw, niech szuka wiedzy u nich.

Ja do tego, co porozsiewałem po różnych miejscach tej książki, dodam tylko tyle: wszystkie uwarunkowania naszego przetrwania jako narodu i państwa zmieniają się.

Europa, która miała być naszym panaceum, uniwersalnym lekiem na wszystko, to coraz bardziej – jak ujął to w którymś momencie prezydent Andrzej Duda i został za to straszliwie zhejtowany – wspólnota wyobrażona. Istnieje jako czarna dziura pochłaniająca ogromne składki i fasada, zza której pohukują na nas różne Timmermansy, politycy z drugiego i trzeciego szeregu, odstawieni na europejskie synekury i próbujący sobie przydać takim pohukiwaniem znaczenia. Ale gdy pojawia się sprawa konkretna – kryzys ekonomiczny, migracyjny, epidemia – okazuje się, że nie ma żadnej Unii, są Niemcy, Francja, Włochy i inne kraje, w różnych fazach rozkładu, z którym może sobie jeszcze poradzą, a może nie.

Od lat staram się gdzie mogę tłumaczyć, że Unii Europejskiej, takiej, w jaką większość Polaków przywykła wierzyć, jako ośrodka cywilizującego nas i zapewniającego nam dobrobyt, nigdy nie potrzebowaliśmy, a dziś potrzebujemy jej jeszcze mniej niż kiedykolwiek.

Wcale nie należały do polskich życiowych potrzeb owe unijne fundusze, którymi przez tyle lat zachłystywały się liberalne salony i do dziś usiłują przywoływaniem ich pamięci wzbudzić w Polakach pokorę oraz poczucie wdzięczności i oddania metropolii. W ogromnym stopniu poszły one na sprawy podnoszące wprawdzie poziom życia, a co za tym idzie poziom zadowolenia obywateli z ówczesnej władzy, ale niekoniecznie opłacalne w przyszłości – przeciwnie, inwestycje infrastrukturalne dokonane w połowie za unijne dotacje, a w połowie za umożliwiony przez nie kredyt trzeba konserwować, naprawiać, nie mówiąc już o spłaceniu kredytów, a pieniędzy nie przynoszą. Jednocześnie unijne pieniądze pozwoliły utrwalać latami rozmaite patologie, utrzymywać kraj w stanie państwa z dykty, przy równoczesnym zachowywaniu wysokich notowań sondażowych, które dla Donalda Tuska były absolutnym priorytetem.

Tym bardziej nie należały do takich potrzeb wszystkie owe „wychowawcze” sztorcowania, dyrektywy, konwencje i normy, których zaimplementowanie miało uczynić z nas organiczną część

europejskiego oberpaństwa, zwalniając definitywnie lewicowo-liberalną elitę z ostatnich pozorów troski o Polskę.

Tak naprawdę zaś potrzebowaliśmy od Europy tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze – dostępu do europejskiego rynku, po drugie, ochrony przed rosyjskim ekspansjonizmem i chęcią odtworzenia przez Moskwę swojej „strefy wpływu”, manifestowaną przez Kreml bardzo wyraźnie, choćby uporczywym używaniem kategorii „bliska zagranica”. Na wszystkie inne aspekty bycia w Unii Europejskiej trzeba patrzeć jak na cenę, którą za te dwie korzyści zapłaciliśmy.

Nikt nigdy nie podjął trudu rzetelnego obliczenia zysków i strat naszej obecności w Unii. Założenie, że na niej zyskujemy, było ideologicznym dogmatem III RP, niekwestionowanym zresztą zbyt powszechnie, bo wzrost poziomu życia po akcesji był wyraźny, a wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że stopa życiowa to nie wszystko. Resztę zrobiła propaganda: stawiano wszędzie tablice, że dany most, droga, karetka pogotowia jest tutaj dzięki funduszom unijnym – ale nikt nigdzie nie postawił tablicy, że tu a tu przez Unię zniszczona została fabryka, która dawała pracę i zarobek całej okolicy.

Dziś takie obliczenie staje się koniecznością. Tym bardziej że stosunek zysków do strat zmienia się z czasem – odnoszę wrażenie, że na naszą niekorzyść. W polityce międzynarodowej jest bowiem zasada, że silni przestrzegają umów tak długo, jak długo im się to opłaca. Polska zapłaciła za swój udział w wolnym rynku, głównie milionami obywateli, tych najbardziej mobilnych, najlepiej wykwalifikowanych – i osiągnęła za tę cenę korzyści. Prawie połowę naszego PKB w 2019 roku stanowiły zyski z eksportu do zachodniej Europy, a w niektórych branżach odnieśliśmy spektakularne sukcesy. Jedną z nich było zdominowanie europejskiego transportu samochodowego. I kiedy polskie firmy przewozowe zdobyły ten rynek, nagle priorytety unijne się zmieniły – państwa „pierwszej prędkości” zaczęły się na polską konkurencję zamykać, wymyślono „dyrektywę o pracownikach delegowanych”, której oczywistym celem jest pozbawienie konkurencyjności firm z „nowej Unii”. Wcześniej prezydent Francji otwarcie zakwestionował,

i konsekwentnie to podtrzymuje, wolność przepływu towarów, usług i pracowników, która stanowi absolutny fundament europejskiej konstrukcji od samego jej zarania.

Jeśli ma to iść w tę stronę – to powinniśmy zacząć się z tej konstrukcji wymiksowywać. Gdy kiedyś powiedziałem publicznie, że być może korzyści z Unii się już dla nas skończyły, wzięliśmy, co było do wzięcia, i czas wychodzić, zalany zostałem przez propagandystów salonu obelgami, najczęściej oczywiście obelgą „cham" – przyszedł cham na bankiet, najadł się, a teraz chce wyjść, nie dając prezentu! Otóż żeby postrzegać UE jako jakiś bankiet, a nasze zyski z niej jako darmowy poczęstunek, za który wypada się odwdzięczyć prezentem, trzeba być skończonym idiotą (co w tak zwanych elitach jest oczywiście normą), i to na kilku poziomach odrealnienia. Pomijając już rzecz oczywistą, że w stosunkach międzypaństwowych nie ma żadnego „wypada", żadnego „odwdzięczania się", są tylko interesy – to właśnie Zachód, za przewodem Emmanuela Macrona, wykorzystał nas, póki, jak się zdaje, więcej miał z rozszerzenia Unii zysków niż strat (w Polsce nikt nie liczył, ale w Niemczech ekonomiści podają, że z każdego euro wysłanego na Wschód do „starej Unii" wracało 70–80 centów, a dodajmy do tego choćby tylko zyski z udzielonych na rozwój infrastruktury kredytów, owoców pracy imigrantów z „nowej Unii" na rzecz ich nowych krajów pobytu, otwarcia nowych rynków zbytu i przejęcia tutejszych firm, potencjalnie konkurencyjnych). Teraz Zachód zaczyna oceniać, że już wycisnął, co się dało, i chce zmienić reguły gry, licząc na skuteczność obłudnych haseł „troski o praworządność" i na miejscowych kolaborantów, skłonnych, wedle głęboko w nich tkwiących wzorców kolonialnych, dalej obsługiwać interesy obce we własnym kraju, zamiast reprezentować w kontaktach z obcymi interesy własne.

Epidemia odsunęła w czasie te próby, zwłaszcza szczególnie dla Polski groźny „zielony ład", pod którą to nazwą kryje się próba skonsolidowania europejskich gospodarek wokół Niemiec i w mniejszym stopniu Francji. Ale to wyzwanie niebawem wróci

i jeśli Polska nie powie mocno „nie”, to znajdzie się na kolonialnej równi pochyłej, z której zawrócić będzie coraz trudniej.

Co do drugiego z realnych powodów naszej obecności w UE, lęku przed Rosją, i tu nie można powiedzieć, żeby nie okazał się on uzasadniony. Spektakularnym przykładem była zwłaszcza niekorzystna dla Polski umowa rządu Tuska z Gazpromem, która gdyby weszła w życie, oddałaby pod kontrolę Rosjan praktycznie całą infrastrukturę gazową, co do jednej rurki. Gdyby nie interwencja organów unijnych, pod niewątpliwą inspiracją niemiecką, bylibyśmy już głęboko w strefie wpływów Rosji. Inna sprawa, że właśnie w tej kwestii najbardziej dał się Polsce we znaki opisany wyżej kompleks cywilizowania „od góry” i wzorca awansu w drodze kooptacji tych niżej stojących przez stojących wyżej. Elity III RP w wejściu do UE zobaczyły nie tyle normalnie rozumiany polityczny sojusz, zabezpieczający nas przed odwiecznym zagrożeniem rosyjskiego imperializmu – co wybór lepszego, bogatszego i bardziej nam imponującego kolonizatora. Myśl, by szukać własnych wzorców dla „przezwyciężenia zacofania”, w głowach nie postała.

Niemniej groza rosyjskiego imperializmu od kilkuset lat nie była słabsza niż dziś. Nie dlatego, żeby elity polityczne Rosji się zmieniły, tylko dlatego, że po komunizmie nie znalazł się w nich żaden nowy Stołypin ani Witte, który by tę kupę rozkradanego przez oligarchów gruzu zreformował, i polityka imperialna jest coraz bardziej nadymaniem się przez Kreml ponad realne możliwości. Putin ciśnie pedał imperialnej potęgi z całą siłą, miesza na Bliskim Wschodzie, próbuje podtrzymać pozory mocarstwowości, a efekty są coraz marniejsze – stracił Ukrainę, ugrząział w Donbasie, a w chwili, gdy piszę te słowa, traci właśnie Białoruś, którą nasza postinteligencka polityka traktowała zawsze jako beznadziejnie ruską li tylko na tej podstawie, że nie ma tam demokracji.

Potężnym ciosem dla Rosji są skutki epidemii koronawirusa. W którymś jej momencie cena ropy naftowej zeszła na minus, to znaczy producenci skłonni byli zawierać umowy, w których dopłacali kontrahentom za odebranie towaru z przepełnionych

zbiorników. A to właśnie dochody z ropy są podstawą rosyjskich finansów. Spadły one zresztą znacząco już przed epidemią, za sprawą wojny handlowej z Saudami, która była pośrednim skutkiem rosyjskiego imperialnego awanturnictwa w Syrii.

Decydującą sprawą nie tylko dla nas i Rosji, ale dla całego świata jest jednak wzrost potęgi Chin, a wraz z nią emancypacja całego regionu. W miarę jak Europa schodzi na dziady, Azja coraz bardziej wyrasta na nowe centrum świata – czemu towarzyszy zresztą wyrastanie na ważnych graczy innych regionów kiedyś lekceważonych, Ameryki Południowej i Indii. Hasło odwrotu od globalizacji Ameryka Trumpa także rzuciła już wcześniej – koronawirus tylko przypieczętował tę decyzję.

Wraca świat dwubiegunowy, którego los znowu określać będzie starcie – oby nie zbrojne – dwóch wielkich mocarstw; tyle że miejsce ZSSR zajmują Chiny, podobnie jak wtedy Rosja, formalnie komunistyczne, w praktyce imperialne, z wielkim planem rozszerzenia wpływów na inne kontynenty. Eurazja, choć wielka, jest za mała, aby pomieścić jednocześnie wielką Rosję i wielkie Chiny; co do tego zaś, że Chiny będą wielkie, nie ma już dwóch zdań, choćby dlatego, że posiadły nowocześniejsze od innych technologie i próby ich zakazania są skazane na porażkę, tak jak przedwieczne próby zakazywania samochodów czy ostrzeżenia przed zagładą, jaką sprowadzi na ludzi upowszechnienie transportu kolejowego.

Dla mojego pokolenia to zresztą zabawne. Za czasów mego dzieciństwa jednym z ulubionych tematów dowcipów, wtedy robiących za pure nonsense, była granica polsko-chińska na Uralu, a na cyku śpiewało się piosenkę „Ryżowe pola” („walczyłem dzielnie z żółtą rasą, walczył mój ojciec oraz dziad, a dziś te pola to wszystko, co zostało z mego wielkiego Kraju Rad”). Dziś już się to aż tak absurdalne nie wydaje.

Oczywiście, jeszcze przez dłuższy czas Rosja nie zniknie ani nie podzielimy jej po linii Uralu – ale czym może być, jeśli nie może być imperium? Może być mocarstwem regionalnym sprzymierzonym z Chinami przeciwko Ameryce, jako pomost do Europy, albo sprzymierzonym z Ameryką przeciwko Chinom. Pewnie będzie się

starała być jednym i drugim naraz. My zaś możemy być albo sprzymierzeńcem Ameryki w wypychaniu z Europy Chin, albo sprzymierzeńcem Chin w wypychaniu z Europy Ameryki. Powinniśmy oczywiście starać się być jednocześnie jednym i drugim.

Może też być naszym rywalem na ziemiach dawnych kresów Rzeczypospolitej. Wbrew naszym odruchom, wynikłym z historii, rywalem, z którym możemy się mierzyć na równych prawach i możemy wygrywać. Gospodarczo Rosja nie jest taką potęgą, jaką wydaje się na mapie. Naród, który potrafił za czasów PRL handlować po całym świecie, może o rynkach leżących między Polską a Rosją myśleć bez kompleksów.

Albo łysy, albo ruda

Wspominałem już o książce „Czas wrzeszczących staruszków", w której próbowałem podsumować krótki okres pierwszych rządów PiS w latach 2005–2007 i nadziei, jakie rozbudzili wówczas bracia Kaczyńscy. Nie wiem, czy w kontekście reaktywacji po roku 2015 jest to wciąż dla Czytelników ciekawe, ale zawarta w tej książce analiza politycznej drogi Jarosława Kaczyńskiego, jego celów i metod działania powinna być, bo oparta jest nie, jak dyskurs salonów, na wyższościowym urojeniu „oświeconych" i projekcji ich środowiskowych fobii, tylko na konkretnych wypowiedziach i posunięciach najbardziej wpływowego polityka III RP.

Zainteresowanych odsyłam do wspomnianej książki, z której tu przypomnieć chcę tylko jeden wątek – ten, który zwykłem sygnalizować, nazywając Kaczyńskiego „człowiekiem, który ukradł Polsce prawicę". Opozycja między nim a salonem nie jest wbrew całej propagandzie starciem między elitami, które utraciły zaufanie i szacunek mas, a trybunem ludowym. Jest starciem między elitami a wywodzącym się z tych elit odstępcą. Ponieważ przez całe lata elity próbowały odstępcę zniszczyć, wpisywały propagandowo

w jego postać wszystko to, czego się boją, czego nienawidzą i czym gardzą, siłą rzeczy stał się on w oczach ludu „swoim człowiekiem”.

Tylko jeden cytat, powtórzony za „Staruszkami”: oto, jak w roku 1991, u samego zarania swojej wojny ze środowiskiem Michnika, uzasadniał on bunt: „Muszą istnieć siły zdolne absorbować niezadowolenie, ale mimo wszystko skłonne do reform. Jeśli się zaprzeć, że my tu ze sztandarem Solidarności na czele, najwyższe autorytety moralne, a z tyłu, w jakimś Elblągu czy Radomsku też te miejscowe autorytety, wszyscy razem – po prostu doprowadziłoby to do momentu, w którym wszystko to zostałoby zmiecione przez bunt społeczny. Do władzy dorwaliby się ludzie nawet na granicy niespełna rozumu, ale dostatecznie radykalni”.

Czysty pragmatyzm. Nie możemy na lud tylko „z góry”, że durny, że nic nie rozumie, że morda w kubeł, bo batem, w przyszłości zrozumiecie i jeszcze nam będziecie dziękować. Powinniśmy mu też okazać trochę empatii, trochę być po jego stronie. Bo znajdzie sobie zupełnie innych przywódców, jakichś prawdziwych chamów, i porachują nam wszystkim gnaty cepami.

Powie ktoś, że słusznie przestrzegał Kaczyński, bo w końcu przyszedł Lepper, ze wszystkich okazów politycznej menażerii III RP sprawiający wrażenie najbardziej autentycznego, choć i on tak naprawdę wykreowany. A ktoś inny – że to nie było szczere, że tak tylko usiłował odwołać się do rozsądku ówczesnej Unii Demokratycznej, bo była mu ona potrzebna w politycznej grze. Moim zdaniem te słowa z książki „Odwrotna strona medalu” mają pełne pokrycie w całej działalności „naczelnika”, jak go w PiS nazywają, trochę słusznie, bo jest w nim ten sam spryt, który Piłsudskiemu, arystokracie, kazał być socjalistą, by pod hasłami socjalnymi poprowadzić masy we wskazanym przez siebie kierunku. Spryt, którego popkulturowym znakiem stał się książę Salina z klasycznej włoskiej powieści, ze sławnym powiedzeniem: „trzeba wiele zmienić, żeby wszystko mogło być po staremu”. Krzyczą, że „Balcerowicz musi odejść”? Nie krzyczmy na nich, że są głupi i się nie znają, przyznajmy im trochę racji, a potem Balcerowicza i tak zostawimy, no bo co do tego pełna zgoda, on

odejść nie może, bo przecież robi, co nam przysłali „oświeceni" z Zachodu.

Właśnie niezdolność jasnego określenia swojego stosunku do Zachodu jest dziś jedną z największych słabości obozu Kaczyńskiego. Z jednej strony media i elity, umownie mówiąc, pisowskie są w stanie dostrzec wszystkie elementy upadku Zachodu, jego rozkładu, kretynienia i biednienia. Z drugiej nie są jednak w stanie złożyć ich w całość i wyciągnąć logicznego wniosku. Zachód upada, kręcą głową. Pełna zgoda, upada – więc co?

Odpowiedź jest arcyinteligencka: nie powinno tak być.

I lepiej nie przyciskać, że może i nie powinno, ale jest i co my na to – bo usłyszymy, że Polska powinna Europę nawrócić, bo tak przecież chciał Święty Jan Paweł II. Że my tę upadłą Europę naprowadzimy z powrotem na ścieżkę jej judeochrześcijańskiej tradycji, z której sprowadziły ją podszepty bękartów Marksa, my ją przebudujemy, by stała się Europą Ojczyzn, a nie utopijnym oberpaństwem...

Odlot. Ale głęboko zakorzeniony w klasyce polskiego politycznego idealizmu. Nie, proszę Państwa. Jeśli się zgadzamy, że Europa upada, to jedynym dopuszczalnym myśleniem jest to, jak z tego jej upadku wyciągnąć korzyści dla Polski. Czego dziś od Europy potrzebujemy? Wciąż jeszcze rynków zbytu. Technologii (choć te ma już raczej przestarzałe, jak te elektrownie atomowe, które próbuje nam wepchnąć Francja, gdy w USA, Chinach i paru innych ośrodkach idzie pełną parą praca nad technologią przemysłowej syntezy termojądrowej), powrotu do Polski wykształconych kadr zassanych tam przez Unię Polaków, a jak się da, także, być może, szukających schronienia przed islamem niedobitków zachodniej cywilizacji.

No to powiedzmy otwarcie – to chcemy, tego nie, a wy co chcecie w zamian. Tak się to robi i tak się myśli na całym świecie. Co nam możesz zrobić, co nam możesz dać, czego od nas potrzebujesz, czego my od ciebie. A my, obojętne, PO czy PiS, obojętne, z myślą o własnej prywatnej karierze przywódcy czy w perspektywie kraju, zawsze chcemy widzieć politykę międzynarodową jako rodzaj życia towarzyskiego i szukamy w niej przyjaciół. W dodatku uderzając

o przyjaźń do tych, którzy nam imponują. Europa, w której wszystkie nadzieje położyła liberalistokracja, zawiodła? To połóżmy wszystkie nadzieje w Ameryce, zwłaszcza że, o, tam został prezydentem facet, którego liberalistokraci nienawidzą i który miło się o nas wyraża.

W praktyce różnica okazała się taka, że za czasów PO strofował nas i szarogęsił się łysy Timmermans, ustanowiony do tego kaprysem eurokratów, a za rządów PiS równie bezceremonialnie strofuje nas i szarogęsi się ruda pani Mosbacher, z kaprysu Trumpa. Czy to jest naprawdę różnica warta tej całej nienawiści, obelg i podziałów, schodzących nawet pomiędzy członków rodziny, jakie wygenerowano na potrzeby wojny politycznych plemion?

Proszę zrozumieć, nie o to mi chodzi, że z Kaczyńskiego wychodzą te same inteligenckie uprzedzenia wobec „chama" i „endeka", co z Michnika, i ten sam uniżono-naiwny stosunek do najgłupszych nawet żydowskich roszczeń i najpodlejszych ataków z ich strony. Na jego – z mojego punktu widzenia – obcość kulturową mógłbym machnąć ręką. Ale poruszając się wciąż w tym samym odruchu państwa Łubieńskich, którzy uszczęśliwią chłopstwo na siłę, po swojemu, bo prędzej uwierzą w inteligencję domowego kota niż folwarcznego chłopstwa, Kaczyński skazany jest na tę samą nieskuteczność. Pogonił mafię Tuska, pogonił mędrków Michnika, i to jego historyczna niezaprzeczalna zasługa. Ale co dalej? Pięćset plus-plus-plus, piętnasta i szesnasta emerytura? Wielka modernizacja kraju przez program budowy elektrycznych samochodzików i samochodzików-plus?

Zamiast Tuska – głucha pustka. O, zrymowało mi się.

Złapać szansę

Nie wiemy, jakie wielcy europejscy i światowi gracze podejmować będą decyzje. Na przykład Niemcy, które urosły ogromnie na strefie euro, stoją teraz przed wyborem: albo spłacić zaciągnięty wobec

innych krajów strefy dług i pomóc im się odbudować po epidemiologicznej katastrofie, albo wypiąć się na nie i wrócić do własnej waluty. Możliwe, że spróbują zachować się równie bez sensu jak z imigrantami – nie wiem, czy zwrócili Państwo uwagę na taki drobny news, że w szczycie epidemii Niemcy szukali chętnych do pracy w ich rolnictwie między innymi w Rumunii, gotowi nawet przywieźć ich stamtąd specjalnie czarterowanymi samolotami. A szło o zaledwie dwadzieścia tysięcy robotników rolnych – nie do znalezienia w kraju, który przyjął i obdarował zasiłkami prawie milion „uchodźców” o kwalifikacjach w sam raz do zbierania szparagów, tyle że stanowczo odmawiających podejmowania prac „niegodnych mężczyzny”.

Ale możliwe, że ta lekcja – z której wnioski szybko wyciągnięto, jak pokazała wzmiankowana już wizyta kanclerz Merkel w Turcji – skłoni Niemców, by wobec zadłużonego po szyję Południa Europy zachować się z tą samą „europejską solidarnością”, jaką wykazały wobec nas i krajów bałtyckich przy sprawie Nord Streamów. Strefa euro rozpadnie się, Unia będzie coraz bardziej fasadą, a Niemcy w jeszcze większym niż dotąd stopniu staną się dla pozostałych państw Europy „złym facetem”. Ich gospodarka jest wielka i świetnie zorganizowana, ale stoi w tej chwili na bardzo słabych społecznych podstawach, więc możemy znaleźć się w równie cudownej sytuacji jak w roku 1918, gdy odwróciło się nasze historyczne przekleństwo i ościenne mocarstwa ze wschodu i z zachodu jednocześnie osłabły.

Wtedy to było tylko na chwilę, ale kto wie jak będzie tym razem?

Jestem bardzo krytyczny wobec Piłsudskiego, zwłaszcza wobec jego polityki po 1921 roku, ale w jednym chętnie przyznaję mu rację: polska przyszłość leży na wschodzie, nie na zachodzie.

Z tym że Piłsudski miał na myśli, jak się zdaje, odbudowę jagiellońskiej Rzeczypospolitej wielu narodów. Znowu była to polityka, „żeby było, jak było”. A przecież, jak już tłumaczyłem i jak dowiodły losy Rzeczypospolitej przed wiekami, a Unii Europejskiej obecnie, ta budowla nie miałaby sensu. Albo ktoś musi być hegemonem, albo cała konstrukcja przetrwa do pierwszego poważnego kryzysu.

Trzeba tym razem myśleć o czymś innym niż wspólnota praw obywatelskich: trzeba myśleć o przyziemnych interesach.

Tak, o tym właśnie, czym brzydzi się polski inteligent: o zysku.

Ja żądam w Polsce zupełnie nowej, zupełnie innej warstwy przywódczej, która nie będzie się pozwalała zawstydzać i terroryzować żadnym mędrkom i każdemu, kto przyleci tu z jakimiś umoralniającymi gadkami, będzie umiała powiedzieć: spadaj na bambus. Bez złości, bez wdawania się w szarpaniny (chyba że ktoś by chciał wojny), po prostu – nie podobamy ci się, to twój problem, nie nasz. Albo masz jakąś propozycję, która może nam się opłacać, albo nie zawracaj nam głowy.

Oczywiście, najpierw trzeba mieć wreszcie odwagę powiedzieć to mędrkom rodzimym. Po szwejkowsku. Żadnego podniosłego pitolenia. Jasno i wyraźnie, proszę: co my z tego będziemy mieli i w jakiej walucie?

Kultywowany latami plan „dołączenia do Zachodu", wtopienia się weń, plan narodowej mimikry połączony ze stopniowym wygaszeniem swojej polskości, nadaje się dziś tylko do kosza. O tym i o owym możemy z Zachodem pogadać, szczególnie o interesach, ale żadna cywilizacyjna łaska, żadne oświecenie, żadne uniwersalne lekarstwo na polskie problemy stamtąd na nas nie spłynie. Znikąd zresztą. Musimy je wymyślić i wypracować sami.

Największym strategicznym celem Polski powinno być dziś dążenie do tego, żeby na wschód od Bugu wszyscy chcieli robić z nami interesy, u nas kupować i nam sprzedawać, żeby wszyscy posługiwali się w rozliczeniach polską walutą, mieli kredyty i oszczędności w polskich bankach, uważając je za najbardziej wiarygodne, i szukali pracy w polskich firmach, uważając ją za najpewniejszą i najlepiej płatną. I jeszcze do tego – żeby wszyscy słuchali disco polo albo innego polskiego odpowiednika K-popu, którym, bardzo mądrze, podbija Zachód Korea.

Powinniśmy dążyć do tego, aby być krajem, w którym każdy, skądkolwiek przybywa, jeśli chce uczciwie się dorabiać i zostać Polakiem, może osiąść i cieszyć się takimi samymi prawami. To oczywiście oznacza polską wyspę Ellis i prawdziwy, a nie

pozorowany polski Frontex, ze skutecznym mechanizmem deportacji – ale przykład Ameryki czy Emiratów Arabskich dowodzi, że to się stokrotnie opłaca.

Proszę Państwa, Rzeczpospolita Obojga Narodów, choć była pięknym i szlachetnym snem, z którego powinniśmy być dumni, nie przetrwała i przetrwać nie mogła. A powstała mniej więcej w tym samym czasie Szwajcaria istnieje do dziś. Wciąż mówi trzema różnymi językami, wciąż jej kantony różnią się bardzo – ale zrosła się w organizm nierozerwalny i z góralskiej biedy zmieniła w jeden z najbogatszych krajów świata. Bo nikt tam nie próbował nigdy budować oberpaństwa. Wystarczyło stworzyć warunki do wspólnego dorabiania się na wszystkim, co popadnie.

Powiem to tak, jak w tytule tego rozdziału: przestańmy się wreszcie czuć skazani na bycie Wschodem Zachodu, bo dla Zachodu zawsze będziemy pogardzanym zadupiem. Myślmy o tym, jak stać się Zachodem dla Wschodu. O to warto powalczyć. Nie o to, żeby nas jakiś Niemiec czy Belg poklepał po plecach i pochwalił, że już jesteśmy prawie tacy jak oni.

Wszystkiego pazernego!

„Greed is good", „chciwość jest dobra" – mówił bohater amerykańskiego filmu o Wall Street, oczywiście przedstawiony przez reżysera lewaka jako najczarniejszy ze szwarccharakterów. Tymczasem – jeśli szukamy motoru rozwoju dla państwa i narodu, to filmowy Gekko mówił świętą prawdę. Nie szlachetne mrzonki, ale chamska pazerność buduje imperia. Pazerność jest dobra. Jest jak wysokooktanowe paliwo i trzeba tylko zbudować odpowiedni silnik, aby zamiast zniszczenia wynikało z niej dobro, rozwój i dobrobyt udzielający się innym.

Pazerność jest dla nas dobra także dlatego, że tylko kierując się nią właśnie, interesem, zyskiem materialnym, możemy zakończyć wyniszczającą Polskę plemienną wojnę o wartości. Kiedyś nazwałem

to „porozumieniem pod podziałami”. Nie „ponad”, bo gdy podział, tak jak to jest w Polsce, dotyczy tak zwanych imponderabiliów, to ponad nimi nie ma już i nie może być niczego. Porozumieć się możemy tylko co do spraw uważanych w polskim mentalu za przyziemne, tak samo ważnych i dla Polaka katolika, i dla tego na wielkie sprawy indyferentnego.

Największą przeszkodą we wprowadzeniu Polski na ścieżkę do bogactwa i bezpieczeństwa w tym gwałtownie się zmieniającym świecie jest nasz postinteligencki, poszlachecki mental. Owo diagnozowane przez Giedroycia w międzywojniu „potępienie zysku”, dotyczące nie tylko zysku finansowego, w sensie dosłownym, ale i zysków politycznych. Gdy cokolwiek dzieje się na świecie, politycy krajów, których politykę kształtowali kupcy, przedsiębiorcy czy nawet generałowie, pytają – co my na tym możemy zyskać. Politycy postinteligenckiej Polski pytają zaś – kto ma tu słuszność, a że kryteria słuszności mamy raczej romantyczne, z punktu chcą stanąć po stronie przegranego.

Podam jeden przykład: Ukraina i Białoruś. Nasza polityka wobec tych krajów w ostatnich kilkunastu latach to kompletny obłęd, polityczna donkiszoteria i dokładne zanegowanie zdrowego rozsądku. Na Białorusi panuje autokratyczny reżim, stabilny i cieszący się poparciem większości mieszkańców. Polskie dziedzictwo kulturowe jest szanowane i chronione. Opozycja jest skłócona, niszowa i z powodów odmiennej interpretacji historii niekoniecznie lubi Polskę i Polaków. Nie ma wolności słowa i zgromadzeń, nie ma też mafii. Jeśli chcesz robić na Białorusi interesy (a wiem to od ludzi, którzy je robili i tu, i tu) i ktoś cię próbuje oszukać, to w sądzie znajdziesz sprawiedliwość, a na posterunku policji prawo. Może nie z aż tak idealnym finałem, jak by to było w Ameryce, ale generalnie nie jest pod tym względem gorzej niż w Polsce.

Na Ukrainie wygrała demokracja. Jest wolność, z której korzystają między innymi neobanderowcy, stawiający pomniki zbrodniarzom odpowiedzialnym za rzezie Wołynia, fałszujący historię w duchu nienawiści do Polski, niszczący polskie pamiątki kultury, które

przetrwały Związek Sowiecki, niszczący w archiwach dokumenty historyczne dotyczące tych strasznych zdarzeń. A spróbuj tam robić interesy – jak na Dzikich Polach. Bez łapówki ani kroku, mafia rządzi wszystkim, sądy, policja, urzędy, wszystko skorumpowane jak w jakimś afrykańskim Zangaro.

I który z tych dwóch krajów Polska uważa za swojego strategicznego partnera i tym bardziej stara się mu nieba przychylić, im bardziej on ją kopie w tyłek – a który uważa za wroga, zarazem z postszlachecką butą przypisując sobie misję zaniesienia mu cywilizacji, demokracji, praw człowieka, a co najmniej rodzimej telewizyjnej wersji dawnej Wolnej Europy?

Ktoś kierujący się rozsądkiem, patrząc na to, nie może nie spytać: czy was, Polacy, kompletnie pogięło?!

A ja musiałbym na to z przykrością odpowiedzieć – no tak. Okupacje, zabory, powstania, a w ogóle musimy zacząć od tego, że pięćset lat przed Zachodem próbowaliśmy zbudować Unię Europejską i w efekcie system polityczny nam się wypaczył, warstwa chłopska została zepchnięta w niewolnictwo, mieszczańska w ogóle się nie rozwinęła, więc zamiast klasy średniej powstała inteligencja... Słowem, zapraszam do lektury tej książki od początku.

Ale teraz trzeba to zmienić – bo jak nic usłyszymy za chwilę od pani ambasador albo pana sekretarza z Ameryki, że z Chinami nam handlować nie wypada, bez względu na korzyści, jakie by to Polsce mogło przynieść, bo to komuniści i zbrodniczy reżim. I jeśli nadal będzie tak, jak jest, to nasz rząd ochoczo przytaknie. Oczywiście, żadnych ustępstw z moralności na rzecz przyziemnych interesów! No chyba że – ale to bardzo półgębkiem – mielibyśmy się lubić z jakimś równie paskudnym reżimem, ale zaprzyjaźnionym z naszym wielkim patronem. To wtedy by to nie był zbrodniczy reżim (czy słyszeliście, żeby ktoś w Polsce upominał się o prawa człowieka w Arabii Saudyjskiej? No właśnie).

Zastrachany umysł

Jednym z niezliczonych wykwitów pogardy dla „wiochy” w kraju, którego 90 procent mieszkańców z niej się właśnie wywodzi, jest powiedzenie „cham ze wsi wyszedł, ale wieś z chama nie”.

Zaskoczę Państwa być może, ale wydaje mi się, że to celne podsumowanie polskiego narodowego mentalu. Pod warunkiem, że słowo „wieś” rozumiemy zgodnie z dziedzictwem Rzeczypospolitej Obojga Narodów: jako miejsce, gdzie „opisać nawet nie można i jest to wprost nie do uwierzenia, jak się nad ludem pastwili”. To właśnie pastwienie się jaśnie pana i jego ekonomów nad „chamem” wyjść z nas nie może. Gąsior, w który zakuwano nieposłusznych, kije, które łamano na chamskich grzbietach, tkwią głęboko w polskim mentalu, choć od wieków nikt po nie nie sięga – bo już nie trzeba, tak jak nie trzeba karcić wytresowanego psa. Upokorzenie, poczucie bycia nikim, płynąca z niego pokora i niepewność swego tak głęboko przez wieki wdarły się nam w dusze, że Polak sam bezustannie powściąga normalne u innych nacji odruchy lękliwym „co sobie państwo pomyślą”.

To nic, że „państwa” już dawno nie ma. Wyginęło, co nie wyginęło, to zdegenerowało, a co ani nie wyginęło, ani nie zdegenerowało, to osłabło i nie jest w już stanie Polską skutecznie pokierować. Umysł przywykły do wstydu i zastrachania znajdzie sobie innych „państwa” – na przykład Europę.

List Zbigniewa Siemaszki do Józefa Czapskiego: „Polacy, którzy uchodzą w oczach swoich i cudzych za indywidualistów [...], nie chcą i nie umieją myśleć samodzielnie, a skoro tylko zjawi się ktoś, kto próbuje myśleć, to huzia na niego – przeważnie dostaje epitet zdrajcy”. Trafne?

Zróbmy coś, czego w tej książce unikałem, bo musiałbym napisać książkę zupełnie inną – zejdźmy na poziom mikro. Popatrzmy na charakterystyczne drobiazgi.

W kulturze żydowskiej ojciec ma obowiązek rozmawiać ze swoimi dziećmi o Torze, i mało, że rozmawiać – prowokować je do sporów. Mały Żyd uczony jest, że powinien mieć swoje zdanie. Czego uczony jest mały Polak? Przeważnie tego, żeby się nie odzywał przy starszych. Ilu z Państwa słyszało w dzieciństwie zdania w rodzaju

„nie mądrzyj się”, „co za głupoty wygadujesz”, ilu pamięta, jak reakcją rodziców na próby przedarcia się do rozmowy było ośmieszanie albo zawstydzanie?

Amerykanie uczą swoje dzieci: jesteś ważny! Zasługujesz na wszystko, co najlepsze! Możesz, potrafisz, jeśli się tylko postarasz, więc – pchaj się do przodu! Łokciami, pazurami, ze wszystkich sił, do sukcesu! Sukces jest najważniejszy, sukces budzi szacunek – a „przegryw”, „loser” otoczony jest pogardą. A my od pokoleń uczeni jesteśmy przez rodziców i sami potem wpajamy to dzieciom, że sukces – zwłaszcza, nie daj Boże, finansowy – to coś podejrzanego, ważniejsze jest mieć „słuszną rację”. Wymyśliliśmy nieznane innym narodom pojęcie „moralnego zwycięstwa” i bardziej szanujemy przegranych niż wygranych.

„Stój w kącie, znajdą cię”. Lepiej się nie pchaj, bo się ośmieszysz, bo na pewno ci nie wyjdzie. A jeśli nawet jesteś w czymś dobry, to czekaj, aż „państwo” cię zauważą i docenią, sam się nie przechwalaj, bo to straszny wstyd i obciach. Pewna Polka, słyszałem tę anegdotę z dobrych źródeł, ubiegała się o atrakcyjną pracę w zachodniej korporacji. W rubryce „znajomość angielskiego” zaznaczyła skromnie „dobra”, choć miała dyplom filologii angielskiej i długi staż pracy w języku. Przegrała z, nie pamiętam dokładnie, Francuzką czy Niemką, która nie mając żadnego dyplomu, żadnego certyfikatu, zaznaczyła kwadracik najlepszy: „biegła”. Typowo polska skromność, wpojona przez mamę i otoczenie, nie opłaciła się.

Bo ona się, oczywiście, nigdy nie opłaca. Pokorne cielę, ludowy ideał wychowania, wcale nie ssie dwóch matek, nie ssie żadnej w ogóle. Nie umiesz się zareklamować, to po prostu cię nie ma, nikt nie ma czasu przyglądać się twoim dokonaniom, jeśli do tego nie zachęcasz, przeciwnie, pokornie ustępujesz innym.

Najprostszy, używany zresztą przeze mnie często przykład. W innych krajach sale wykładowe czy koncertowe zapełniają się od przodu – kto przyjdzie pierwszy, siada w pierwszym rzędzie, ostatnie zostają dla spóźnialskich. U nas oczywiście odwrotnie, wszyscy chcą siedzieć jak najdalej, żeby broń Boże ich nie posądzono, że się pchają do przodu.

No i ta nieszczęsna polska szkoła, usilnie próbująca upodobnić każdego do wszystkich innych, utemperować indywidualność, złamać ucznia i wprasować go w przeciętność. Rzecz w tym, że ona taka jest, bo polscy rodzice właśnie tego od szkoły oczekują. Niech gówniarza nauczą moresu, żeby sobie nie myślał, że jest nie wiadomo kim.

Jeśli Państwo sądzą, że to nie ma związku z duszoną w sobie od pokoleń chłopską pokorą, to są Państwo w błędzie. To właśnie te tkwiące w nas dyby, kajdany i kij, którego nawet nie trzeba nam pokazywać. Jeśli wielki redaktor łaskawie rzuci: „wy, nasi czytelnicy, jako ludzie na poziomie, na pewno uważacie, że...” – to setki tysięcy zastrachanych nosicieli przysłowiowej słomy w butach zgodzi się ze wszystkim bez chwili zastanowienia i da mu się poprowadzić wszędzie. Nawet jeśli redaktor wygaduje oczywiste absurdy.

Nic głupszego niż te ciągłe połajanki, że Polacy zadufani w sobie, że zanadto skupieni na swojej godności, że zadzierają nosa i na inne narody patrzą z góry. Jest właśnie dokładnie przeciwnie, cierpimy na kliniczny kompleks niższości, odmawiamy sobie wszystkich historycznych zasług, wypieramy z pamięci wszystko to, czym powinniśmy się chwalić, przytakując byle rozstawiającemu nas po kątach bubkowi. W głowie się nie mieści, „wprost nie do uwierzenia”, jak bardzo siebie samych nie doceniamy! Przez gardło nam nie przejdzie odpalić treserom z Europy: walcie się, w Polsce homoseksualiści, kobiety, innowiercy byli szanowani, kiedy wyście jeszcze ganiali z nożami w zębach!

To wszystko przez ten brak polskiego Szwejka. Przez to, że nigdy nie znalazł się u nas ktoś, kto by w imię zdrowego chłopskiego rozumu wyśmiał panów, co przepieprzyli swoje majątki, jak, nie przymierzając, Piłsudski senior, co zafundowali narodowi szereg idiotycznych klęsk tylko po to, by przyszłe wieki mogły opiewać, że tak ich sprano jak nigdy nikogo na świecie, i nic, nadal pouczają, jak ma cham się zachowywać, żeby go uznali za człowieka. A cham słucha i zamiast uwierzyć w siebie, czeka, aż mu oświeceni chałupę wyremontują i unowocześnią.

Kochani – przepraszam, że tak sobie pozwalam się do Państwa zwrócić, ale to już ostatnie zdania tej książki – nie ma, co sobie o nas pomyślą „elity”, nie ma, co sobie o nas pomyślą na Zachodzie. Niech sobie myślą, co chcą. I niech się odwalą. Wyrzućmy z głów ten gąsior, przy którym nas przez wieki chłostano i upokarzano. Zbuntujmy się wreszcie. Jeśli jeszcze nie dość nam powodów, to na co, u cholery, czekamy?

Pierwszym warunkiem, żeby przestać być pachołkiem, jest przestać samemu się nim czuć.

Koniec

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-577-0

Tytuł oryginału: Battle Mage

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski, Robert Łakuta

Projekt okładki
Szymon Wójciak

W projekcie wykorzystano cytat z obrazu:
Granta Wooda „American Gothic" / Domena Publiczna

Redakcja
Magdalena Byrska

Korekta
Agnieszka Pawlikowska

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

POLAKOM CHOLERNIE BRAK DZIŚ POCZUCIA GODNOŚCI.

Jesteśmy tu od tysiąca lat.
Stworzyliśmy państwo, do którego ze wszystkich stron świata, z zachodu, wschodu i południa, ciągnęli ludzie jak do ziemi obiecanej.

A teraz byle łajza z Holandii czy Luksemburga pozwala sobie traktować nas jak małpy, które ledwo co zlazły z drzewa?! Stawiać nas do pionu, pouczać, wychowywać obietnicami szklanych paciorków i straszeniem „sankcjami"?

I nasze tak zwane elity płaszczą się przed każdą taką łajzą z obrzydliwym służalstwem, prosząc, żeby Europa zechciała łaskawie jakoś przywołać do porządku tę polską hołotę, bo im się ona wyrwała spod kontroli i nie chce słuchać?

Czas, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na leżenie i rekonwalescencję, mija, kończą się światowe koniunktury, zaczynają prawdziwe schody, coraz bardziej strome. Trzeba ruszyć tyłek, przypomnieć sobie „czym tobie być, o czym tobie marzyć, śnić".

O tym jest ta książka.